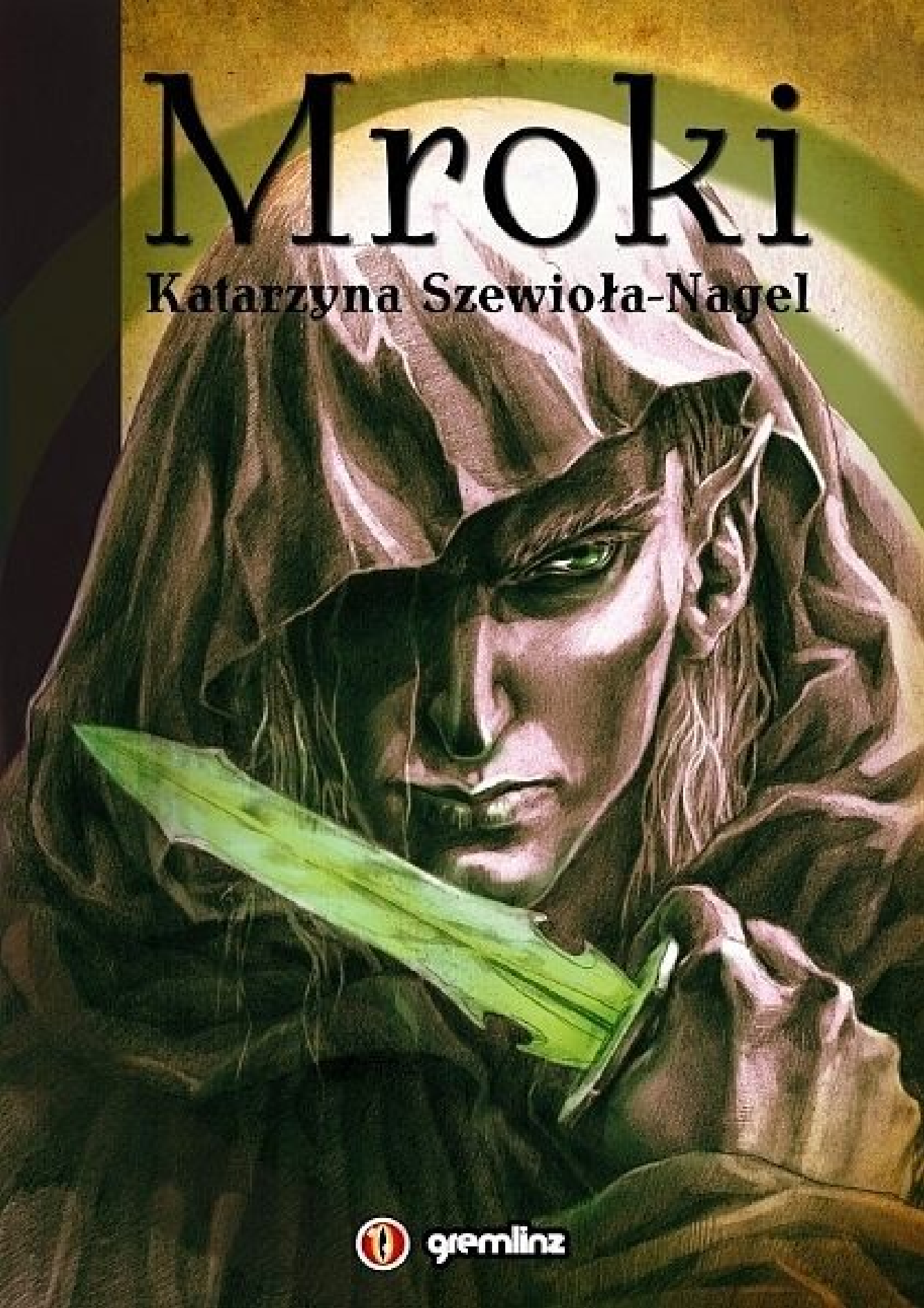


# Mroki

Katarzyna Szewioła-Nagel



gremlinz

*Katarzyna Szewiła-Nagel*

**MROKI TOM I**



**gremlinz**

# Spis treści

*Karta tytułowa*

Prolog

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

# Prolog

**K**ról, zmęczony całodniowymi wizytami posłów, opadł na fotel w swoich komnatach.

Jego żona obdarzyła go jak zawsze czułym spojrzeniem.

- Aż tak źle? - spytała pochylona nad tamborkiem.

- Raczej monotennie - burknął pod nosem.

- Powinieneś odpocząć. Zbyttnio się przemęczasz. Weź sobie dzień wolnego, bez posłów, senatorów i całego tego zamieszania.

Dobra, kochana Eleonor - pomyślał. - Żeby tylko wiedziała, co tak naprawdę się dzieje.

Sam nie miał pojęcia, czy podoła temu wszystkiemu. Co dzień napływały wieści z wolnych marchii i były coraz bardziej niepokojące. A na starość nie przybywało mu sił.

Włosy mu posiwiały, zgarbił się i nie znosił wdrapywania się po stromych schodach do swoich komnat. Najchętniej kazałby się tam wnieść, ale miał jeszcze na tyle godności, by o to nie prosić. Dawne rany zaczęły się odzywać wszystkie naraz, jakby się zgadały - ehh, to stare, pomarszczone ciało...

Jego żona, Eleonor, nigdy nie mieszała się w sprawy polityki. Wolała komnaty zamczyska i nocne spacery po korytarzach, zawsze jednak wierzyła w swego męża, mimo że ich małżeństwo było zaaranżowane zaraz po jej narodzinach.

Przyjęła swój los bardzo spokojnie, należała do kobiet bezkonfliktowych. Mimo że dzieliła ich duża różnica wieku, prawie 20 lat, nie zauważała tego. Aron był czułym mężem i spokojnym władcą, kochającym swój lud. Zawsze działał według zasad i

dobrze przemyślał każdą decyzję - genialny strateg. Lubiła w nim tę milczącą stronę, która, jak zwykły mieszczuch, posiadała swoje codzienne rytuały i przyzwyczajenia.

Nie mieli dzieci, nad czym ubolewała. Wielu medyków i uzdrowicieli łamało sobie głowę nad przyczyną, nie zwykła jednak nikogo o to obwiniać. Wolała tę sprawę przemilczeć, choć rozrywało jej serce za każdym razem, kiedy widziała na dziedzińcu pałacowym dworkę ze swoimi pociechami. Często opiekowała się dziećmi, lecz nigdy nie przejawiała jakiegokolwiek przywiązania i nie faworyzowała książątek.

Rozległo się pukanie do drzwi. Król właśnie ściągał buty, mruczając pod nosem, że trzewiki chyba są za ciasne, bo boli go od nich mały palec u stopy.

- Wejść!

Posłaniec otworzył drzwi na oścież, kłaniając się nisko. Jego strój zdradzał, skąd przybywa. Król tylko na niego zerknął kątem oka.

Hmm, znów kłopot. Czy ta kobieta nie potrafi poradzić sobie z bałaganem, jaki sama sobie stworzyła? - pomyślał.

- Co ja widzę... List od baronowej Alveny?

- Tak, panie - odezwał się posłaniec, nadal zgięty wpół.

Sprawał wrażenie, jakby zaraz miał zarysować nosem podłogę.

- Dość tych pokłonów, człowieku - chrząknął król. - Wyprostuj się w końcu, bo ci tak zostanie.

Eleonor wybuchła śmiechem.

- O wybacz, kochanie. Zawsze mnie to bawiło, jak traktujesz, no wiesz... etykietę.

- Nie przejmuj się, moja droga - uśmiechnął się, rozładowując atmosferę.

Wstał bosy i podszedł do doręczyciela listu. Wiadomości od baronowej zawsze były ponure, rzeczowe i nudne. Nie lubił ich.

Oskarżała magów o wszelakie zło. Stworzył szkoły magii, by zrzeszały osoby o zdolnościach przekraczających umiejętności zwykłych śmiertelników. A ona nakazała kapłanom świątynnym mieć oczy szeroko otwarte i obserwować wszystkich swoich wiernych, czy aby nie przejawiają objawów magicznego opętania.

- Szalona kobieta - westchnął.

Przyjął list od posłańca i niespiesznie otworzył. Eleonor wyciągnęła szyję, zaciekawiona.

- I co pisze nasza ulubiona wariatka? - zaśmiała się.

- Zaraz się dowiemy, czy znów znalazła jakiś nieistniejący spiszek zawiązany przez fanatycznych magów. - Król spojrzął na pergamin i złamał pieczęci.

Drogi Aronie!

Na wstępie pozdrawiam serdecznie, choć wiadomości, jakie mam Ci do przekazania, raczej serdeczne nie są. Śmiem przypuszczać, iż w pobliskiej twierdzymiasteczku został zawiązany sojusz między wojskiem a magami, który ma na celu obalenie systemu władzy, jaki został przez Ciebie ustanowiony. Jak na razie moje wiadomości są niekompletne, ale obiecuję donieść w najbliższym czasie o poczynaniach i śledztwie, jakie wszczęłam w tej sprawie.

Z poważaniem uniżona kuzynka Alvena

- No tak, nic nowego - król odchrząknął i zapatrzył się w trzaskające w kominku płomienie.

- Czyli wnioskuje, że znów zwietrzyła intrygę. Och, kochanie, nie rozumiem tej kobiety.

- Nie martw się, Eleonor. Wszystko się jakoś poukłada.

Podszedł do posłańca, który nadal tkwił jakby w półukłonie, nie wiedząc, czy słowa króla brać dosłownie i się wyprostować.

- Masz, chłopcze. - Wsunął mu w dłoń monetę. - Donieś łaskawej

Pani, że niebawem otrzyma ode mnie wiadomość.

- Tak, panie. Dziękuję. - Młodzieniec wycofał się, zamykając za sobą drzwi.

- Jestem zmęczony. Ogarnę się i udam na spoczynek. Sugeruję, byś uczyniła to samo, najdroższa. Oślepniesz od tego haftowania po nocach.

Eleonor spojrzała z czułością na swojego męża, jak szykował się do snu, ściągając z siebie strojną szatę. Wiedziała, że nie znosił, jak pomagała mu w tym służba czy ona.

Uwielbiał czuć się niezależny. Zawsze był taki niezłomny, jednak lata odciskały na nim swoje piętno. Widziała, jak kruchy się stawał. Był prawdziwym królem, ale przede wszystkim jej mężem - wiernym i stanowczym.

Martwiła się o sprawy polityczne. Nie radził już sobie z senatem i szlachtą tak, jak kiedyś. Bardziej im ulegał. To samo tyczyło się wójtów miast obronnych. Nienawidziła polityki, ale wiedziała, że niedługo będzie musiała wziąć sprawy w swoje ręce. Bała się tej chwili i nocami studiowała księgi w tajemnicy przed wszystkimi, szkoląc się w technikach wojennych, strategii i polityce. Kobieta rządząca państwem to nie było to czego chciałby lud, ale minie jeszcze trochę czasu, zanim to nastąpi. Zostawała zatem w zawieszeniu, pomiędzy miłością do męża a troską o dobro kraju. Wiedziała, że konflikty z magami i Baronową będą się jątrzyć jak rana, by po czasie zainfekować kraj. Znalezienie kompromisu, który stanie się poniekąd decyzją jej męża i jej samej stanie się czymś na wzór panaceum.

# Rozdział I

Noc była nieprzenikniona. Tak czarna, że zdawało się, że nie ma ani początku, ani końca. Wokół panowała cisza, tylko co jakiś czas było słycać pokrzykiwania nocnego ptactwa lub szelest liści w gęstwinie. Głusza o tej porze roku jest spokojna, niema. Wszystko przygotowuje się do zimy. Niedźwiedzie już dawno poukładały się do snu zimowego w swoich gawrach, jelenie w niewielkich grupkach, czujnych jak nigdy przedtem, przemierzają lasy, wypatrując w cieniach stada wygłodniałych wilków. To dziwne, ale na przestrzeni kilku lat watahy powiększyły swoją liczebność i miejscowa ludność zaczęła się bać nocnych napadów na trzodę chlewną i drobne domowe ptactwo. Poza tym wilki wydawały się większe, bardziej zjadliwe i niebezpieczne.

Ludzie na tych terenach byli bardzo przesądni. Każde domostwo miało nad drzwiami święte symbole Odkupicieli lub lokalnych bóstw. Wierzono tu niemalże fanatycznie, a w każdym naturalnym zjawisku dopatrywano się boskiej ręki i trzeba było dziękować Odkupicielom za wszystko, co daje ziemia. Każdej późnej jesieni rolnicy składali płody rolne oraz zwierzęta gospodarskie na małych ołtarzykach, które znajdowały się niedaleko wsi lub miasteczek, oddając hołd, dziękując oraz prosząc o spokojną zimę.

Właśnie koło takiego ołtarzyka rozbił swój obóz Leto. Wioska była nieco oddalona, więc kamienny monument doskonale go osłaniał przed wścibskimi oczyma wieśniaków, a do tego miejsce miało jedną niezaprzeczną zaletę - jedzenie. Nie interesowało go to że Odkupieciele się na niego rozgniewają. Nie wierzył w nich.



Byli jak styg, otumaniali, nie dając nic w zamian. Jedynym pewnikiem zażywania go, był okropny ból głowy i gorycz w ustach utrzymujące się kilka dni.

Nie rozpałał ognia, był za blisko osady, ale również zbyt zmęczony. Kilka dni nic nie jadł, więc owoce, które zdążyły już lekko podgnić, stały się niezwykłym rarytasem. Sam się sobie dziwił, bo był świetnym myśliwym, a nie mógł w tych okolicach upolować niczego oprócz jednej wiewiórki, która pewnie i tak była stara. Zjadł swój posiłek, rozłożył matę do spania, znalazł coś, co mogło mu posłużyć za podglówek i ułożył się wygodnie, wpatrując w niebo, ugwieżdzone i czyste. Do jego nozdrzy docierały zapachy końskiego łajna, gnijących warzyw i leśnej ściółki. Wiatr pieścił jego twarz. Wziął głęboki oddech. Teraz tylko zasnąć, choć na chwilę, pomyślał i zamknął powieki.

Sen przyszedł niemalże natychmiast. Mocny, głęboki, rozluźniający ciało i uspokajający nerwy. Od dawna Leto nie czuł się tak dobrze. Życie w ciągłym napięciu odbiło się na jego wyglądzie i psychice. Nie był ani stary, ani młody, był pięknym elfem, jak go nazywały ulicznice. Nie korzystał z ich usług, ale jego upodobanie do podmiejskich zaułków sprawiało, że miewał styczność z takim czy innym elementem.

Lubił ciemne spelunki, pełne anonimowych pijaczków i poszukiwaczy wątpliwych przyjemności, gości niewiadomego urodzenia. Zasywał się w kącie i obserwował, jak wykłócają się o kieliszek czy kufel stygu. Wśród nich pełno było karczemnych dziwek, chichoczących i przechodzących z rąk do rąk. Jak on ich nienawidził. Zawsze wodziły za nim zaćpanymi i zapijaczonymi oczyma, niemal błagając o to by je posiadał. Wpatrywał się w nie tym swoim szmaragdowym spojrzeniem, nie zdradzając jakichkolwiek emocji, pociągając sobie tęgie łyki z kufla.

Podmiasto dawało też schronienie i pracę. Od czasu do czasu przyłączał się do grup szabrowników czy najemników, by po wykonaniu powierzonego mu zadania zniknąć niepostrzeżenie z zapłatą w sakiewce. Rzadko ktokolwiek mógł mu się przyjrzeć. Był po prostu wysoką, szczupłą postacią, zakapturzonym zabójcą, który najpierw wbija ostrze, potem się pyta. Nie zdawał sobie sprawy ze swojej sławy. Wieści o jego czynach były bardziej lub mniej barwnie przekazywane z ust do ust. Nazywano go Cieniem.

Ze snu wyrwał go tęgi kopniak w żebra. Nie mógł sobie wybaczyć, że dał się w tak prosty sposób podejść. Pewnie to wina zmęczenia.

- Co, u diabła! - wrzasnął na oprawcę. Zerwał się na równe nogi i położył rękę na biodrze, gdzie znajdował się ukryty srebrny sztylet.

- Coś za jeden? - warknął rosły mężczyzna otulony owczą skórą.

- Co cię to interesuje? - parsknął Leto, aż ślina trysnęła z jego ust. Kaptur zsunął mu się z głowy i odsłonił twarz.

- Elf? Co, do cholery, robi elf w tych stronach? Od lat nie widziano tu żadnego! I jakim prawem bezczęścisz to święte miejsce?!?! - wykrzyczał mu w twarz.

- Jeszcze raz mnie tkniesz, a cię zabiję, zrozumiałeś?!?! - wrzasnął.

- Ha! Spróbuj! - zaśmiał się człowiek.

- Nie prowokuj mnie. - Obdarzył go najgroźniejszym grymasem twarzy, na jaki go było stać.

- Gadaj, elfie, po coś tu przylazł? A jak nie masz nic innego do roboty, to się wynoś.

Nie chcemy cię tu.

- Zrobię, co zechcę! - Sięgnął do płaszcza, by naciągnąć kaptur na głowę.

Denerwowało go, gdy ktoś mu się przyglądał. Wydawało mu się wtedy, że chce przejrzeć go na wskroś, a na to nie mógł sobie pozwolić.

- Wiesz co, podobasz mi się - chrząknął człowiek w baraniej skórze.

- Że co? Najpierw na mnie bluzgasz, a teraz gadasz, że ci się podobam? Zdecyduj się, człowieku! Na stwórców, o co ci chodzi?!?!

- O nic - wzruszył ramionami. - Ale rzadko mi się zdarza, że ktoś wdaje się ze mną w dyskusję. No, wiesz, jak jest. Najpierw w ryj, a potem się gada. Pojmujesz, elfie? - Zaśmiał się dźwięcznie. Od razu skojarzył się Letowi z dziewczką, aż go ciarki przeszły.

- Dobra, nikomu nie powiem, że zjadłeś połowę plonów z ołtarza, a ty nikomu nie powiesz, że dostałeś ode mnie kopniaka. Co ty na to?

- Skąd wiesz, że cokolwiek zjadłem?

Pokazał mu palcem poobgryzane jabłka.

- Myślisz, że ja głupi jestem? Zapraszam cię do mojego domu, dostaniesz coś porządnego.

Leto wzruszył ramionami. Dla niego każdy człowiek był głupcem. Przez głowę przemknęła mu myśl, że pewnie to pułapka i jest ofiarą jakiegoś spisku, ale nie zauważył żadnych niepokojących przejawów magii czy skrytobójstwa. Oczami omiół dokładnie wszystko, co miał w zasięgu. Pewnie to po prostu zwykły chłop. Przystąpił z nogi na nogę, zdejmując dłoń ze sztyletu.

Może to i głupie - pomyślał - ale chętnie bym zjadł coś gorącego. Poczul ściskający się żołądek, niepohamowany głód i z dziwnego powodu zaczął lubić tego mężczyznę.

- Dobrze, głupcze - powiedział.

- Ależ ty łapiesz za słówka. Chodź, moja żona pewnie ugotowała owsiankę na śniadanie. - Wskazał dłonią lekko oddalone od wsi

domostwo, otoczone koroną owocowych drzewek, już prawie ogołoconych z liści przez chłodny wiatr.

Oczom elfa ukazała się dolina, nad którą górowały strome szczyty zwieńczone białymi zboczami. U ich stóp gęsto rosła szarozielona roślinność, głównie iglaste drzewa.

Poczuł się, jakby był na samym krańcu świata. Wędrował dość długo, musiał stracić orientację. To było naprawdę odcięte od świata miejsce. Zaskoczyła go cisza, ale pewnie dlatego, że był bardzo wczesny ranek i dopiero za jakąś godzinę zacznie się ruch w obejściach. Na razie jednak był spokój.

- Czy wy zawsze tak witacie przybyszów? Znaczą się... kopniakiem w zębra - zwrócił się do mężczyzny. Ten spojrzał na niego spod opuchniętych powiek.

- Pewnie bym cię nie znalazł, ale przeglądałem wnyki i natknąłem się na coś dziwnego pod ołtarzem. A że z natury jestem ciekawski, to postanowiłem zobaczyć, co to Kopniakiem sprawdziłem, czy żyjesz.

Leto spojrzał na niego zdziwiony, potarł dłonią czoło i zerknął jeszcze raz. Zaskoczyło go, że człowiek tak szybko mu zaufał. Pozbierał swoje prowizoryczne posłanie i wetknął wszystko starannie w toboł, który przewiesił przez ramię.

- Jestem gotów.

- No to chodźmy.

Przez całą drogę nie rozmawiali. Obaj bardziej byli zaciekawieni sobą i przyglądaniu się sobie ukradkiem, myśląc, że robią to niezauważenie. Droga była kamienista i błotnista, poprzecinana koleinami. Wzdłuż pobocza rosły kępy pożółkłej trawy i uschnięte zioła, gdzieniegdzie z ziemi wystawały białe kamienie pokryte zielonym mchem. Pola były zaorane i czekały na wiosnę. Im bliżej zabudowań, tym więcej było owocowych drzewek i krzaczków

malin. Wioska otoczona była białym niewysokim murkiem i liczyła może z piętnaście domostw. W centrum stała mała kapliczka. Z daleka nie widział do jakiego bóstwa należała, ale pewnie była to zaledwie namiastka dla Odkupicieli. Chałupy wykonane z mieszanych surowców, po części z kamienia, po części z drewna, były pokryte strzechami. Słysząc było szczekanie miejscowych psów i gdakanie kur, gdzieniegdzie dało się dostrzec pojedyncze sztuki owiec przechadzające się po poszarzałych łąkach. Leta jednak zastanowiło jedno. Kraj ogarnięty jest szaleństwem, a tu cisza i spokój, jakby nie dotyczyło to tego obszaru. Czas zatrzymał się w miejscu.

Pewnie nawet nie mają tutaj karczmy, tylko mężczyźni uciekają do lasu, niby na polowania, zaopatrując się w baryłki z miodem pitnym - uśmiechnął się do siebie elf. Nie, tak myśleć nie może. W końcu to nie cholerne krasnoludy, którym tylko trunki i dziewczki w głowie, o bitce nawet nie wspominając.

Było jeszcze coś zastanawiającego. Mężczyzna, z którym właśnie szedł, nawet nie zapytał o jego imię, nie był ciekaw takiej drobnostki. A może ma urojenia i doszukuje się czegoś, co tak naprawdę nie istnieje? Sam już nie wiedział. Zaraz mnie rozboli głowa od tego wszystkiego - pomyślał.

Dotarli do domku, chaty, sam nie wiedział, jak to nazwać. Może jednak niedużego domku, nieco innego niż pozostałe we wsi. Hmm, czy to aby nie niepokojące? No i to że stał nieco na uboczu... Ale ogólnie to zwykły domek z białym kamieniem w ścianach. Człowiek otworzył furtkę i zamaszystym ruchem wskazał podwórze.

- Wchodź, nie krępuj się. Tylko uważaj na psa, ma humory.

Leto rozejrzał się bacznie. Jeszcze mu brakuje kundla, który ma fochy. Pewnie czai się gdzieś za krzakiem i tylko czeka, by zatopić

białe zębiska w jego łydce. Odgonił tę myśl, jak natrętną muchę. Postanowił mieć troszkę wiary, a że był osobą, która mówi zawsze, co myśli, złapał chłopca za ramię i spytał: - Tak mi ufasz? Nawet nie zapytasz, kim jestem, nie przedstawisz się?

Człowiek obrócił się niespiesznie i spojrzał mu w oczy.

- A czy to ważne? Nie spotka nas chyba nic gorszego, niż pozabijanie się nawzajem?

W drzwiach stanęła kobieta szczelnie opatulona wełnianym kocem i wodziła z lekka nieprzytomnym wzrokiem za mężem, który nie dość, że przyprowadził kogoś obcego, to jakby nigdy nie szarpał się z kłamką od kurnika.

- Kochanie, to

- Leto. Nazywam się Leto. - Ukłonił się grzecznie.

Kobieta wybałuszyła nagle oczy, jakby ktoś zrzucił jej na stopę kowadło. Człowiek w baranej skórze wyprostował się, trzymając w ręce rygiel.

- Och, jakie maniery w tych stronach - zachichotała. - Lata już nie widziałam nikogo, kto by tak mnie witał. To niezmiernie miłe z twojej strony.

- Mnie również miło - odparł elf, przyglądając się teraz baczniej kobiecie. Była w średnim wieku. Miała jasne włosy, ale widać było, że zaczynają lekko siwieć na skroniach.

Twarz miała ciepłą, taką matczyną, oczy błękitne i lekko wyłupiaste, jakby wiecznie się czemuś dziwiła. Figury nie mógł dostrzec, zbyt gruby koc ją okrywał, ale przypuszczał, że jest raczej szczupła lub w sam raz, jak to mężczyźni nazywają kobiety, które ciężko określić czy są chude, czy grube.

- Wejdz, Leto. W domu jest cieplej. Pewnie jesteś głodny? Mamy owsiankę, starczy dla nas wszystkich.

- A nie mówiłem, że żonka owsianki nagotuje? - znów zaśmiał

się mężczyzna.

- No tak, mówiłeś - prawie wyszeptał elf.

Weszli do środka. Panował półmrok. Uderzył go w nozdrza zapach ostry, ziołowy, przesycony ziemią. Przez zasunięte okno wpadało niewiele światła, ale kominek nadrabiał tę stratę. Obok niego wisiały różne dziwne rzeczy, jak na jego oko to raczej jakieś fantastyczne, jak w mitycznych bajkach. Całości dopełniały grube naręcza ziół powiązane w snopki i porozwieszane gdzie popadnie. Po środku stał stół. Nosił ślady wieloletniego użytkowania, ale to był dobry, solidny stół. Pewnie z drewna dębowego. To samo mógł powiedzieć o stołkach i większości drobnego sprzętu domowego. Izba składała się z dwóch pomieszczeń.

Najprawdopodobniej to drugie, zasłonięte lnianym płótnem, było częścią sypialną lub spiżarnią, w każdym razie nie widział łóżek czy prycz w miejscu, gdzie właśnie stał. Jedynie koło pieca było siedzisko.

- Usiądź. - Kobieta pokazała mu stołek.

Zdziwiło go, że nie było żadnych dzieci. Przeważnie chłopci mają ich niezłą gromadkę, a tu żadnego.

- Proszę. - Postawiła przed nim dużą drewnianą miskę z ciepłym posiłkiem i podała łyżkę. - Smacznego.

Ten sam gest wykonała w kierunku swojego męża, po czym sama sobie naląła i usiadła pomiędzy nimi.

- Domyślam się - ciągnęła - że mój mąż nie zrobił na tobie najlepszego wrażenia.

Zawsze tak jest, choć wbijam mu do głowy, że ludzi się nie kopie. Leto zaśmiał się tak głośno, że zaskoczyło to jego samego.

- Widzę, pani, że znasz swojego oblubieńca lepiej, niż może się komukolwiek wydawać.

- O tak. - Odwzajemniła uśmiech.

- Nazywam się Meran, a mój luby to Ulfrik. Pewnie tego też ci nie powiedział.

- No, nie. Nie przedstawił mi się, a raczej przedstawił się w sposób dość specyficzny.

- Tak - dodał Ulfrik. - Przedstawiłem mu swój but.

Kobieta pokręciła głową.

- Tak, jak myślałam.

Jedli posiłek w milczeniu. Rozmowa była krótka, ale jakoś sprawiała, że Leto poczuł się swobodnie, prawie jak w domu, cokolwiek to miałoby znaczyć. Lekko słodka owsianka pachniała spadziowym miodem.

Coś fantastycznego - pomyślał. - Ta kobieta potrafi zrobić owsiankę. Pewnie tym uwiodła tego niedźwiedzia, Ulfrika.

Podobało mu się to że nie zadawali zbędnych pytań, jednocześnie odnosił wrażenie, że oni też nie chcą być wypytywani. Po wejściu do chaty nie zdjął kaptura, więc zrobił to teraz.

Strawa była na tyle gorąca, że zaczął się pocić. Zapomniał, że okrycie głowy świetnie maskuje jego wygląd i ludzie mogą jedynie słyszeć jego niski głos.

- Jesteś elfem! - Meran zerwała się z krzesła, jakby użądliła ją pszczoła. Jej małżonek natomiast jak gdyby nigdy nic wsuwał owsiankę, donośnie siorpiąc. Nie zaprzeczył.

- Jestem. Od urodzenia. Tak mi się zdaje. - Leto podrapał się po czole lekko zaniepokojony.

- Oj, wybacz moje zdenerwowanie. Mam przykre wspomnienie dotyczące elfów, a raczej elfich magów. - Poczzerwieniała na twarzy.

- Zapewniam cię, pani, że magiem nie jestem, choć trucicielem owszem.

Tym razem pobladła.

- Ale również i tym razem zapewniam, że nie mam ochoty na



wymordowanie całej wioski. - Przypomni sobie kilka wiosek, ktre prawie wyrzn w pie, ale o tym nie musiała wiedzie i zwrci ku niej swoje szmaragdowe oczy.

- Wic jeste zabjc - odezwa si Ulfrik znad pustej miski po owsiance, wycieraj kocem rkawa usta.

- To si dobrze skada. Mozesz nam pomóc z watahami wilkw, jeli ci to nie przeszkadza. Zabijanie to zabijanie, a te cholery nie daj nam ży od wiosny. Żonka próbowała z truciznami i kltwami, ale niestety nic to nie da. Odporna sucz, cholera!

Tym razem Leta ścio z ng. Magiczka, magisterka, zaklinaczka, trucicielka? Kim bya? Staa si dla niego bardziej tajemnicza, ni mg si spodziewa. I co, u diaba, robi mag na takim odludziu? Przecie wikszo lub prawie wszyscy pozamykani s w domach magw lub szkoach magii, nigdy nie mg spamita tych nazw.

Te dziwne instytucje byy od niedawna, moe od trzydziestu lat, obecne i jako wryy si w kade wiksze miasto, jakie spotyka na swej drodze. Nie lubi magw. Nie wiedzia dlaczego, ale napawali go jakim dziwnym lkiem. Co gorsza, nigdy nie umia żadnego rozpozna. Potrafili si niele kamuflowa. Jedynie w miastach widywa zakapturzone postaci w ciężkich szatach, z kijami lub laskami w doniach, przemierzaj ulice jak cienie. Dziwne dla niego byo rwnie to że szaty mieli w rżnych kolorach. Pewnie zalene byo to od szkolenia magicznego lub talentu, bo nie od dzi wiadomo, że jeden mag moe posiada jeden talent magiczny, reszta jest ukryta. Tylko nieliczni potrafi by zarazem uzdrowicielami i magami bojowymi. To zaskakujce, ale to byo te pewnie powizane z si psychiczn i duchow. Nie zna si na tym, jedynie to co podsucha w karczmach lub przeczyta w jakich zapiskach utkneo mu w gowie.

- Domyślałam się zatem, pani, że parasz się magią, więc czemu tu tkwisz i czemu władze cię jeszcze stąd nie zabrały? Jak mi wiadomo, każdy mag musi przejść jakieś testy, by móc egzystować w społeczeństwie.

Jego skóra w blasku porannego słońca rozblęła złotą barwą. Meran usiadła z powrotem na swoim miejscu i złożyła ręce na kolanach, spuszczaając wzrok.

- Nie spodziewałam się, że wyjdzie to tak szybko. Wieś mnie potrzebuje. Jestem uzdrowicielem, a zarazem tworzę trucizny. Nie są one najmocniejsze, ale na krety w sam raz.

Leto przyjrzał się jej teraz dokładniej. O tak, kiedyś musiała być piękna, ale zniszczone dłonie i poorana zmarszczkami mimicznymi twarz skutecznie to maskowały.

Kobieta, której ciężko było się oprzeć i na dodatek mag. Wybuchowa mieszanka, taka niebezpieczna i pociągająca.

Z zamyślenia wyciągnął go gospodarz domu.

- I co? Pomożesz z tymi wilkami?

- Tak, pomogę. - Sam się dziwił słowom, jakie wypowiedział. Nie lubił zbyt długo zagrzewać miejsca.

- Wspaniale! Obiecujemy cię nie otruć - zaśmiał się Ulfrik.

Elf odwzajemnił jego uśmiech, choć tak naprawdę wcale nie miał na to ochoty. Pozostanie dłużej wiąże się tylko z jednym, odkryciem tajemnic, wręcz obnażeniem się, a co gorsza mieszkanie z kimś pod jednym dachem - to jak paradowanie nago, świecąc gołym zadkiem po oczach.

- Ale mam prośbę - pociągnął rozmowę. - Chciałbym, byś nauczyła mnie warzenia nowych trucizn. W zamian za to ja przekażę ci moją wiedzę i pomogę z wilkami. Przyda mi się świeża wiedza.

Do końca nie wiedział, czy robi dobrze, ale nauka czegoś innego

dobrze mu robi. Meran kiwnęła potakująco głową, śledząc wielkimi oczyma, jak kończy zimny już posiłek.

- No to się dogadaliśmy. Cieszę się! - chłop wykrzyczał z takim entuzjazmem, że człowiek, a raczej elf, mógłby się przestraszyć. Leto jednak zdążył już zauważyć, że ten wieśniak właśnie taki ma charakter.

- Żonka przygotuje ci pryczę. Będzie ci pewnie wygodniej, niż na ziemi. Myślę, że jakiś czas z nami zostaniesz.

Zobaczmy - pomyślał Leto.

Resztę dnia elf spędził na drobiazgowym obserwowaniu okolicy spod kaptura mocno zaciągniętego na twarz. Mijający go wieśniacy bacznie mu się przyglądali. Był znacznie wyższy od większości spotkanych ludzi, więc lekko się zgarbił, mając nadzieję, że nie będzie zauważalny aż tak bardzo. Oczywiście było to absolutną bzdurą, bo jak tu nie zauważyć zakapturzonej postaci w długim płaszczu, który był chyba jego najbardziej charakterystyczną cechą i po którym mógł go ktoś rozpoznać. Ale nie rozstawał się z nim nawet jak było gorąco.

Nie nosił wtedy pod nim koszuli, a jedynie brązowe, starte już skórzane spodnie, do których sprytnie przymocował schowek na broń. To samo było z płaszczem. Ci, co mieli okazję go podnieść, zauważali, że był nienaturalnie ciężki, a to za sprawą kieszeni pełnych noży, sztyletów i innej broni, tak potrzebnej skrytobójcom. Płaszcz był czarny, przesywany czerwoną nicią, która za sprawą słońca wyblakła lub pokryła się krwią. Butów raczej nie zwykł nosić, jakoś ich nie lubił. Gdy nastawały chłody, chętniej owijał stopy skórzanymi onucami. Wspominał buty, które dostał kiedyś. Niewiarygodnie wygodne, nosił je tak długo, że rozpadły się na drobne cząstki. Od tego czasu nie natrafił na inne godne jego stóp.

Ludzie byli go bardzo ciekawi. Dzieci podbiegały do niego,

kuszone przez starszych, aby mu się przyjrzeć, więc ciągnął się za nim wianuszek rozwrzeszczanych dzieci, wykrzykujący co chwilę pytania, na które nie raczył odpowiadać.

Wioska, tak jak się spodziewał, nie była jakaś szczególna. Kapliczkę w centrum faktycznie poświęcono Odkupicielom. Na każdym domostwie u zwieńczenia strzechy wisiał symbol owych bóstw, więc, jak się domyślił, to banda przesądnych idiotów. Poza tym zagrody, kury grzebiące w ziemi, pola i rzeczka, na której widok bardzo się ucieszył. Dawno się nie kąpał, więc postanowił skorzystać ze słonecznego jeszcze dnia.

Uciekając przed gapiami, którzy już powoli zaczynali go irytować, skierował się do domu gospodarzy po świeże ubrania. Na drodze spotkał dziewczynę. Chciał ją ominąć, ale ta najzwyczajniej szła w jego kierunku.

- Witaj. - Miała zaskakująco ciepły głos.

Leto przystanął i bacznie się jej przyjrzał. Niewysoka, lekko zaokrąglona, dość młoda.

Pewnie dlatego tak łatwo przyszło jej się przywitać. Młode kobiety mają to do siebie, że są zbyt otwarte i ufne. Podobały mu się jej włosy. Były kruczoczarne i lekko powiewały rozczochrane wiatrem.

- Witaj - odpowiedział.

- Uzdrowicielka wspomniała, że pomożesz nam z wilkami. To miłe z twojej strony. - Uśmiechnęła się szczerze.

A to wstrętna, mieląca jęzorem baba - pomyślał. Ale chwilę potem doszedł do wniosku, że w takim miejscu raczej trudno o tajemnice, więc wybaczył gospodyni.

- Pomogę - rzucił tylko i wyminął dziewczynę.

Ta położyła mu znieńska dłoń na ramieniu, co wywołało u niego natychmiastową reakcję obronną i jednym zwinnym ruchem

złapał ją za nadgarstek, sycząc wściekle:

- Nie dotykaj mnie.

Dziewczyna spojrzała na niego z takim wyrzutem, że zrobiło mu się głupio, a co gorsza musiał ją ścisnąć dość mocno, bo dłoń jej zaczynała sinieć.

- Chciałam tylko podziękować - wydukała drżącym głosem.

Puścił jej rękę. Krew wracała na swoje miejsce, ukazując odcisk jego bardzo szczupłych palców. Wiedział, że ją przestraszył, ale wieloletnie doświadczenie i lęk przed jakimkolwiek fizycznym kontaktem, czy ze strony obcych, czy znajomych ludzi, wyostrzył jego czujność.

- Wybacz - burknął. - Nie rób tego więcej, bo niechący mogą cię zabić.

Dziewczyna przytaknęła i szybkim krokiem oddaliła się w stronę wsi. Nie był dumny ze swojego zachowania, ale postanowił teraz o tym nie myśleć. W głowie krążyła mu tylko myśl o zanurzeniu się w chłodnej wodzie, zabrał więc z tobołka, a raczej torby uszytej ze skór zwierząt, które upolował w drodze, koszulę i powędrował szybkim krokiem w stronę rzeki. Na jego nieszczęście w miejscu, które sobie wybrał, nie było żadnego drzewka czy krzaka, za którym mógłby się schronić przed wścibskim wzrokiem.

Nie należał do wstydliwych. Lubił swoje ciało, nagość była dla niego czymś naturalnym. Ale elfy tak mają, więc nie był wyjątkiem. To w końcu takie normalne mieć kontakt z naturą całym sobą. To upaja i uspokaja ciało, jak i ducha. Jednak zbierający się tłumek ciekawskich irytował go, skierował się więc w górę rzeki w nadziei, że znajdzie odpowiednie miejsce, by spełnić swoją zachciankę. Zajął mu to chwilę, ale znalazł całkiem miłe otoczenie z wysokim kamieniem i drzewem przechylonym w stronę wody. W sam raz na odpoczynek. I woda nie była tu szybka, raczej

kręciła delikatne wiry przy brzegu.

- O tak, idealnie - powiedział sam do siebie i rozebrał się.

Woda była potwornie zimna, ale tego mógł się spodziewać, skoro to górską rzeką. Szum wiatru w konarach drzew, plusk wody i ostatecznie podśpiewywanie ptaków uradowanych słabym słońcem koili jego duszę. Zanurzył się powoli, popadając w miły błogostan. W takich sytuacjach był bezbronny, choć nie do końca. Najbardziej bał się wtedy kobiet. To może i dziwne, ale kilka razy został przyłapany przez nie w miejskich łaźniach, odnosił wrażenie, że zjadają go żywcem, przeżuając każdy kęs jego ciała jak krowy trawę na pastwiskach.

Wiedział jak wygląda. Skórę miał jasną o złotawym odcieniu, białe włosy i kontrastujące z nimi oczy w ciemnej oprawie dodawały tylko charakteru. A co najważniejsze posiadał nietypowe w tych stronach tatuaże pokrywające część pleców i klatki piersiowej. Nie były czarne czy granatowe jak większość tego typu rysunków, a srebrne. Mieniły się w słońcu, a gdy wpadał w gniew, zdawały się wręcz emanować blaskiem. Nie rozumiał tego, ale też się nie bał tego zjawiska. Mistrz, który pracował nad nimi, latami zajmował się swoją sztuką. Zaufał mu i otrzymał wspaniały dar.

- Stworzyłem coś na miarę dzieła swojego życia, które odmieni też twoje” - dobrze pamiętał te słowa, ale nie przywiązywał do nich wagi. Nie zauważył też, że po pewnym czasie, kiedy rany już się zagoiły, zwiększyła się jego szybkość i siła. Uznał, że to zasługa ciężkiego treningu i pracy nad sobą.

Zaczęło mu być zimno, zakończył więc kąpiel, pozbiierał wszystko, co należało do niego, nie pozostawiając najmniejszego śladu swojej obecności i udał się w kierunku wsi.

Rześki, świeży i wypoczęty. Dzień chylił się ku końcowi, a czerwone słońce lizało szczyty gór. Wspaniały widok. Dla takich

chwil naprawdę chciało mu się żyć.

Drogę do wioski przebył dość szybko, chwilę później był już w chacie. Widok, jaki zastał, był zaskakujący i nie wiedział, czy ma się uśmiechnąć, czy pożałować tego, co zobaczył. Gospodyni stała na podwórzu i machała kocem w stronę drzwi, z których podobnie jak z okien, wydobywał się czarny dym. Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to że dom się pali, ale żadnych płomieni nie widział. Instynkt też mu podpowiadał, że wszystko jest w porządku, więc skąd ten dym za plecami? Usłyszał mężczyznę w baraniej skórze: - Nie mów, że znów przypaliłaś truciznę!

Żona odwróciła się w jego stronę z rozbawieniem na twarzy.

- Ano znowu. Nie mogę pozbyć się kreta, więc zrobiłam mu zupkę. - Puściła oko w kierunku Leta.

W odpowiedzi uniósł prawą brew.

- Zupkę? - zapytał.

- Tak - odrzekła. - Trujący wywar, który miałam mu wlać do kopca.

- To jakim cudem przypaliłaś garniec wywaru? - spytał, robiąc jeszcze głupszą minę.

- Zasnęłam.

Wszyscy wybuchli śmiechem. Nie przez słowa, jakie wypowiedziała, ale przez sposób, w jaki to zrobiła, unosząc niewinnie ramiona jak dziecko, które coś spocilo i teraz wykręca się od odpowiedzialności. Dawno nie śmiał się tak głośno i nie rozboleł go tak mocno brzuch. To było miłe uczucie. Ulfrik spojrzał na niego i rzekł: - Ona tak robi kilka razy do roku. Zastanawiam się, kiedy puści z dymem ten nasz dom. Wiesz, to zdolna trucicielka, zna mikstury i przepisy na nie, ale... to śpioch, hehe.

Meran spojrzała na męża.

- Ty szelmo, nie zdradza się takich tajemnic!

Resztę wieczoru i część nocy spędzili na wietrzeniu i wyganianiu dymu z pomieszczeń, popijając przy tym domowej roboty bimbler, a że był mocny jak styg, wszyscy rankiem pobudzili się z bolącymi głowami.

- To było ciekawe doświadczenie - zagadał do Meran, kiedy ta krzątała się po izbie, ogarniając stół z resztek śniadania i wieczornego ucztowania.

- Nie rozumiem. - Popatrzyła na niego, trzymając pustą butelkę po bimbrze. - Co masz na myśli?

- Przybycie tu...

- Dokończ. - Przysiadła się obok, nie spuszczając go z oczu.

- Widzisz, nie przybyłem tu po to by się śmiać, mieszkać z kimś pod jednym dachem.

Przybyłem po jedzenie i wskazówki na dalszą drogę, a tu jest tak... inaczej. Tak spokojnie, jakby czas się zatrzymał i dał nam szansę na poznanie siebie z innej strony. Rozumiesz, co mam na myśli? - zwrócił ku niej zaszklone oczy.

- Czuję się jak... jakbym o czymś zapomniał.

Milczała. Analizowała każde jego słowo, sylabę po sylabie, ton głosu. Wiedziała, co to znaczy, widziała już coś takiego.

- Myślę, że jesteś zmęczony i powinieneś odpocząć. - Wykrzywiła usta w przyjaznym grymasie i położyła mu rękę na dłoni. - To dobre miejsce, by zapomnieć, ale dobre też, by sobie przypomnieć. Tu rzeczywiście jest inaczej, przekonasz się.

Jej dotyk go sparzył, lecz nie był to ból fizyczny, a raczej psychiczny. Słowa wydały mu się jakieś zagadkowe, nie rozumiał ich, ale nie miał też ochoty na głębsze przemyślenia, nie teraz. Ból głowy był zbyt nieznośny.

Z zadumy wyrwał go gospodarz.

- Masz, wypij to - Postawił mu przed nosem kubek czegoś



niezidentyfikowanego.

Leto wpatrywał się w ciecz przez chwilę.

- No, pij - ponaglił go. - Dobrze ci zrobi i kociokwik zniknie. Dziś musimy sprawdzić, czy wnyki i pułapki na wilki są pełne i zmienić te zniszczone. Poza tym potrzebne ci nowe odzienie. To jest stare, nie nadaje się już nawet na szmaty. Pójdziemy do krawca, by pobrał miarę i uszył ci coś stosownego.

Elf zmarszczył czoło, a oczy rozbłyły mu od narastającej wściekłości.

- Jakim prawem każesz mi zmieniać ubranie? To jest dobre - wyszczał.

Ulfrik odwrócił się do niego trochę zaskoczony wybuchem. Leto ciągnął dalej:

- Poza tym nie stać mnie na taki luksus, by mi szyto odzienie na miarę. Co z tobą człowieku?

Mężczyzna wziął głęboki oddech, podrapał się po głowie, ziewnął, przetarł oczy i udzielił mu wyczerpującej odpowiedzi.

- Drogi towarzyszu - zaczął. - Twoje ubranie się rozpada, dobrze o tym wiesz. Mam skóry i materiały potrzebne do uszycia ci najpotrzebniejszego prostego odzienia, poza tym moja żona zgrabnie posługuje się krosnami, więc nie wiem, w czym problem. Pomożesz nam, my pomożemy tobie. Nic nadzwyczajnego. Jesteśmy prostymi ludźmi, a ty pewnie nie miałeś z takimi do czynienia, więc zapewniam cię, że nikt tu ci w żebra noża nie włoży, ani nie napadnie. Przynajmniej nie w tym okresie, kiedy wszyscy lękają się jednego z tych przeklętych wielkich wilków, więc bądź tak dobry i się nie unoś.

- Przepraszam - westchnął, spuszczaając głowę.

Poczuł się jak dziecko skarcone przez ojca. Będzie musiał im na to pozwolić, chociaż mu się to nie podobało. Każdy przejaw dobroci,

jakiego kiedykolwiek doświadczył, był okazywany wyłącznie ze względu na korzyści dla osoby, która ją okazywała. Nigdy nie było to szczere. Nie wiedział więc, jak okazać wdzięczność. Zawsze był czujny, zawsze też jego wyostrzone zmysły informowały go o zagrożeniach, tu nie odczuwał niczego. Może nie przerażało go to aż tak bardzo, raczej niepokoiło. Postanowił przyjąć pomoc, nie negując już słów Ulfrika.

- Nikt od ciebie nie chce pieniędzy. Co więcej domyślam się, że raczej ich wiele w sakiewce nie posiadasz. Krawcowi zapłacę skórą, będzie miał na płaszcze dla dzieci - dodał człowiek.

Leto kiwnął głową na znak zgody.

- A teraz zjedz, wypij to cholerstwo i pójdziemy załatwić ci nowe odzienie, a potem do lasu z kilkoma innymi chłopami zobaczyć wnyki. Poznasz część naszej społeczności, która sama zaczyna się domagać poznania ciebie. Nie mówiłem im, że jesteś... elfem, więc będą mile zaskoczeni.

Mile zaskoczeni - Leto powtórzył w myślach kilka razy, nie dowierzając słowom.

Przecież za elfami nikt nie przepada. Hmm, zaskakujące.

Spojrzał jeszcze raz w kubek pełny „czegoś” Zamknął oczy i wypił do dna zawartość, cały czas mając mieszane uczucia co do słuszności tego kroku. Napój był zimny, orzeźwiający a zarazem palący trzewia. Miał znajomy smak, ale nie pamiętał skąd go zna. Po chwili poczuł gorąco na całym ciele, po czym ból i nieznośna suchość w ustach zniknęły.

- Lepiej? - zagadnęła Meran.

- Chyba tak.

- No to się zbieraj. On nie lubi czekać. - Podała mu płaszc.

- Ale ciężki.

Wyciągnął rękę po swoją własność.

- Wiem. Jest przesiąknięty krwią moich wrogów.

Naciągnął go na siebie, zakrył twarz kapturem i wyszedł z domu, pozostawiając Meran samą z własnymi myślami.

Na dworze było wyjątkowo chłodno, więc się skulił, podążając za Ulfrikiem po zamarznętej ziemi. Dom krawca był w centrum wsi. Nie różnił się wcale od innych domostw.

Te same bóstwa, ten sam kamień, ten sam mech na schodkach. Drzwi otworzyła dziewczyna z drogi. Zemdlilo go. Nie lubił takich sytuacji, nie potraktował jej zbyt sympatycznie.

- Wejdźcie - wskazała wewnątrz. - Tata już na was czeka.

Czyli krawiec jest jej ojcem. Czemu, do cholery, nie jest nim kowal, pomyślał i bez słowa wśliznął się do środka.

Ulfrik wymienił kilka zdań z krawcem, gestykulując i coś objaśniając. Nie słuchał ich, wpatrywał się w ogień wesoło strzelający w palenisku. Blask płomieni odbijał się w jego oczach i na skórze. Odniósł wrażenie, że ktoś mu się przygląda i gwałtownie się obrócił. To była dziewczyna z drogi. Wpatrywała się w niego oparta o futrynę.

- Czego chcesz? - prawie warknął.

- Niczego, patrzę.

Ściągnął kaptur z czoła w nadziei, że ucieknie z piskiem.

Dziewczyna przyjrzała mu się uważniej, po czym podeszła doń tak blisko, że pawie stykali się nosami i znów poczuł, że musi uciec, bo inaczej stanie się coś nieprzewidywalnego. Dotknęła jego twarzy czubkami palców. Zrobił krok do tyłu, ale nie mógł zbyt daleko odejść. Przeszkadzał mu w tym kominek.

- Co ty wyprawiasz? - warknął.

- Nigdy nie widziałam elfa. Chciałam cię dotknąć. Czy ktoś ci mówił, że jesteś piękny?

No, tego już było za wiele. Kolejna ludzka kobieta wpatrująca

się w niego jak w obrazek. Ta na dodatek była prawie dzieckiem. A może już nim nie była?

- Wybacz, jestem utrapieniem dla ojca. Podobno moje zachowanie jest zbyt bezpośrednie w kontaktach z innymi. - Odwróciła się i wyszła.

Odetchnął z ulgą.

Do izby wszedł krawiec z Ulfrikiem. W ręku miał miarę i kawałek pergaminu.

- Nazywam się Anders i jestem tutejszym krawcem. - Podał mu dłoń. Elf odwzajemnił uścisk.

- Leto.

- No to zabieramy się do szycia. Ale zanim zacznę, wezmę miarę. Rozbierz się, proszę.

Leto poczuł się niezręcznie w obecności dwóch mężczyzn wpatrujących się w niego.

- Czy mógłbym...

- A tak... - zaśmiał się Ulfrik. - Już wychodzę, zamyśliłem się.

- Czy mógłbym cię o coś prosić? - zapytał krawca.

- Słucham? Każdy ma swoje upodobania co do strojów, uszanuję twoje.

- Chciałbym, byś skopiował to co mam na sobie. Czy poradzisz sobie z tym?

Krawiec popatrzył na niego, zmarszczył brwi i obszedł wokoło.

- Hmm, dobra robota. Tak... to robota elficka, zdecydowanie. Tylko oni mają tak doskonałej jakości przędzę i skóry, ale myślę, że jak zdejmę miarę i zostawisz mi swoje ubranie, to może za około dwa tygodnie dostaniesz nowe ubrania.

- Dwa tygodnie to kawał czasu!

- Tak - odpowiedział Anders. - Ale tyle czasu potrzebuję, by wytrawić i odpowiednio dopasować skórę. No i to bardzo ciężki

materiał do szycia. Wytrzymasz tyle. Zresztą, nie sędę, byś prędeż stąd wyruszył.

- Ale w czym ja będę... znaczy, w co się ubiorę? - wyjąkał.

- Nie martw się, dam ci zapasowe.

W tym momencie, mimo ubrania, poczuł się nagi, zupełnie bezbronny. Świadomość posiadania przy sobie swojej broni dodawała mu pewności siebie. Teraz zostanie wręcz z niej obdarty, nie mówiąc już o paradowaniu nago przed krawcem, żeby mógł zdjąć miarę.

- Anno! - krzyknął mężczyzna.

W drzwiach pojawiła się jego córka.

- Tak, papo?

- Przynieś naszemu gościowi stosowne odzienie. Wybierz mądrze.

- Tak, papo.

Zniknęła w odmętach drugiej izby. Słyszał krzątanie, przesuwanie różnych przedmiotów. Może to były kufry, nie miał pojęcia. Rozbierał się niespiesznie. Płaszcz wylądował na podłodze, potem koszula.

Anders widywał już w życiu elfy, wiedział jak wyglądają, ale nigdy nie widział takiego. Tatuaze pokrywające jego ciało były zaskakujące, poza tym większość elfów, jakie miał okazję widywać, to byli starcy lub dzieci. Schylił się po kawałek zwęglonego drewna i położył na stole obok pergaminu. Zabrał się za drobiazgowe pobieranie miar. Leto zamknął oczy, nie chciał tego oglądać. Rozkoszował się ciepłem paleniska ogrzewającym jego plecy.

Nie usłyszał, jak Anna wchodzi z ubraniami dla niego. Oddał się po prostu chwili. Przyglądała mu się ukradkiem zza pleców ojca, który tylko wydawał polecenia. Nie mogła oderwać wzroku. Był taki idealny, inny niż wiejscy chłopcy lub parobkowie, był... z

zamyślenia wyrwał ją ojciec.

- Skończ się gapić i idź matce pomóż.

Przytaknęła i wybiegła z pokoju.

Leto otworzył oczy, zdając sobie sprawę, że nie powinien ich zamykać.

- Dobrze - westchnął krawiec. - Mam, czego mi trzeba. Dostaniesz spodnie, płaszcz, ze trzy koszule i ciepły sweter od mojej żony w prezencie. Myślę, że to dobry układ. Ty mi w zamian zostawisz swoje stare ubrania.

Elf spojrział na Andersa z lekkim wyrzutem. Nie chciał się rozstawać z ukochanym płaszczem. Jego było mu najbardziej żal. Ale zawsze mógł go ukraść, odchodząc. Tak, to był dobry plan.

- Wybacz. Chciałbym opróżnić kieszenie. Czy mogę?

- Tak, to przecież twój płaszcz.

I się zaczęło: sztylet, rzutka, noże, gwiazdy z ostrzami jak brzytwy... Anders tylko przyglądał się w milczeniu, a Leto intensywnie myślał, gdzie on to wszystko pochowa.

- Masz, ubierz się. - Mężczyzna pokazał mu odzież zostawioną przez córkę. - Ja pójdę po coś, do czego będziesz mógł to włożyć. - Po chwili przyniósł skórzaną torbę.

- Dziękuję.

Ubrania, które dostał, były wprawnie wykonane. Bardzo dobra robota, drobiazgowa, solidna. Porządne nici i materiał. Jakie było jego zdziwienie, kiedy ostatnią rzeczą jaką dostał, okazał się płaszcz. Nie tak długi jak jego, nie tego koloru, ale miał kaptur ręcznie haftowany w piękny runiczny motyw powtarzający się na mankietach, brzegach i przy guzikach oraz skórzany pas. Podobał mu się ten ciężki szarobrunatny wełniany płaszcz szczelnie opinający ciało. Sięgał do połowy łydki, ale to nic, przyzwyczai się. Kaptur da mu poczucie bezpieczeństwa, ukrywanie się w końcu

było częścią jego natury.

Do izby wrócił Ulfrik, a wraz z nim córka krawca.

- Jak ładnie! - zapiszczała. - Wszystko pasuje wręcz idealnie. Ale mam oko, nie, papo?

- Tak, córciu. - Krawiec pogładził ją po ramieniu. - Ale idź już, mamy tu męskie sprawy.

Zniknęła bezszelestnie za drzwiami.

- Chodź. Przyszli ludzie do pomocy w lesie, sprawdzimy te cholerne pułapki. A że już jesteś ubrany, to nie będziemy wracać się do domu. - Ulfrik ruszył w stronę drzwi.

Leto podziękował krawcowi i wyszli.



Nora spoglądała ze wzgórza na wioskę. Jej barwne włosy powiewały na chłodnym wietrze. Kamień, na którym siedziała, był omszały i wilgotny od deszczu niedającego ludziom spokoju od kilku dni. Zbliżała się zima, wokół było jednak niespokojnie i nerwowo.

Wyczuwało się to w każdym podrygiwaniu gałęzi na wietrze, w każdym chlupocie wody w rzece płynącej nieopodal. Ptaki nie śpiewały, a aura raczej nie poprawiała nastroju. Chłopi we wsi lękali się watach wilków, które grasowały od jakiegoś czasu w lasach i pustoszyły stada trzody hodowlanej. Niepokój udzielał się każdemu.

Tej jesieni podupadł na zdrowiu jej ojciec. Z niewiadomych przyczyn zaczął kaszleć i z dnia na dzień choroba sprawiła, że nie był już w stanie doglądać gospodarstwa, a przed zimą zawsze było pełno pracy w polu, przy obejściu i jeszcze te beznadziejne domowe

czynności, których tak nienawidziła. Babskie fidrygałki - zawsze burczała pod nosem, kiedy matka zachęcała ją do haftu czy szycia. Nie miała do tego ani oka, ani nerwów. Spotykało się to przeważnie z dużą dezaprobatą matki i dwóch sióstr, które były jej zupełnym przeciwieństwem. One uwielbiały spędzać godziny na zajmowaniu się typowymi kobiecymi zajęciami, a ona uciekała do lasu ćwiczyć fechtunek oraz kondycję fizyczną. Nie podobało się to ojcu, który marzył, by wydać pierworodną córkę za mąż w rozsądnym wieku. Tyle że jej nie interesowali chłopcy, a chłopcy nie interesowali się nią. Cieszyła się z faktu, że ma z nimi spokój. Oszczędzali jej głupich docinków i beznadziejnych chichotów czy łapania za pośladki. Raz się zdarzył śmiałek i tylko raz, bo połamała mu rękę. Dobrze, że we wsi jest uzdrowicielka, bo byłoby z nim kiepsko. Im była starsza, tym bardziej zjadliwa dla mężczyzn i bardziej niedostępna, w przeciwieństwie do sióstr, które zdążyły w tym czasie się zakochać i powychodzić za mąż, wyprowadzając się z domu rodzinnego. Została ona ze starzejącymi się rodzicami. Powoli ludzie zaczęli gadać, że już ma 25 lat, że powinna mieć już minimum trójkę dzieci i prowadzić własny dom. Kwitowała to zmarszczeniem czoła i machnięciem ręki i twierdziła, że ma jeszcze na to czas, ale prawda była taka, że już żaden chłop ze wsi nie miał ochoty na jakiegokolwiek bliższe znajomości z nią.

Nie należała do kobiet ani ładnych, ani brzydkich. Jej cechą charakterystyczną były włosy. Gęste, wielobarwne, nikt takich nie miał. Można się było w nich doszukać pasm rudych i brązowych, poprzeplatanych z platynowym blondem. Były bardzo grube i gęste, trudne do ujarzmienia, więc jedyną fryzurą, na którą mogła sobie pozwolić, był warkocz lub koński ogon. Każda próba matki, by zrobić tak zwany porządek, kończyła się fiaskiem, bo upięte



włosy szybko wydostawały się z pułapki szpilek i spinek, co zmuszało ją do rezygnacji z typowo kobiecych fryzur.

Twarz miała ogorzałą od słońca, oczy jasne i bystre. Wysokie kości policzkowe i pełne, zaróżowione usta sprawiały, że przy bliższym przyjrzeniu się mogła uchodzić za atrakcyjną, ale był to typ męski i silny. Lata treningów w lesie sprawiły, że miała mocne ramiona i nogi. Poza tym była niezmiernie wytrzymała na ból i zmęczenie. Dawało jej to przewagę wśród chłopstwa w trakcie żniw czy polowań. Doskonale radziła sobie z mieczem, nożem i łukiem. Lubiała polowania, co było cechą bardzo rzadką u kobiet tamtych czasów, uważano bowiem, że miejscem kobiety jest ognisko rodzinne i podtrzymywanie jego płomienia. Zastanawiała się, kiedy spadnie śnieg. Chłód był nieznośny, bardzo przenikliwy.

Wszystko w domu było w jak najlepszym porządku. Matka czuwała przy ojcu, a ona zajmowała się zwierzętami, toteż co chwila zerkała na małe stadko owiec pasących się poniżej miejsca, na którym siedziała. To był naprawdę dobry punkt obserwacyjny. Lubiała to miejsce. Trawa już była raczej pożółkła i sucha, ale rosły jeszcze późne zioła, więc zwierzęta się najedzą, póki zima nie zamknie doliny na około cztery miesiące. Fakt, był przesmyk, którym dzikie zwierzęta przemieszczały się pomiędzy szczytami, ale żaden wieśniak nie odważył się wykorzystywać go, by przedostać się do wiosek leżących za górami.

Jej wieś była bardzo specyficzna, wyjątkowa, wręcz samowystarczalna. Ludzie dbali o ziemię i zwierzęta, a natura odwdzięczała się im jedzeniem i skórą. Z wełny owiec tkano piękne narzuty, koce i tkaniny na płaszcze tak ciepłe i lekkie, że jakby zacząć je sprzedawać gdzieś dalej, wioska mogłaby nieźle na tym zarobić. Ale nie do niej należało o tym decydować. Krawiec Anders był zdolnym rzemieślnikiem, potrafił wyczarować ubrania

godne królów i pracował nie tylko szyjąc materiały, ale też obrabiając skóry i to mieszkańcom w zupełności wystarczało.

Kilka dni temu zauważyła nowego przybysza. Ludzie gadali, że zamieszkał w domu uzdrowicielki i podobno ma pomóc przy wilkach. Nie słuchała zbyt uważnie, nie ciekawiło jej to Jedyne, co ją zaintrygowało, to sposób, w jaki wypowiadała się o nim Anna, córka Andersa. Podobno był elfem i miał cały arsenał broni przy sobie. Tylko po co wędrownemu elfowi taka ilość? Ale to nic, miała swoje zmartwienia. Jutro chłopci szykują wejście do głuszy, by posprawdzać wnyki i pułapki, jakie jakiś czas temu pozakładali na wilki.

- Oby coś się udało złapać - rozmyślała.

Wtem usłyszała przeraźliwy krzyk zwierzęcia. Poderwała się ze swojego miejsca i pobiegła w dół po stromym zboczu, zjeżdżając przez połowę drogi na podszwach. Chwyciła miecz, który zawsze miała przy sobie i powoli zbliżyła się do miejsca, z którego dochodziły dźwięki. Oczom ukazał się potworny widok. Wataha wilków właśnie zagryzała jedną z owiec, rozszarpując jeszcze żywą szczękami. Zwierzę wiło się w bólu i agonii, becząc przeraźliwie.

Reszta stada umknęła w dół zbocza prosto na drogę wiodącą do wsi. Nora jednym zamaszystym susem znalazła się w centrum krwawej jatki, wywijając mieczem, tnąc ciała wilków jak oszalała i klnąc przy tym tak szpetnie, że pewnie miejski ulicznik by się jej nie powstydził.

- Wyñoście się, podłe kreatury, do cholery! - krzyczała.

Wilki nie miały najmniejszej ochoty zostawiać smacznego kąska, więc nie odpuszczały. Kobieta zwinnie jak ryś przeprowadzała szarżę, nie zważając na fakt, że zaczęła być obiektem ataku. Szybkim ciosem powaliła jednego z większych osobników, po czym wbiła mu w kark sztylet. Obróciła się i

mieczem zaatakowała następnego, roztrzaskując mu czaszkę ręką. W tym momencie największy z wilków susem doskoczył jej do ręki, gryząc dotkliwie. Upuściła miecz, lecz wyszarpała się ze stalowych szczęk i powaliła zwinnym ruchem warczące zwierzę, zadając mu precyzyjny cios w serce. W tym też momencie reszta watahy wycofała się, skowycząc, do lasu. Kiedy emocje nieco ucichły i złapała oddech, zorientowała się, co dokładnie się stało i w co tak naprawdę się wpakowała.

- Noro, następnym razem najpierw pomyśl, a potem atakuj. Auć! chyba mnie ręka będzie bolała przez następny tydzień. - Spojrzała na poharatane przedramię, z którego obficie sączyła się krew. Omiotła bystrym okiem pole bitwy.

- Trzy wilki, hmm, nieźle, nieźle - powiedziała do siebie.

Owca była jeszcze żywa, musiała ją dobić. Nie lubiła tego, wolała jak zwierzęta gospodarskie zabija ojciec. Jakoś darzyła je sentymentem, nie to co jelenie czy dziki, na które zasadzała się wręcz z pasją, cierpliwie czekając. Wzięła owcę na ręce i skierowała się w stronę wsi. Skóry z niej nie będzie, ale mięso owszem. Po wilki wróci za chwilę.

Kiedy tak maszerowała cała zakrwawiona ścieżką, natknęła się na dziwną scenkę. Zobaczyła po raz pierwszy przybysza w towarzystwie Ulfrika i dwóch innych chłopów, którzy dyskutowali, żywo gestykulując i prawie pokrzykując. Wskazywali zakapturzoną postać, która stała sobie niewzruszona, patrząc na tę całą sytuację. Ruszyła dalej. Nie trudno było jej nie zauważyć, skoro domy stoją dość blisko siebie. Tym bardziej, że była cała umazana krwią i niosła ze sobą martwą owcę. Pierwszy zwrócił na nią uwagę Ulfrik, krzycząc i wzywając wszystkich Odkupicieli.

- Tak - pomyślała - Odkupiciele niewiele tu działają.

- Na boskich! Co się stało, Noro? - podbiegł z pozostałymi. Tylko

przybysz zmierzał w jej stronę raczej niespiesznie, jakby w ogóle cała ta sytuacja była dla niego czymś normalnym i mało zaskakującym. Położyła zwierzę na ziemi, łapiąc się za przedramię.

- A jak myślisz? - burknęła, sycząc z bólu.

- Znowu wilki?

- Przecież nie elfy! - zachnęła się. - Widziałeś tu jakiegoś elfa?

W tym momencie ugryzła się w język. Przecież przybysz to elf. Cholera jasna, teraz się zacznij - pomyślała.

- O ile mi wiadomo - odezwał się przybysz swoim niskim, aksamitnym głosem - jestem jak na razie jedynym elfem w tej wsi.

Podniosła oczy i z zakłopotaną miną szepnęła:

- Wybacz, nie wiedziałam.

- Ile ich było i gdzie to się stało? Zabiłaś je? - zarzucił ją gradem pytań mąż uzdrowicielki.

- Hmm, niech pomyślę. Zabiłam trzy, w tym chyba przywódcę. Reszta uciekła. Może z sześć sztuk, jeśli się nie mylę. To było całkiem duże stadko. - Podparła ręką brodę, jakby w myślach liczyła sztuki.

- Zabiłaś trzy? - odezwał się elf.

- Jak nie wierzysz, na wzgórzu są ciała - wskazała ręką drogę.

Leto rozłożył przed nią dłonie, dając do zrozumienia, że nie o to mu chodziło.

- Jesteś silna - odrzekł i złapał ją białymi palcami za pogryzioną rękę. Próbowwała mu się wyrwać, ale był tak stanowczy i niewzruszony, że nawet nie zdołała poruszyć jego sylwetki, a nie należała do wątlých kobiecieątek.

- Puść mnie - wysyczała.

- Nie. - Zrobił krok w jej stronę, złapał jej przedramię drugą ręką i zaczął się dokładnie przyglądać ugryzieniu. Już się nie

bronila, zauwazyła, że nie ma to najmniejszego sensu. Żaden z chłopów nawet nie stanął w jej obronie, ale czego się spodziewać. W końcu nie należała do ulubienic. Postanowiła spokojnie poczekać, aż się napatrzy.

Leto zdjął kaptur, zasłaniał mu. Potrząsnął głową, by doprowadzić białe włosy do porządku. Ugryzienie było głębokie, mocno poszarpane, ale mógł odczytać rozstaw kłów, ich szerokość i wielkość szczęki napastnika. Była to umiejętność, którą posiadali nieliczni łowcy, więc zawsze sprawiała, że większość nieznanomych mu ludzi była mocno zainteresowana.

Szczególnie teraz i na tym polu. W końcu ją puścił.

- Chciałbym zobaczyć ciała. Te wilki są rzeczywiście nienaturalnie duże, a ten musiał być bardzo wyjątkowy.

Przyglądała mu się jak każdy. Hipnotyzował ją oczyma, nigdy takiego koloru nie widziała. Nigdy też nie widziała elfa, nie słyszała elfiego głosu, a ten szarpnął jakąś struną w jej ciele.

- Ocknij się! - pomyślała. - To kolejny facet, tyle że jakiś ładniejszy. I nie śmierdzi krowim łajnem i bimbrem - uśmiechnęła się do siebie.

Leto zauważył przelotny uśmieszek, ale nie zareagował na niego w żaden sposób. Po prostu powędrował na wzgórze, gdzie miały znajdować się ciała zabitych wilków. Ulfrik kazał chłopom zaprowadzić ją do Meran, a sam pobiegł za elfem.

- Wiecie jak on się nazywa? - zapytała jak gdyby nigdy nic.

- Chyba Leto - sapnął jeden pod nosem. - Takie dziwne imię, nie sądzicie? - dodał od razu.

- Imię, jak imię - wzruszyła ramionami.

Resztę drogi przebyli w milczeniu.



Wilki, wilki - myślał intensywnie Leto, wspinając się z Ulfrikiem na wzgórze. - Duże wilki, nietypowe dla tych regionów wilki. - Myśl krążyła mu po głowie. - Wilki z szerokimi szczękami, gdzie ja takie widziałem? - spojrzał na chłopca, który idąc obok, nerwowo zgrzytał zębami.

- Denerwuje się bardziej, niż sądziłem. Co tu się stało, że ludzie tak reagują na watahy? Przecież to norma, że jak się mieszka koło lasów, będą i wilki. - Z zamyślenia wyrwało go przeraźliwie beczące stado owiec, które zaszło mu drogę i nie pozwalało przejść.

- Z drogi, cholerne patałachy! - krzyknął Ulfrik. - Wynocha! - Klepnął w zad jedno zwierzę, które, becząc, odsunęło się na bok.

- Co za stworzenia.

- Nie dziwię im się - prawie wyszeptał elf. - Są przerażone. Owce to zwierzęta stadne.

Już widziałem takie zachowanie, oplakują zabitego.

- Co ty tam możesz wiedzieć o zwierzętach, nie jesteś rolnikiem - zachnął się chłop.

Leto przystanął i spojrzał z pogardą na człowieka.

- Jestem elfem. Wiem więcej o zachowaniach zwierząt, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić. Poza tym wychowałem się wśród nich, jak cię to bardzo interesuje. Pewnie domyślasz się, że nie jestem zwykłym wędrowcem, bo jakbym nim był, to byś mnie o pomoc nie prosił! - prawie wykrzyczał, ruszając do przodu i zostawiając zdziwionego chłopca za sobą.

- Jaki drażliwy - burknął Ulfrik i ruszył niespiesznie za nim.

Miejsce ataku nie było zbyt wysoko, więc szybko do niego dotarli. Widok, jaki zastali, okazał się tak zaskakujący, że nawet

Leto ściągnął kaptur, wytrzeszczając oczy. Wszędzie była krew, nadnaturalnie dużo krwi, jakby wylano ją nie z czterech zwierząt, a przynajmniej z dziesięciu. Zwłok wilków nie było, zastali jedynie białe szkielety w krwawych lepkich kałużach i smród, który poruszał wszystkie trzewia i śniadanie, jakie jeszcze mieli niestrawione w żołądkach. Ulfrik obrócił się i z wymiotował w krzaki, Leto przyłożył rękaw do nosa.

- C... co to ma być? - wyjęczał mężczyzna, podnosząc się z ziemi i plując za siebie. - Co u diabła?

- Nie wiem, nigdy czegoś takiego nie widziałem - odpowiedział elf, kucając przy jednym ze szkieletów. Niechcący zanurzył stopę w zakrzepłej krwi.

- Uch - westchnął - zimna jak rzeka, w której wczoraj się kąpałem. Niezwykle szybko wystygła. Przecież ta kobieta zabiła je zaledwie niecałą godzinę temu.

Chłop znów schylił się i wymiotował w krzaki.

- Matko! Widziałem wiele, zabiłem i oskórowałem wiele, ale takiego czegoś nie widziałem.

Leto przyglądał się uważnie wszystkiemu, co mógł dostrzec. Patrzył w puste oczodoły wilczych czaszek, analizował układ kości i położenie źdźbeł trawy, wciągał w nozdrza unoszący się wokół odór, mimo że przyprawiał go o mdłości, ale nie miał zamiaru dołączyć do towarzysza w krzakach.

- Wiesz - odezwał się bardzo cicho, podnosząc jedną z czaszek - ja tu widzę magię i to wstrętną, plugawą i zepsutą. Te wilki zostały wyssane ze szpiku, kości są puste i białe, jakby je ugotowano. Krew jest jedynie pozostałością po oskórowaniu zwierząt. Skór nikt nie marnuje, szczególnie w tych rejonach, gdzie zimy są srogie, a materiały na odzienie ciężko dostępne.

- Co ty bredzisz? Tu nie ma żadnych magów. Skąd by się wzięli?

Ta dolina jest prawie odcięta od świata, poza tym od dobrych trzydziestu lat magowie zrzeszani są w miastach w szkołach magów, które kontroluje król.

Leto westchnął.

- A co mają wspólnego z tym szkoleni magowie? Moim zdaniem nic. Myślę, że to robota dzikich magów, takich, którzy nie dali się zamknąć w tych waszych szkołach.

- Wiesz co? - Ulfrik odkaszlnął i splunął obficie. - Twoje teorie są dziwne. Chodźmy stąd, zanim znów zwrócę żołądek.

Elf wziął jedną z czaszek, największą, pewnie o tym wilku mówiła kobieta, i poszedł za chłopem. Przyglądał się zębom zwierzęcia, rozstaw pasował do ran, jakie widział. Był też ciekawy wcześniejszych wydarzeń ze wsi.

Dotarli do chaty. W środku Meran szyła rękę rannej dziewczynie oszlifowaną rybią ością. Na stole stały słoiczki z jakimiś maściami i miksturami.

- Nie przedstawiłaś się - zaczął Leto.

Spojrzała na niego jasnymi oczyma, marszcząc czoło.

- Ulfrik nie gadał? Nora.

- Leto.

I tyle było formalności. Usiadł obok i bacznie przyglądał się czynnościom uzdrowicielki. Nie miał nigdy okazji uczestniczyć w czymś takim, więc wzbudziło to jego żywe zainteresowanie. Fakt, że w rodzinnej wsi mógł z daleka obserwować pracę uzdrowicieli, ale oni uzdrawiali inaczej, używali elfickiej magii opartej na pradawnych rytuałach, której ludzcy magowie nie stosują.

- Już - powiedziała Meran, wycierając czystym kawałkiem płótna wysączoną krew. - Spuchło trochę, ale to normalne przy ugryzieniach, wina śliny. Teraz umyjemy jeszcze raz wszystko i przejdziemy do dalszego zajmowania się twoją ręką.



Kobieta uśmiechnęła się do Nory, wstała od stołu i poszła do pomieszczenia obok, skąd przyniosła misę z czystą wodą i naląła do niej jakiejś brunatnej substancji. Zanurzyła w niej czysty kawałek płótna, po czym przyłożyła do ręki. Dziewczyna zasyczała.

- Wiem, że boli - pocieszyła - ale zobaczysz, to pomoże.

Nie przerywała czynności do czasu, aż uznała, że wystarczy. Nora miała już serdecznie dość tych zabiegów. I wtedy Leto zobaczył, jak uzdrowicielka zaczyna zaklinać rękę. Odsunął się nieco zaskoczony, bo widok był zdumiewający. Kobieta przyłożyła dłonie do rany, ale jej nie dotykała. Przestrzeń między nimi a ręką zajaśniała błękitnym blaskiem, a obie kobiety otoczyła łuna światła. Z ust Meran dobiegały pojedyncze słowa uzdrawiających zaklęć, a włosy obu poczęły rzucać iskry i lekko trzaskać. Trwało to może z minutę, ale wywarło na nim tak ogromne wrażenie, że usta miał wpółotwarte, jednak nikt tego nie zauważył. Uzdrowicielka otworzyła oczy, wzięła głęboki oddech i zdjęła ręce znad rany, która, owszem, była widoczna, ale nie była spuchnięta, a poszarpane brzegi przestały być dostrzegalne.

- Dam ci maść, ale ta blizna zostanie. Będziesz miała pamiątkę - zaśmiała się.

- Ładna mi pamiątka - odpowiedziała Nora. - Wolałabym blizny po mieczu, a nie po psie.

Leto zaśmiał się, zatykając dłonią usta.

- Jesteś wojownikiem, marnujesz się tu - powiedział.

- To kobieta, do cholery! - wszedł mu w zdanie Ulfrik. - Kobiety rodzą dzieci i zajmują się mężem i domem, a nie uganiają z mieczem za bandytami.

- Ale ta kobieta widocznie stworzona jest do innych celów, niż rodzenie dzieci.

Zobacz, jakby chciała mieć rodzinę, pewnie już dawno by ją

miała, a ona walczy jak mężczyzna i nie boi się zagrożenia. Powiedz mi, która z wiejskich dziewczuch, które tak na mnie zerkają tymi swoimi cielecymi oczyma, stawiałaby czoło watasze wilków?

Ulfrik patrzył na niego i nie dowierzał temu, co słyszał.

- No, powiedz mi, która? Wskaż taką.

- Żadna - powiedziała Nora. - To chłopki.

Popatrzyła na elfa z głębokim zrozumieniem. On chyba wie, co czuję - pomyślała.

- Warto mu się bliżej przyjrzeć.

- Widzisz? - dodał Leto. - Teraz się zastanowisz dwa razy, zanim coś powiesz o kobietach, bo chyba poglądy na ich temat masz lekko przestarzałe.

Chłop poczerwieniał na twarzy ze złości. Sytuacja zrobiła się bardzo napięta, więc elf postanowił się przejść. Wyszedł z chaty, zarzucając kaptur na głowę. Usłyszał za sobą pospieszne kroki. To była Nora, która wybiegła za nim.

- Zaczekaj! - krzyknęła.

Obrócił się w jej stronę i poczekał, aż wyrówna z nim krok. Szli obok siebie. Milczał, ale oboje wiedzieli, że nawiązuje się między nimi niewidzialna nić porozumienia. W końcu nie wytrzymał i zapytał: - Kto cię uczył fechtunku?

- Nikt, sama się szkoliłam w lesie i na polowaniach.

- Co tu gadać, jesteś bardzo zdolna, skoro wybrnęłaś z tak nietypowej sytuacji, że się tak wyrażę.

Popatrzyła na niego z wyrzutem.

- Nietypowa sytuacja?

- No tak, dla kobiety. Widywałem wojowniczkę, które jednym ciosem powalały jelenie, ale widywałem takie tylko w moim klanie. Żadna znana mi ludzka kobieta nie pokazała się z takiej strony, jak ty.

Dalej przyglądała mu się z zaciekawieniem.

- Ale wiesz - stanął, obdarzając ją uśmiechem - może jeszcze nie było mi dane spotkać prawdziwej ludzkiej wojowniczkę.

Ruszył przed siebie, jakby te słowa były tylko słowami. Dla niej natomiast były miodem na zszarpane nerwy. W końcu ktoś ją zrozumiał. Ale kim był ten ktoś? Jakie miał tajemnice? Tego chciałaby się dowiedzieć. Choć może lepiej, by ich nie poznała.



Nora wróciła do domu. W drzwiach powitała ją przerażona matka, blada jak ściana, ze złożonymi rękami jak do modlitwy.

- Córuś, co się stało!?!? Tu aż wrze we wsi, żeś się skumała z obcym i po lesie wilki ganiasz!

Dziewczyna spojrzała na nią spode łba, zaskoczona wyssanymi z palca oskarżeniami.

- Matula, co ty gadasz? Kto ci takich bredni naopowiadał?

- Ano ludziska ze wsi gadają, żeś u uzdrowicielki była.

- Byłam, matko. Wilki zaatakowały nasze owce, to ich broniłam. Jeden mnie ugryzł, więc poszłam do wsi, a że spotkałam Ulfrika z obcym, to nie moja wina. Oni poszli na wzgórze, ja do uzdrowicielki. Potem wrócili, to wszystko. Zobacz, matulu, jak to zwierzę wygląda.

Przyniosła martwą owcę, którą dwóch chłopów zostawiło nieopodal chaty.

- Widzisz, skórki nie będzie, ale mięso tak. Będzie trzeba się oprawieniem zająć. Idę do stodoły, a ty poszukaj mi, proszę, ubrań na zmianę, bo jak widzisz, te są już zbrudzone.

Jutro je wypiorę w rzece.

Matka przytaknęła i zniknęła w półmroku chaty, kręcąc głową.

Co za ludzie - pomyślała Nora. - Tu naprawdę o tej porze roku to nie mają nic innego do roboty, tylko się pierdołami zajmować. Skierowała się do stodoły, gdzie były wszystkie narzędzia do oprawiania zwierząt. Zajął jej to tylko chwilę. Wprawna ręka zawsze poradzi sobie ze wszystkim. Podzieliła mięso, skórę odłożyła na bok. Będzie musiała ją spalić, bo nawet na rzemienie się nie nadawała. Resztę obrobi potem.

Matka siedziała przy piecu i cerowała starą spódnicę.

- Wiesz, córuś, myślę, że powinnaś trochę mięsa zanieść uzdrowicielce, natrudziła się.

- Tak, wiem, ale najpierw się ogarnę - odparła, kładąc mięso na stole. - Poza tym muszę jeszcze zająć się wnętrznościami. I skórę muszę przynieść do spalenia. Pogruchotane mięso wykorzystamy do kiełbasy. - Uśmiechnęła się i wróciła dalej do wspomnianych czynności.

Matka nigdy jej tego nie mówiła, ale mimo że córka tak bardzo różniła się od jej sióstr, bardzo ją kochała. Nie zgadzała się z drogą, jaką wybrała, ale musiała pogodzić się z faktem, że tego charakteru nie da się zmienić. Poza tym była świetną gospodynią, dbała o nią, o ojca, dom i całe gospodarstwo. Niczego nie brakowało, izba zawsze była czysta, a na piecu stał czajnik gorącej wody, w której zawsze można było zaparzyć zioła.

Rozległo się pukanie do drzwi. Kobieta wstała po cichu od pieca, by nie budzić ojca, który bardzo osłabiony spał w sąsiedniej izbie. Otworzyła niespiesznie drzwi, zastanawiając się, któż to może być. We wsi nikt nie pukał, raczej wołali z podwórza, żeby wyszła. W drzwiach zobaczyła smukłą, wysoką postać. Odsunęła się zatrwożona.

- Witam - odezwał się przybysz. - Przyniosłem maść od

uzdrowicielki. Nora zapomniała zabrać. - Wręczył jej gliniany garnuszek, po który wyciągnęła drżącą rękę.

- Pani się mnie boi? - znów usłyszała ten niski głos.

- Nie - odrzekła.

Za plecami elfa usłyszała radosny głos córki:

- Leto? A co ty tu robisz?

- Przyniosłem ci maść. Poza tym Ulfrik chyba nie ma na dziś dość wrażeń i pyta się, czy chciałabyś iść z nami te pułapki obejrzeć.

Obrócił się w jej stronę.

- Ożeż! A ty kogo znów zarznęłaś? - zaśmiał się.

Nora spłonęła rumieńcem.

- Oprawiałam owcę.

- Zdolna sztuka. - Odsłonił w uśmiechu rząd równych śnieżnobiałych zębów.

- Nie zawstydzaj mnie. - Przecisnęła się między nimi do izby. - Zaczekasz? Ogarnę się i możemy iść. Przy okazji zaniosę Meran trochę mięsa.

- O tak, pobiegajmy sobie z chaty do chaty.

- Złośliwiec.

Nora zniknęła mu z oczu, stał więc i patrzył, jak jej matka z delikatnym uśmiechem wycofuje się w półmrok chaty. Sam obrócił się na pięcie i poszedł w kierunku bramy obejścia przyglądać się drodze. Była pusta, spokojna, jakby wydarzenia poranka nie wywarły na niej jakiegokolwiek piętna. Suche krzaki szeleściły na wietrze, wrony i kruki dziobały na polach ostatnie robaki, a psy czekały w oddali. Droga była kamienista i pełna błota. Deszcze strasznie rozmiękczyły ziemię. Mimo że dwa dni były nieco słoneczne, to nie zdołało to wysuszyć jej na tyle, by dało się spokojnie po niej przejść, nie brnąć po kostki w błocie.

Wiatr przyjemnie muskał twarz. Ściągnął kaptur i rozkoszował się chłodnym powiewem, przymykając powieki. Miłe uczucie. Z zadumy wyrwała go dziewczyna.

- Możemy iść.

Umyta i przebrana wyglądała zupełnie inaczej. Ma naprawdę surową urodę, nic w niej nie ma z delikatności - pomyślał złośliwie.

- Typowy wojownik, taki babochłop.

Skierowali się w kierunku chaty Ulfrika. Droga zeszła im o wiele szybciej niż zwykle. Dyskutowali żywo o technikach fechtunku, niezwykle dobrze się dogadywali. Zanim weszli do lasu, Nora jeszcze zamieniła kilka zdań z Meran i cała piątka ruszyła w kierunku przesmyku. Niebo w tym czasie zasnuło się i stało ołowiane i ciężkie. W powietrzu wisiała potężna burza, jednak żadne z nich się tym nie zraziło.

Po dotarciu na miejsce niczego nie znaleźli. Pułapki były nienaruszone, wnyki również, żadnego źdźbła trawy nikt nie ułamał, wszystko zostało zostawione tak, jak ułożyli to chłopci. Leto zaczął powątpiewać, że takie metody łowieckie cokolwiek działają. Widocznie wilki wolą żywe stworzenia niż ich martwe ścierwo, które po kilku dniach zjadają owady.

- Nie pojmuję - odezwał się Ulfrik.

Dwóch pozostałych chłopów wzruszyło tylko ramionami.

- Zawsze takie wnyki z przynętami działały, wilki w nie wpadały.

- Widocznie coś się zmieniło - wtrącił Leto. - Zobaczcie, tu wszystko jest nienaruszone. Śmiem mniemać, że te zwierzęta nauczyły się logicznie myśleć. Są inne, jak mówiłeś, w ostatnich latach. Większe, bardziej żarłoczne i żądne krwi.

- Może i większe, ale to w końcu te same przerośnięte suki - rzucił jeden z chłopów.

- Obyś miał rację - odpowiedział elf.

- Ruszajmy do domu, no chyba że mamy ochotę zmoknąć - Nora wskazała palcem niebo nad nimi.

- Idziemy - machnął ręką Ulfrik. - Nic tu po nas. Jedyne, co możemy działać, to być czujni, skoro nie potrafimy wymyślić innego sposobu.

Zanim dotarli do domu, zmokli przeokropnie. Nora poszła z dwoma chłopami w kierunku wsi, Leto z Ulfrikiem do chaty uzdrowicielki. Ledwo otwarli drzwi, a do ich nozdrzy wdarł się aromat duszonej baraniny z ziołami i słodkawy zapach pieczonego chleba.

- Dla takich chwil chce się żyć! - wykrzyknął Ulfrik. Nie rozebrawszy się, od razu zasiadł wygodnie przy stole i czekał na strawę, mocząc przy tym całą podłogę.

- O nie! Ściągaj te mokre łachy! - zażądała gospodyni.

Wstał więc z głośnym szurnięciem, burcząc coś pod nosem. Leto znów skrzywił usta w uśmiechu. Też postanowił się przebrać. Mokre rzeczy pozawieszali koło pieca i wszyscy troje zabrali się do posiłku. Dawno tak dobrze i tak dużo nie zjadł, nawet zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem od tego dobrobytu nie rozboli go brzuch. Syty stał się senny, więc ulokował się wygodnie przy ciepłym kominku, otulił baranią skórą i oparł głowę na rogu kufra. Sen przyszedł niemal natychmiast.



Od ostatniego ataku minęły już dobre trzy tygodnie. Tak długi okres przebywania w jednym miejscu sprawiał, że Leto czuł się nieswojo. Stawał się pobudzony i zdenerwowany, a im bardziej to

ukrywał, tym bardziej stawało się to widoczne. Zdawał sobie sprawę z faktu, że kiedyś będzie musiał się zatrzymać, ale czuł, że to jeszcze nie jest ten czas. Dobrze mu się mieszało z Ulfrikiem i Meran.

To dobrzy ludzie - myślał, kiedy patrzył, jak wspólnie prowadzą gospodarstwo, przekomarzając się i rozmawiając do późnych godzin nocnych. Przywykł do spacerów za wieś czy do lasu. Stały się one jakby jego codziennym rytuałem. Poznał też chłopów. Byli to prości, zwyczajni ludzie, bardzo zabobonni, wręcz fanatycznie wierzący, ale nie przeszkadzało mu to. Wielu takich mijał w swoim życiu, więc nic nowego. Irytowała go Anna, córka krawca, która za każdym razem, jak pojawiał się w jej zasięgu, patrzyła na niego tym swoim nieodgadnionym wzrokiem. Nie mógł jej rozgryźć, była zagadką. Za to uwielbiał Norę. Stała się dla niego jak siostra. Strasznie trudno było mu się do tego przyznać, ale po tak krótkim czasie znajomości z tą osobą, znalazła sobie miejsce w jego sercu. Często rozmawiali o broni, stylach walki, pokazywali sobie techniki i przypadkowe zachowania, jak dzieci bawiące się na podwórzu. Bawiło go to śmiali się wtedy głośno i radośnie. Z ponurej osoby stawał się kimś innym. Odkrył, że jego osobowość ma nieznaną, drugie dno, które przy sprzyjających warunkach niespodziewanie się ukazało. Nigdy nie przypuszczał, że może dojść do takiego typu zachowania, jakie teraz sobą reprezentował. To nie był on, to było to radosne drugie ja.

- Leto!

Usłyszał swoje imię za plecami. Siedział właśnie na kamieniu koło kurnika i sypał ptactwu jakieś ziarno. Obrócił się i zobaczył Annę, niosącą ze sobą tobolek.

- Ojciec mnie przysyła, mam dla ciebie ubrania.

Podawała mu paczuszkę. Wyciągnął po nią dłonie z lekkim



wahaniem. Ptactwo rozbiegło się, gdacząc z niezadowolenia.

- Jak chcesz, mogę ci pomóc je przymierzyć. - Uśmiechnęła się. - Tatko szkoli mnie w krawiectwie. Jeśli coś będzie nie tak, zrobię poprawkę na miejscu.

Zmieszał się, nie lubił jej obecności.

- Raczej nie.

- Nalegam.

Żwawym krokiem skierowała się do izby uzdrowicielki, nie słuchając odmowy z jego strony.

- Przekłęta chłopka - pomyślał i udał się za nią.

Główna izba jak zawsze była ogarnięta półmrokiem. Nikogo nie było w gospodarstwie, Ulfrik z żoną skorzystali z okazji i udali się do pobliskiej wsi na handel przed zimą. Nie miało ich być dwa dni. Rozpakował tobolek dość szybko, by mieć to za sobą.

Zawartość rzeczywiście mu się podobała. Krawiec był naprawdę dobry, w tych czasach to rzadkość. Ubrania były starannie uszyte, wyprane i poskładane, materiały mocne.

- No, rozbieraj się. Jestem strasznie ciekawa.

Spojrzał na nią takim wzrokiem, że gdyby jego oczy były szkolone w skrytobójstwie, pewnie by już nie żyła.

- Nie przepadam za publicznym obnażaniem się - warknęła.

- Och! - pisnęła.

Zaczął ściągać powoli odzienie, które miał na sobie i każdą sztukę odkładał na ławie.

Kiedy był już półnagi, poczuł jej wzrok, który palił mu skórę.

- Musisz mi się tak przyglądać?

- Tak.

Prychnął, ale nie miał innego wyboru, jak kontynuowanie czynności. Ubrał więc koszulę. Była idealna. Rzeczywiście skrojona na miarę. To samo spodnie i obiecany ciepły sweter, który gryzł

niemiłosiernie. Będzie musiał przywyknąć. Wełna to doskonały materiał na swetry, będzie mu ciepło. Jednak najbardziej ciekawił go płaszcz. Nie był czarny, ale brunatnobrązowy.

- Zczernieje - pomyślał.

Był odwzorowaniem pierwowzoru, idealny. Odniósł wrażenie, że pokocha tę swoją drugą skórę. Zarzucił kaptur na twarz.

- Cudownie - Anna westchnęła rozmarzona.

- O tak, tym razem się z tobą zgodzę.

- Ojciec pierwszy raz szył coś takiego. Zobacz podszewkę.

Sięgnął ręką i wyczuł schowki na broń, identyczne jakie miał w poprzednim. Aż musiał zerknąć, bo nie dowierzał.

- To moja robota - pochwaliła się z takim entuzjazmem, że uderzyła się w palec u stopy, próbując podejść do niego.

- Auć! - syknęła.

- Stój tam, gdzie stoisz. To uchroni cię przed złamaniem nogi - zażartował, choć wcale tak to nie miało brzmieć.

- Och, przestań! - Śmiało do niego podeszła. Była tak blisko, że mógł policzyć cieniutkie czerwone żyłki na jej białkach oczu. Zrobił krok do tyłu. Bezskutecznie, bo wyciągnęła do niego dłonie, próbując poprawić mu mankiety i rękawy płaszcza.

- Wyglądasz doskonale - westchnęła.

- Dziękuję. Podziękuj ojcu, jutro przyniosę mu swoją część zapłaty. Taka robota tego wymaga. - Wargi wykrzywiły mu się w coś w rodzaju uśmiechu.

- Przyniosę też ubrania, w których chodziłem w zamian. Wpierw je upiorę, są nieco brudne z błota.

- Nie musisz.

- Muszę.

Odwrócił się do niej plecami, by ściągnąć płaszcz i móc mu się dokładnie przyjrzeć jak nowej zdobyczy. Poczul się jak łowca, tylko

dlaczego? Anna podeszła do niego cichutko.

Dotykając ramienia, znów zmusiła go do reakcji obronnej. Tym razem też złapał ją za rękę, ale coś było nie tak. Jakby chciała, by to się stało, przewidziała to i zrobiła celowo. Kątem oka zdołał ocenić sytuację, ale było już za późno. Wspięła się na palce i dotknęła swymi wargami jego ust. Pocałunek był niewinny i ciepły, trwał zaledwie kilka sekund, zanim zdołał ją od siebie odepchnąć.

- Co ty czynisz, dziewucho?!?! - wrzasnął.

- Nic - zaszczębiotała i wybiegła z izby.

Stał na środku z miną trudną do określenia czy zadowoloną, czy złą, ale raczej można było się domyślić, że był wściekły. Dał się podejść byle chłopce. To niepokojące, z tym trzeba coś zrobić. Stawał się nieostrożny.

## Rozdział II

Leto stał się już nieodłącznym obrazkiem wsi. Minęło kilka tygodni od momentu, kiedy się pojawił, a już wzbudzał niemałą sensację tak wśród chłopów, jak i dziewczek, szczególnie tych niezamężnych. Wręcz przyznawał się przed samym sobą, że się ich boi, więc stronił, jak tylko mógł, od ich towarzystwa. Jedynymi kobietami, które tolerował, była uzdrowicielka i Nora, za którą przepadał. Była do niego bardzo podobna, tak samo uparta i zawzięta jak on, choć nie było w niej krztyny tajemniczości, taka otwarta księga. Ale prawdą jest, że w takich miejscach nikt anonimowy nie jest, nawet jakby się bardzo starał.

Anonimowość dają wielkie miasta lub puste trakty, poza tym jesteś, widzą cię, oceniają, przyklepiają łatki i szufladkują w tylko sobie znany sposób.

Ulfrik gościł go serdecznie, nie domagając się niczego w zamian, choć jakby się głębiej zastanowić, zapłatą miała być ochrona wioski przed bestiami, wilkami, watahami, które pożerały z niezwykłą wręcz zajadłością stada trzody chlewnej.

Zima zbliżała się wielkimi krokami, ziemia zamarzała, a kałuże wody chrzęściły pod stopami. Lubił to uczucie, ale kto tego nie lubi. Pamiętał, jak był dzieckiem i z innymi urwisami prześcigał się w łamaniu lodu na kałużach. To były piękne czasy.

Każdego dnia spacerował, patrolując okolicę. Marzył na kość, bo nie lubił się grubo ubierać, a zimy w tych górskich dolinach zawsze były bardzo ostre. Nic się nie działo, widywał gdzieniegdzie spłoszone wielkie psy pierzchające na jego widok jak zające, poza

tym cisza. Chciał opuścić wioskę, ale uzdrowicielka przebłagała go, by został, więc tkwił w niej dalej, mimo instynktu, który ciągnął go, by znów wyruszyć przed siebie. Może jednak pozostanie we wsi na zimę nie jest aż tak kiepskim pomysłem. Będzie co jeść, gdzie spać i nie ma obawy, że zamarznie gdzieś w przydrożnym rowie, a jego ciało odkryje wiosenne słońce.

Dobra alternatywa, tak, zdecydowanie bardzo wygodna.

Ranek obudził go oślepiającym blaskiem wyzierającym zza okien. Uniósł się na ramionach i zmrużył oczy.

- Tak - westchnęła uzdrowicielka - napadało nam pierwszego śniegu, ale wstawaj już.

Bardzo niechętnie wygrzebał się z pościeli, przecesał włosy palcami.

- Nie lubisz zim, co? - spytał.

- Nienawidzę - odpowiedziała, marszcząc czoło. - Są takie smutne. Mam wrażenie, jakby cały świat umarł. Poza tym jesteśmy odcięci od świata i musimy być samowystarczalni, zewsząd żadnej pomocy, wsparcia, żywności, niczego. Ale nie martw się, mamy tyle zapasów, że starczy do wiosny. O ile ten idiota, Ulfrik, nie zje połowy spiżarni - zaśmiała się.

- Obiecuję, nie będę jadł wiele.

- Nie martw się, Leto. Upolujesz nam zwierzynę, przeżyjemy.

- No tak, masz rację - wyciągnął szyję, widząc, że gospodyni kładzie na stole świeży chleb, ser i ciepłe mleko.

- Już tak nie zerkaj, tylko jedz.

Lubił te słowa.

Ulfrik wtargnął do chaty zaśnieżony, z czerwonym nosem i palcami u dłoni.

- Nakarmiłem ptaszyska, ale siedzą na żerdziach przytulone i raczej jeść im się nie chce. O Śniadanie. Mnie się chce jeść.

Wszyscy usiedli do stołu, rozkoszując się posiłkiem i trzaskającym ogniem w piecu.

- Wiesz - zaczął gospodarz - chłopci jak to chłopci. Prosilili mnie, bym cię poprosił, byś poszedł do Nory. Ojciec jej zaniemógł jeszcze bardziej, przyda jej się pomoc. Poza tym lubicie się, więc tej pomocy ci nie zabroni. Biedaczka urabia sobie ręce po łokcie.

- Dobrze, pójdę. Zjem i pójdę.

- Świetnie. - Ulfrik z zadowoleniem ugryzł duży kawał pachnącego chleba.

Tak jak obiecał, tak też uczynił. Ubrał się ciepło, okręcił szalem i wyszedł w białą otchłań. Wszystko było inne. Śnieg skrzypiał, cisza dzwoniła w uszach. Gdyby nie to że spędził tu już kilka tygodni, to zgubiłby się niechybnie. Szybko znalazł drogę, ale jak zawsze musiał natrafić na Annę, która obdarzyła go maślanym spojrzeniem. Uciekał, jak szybko tylko mógł.

Nora właśnie dokładała drwa do pieca, po wyrazie jej twarzy widać było, że jest zmęczona.

- A to ci gość! - zmusiła się do uśmiechu.

- Słyszałem, że potrzebujecie pomocy.

- Daję sobie radę.

- No właśnie widzę. Jak ojciec?

- Kiepsko. Siedziałam przy nim całą noc, nie wiem, ile to jeszcze potrwa. Mam nadzieję, że nie długo, bo mam już dość patrzenia na jego cierpienie i cierpienie matki, a sama też nie jest w najlepszej kondycji - westchnęła, siadając na podłodze bezradna. Usiadł obok niej, kładąc głowę na silnym ramieniu.

- Jak na razie, póki nie ma wilków, pomogę wam. Uzdrowicielka mnie utuczy tymi smakołykami.

Oboje wybuchnęli gromkim śmiechem.

I tak całe przedpołudnie zajęło im obejście wszystkiego, co

zaległe w gospodarstwie. Byli zaskoczeni, że aż tyle się nazbierało rzeczy do zrobienia. Najbardziej ucierpiały biedne zwierzęta. Choć były karmione, to obora czyszczona nie była, więc mieli pełne ręce roboty, dosłownie. Czas umknął jak lot błyskawicy. Zmęczyli się, ale efekty jak na razie było widać.

Pewnie za dwa dni będzie dokładnie to samo. W izbie panowała paskudna cisza, matka siedziała przy łóżu, na którym konał ojciec Nory. Miała zapuchnięte powieki i oddychała ciężko. Leto podszedł do łóżka i dotknął czoła mężczyzny. Było lepkie od potu. Człowiek patrzył na niego niewidzącymi oczyma, ale jego dotyk wyraźnie go uspokajał.

- Dziwne - odezwała się Nora. - Ojciec nienawidził obcych, a teraz dotyk obcego go koi. Tak, jestem bardzo zdziwiona. Idę zaparzyć mu ziół.

Podsunał krzesło do łóżka i usiadł obok. Nie należał do istot współczujących czy emocjonalnych, nie zżywał się z nikim ani z żadnym miejscem, jednakże było mu żal wysuszonego starca. Mógł być równie dobrze jego ojcem. Chociaż własnego nie pamiętał. Nora przyniosła garnuszek z naparem i podała ojcu, zwracając się do elfa.

- Zioła wzmacniające i uśmierzające ból. Podobno mają działanie halucynogenne czy jakieś, nie znam się. Ale pomagają, zasypia po nich.

- Wiedziała, co mu dać. Pewnie jest w nich belladonna lub veratrum, choć wątpię, że to drugie rośnie w tych regionach.

Wciągnął aromat ziół nozdrzami, próbując oddzielić od siebie zapachy i sklasyfikować pochodzenie ziół.

- Nie, veratrum tu nie ma, ale jest belladonna. Dlatego ma wizje. To dobry lek dla umierających lub leśnych wiedźm.

Spojrzała na niego z takim wyrazem twarzy, jakby miała ochotę

wylać mu te zioła na głowę.

- Co ty bredzisz?

- Bo widzisz, belladonna to takie ciekawe ziółko, które wprowadza wiedźmy leśne w stan duchowy, jak to nazywają. I dzięki temu mogą podróżować z miejsca na miejsce.

Oczywiście dzieje się to wyłącznie w ich umysłach.

- I ja to damę ojcu?

- Spokojnie, to ziółko odpręża, sprawia, że umysł jest rozluźniony i senny. Nie masz się czego obawiać.

Kiedy napoiła ojca wywarem, usiadła na brzegu łóżka.

- Skąd ty wiesz takie rzeczy?

- A wiesz, bywało się tu i tam, czytało się to i owo.

- Czytało?

- Ano tak. Naprawdę, nie martw się. One tego w maściach używają i działanie jest o wiele mocniejsze niż w naparach.

- Czytało się... - powtórzyła i poszła do kuchni zobaczyć, czy strawa przypadkiem się na piecu nie przypalała. Za oknem zszarzało i zaczął się panoszyć półmrok. Starzec zasnął z półuśmieszkiem na twarzy, a matka udała się bez słowa do drugiego pomieszczenia, by odpocząć. To była milcząca kobieta.

- Wiesz - kaszlnęła i nałożyła mu zupy na talerz - gdyby nie ty, to bym się tu dziś chyba zapłakała. Ale nie myśl sobie, że ja miękka jestem.

Zanurzył łyżkę w jedzeniu.

- Przynajmniej nie nudziłem się potwornie, krążąc wokół wsi i szukając wymagowanych bestii. Jedz i się nie przejmuj, należy ci się.

Oboje spożywali posiłek, zerkając od czasu do czasu na siebie i uśmiechając się znad talerzy. Noc zbliżała się bardzo szybko. Musiał iść, pożegnał się więc i zaszył w mroku, rozkoszując



widokiem błyszczących okien, na których mróz wymalował bajeczne ornamenty.

W chacie panowały spokój i rozleniwienie, a jego szczypał nos z zimna. Atmosfera sprzyjała nostalgii, rozmarzeniu i świętemu spokojowi. Można się polenić przed pracowitą wiosną.

Uzdrowicielka ślęczała nad jakimś zwojem. Zauważył, że wzrok już raczej ma nie taki jak kiedyś.

- Daj, pomogę ci.

- Oj, nie wiem, czy znasz te pisma.

- A co to - wziął zwój z jej rąk. - Staroelfickie, prawda? - popatrzył na nią, marszcząc brew.

- Tak, szukam w nich przepisu na pewną miksturę. Chcę ją podać ojcu Nory. Taka na wzmocnienie, ale zapomniałam, jak się ją robi.

- Ale on już coś dostaje, jak widziałem.

- Tak. Tak, masz rację, ale ta mikstura pozwoli mu przeżyć dłużej.

- A nie lepiej, by umarł?

- Nie taka moja rola, by zabijać. Pamiętaj o tym.

- Ale myślę... - zawahał się. - Myślę, że lepiej by było dla nich wszystkich, by zmarł.

Matka Nory cierpi, ona tak samo, a on żyje sobie, usychając, w błogiej nieświadomości.

- Masz rację, ale chcę spróbować.

- Dobrze. Nie będę przecież w tej kwestii zabierał głosu, nie ja uzdrawiam. Ja niszczę.

Spojrzał na zwój. Był półmrok, więc podszedł do pieca i począł analizować symbole.

Niektóre znał, niektóre były mu obce. Nie był aż tak gruntownie wykształcony, jakby sobie w tej chwili życzył.

- Znam niektóre znaki, niektórych nie. - Oddał zwój.

- Ja niedowidzę, w tym mój problem. Ale sądzę, że rano się doczytam w świetle oślepiającego białą śniegu. - Uśmiechnęła się do niego. - Zjedz i idź spać lub zaśpiewaj coś.

- Ja nie śpiewam.

- A śpiewasz. Słyszałam cię, jak podśpiewywałeś sobie, gdy byłeś sam, pracując przy obejściu lub wędrując samotnie po wzgórzach. Jestem stara, Leto, ale nie głupia. Twoje pieśni są smutne, ale piękne. Zaśpiewaj mi, proszę.

Spiął się i speszył. Na białej skórze pojawił się rumieniec, potem pobladł.

- Nie wiem, czy powinienem. Staroelfickie pieśni mogą być dla was niezrozumiałe.

- Dla mnie. Ten uparty osioł poszedł do Andersa na miód pitny.

- A no chyba, że tak.

Usiadł przy ogniu i przymknął powieki. Nigdy nie przypuszczał, że ktoś w tak delikatny, a zarazem tak stanowczy sposób zmusi go do śpiewu. Lubił muzykę, dawała mu ukojenie, ale nigdy nie nucił przy kimś. To co pamiętał, to ze trzy pieśni z dzieciństwa, w tym jedna miłosna, a dwie kołysanki dla dzieci. Okrył się skórą, oparł głowę o ścianę i zanucił.

Najpierw cicho, potem dodał słowa, nie wiadomo kiedy spłynął z jego ust tekst o niespełnionej miłości, śmierci i bólu. Ta pieśń zawsze go wzruszała. Nie otwierał oczu, bał się, że spłyną mu łzy. Matka zawsze mawiała, że jeśli nie przeżyje się czegoś takiego, to nie warto żyć. On nie miał zamiaru się zakochiwać, umierać i zostawiać cierpienia po sobie, ale ta pieśń sprawiała, że stawał się bardziej przystępny. Jakby to człowiek powiedział, był bardziej ludzki. Skończył i otworzył oczy. Kobieta siedziała ze skrzyżowanymi rękami, wpatrując się w niego z czułością.

- Nigdy więcej nie każ mi śpiewać, obiecaj mi. - Wyszedł z izby.  
Z drugiego pomieszczenia usłyszał tylko szept.

- Obiecuję.

Stworzyła się przez to w domu tak ciężka atmosfera, że jedynym sposobem, by się jej pozbyć wydawał się sen, ucieczka lub zwyczajne upicie się. A co do upijania, po północy zjawił się wesolutki Ulfrik, robiąc hałas na całą chatę, jednak oboje zignorowali go, a ten zasnął na stołku przy piecu.

- Moje plecy, uch - zajęczał gospodarz, budząc się nad ranem w niezbyt wygodnej pozycji. Pocierał ręką krzyż i czuł piekącą suchość ust.

- Na Odkupicieli! Jak to się stało? Uhh... - Wyprostował się. Słyszał było trzask zastanych stawów.

- Na stwórców!

- No już tak znów nie marudź. Jakbyś nie pił, to byś miał spokój - upomniała go uzdrowicielka.

Leto zerknął spod koca na dwoje ludzi stojących po środku kuchni.

- Daj, babo, coś na to Uhh... - pokuśtykał w stronę pieca, dokładając drew.

- A sam se zrób, niedojdo. Pić umiesz, ziół se naparzyć też możesz. - Pokazała palcem, z którego woreczka wiszącego przy piecu ma wziąć garść suszu. Mężczyzna machnął ręką i zerwał woreczek, po czym rzucił go na stół.

- Co za kobieta, mmm, co za baba. - Wytoczył się na podwórko, nie biorąc płaszcza, szybko jednak wrócił.

- Zimno. Gdzie to odzienie? A I wiadro. O mam. - Sięgnął po nie i znów zniknął za drzwiami.

Kobieta odwróciła się w stronę Leta, wzruszając ramionami i uśmiechając się przy tym pod nosem.

- Nawet z nim da się żyć.
- Przypuszczam, że tak. - Ziewnął. Nie chciało mu się wychodzić spod koca. Domyślał się, że jest zimno.
- A ty tak do jutra będziesz leżał? - Wskazała palcem na koc.
- Że ja? - spytał.
- No, ty! Co? Troszkę śniegu zrobiło z ciebie kota piecowego?
- Nie - odpowiedział i wygrzebał się z pośłania. - Masz rację, trzeba wszystko ogarnąć.
- Doskonały pomysł - przytaknęła.

Człowiek wrócił do domu z wiadrem śniegu, które postawił koło pieca.

- Zaraz sobie machnę końską daweczkę ziółek mojej kobitki i będę jak młodzik.

Uzdrowicielka rzuciła wesoło:

- O tak! I będziesz żwawo chędożył świnie u gospodarza po drugiej stronie wsi.

Leto nie wytrzymał, znów wybuchł śmiechem. Tym razem zatkał usta ręką, by zniwelować ten dźwięk.

- Przepraszam - dodał. - Przepraszam.

Gospodarz mruknął tylko:

- Nie zmienia to faktu, że świnie ma ładne.

- Idź już, zwierzęta nakarm. Zimno im. Kury przynieś do domu. Już ja ci te ziółka zaparzę, zanim wrócisz. Zdążą ci przestygnąć.

Przytaknął i zniknął za drzwiami, opatulając się szalem. Leto pomógł w przygotowaniu śniadania, a także rozczynu do wypieku chleba. Zajęli się też serwatką. Meran zrobiła z niej lekki ser. Sam się sobie dziwił, że daje się wciągać w typowe domowe obowiązki, co gorsza nigdy nie wykonywał takiego typu prac. Zawsze był na tak zwanym gotowym. Wstyd mu było, ale zaczynało mu się to podobać, a to z pewnością czary uzdrowicielki.

- Panie! Panie! - Drzwi otwarły się gwałtownie i wbiegł przez nie zdyszany wieśniak.

- Co się dzieje? - spytał Leto, odkładając misę na stół.

Chłop chwycił powietrze w płuca i zaczął:

- Ojciec Nory dziś w nocy umarł. Do tego ktoś wymordował im cały inwentarz, jakby te bestie czekały tylko na śmierć biednego starca, by móc się dostać do jego dóbr.

Oparł ręce na kolanach, schylając się i łapiąc dalej oddech.

- Co ty bredzisz? Wilki to nie kruki.

- Idź tam, panie, i sam zobacz. Nora jest w czarnej rozpacz.

Wszędzie krew i odciski wilczych łap na śniegu.

- I nikt niczego nie usłyszał? - wtrąciła się uzdrowicielka.

- Nikt. Cicho było, a przecież zaraz obok stoi mój dom. Nie słyszałem. Rano Nora znalazła ojca martwego, a jak poszła karmić zwierzęta, było już po wszystkim.

- Dobrze, pójdę tam. Idziesz ze mną? - zwrócił się do Meran.

- Tak, Leto. Wezmę tylko ciepłe odzienie.

Szli, milcząc, w stronę zagrody Nory. Wieśniak przez całą drogę był wyraźnie zdenerwowany, rozglądał się podejrzliwie, nasłuchując, czasem przystając, jeśli tylko dobiegł do jego uszu zbyt podejrzany dźwięk.

- Skończ już - upomniał go elf.

- Ale słyszałeś?

- Nic nie słyszałem. To nasze buty skrzypią na śniegu.

Denerwujesz mnie, idź już.

Człowiek skrzywił usta i poszedł za nimi, chodząc i tak miał wrażenie, jakby go ktoś obserwował.

Wokół domu i zagrody tłoczyli się ciekawscy wieśniacy, dzieląc się szeptem między sobą domysłami, co mogło się stać. Leto najpierw rzucił okiem z daleka. Nie wyczuwał niczego

podejrzanego. Wściekał się, bo ludziska zdeptały wszystko, co mogło mu powiedzieć, co się stało. Zostali zauważeni z oddali.

- Idzie - słyhać było szepty w tłumie.

- Rozejść się! - wrzasnął, machając ręką. - Wszyscy, wynocha mi stąd!

Usłyszeli pomruk niezadowolenia.

- Nie tak ostro - szepnęła uzdrowicielka. - To prości ludzie.

Zza domu wyszła Nora. Miała twarz sinoniebieską i oczy czerwone. Gdyby nie strój, nie poznałby jej.

- Leto! - Rzuciła mu się na szyję. - Och! - westchnęła, zanosząc się płaczem i mocząc mu szyję łzami. - Nie mogę sobie tego darować.

Objął ją lekko w pasie. Takiego typu okazywanie emocji było mu obce. Nie wiedział, co ma zrobić. Spiał się i zacisnął zęby. Kątem oka zobaczył Andersa i Annę, zerkającą zza jego pleców. Z wyrazu jej oczu wyczytał gniew, szybko jednak wrócił do Nory. W końcu uwolniła go z uścisku, siorbiąc nosem.

- Masz. - Uzdrowicielka podała jej haftowaną chusteczkę. - Uspokój się, a potem powoli nam wszystko opowiedz.

Leto złapał ją pod ramię i poprowadził do izby, znów wrzeszcząc po drodze na wieśniaków, by się rozeszli, a nie deptali śnieg. Gawiedź niechętnie, ale usłuchała elfa.

Zaczęli powoli rozpływać się w blasku poranka.

Usadził Norę na stołku przy stole, a sam poszedł do pokoju zobaczyć, co się stało z jej ojcem. Meran i matka już tam były. Spojrzeli na siebie, coś było nie tak.

- Coś ty zrobiła? - spytał matkę Nory.

Ta jednak milczała, wpatrując się w ścianę. Podeszedł do niej i potrząsnął nią dość mocno. Nora wbiegła zaskoczona, krzycząc na niego, żeby przestał. Rzucił jej wymowne spojrzenie. Bez słów

wskazał palcem kuchnię. Zrozumiała, ale wyjść nie chciała.

- Wyjdz - odezwała się matka, nie spuszczając oczu ze ściany. Usłuchała jej niechętnie i opuściła izbę, co rusz zerkając przez ramię, czy aby jej nie wołają.

Leto nachylił się nad starą kobietą.

- Coś zrobiła?

Ta spuściła głowę i ciężko westchnęła. Wyciągnęła w jego stronę dłoń i podała mu fiolkę z czerwoną substancją. Uzdrowicielka wyrwała ją z jej ręki.

- Na Odkupicieli! Skąd to wzięłaś?

Była czerwona na twarzy, a niebieska żyłka pulsowała jej na skroni.

- Pytam się!

Leto wyprostował się, przyglądał się scenie z dużym zainteresowaniem.

- Dali mi - w końcu wydukała.

- Kto?

- Oni.

- Jacy oni?

- Pozwolicie, że się wtrączę. - Podniósł rękę jak uczeń, by przerwać rozmowę.

Uzdrowicielka zacisnęła pięść na fiolce.

- Jak dobrze widzę, to wilcza krew?

- Tak - przytaknęła mu Meran. - Dzicy magowie zaklinają ją i dodają zioła, tworząc z niej truciznę. Jedna kropla zabije krowę, więc ja się do licha pytam, skąd ją masz?!?! - krzyczała.

Nigdy jej nie widział w takim stanie. Magia, jaką posiadała w sobie, pulsowała jej w skroniach, palcach i iskrzyła się na źrenicach. To był gniew, który mógł być koszmar w skutkach.

- Uspokój się - szarpnął nią. - Słyszysz?!?!

Kobieta wzięła głęboki oddech. Złapała się za czoło, oddychając ciężko.

- Tak, masz rację, muszę sobie usiąść. - Skierowała się w stronę łóżka, gdzie usiadła w nogach zmarłego, nie spuszczać wzroku z matki.

Leto wziął z kuchni stołek i usiadł na przeciw staruszki, wspierając ramię na oparciu.

- No to jeszcze raz, powoli. Chcemy usłyszeć, skąd masz tę fiolkę, kim są oni i jak długo się z nimi kontaktujesz?

Podniosła pomarszczoną twarz i zaczęła cicho mówić:

- Latem źle się poczuł. Nora zauważyła to wcześniej. Wiedziałyśmy, że od dawna coś mu dolega, ale nie okazywał tego. Pewnego dnia po prostu upadł. Od tego czasu było tylko gorzej.

- Pamiętam ten dzień - odezwała się uzdrowicielka.

Wieśniaczka kontynuowała:

- Od tego czasu coraz częściej zostawał w domu, słabł. Wiedziałam, że starość w końcu go dopadła. Nie chciałam patrzeć, jak gaśnie.

Wzięła głęboki oddech. Z oczu popłynęły strugi łez. Schowała twarz w dłoniach, ale nie przestawała mówić:

- Potem zaczęły się ataki wilków na trzodę. Wiedziałam, że leśne psy nie są aż tak wielkie, domyślałam się, że dzicy magowie są niedaleko. Pamiętam, jak byłam młodą dziewczyną, spotkałam się z czymś takim. Postanowiłam ich odszukać.

- Zaczyna się robić bardzo ciekawie - przerwała jej Meran.

Leto wygodniej oparł się na krześle. W drzwiach pojawiła się Nora, zerkając jednym okiem. Usłyszała w kuchni wszystko i chciała wiedzieć więcej.

- Tak, poszłam ich poszukać. Był ciepły wieczór, usłyszałam warczenie w krzakach i skierowałam się w tamtą stronę.



Zobaczyłam dwoje jarzących się ślepi patrzących na mnie z zarośli. Szepnęłam do zwierzęcia, by mi pomogło, by przyprowadziło swojego pana.

- Tak po prostu? - zdziwił się elf. - Gadałaś do wilka, jakby miał cię zrozumieć?

- Tak - weszła w zdanie uzdrowicielka. - Zaklinane bestie są rozumne, ale skąd ty o tym wiesz? Takie rzeczy wiedzą jedynie magowie.

- Pracowałam kiedyś w domu pewnej mag, gdy byłam młoda. Dużo się dowiedziałam, choć nie umiem czytać - odpowiedziała. - Podśluchałam też to i owo. Zawsze żałowałam, że nie posiadam daru władania magią. - Rozmarzyła się, wracając myślami do lat młodości.

- Do rzeczy - syknęła Nora stojąca w drzwiach.

Staruszka spojrzała na córkę i wróciła do opowieści.

- Na czym to ja skończyłam... A tak, na bestii. I rzeczywiście, wilk wyszedł z krzaków i zawył, po czym zniknął w mroku lasu. Nie minęło kilka minut, a pojawił się z nim mężczyzna, dziki mag odziany w czarną szatę z kapturem mocno naciągniętym na twarz. Na szyi miał medalion ze smokiem.

- Iluzjoniści! - wrzasnął Leto, podskakując na stołku jak oparzony.

- Nie dobrze - szepnęła uzdrowicielka, kręcąc głową na boki.

Elf ogarnął myśli i emocje, znów usiadł na siedzisku i czekał, aż kobieta ponownie zacznie mówić.

- Przedstawiłam mu się. Powiedział mi, że ma na imię Savatius. Opowiedziałam o moim mężu i o tym, że choruje. Poprosiłam o pomoc. W zamian zażądał krwi. Nie sprecyzował w jakiej postaci. Dał mi tę fiołkę i powiedział, że jak mąż będzie naprawdę chory, mam mu podawać dziennie kroplę, to uśmierzy cierpienie. Jeśli

będzie już źle, mam podać mu jednorazowo 3 krople, wtedy umrze w spokoju. Ale jeśli to nastąpi, on będzie czekał u mych wrót i zabierze obiecaną krew.

Spuściła głowę, nie mówiąc już nic.

- Więc mamy iluzjonistów w lesie. Cudownie. - Leto rozłożył szeroko ręce. - Cudownie! - powtórzył.

- Kim oni są? - spytała Nora.

- To odłam szkoły dzikich magów. Są tylko dwie. Ta jest najpotężniejsza. Parają się magią wypływającą z krwi każdej żyjącej istoty, nawet ludzkiej. Ale najczęściej korzystają z krwi wilków, gdyż uważają, że posiada najsilniejszą moc spośród wszystkich. Zaklinają jeszcze młode szczenięta i nadzorują ich rozwój, pojąc wodą z własną krwią. W ten sposób zwierzę staje się naznaczone esencją maga, staje się jego własnością. Dlatego wilki są rozumne i tak ogromne - wyjaśniła uzdrowicielka.

Nora zakryła usta dłońmi, wybałuszając oczy ze zdziwienia.

- Matko, co żeś uczyniła?!?!

Staruszka nie zareagowała.

- Czyli już wiemy, skąd te ataki. Obiecany okup krwi musi być spleacony. Musimy liczyć się z tym, że wioska zostanie prędzej czy później zniszczona.

- Leto, na Odkupicieli, co ty mówisz? - jęknęła dziewczyna.

- Taka właśnie jest ta magia. A jej magowie nigdy nie zapominają o długach, jakie zaciągnęli u nich zwyczajni śmiertelnicy.

- Jestem silna, będę walczyć. - Zacisnęła dłoń w pięść.

- Nie wątpię, wszyscy będziemy - odezwała się z kąta Meran.

Elf rozejrzał się po izbie, szukając wzrokiem, czy nie ma innych śladów obecności dzikiej magii, jednakże wyłącznym świadectwem była fiolka i martwy ojciec Nory. Wyraz twarzy zmarłego zdradzał

spokojny sen, jedynie kącik ust mu opadał.

- Chodźmy obejrzyć inwentarz - zaproponował.

- Tak, to świetny pomysł, zważywszy, że chłop gadał, że jest niezła jatka - wtrąciła uzdrowicielka.

Nora poprowadziła wszystkich w kierunku obejścia, zostawiając matkę na krześle obok łóżka ojca. Na zewnątrz nie było już prawie nikogo, jedynie Anders z Anną czekali na rozwój wydarzeń.

- Idźcie stąd - machnęła na nich Meran.

- On był też moim dobrym przyjacielem - odezwał się krawiec, marszcząc czoło.

- Wszyscy go lubiliśmy - wtrąciła. - Ale to nie czas na gapienie się. Idźcie już.

Niechętnie, ale ustąpił. Wziął córkę za rękę i skierował się w stronę domu. Anna zerkała przez ramię jeszcze przez chwilę, śledząc rozmarzonymi oczyma Leto.

Obejście rzeczywiście było zdeptane stopami wieśniaków, więc nie mógł zobaczyć jakichkolwiek śladów. Nie był tym faktem zachwycony. Cały inwentarz był martwy, włącznie z kurami. Niegdyś tętniąca życiem obora stała się cicha i martwa. Leto nie znosił widoku nieżywych zwierząt.

- Zostańcie tu - nakazał. - Rozejrzę się.

Wszedł do środka, oglądając każde ciało po kolei. Leżały na bokach z rozszarpanymi gardłami i wpatrywały się w niego zimnymi oczami. Krwi było zaskakująco mało. Sugerując się opowieścią wieśniaka, spodziewał się jej mnóstwo. Coś jednak mu nie pasowało, tylko jeszcze nie wiedział co. Kiwnął ręką na uzdrowicielkę, by podeszła.

- Spójrz - wskazał palcem.

Meran nachyliła się bliżej, dotykając ciała konia.

- Wygląda, jakby wyssano mu krew. Lub spuszczone.

- Widziałaś już coś takiego?
- Po co iluzjonistom taka ilość krwi? - wydukała, rozglądając się uważnie. - Zobacz, każde ma te same rany.
- Widzę. Byłem ciekaw, czy już takie coś widziałaś?
- Widziałam w księgach. Nawet czytałam o czymś takim, ale w naszych lasach to niemożliwe!
- Co to jest, na Odkupicieli?!?! - wrzasnęła z progu Nora. Pobladła na twarzy. - Meran! Kobieto, zlituj że się!
- Uzdrowicielka usiadła na pieńku do rąbania drwa.
- Stworzenia, które tak wysysają krew, nazywają pijawkami. Są to nieumarli, ale nie posiadają własnej woli. To jak marionetki w rękach potężnych magów.
- Leto przysiadł na ziemi. Opowieść kobiety wstrząsnęła nim do głębi.
- Kontynuuj.
- No wiesz... ale nie sądzę, by jeszcze po tym świecie chodzili na tyle potężni magowie, którzy byliby w stanie tworzyć te istoty.
- Jak myślisz, czy iluzjoniści byliby zdolni do czegoś takiego?
- Wzruszyła ramionami.
- To tylko moje spekulacje. Jedyne, co mi przychodzi do głowy.
- Czy te stwory są niebezpieczne dla ludzi? - odezwała się Nora.
- Nie wiem. - Meran spuściła głowę. - Czytałam tylko, że żywią się krwią i że to nieumarli, jak już wspominałam.
- Boję się - wyszeptała dziewczyna, kuląc się na progu. - Po raz pierwszy, do cholery, się boję.
- Elf podszedł do niej, kładąc jej rękę na ramieniu.
- Będziemy czujni. Nic nam się nie stanie. Jediną rzeczą, jaką będziemy musieli teraz zrobić, to spalić zwłoki i zorganizować pogrzeb ojca.
- Tak, to dobry pomysł - dodała uzdrowicielka - ale

potrzebujemy pomocy.

- Pomogą - stwierdził. - Nie będą mieli wyjścia.

Elf posłał do domu po Ulfrika, by przeszedł po domach i zebrał mężczyzn. Cały ranek wszyscy pracowali nad budową stosu, na którym spłonąć miały ciała martwych stworzeń.

Ogień na stosie palił się do późnych godzin nocnych, w powietrzu unosił się ciężki czarny dym, a wraz z nim smród palonej sierści, piór i trupiego mięsa. Wszystkim żołądki poskręcały się w pętelkę, nikt nie miał apetytu. Wszystko było przesiąknięte tym zapachem.

- Uch - westchnął Leto, rzucając kolejną martwą kurę do ognia.

- Dobrze, że jest zima.

W lato nie dalibyśmy sobie rady. Smród rozkładu szybko by nas wykończył.

- Nie martw się - pocieszyła go uzdrowicielka, rzucając jakieś gałązki do ognia.

Natychmiast w niebo poszybował obłok białego dymu, zalewając towarzyszy uspokajającym aromatem.

- I na te zapaszki są sposoby.

- Nie mogłaś tego wcześniej wrzucić? - skrzywiła się Nora.

- Nie mogłam, nie umiałam znaleźć.

Wszyscy wybuchli śmiechem, gdyż Meran zrobiła przy tych słowach taką minę, że grzechem by było się nie uśmiechnąć. Ostatnie zwierzę płonęło na stosie. Ogień żarłocznie pochłaniał jego ciało. Kilku chłopów zgarniało popioły w jedną kupkę, aby potem je przysypać śniegiem, choć efekt i tak był żaloszny. Anders z Anną i kilkoma kobietami uprzątnęli obejście i stajnie, za co Nora była im niezmiernie wdzięczna. Nie miała już siły na nic. Po raz pierwszy poczuła się słaba i nieporadna jak mała dziewczynka. Nie podobał jej się ten stan, wiedziała jednak, że nikogo to nie razi. Ale

musiała się wziąć w garść.

Wyprostowała się, starła sadzę z piegowatego nosa i powędrowała do domu. Leto pomaszerował za nią. Zamarzył o kąpeli i ciepłym chlebie z masłem.

- Nora, zaczekaj! - wrzasnął. Podbiegł do niej, kiedy wchodziła do domu.

Dziewczyna obróciła się w jego stronę.

- Wiesz - szepnęła - teraz już mnie tu nic nie trzyma. Matka sobie poradzi, siostry powydawane, chyba najwyższy czas, by stąd odejść.

- Skąd ten pomysł tak nagle?

Oparła się o futrynę, spoglądając w dal.

- Nie ma już ojca, nie ma inwentarza, o który trzeba dbać.

- A matka?

- Matka... sama nie wiem - wzruszyła ramionami. - Po tym, co zrobiła, nie wiem, czy umiałabym jej wybaczyć.

- Ale to twoja matka, twoja rodzina.

- Hmm, Leto, mówisz to tak, jakbyś...

- Przestań! - syknął. - Dość rozmowy na temat rodzin.

- Dobrze, zjedzmy coś. Chociaż wątpię, że uda nam się zjeść cokolwiek po tych widokach.

- Ja bym się wykąpał - marudził elf.

- No to zrobię ci kąpiel. Mamy balię. Ojciec ją kiedyś zrobił. Myślę, że wody mamy naokoło aż nadto. - Pokazała ręką góry śniegu.

Skrzywił się.

- Te góry z trupim popiołem... Już wolę wodę z rzeki.

- Oj, nie narzekaj. - Przepuściła go w drzwiach.

Sama myśl o odpoczynku w ciepłej wodzie sprawiła, że nie miał ochoty myśleć o niczym innym.

Do izby weszła uzdrowicielka, strzepując świeży śnieg z szat.

- Zaczęło padać? - Nora wyjrzała przez okno.

- Tak, przed chwilą. A co tu się wyprawia?

Leto spojrział na Norę, potem na uzdrowicielkę.

- A o to ci chodzi? Nie, nie, to nie tak, jak myślisz - zaczął wymachiwać energicznie rękoma.

- Dobrze, dobrze. - Kobieta uśmiechnęła się. - Mnie tam twoje życie erotyczne nie interesuje.

Nora zachichotała, zasłaniając usta.

- No to mamy niezły pasztet.

- Co masz na myśli? - Skierował się w jej stronę, patrząc podejrzliwie.

- Potem ci powiem, chodź. - Pokazała mu małą izbę w głębi chaty.

Poszedł za nią. Uzdrowicielka w tym czasie zamknęła się w drugim pomieszczeniu, by przygotować zwłoki ojca do pochówku, który miał się odbyć następnego dnia.

Zastanawiała się, czy nie spalić ciała. Miała dziwne przeczucie, że trucizna podana starcowi nie tylko miała go zabić. Martwy wyglądał zbyt dobrze, zważywszy, że przed śmiercią sporo chorował.

Leto znalazł się sam na sam w malutkim pomieszczeniu z Norą. Byli tak blisko siebie z racji wielkości pomieszczenia, że czuł na swojej twarzy jej oddech. Zrobiło mu się nieswojo, ale zignorował to - Tam jest balia, widzisz? Wyłożyłam ją miękkim płótnem, byś sobie szanownej... no wiesz, nie poobcierał. - Puściła mu oko. - Zaraz się zagrzeje woda, będziesz mógł spokojnie się wykąpać. Teraz się rozbierz.

- O czym mówiłaś, jak uzdrowicielka przyszła? O co chodziło?

Dziewczyna spleśniała delikatnym rumieńcem. Nachyliła się i

szepnęła mu do ucha, niechcący muskając płatek ustami. Poczł dreszcze na karku.

- A to że nasza uzdrowicielka to gaduła. Wiesz, co mam na myśli.

- Sądzisz, że rozpowie, że ja niby... z tobą? Na Odkupicieli! Spuściła głowę.

- A już myślałam, że damy im powód do plotek.

Wyszła z pomieszczenia, zasuważc zasłonkę.

- Co? - wystawił głowę za materiał.

- Nie, nic. Tak sobie głośno myślę. No, wyskakuj z portek.

Bardzo powoli pozbywał się odzienia, składał każdy fragment ubrania i układał starannie na krzesle w kącie. Kiedy był prawie nagi, jedynie spodnie pozostały na swoim miejscu, Nora weszła z wiadrem wrzątku.

- Och! - posłała mu spojrzenie pełne aprobaty. - Nie dziwię się, że Anna ma fioła na twoim punkcie.

Leto odkaszlnął. Nalała wody do balii i uzupełniła zimną, sprawdzając, czy temperatura jest odpowiednia. Balia była naprawdę spora, spokojnie pomieściłaby dwie osoby.

- Przez ciebie nabrałam ochoty na kąpiel. Jesteś niepoprawny.

- Co ja takiego zrobiłem? - zmarszczył brew.

- No, nic.

- Mam dość tych półsłówek. O co chodzi z wami kobietami? Ilekroć mnie jaka bez koszuli zobaczy, od razu gotowa... no wiesz.

- A dziwisz się im? - Podała mu wypolerowane lustro. - Spójrz.

Wziął je z jej rąk dość niepewnie. Uważał, że lustro to jedynie wytwór ludzkiej próżności.

- No, przejrzyj się - nakazała, ponaglając go ręką.

- Po co?

- Nie marudź, tylko to zrób.



Nigdy nie zastanawiał się nad swoim wyglądem, było to dla niego rzeczą naturalną, że dbał o swoje ciało. Ale po co mu sprawdzanie w lustrze, jak wygląda? Wiedział, że ma blizny, zielone oczy i mocną szczękę, ale co w tym takiego? Zerknął. Zobaczył twarz zupełnie inną, niż widywał w tafli wody. Dotknął opuszkami policzka, po czym gwałtownym ruchem oddał Norze zwierciadło.

- Nie wiem, co chciałaś tym osiągnąć.

- Leto, głupcze - zachnęła się. - Jesteś potwornie przystojnym elfem.

Wstała i poprawiła suknię, wychodząc.

- Nie martw się, nie będę cię podglądać. Chociaż mnie korci.

Kiedy wyszła, pozbył się resztek odzienia i zanurzył w przyjemnej ciepłej wodzie. Zamknął oczy. Błogość sprawiła, że poczuł lekką senność. Zdrzemnął się.

Nora w kuchni przygotowywała posiłek dla czterech osób. Dawno tego nie robiła, ostatnimi czasy to matka gotowała. Tym razem nie była w stanie, cały czas siedziała przy łóżku, na którym spoczywał zmarły. Dziewczyna nie miała ochoty na wchodzenie tam, nie lubiła zmarłych, nawet jeśli należeli do jej rodziny. Odczuwała swoisty lęk przed nimi. Co innego zabity w walce, a co innego trup w łóżku w domu.

Leta obudziła zimna woda. Szybko się obmył i wyskoczył z balii. Zza zasłonki docierał do niego blask łojowej lampki. Szybko się wytarł i ubrał, było mu zimno. Nora siedziała przy stole ze skrzyżowanymi rękami, pogrążona w rozmyślanii lub zwyczajnej drzemce. Rzucił okiem na pokój zmarłego. Uzdrowicielka siedziała w kącie i rozmawiała cicho z matką, która najwyraźniej ożywiła się. Jej twarz nabrała lekkich rumieńców.

Szturchnął Norę w ramię, na co podskoczyła. Kątem oka

zobaczył mały sztylet, którym próbowała go zaatakować. Był teraz pewien, że przysnęła. Zaskoczyła go niezwykła precyzja i szybkość godna skrytobójców. W ostatniej chwili złapał ją za nadgarstek. W porę się opamiętała.

- Na Odkupiacieli! - pisnęła. - Wybacz, proszę.

Rzuciła przedmiotem o ziemię.

- Nic ci nie jest, prawda? - płonęła na twarzy.

- Już dobrze, nic się nie stało, rozumiem cię.

Wzięła głęboki oddech i opadła na stołek. Głowę wsparła na dłoniach.

- Za dużo opowieści o dzikich magach, ożywieńcach czy żywych trupach, czy jak to tam nazwać - westchnęła.

- Chcesz, bym tu przenocował?

Spojrzała na niego spode łba.

- A mógłbyś tu spać do czasu, aż pochowają ojca? Strasznie nie lubię zmarłych, czuję się w ich obecności dość niezręcznie.

- Oczywiście. - Położył jej rękę na ramieniu. - Będę obok.

- Wspaniale - uśmiechnęła się, spoglądając mu głęboko w oczy. - A nie boisz się, że będą gadać?

- Już wolę, by gadali o nas, niż o mnie i Annie, nadpobudliwej dziewczce.

Zaśmiali się oboje, choć nie za głośno z racji szacunku dla sytuacji, jaka panowała w tym domu.

Meran wyszła z pokoju w nieco lepszym nastroju. Za nią pojawiła się matka. Oczy jej błyszczały blaskiem dawno już zapomnianym przez jej córkę. Ogrzało to serce już i tak strapionej Nory.

- Widzę, że jest już lepiej i że zły nastrój troszkę nas opuszcza - odezwała się, nie ruszając z miejsca.

- Tak, Noro, już czuję się lepiej. Przygotowałyśmy ojca do

jutrzejszego pochówku.

Uzdrowicielka zaproponowała spalenie. Myślę, że mogłabym przystać na tę propozycję. Potem, jak przyjdą roztopy, prochy zakopiemy na cmentarzysku.

- Dobrze, matko. Przygotuję nam posłania. Będzie ciasno, bo największe łoże zajął ojciec, ale myślę, że się pomieścimy.

- To ilu nas tu będzie? - zdziwiła się stara kobieta.

- Poprosiłam Leta, by z nami przenocował, matko.

- Ależ to się nie godzi! - oburzyła się.

Meran wzruszyła ramionami i wtrąciła:

- Myślę, że na tę noc mógłby zostać. Poczujecie się pewniej. Zawsze męska ręka, to męska ręka w domu... O wybacz, Noro, ja wiem, że dałabyś sobie radę ze wszystkim.

- Daj spokój. - Machnęła na nią dziewczyna. - Wiem, co masz na myśli.

- Dobrze, zatem biorę lampę i wracam do domu. Nie, Leto, nie wrywaj się. Trafię sama. Nie musisz mnie odprowadzać. Pomóż tu, a jakbym była potrzebna, to wiecie, gdzie mnie znaleźć. - Z szelestem szat wyszła, trzaskając za sobą drzwiami.

Matka Nory zmierzyła elfa lodowatym spojrzeniem. Odgarnął włosy z czoła i poszedł pomóc Norze, która szarpała się z posłaniem.

- Twoja matka mnie zaraz zje - szepnął jej do ucha.

- Nie przejmuj się, ona każdego mężczyznę w domu tak straszy - odszepnęła bardzo cicho, by kobieta nie dosłyszała tego, o czym rozmawiają.

- No dobra, to ja się gdzieś zaszyję, żeby nie myślała, że mam nieczne zamiary wobec ciebie.

- Spokojnie, o moją cnotę się nie obawiaj. - Machnęła mu sztyletem przed nosem.

- No tak, święta racja.

Poszukał sobie wygodnego miejsca koło pieca i usiadł na podłodze, owijając się płaszczem. Spod kaptura widać było jedynie kosmyki białych włosów, które już mu dość odrosły i zaczynały opadać na twarz i ramiona. Codziennie obiecywał sobie, że je zetnie, ale zawsze wypadało coś ważniejszego niż bieganie ze sztyletem i szukanie zwierciadła czy wody.

- Dobranoc, młodzieńcze - usłyszał nad sobą. Podniósł głowę i zobaczył matkę Nory w posągowej pozie z dłońmi splecionymi na podolku.

- Dobranoc pani - odrzekł i odwrócił wzrok.

Nie był zbyt śpiący, choć pora zapewne była dość późna. Nie wiedział, ile spał w kąpieli. Pewnie to wtedy wyspał się dostatecznie mocno. Nic straconego, może sobie podumać w nocy. Lubił trzask ognia w palenisku i krzyżącą ciszę wokół. To działało uspokajająco i kojąco. Dawno nie miał takich nocy, więc tę wykorzysta.

Rozleniwiło go spokojne wiejskie życie. Zawsze się tego bał, że jak osiadzie gdziekolwiek, stanie się spasyłym nieruchawym elfem patrzącym tylko gromady dziątek, równie opasłej żony i pola. Ta wizja przypominała mu, że nie jest nieśmiertelny, że ciało się starzeje i trzeba je utrzymywać w jak najlepszej kondycji najdłużej jak się da, inaczej stanie się miękkie i galaretowate jak niedzielny pudding. Zrobiło mu się niedobrze na samą myśl o tym. Wiedział jednak, że kiedyś nadejdzie taki czas i wiek, że osiedlenie się stanie się czymś normalnym. Na razie chciał po prostu żyć i przetrwać, a pomagał mu chłód, opanowanie i dystans do rzeczywistości. Żadnych wzniosłych uczuć. Zawsze sobie powtarzał, że miłość czy cierpienie zabijają wolę walki, nie może sobie na to pozwolić.

Dumał tak sobie dłuższą chwilę. Chata stała się cicha i kojąca, powieki zaczęły mu opadać, coraz cięższe. Nie sposób było nad nimi zapanować. Ciało również opanował paraliż, sprawił, że dłonie straciły czucie i zrobiły się zimne. Nie potrafił nimi poruszyć. Na policzkach zawisły lodowe sopelki, w głowie zapanował chaos. Za wszelką cenę próbował wyrwać się z tej maligny, ale członki odmawiały mu posłuszeństwa. I wtedy to usłyszał - głucho, gardłowe pomruki, pochrapywania jak rechot śmierci wydobywający się z krtani konającego. Ostatkiem sił obrócił głowę w kierunku dobiegającego dźwięku, ołowiane powieki nie dawały się otworzyć. Starał się ze wszystkich sił, ale miał wrażenie, że jakaś tajemnicza moc przytrzymuje je palcami, nie pozwalając, by uchyliły się choć na chwilę. Pot na czole zamieniał się w lód, zimno przenikało do szpiku kości. Jeszcze nigdy nie odczuwał takiego bólu spowodowanego mrozem. Chciał krzyknąć, ale gardło było suche i rozpalone. W końcu udało mu się otworzyć oczy i to co przekazywały jego głowie, było surrealistyczne.

W drugim kącie kuchni zobaczył maga w czarnej szacie z łańcuchem na szyi, który jednak nie patrzył w jego stronę, a w stronę sypialni, skąd dobiegały chrapliwe odgłosy.

Jakim cudem się tu dostał, skoro drzwi były zaryglowane? Ale to go nie martwiło aż tak bardzo. Uniósł powieki jeszcze wyżej, wyteżając zamglony wzrok. Mag miał skupioną twarz, prawą dłonią wykonywał jakiś niezwykły rytuał. Jego blade usta poruszały się, wypowiadając niesłyszalne zaklęcia. Po łańcuchu poznał kim był. To iluzjonista, o którym wspominała matka Nory. Pewnie przyszedł odebrać dług krwi, tylko, na Odkupicieli, czemu drugi raz, skoro wymordował wszystkie zwierzęta? I wtedy do niego dotarło, co robił. On ożywiał ojca Nory. Poczul strach jakiego nigdy w życiu nie doznał. Chciał krzyzczeć, lecz nie mógł, chciał

uciec, ale przeklęty paraliż opanował całe ciało i przytwierdził je do drewnianej podłogi.

Skupił się z całej siły, jaka jeszcze mu pozostała.

- Meran - myślał. - Meran, zbudź się, Meran! - krzyczał w myślach. - Meran, błagam, pomóż mi...

Uzdrowicielka obudziła się nagle, łapiąc zachłannie powietrze. Serce chciało wyskoczyć jej z piersi, słyszała cały czas w głowie głosy. Starła pot z czoła i wstała. Złapała się za głowę, jęcząc. Ulfrik przebudził się i skarcił ją.

- Daj, kobieto, spać. Zmęczony jestem.

- Nie śpij. Coś się dzieje - jęczała, wykrzywiając usta. Głosy natężyły się w jej głowie z coraz większą siłą.

- Nie pij tyle tych cholernych ziółek - burknął i obrócił się na drugi bok, zasypiając.

Chwyciła płaszcz i laskę i wybiegła z chaty. Na dworze było cicho i mroźno, śnieg sypał drobnymi płatkami, osiadając na wszystkim jak zasłona. Skupiła się mocniej i pozwoliła, by krzyki w jej głowie wyklarowały się w jeden konkretny głos. Stała tak przez chwilę, łapiąc w nozdrza zimne powietrze. W końcu to usłyszała. Stało się teraz ledwo słyszalnym szeptem objającym się o czaszkę.

- Meran, błagam, pomóż mi.

- Leto! - rzuciła się pędem w stronę domu Nory.

Wołanie o pomoc wyczerpało go bardziej, niż mógł przypuszczać, ale oczu nie zamknął. Cały czas wpatrywał się to w maga, to w stronę sypialni. Po chwili go zobaczył - powłóczące nogami monstrum, głośno charczące i zataczające się przy każdym kroku. Oczy miał puste, źrenice białe, z ust płynęła mu brązowa ciesz. Mag skończył rytuał i przyglądał się swojemu dziełu.

- Witaj - odezwał się do elfa, nie spuszczać oczu z

poruszających się zwłok.

- Myślałem, że moja magia cię unieruchomi, ale się myliłem. Jesteś silniejszy niż zwykli śmiertelnicy. - Spojrzał na leżącego.

Leto zobaczył iskrzące się błękitne ognie w oczach iluzjonisty. Paraliż nadal nie pozwalał mu na jakikolwiek ruch.

- Będiesz doskonałym pierwszym posiłkiem dla mojego nowego podopiecznego, elfie.

Leto zacharczał, chcąc mu odpowiedzieć, ale wyszło to bardziej żałośnie, niż mógł sobie wyobrazić. Zwłoki, kierowane siłą woli maga, przesunęły się w jego stronę. Wiedział, że linia łącząca je z iluzjonistą jest bardzo cienka i łatwo ten kontakt przerwać, jednak wiedział też, że nie jest w stanie niczego w tym kierunku zrobić. Ponowił więc wołanie uzdrowicielki w nikłej nadziei, że usłyszy.

Zaczynał już czuć coraz bliżej chrapliwy i cuchnący rozkładem oddech ożywieńca. Próbował odwrócić głowę, jednak nie miał już sił. Ciemność zaczęła zalewać jego ciało, począł spadać w otchłań swojej świadomości, powoli tracił przytomność. Jeszcze przez chwilę zamajaczyła mu przed oczami sylwetka kołyszących się zwłok, potem nastąpiła tylko pustka.

Meran, dysząc ciężko, dobiegła do chaty Nory. Wewnątrz panowała grobowa cisza, wokół unosiła się czarna aura, ciemniejsza niż noc. Była jak wstęga opasająca dom. Chwyliła obiema rękami laskę i zamknęła oczy. W myślach zawołała elfa. Nie usłyszała niczego.

Powtórzyła wołanie jeszcze kilkakrotnie, żadnego odzewu, to samo z Norą i jej matką. Nie lubiła używać magii, teraz jednak została do tego zmuszona. Skumulowała energię w okolicy serca i wyteżyła umysł. Próbowiła odszukać choć odrobinę sił witalnych, promieniujących z ciał żywych w tym domu. Usłyszała dwa lekkie bicia serca. Biły bardzo wolno, więc ktoś jeszcze żyje, to dobrze.

Klatka piersiowa zaczęła jej pulsować, najpierw delikatnie, potem coraz mocniej. Błękitne żyłki światła rozpełzały się po jej ciele, by po chwili ją opleść. W końcu cała stworzyła na ziemi glif z błyskawic nie pozwalający zbliżyć się do niej nikomu. Stała się żywą kulą energii. Wzięła głęboki wdech i całe światło oraz blask wpełzły w nią z powrotem, ale za to oczy zapłonęły białą łuną. Ujęła laskę w dłonie i uderzyła nią w drzwi. Te ustąpiły pod siłą jej magii. Dłoń dzierzżąca kij zapłonęła na biało.

- Wynoś się! - krzyknęła i cisnęła kulą energii w maga. Ten zachwiał się, ale nie upadł.

Kątem oka ujrzała nieprzytomnego elfa skulonego na podłodze, pokrytego grubą warstwą szronu i lodu. Miał otwarte, martwe oczy. Skupiła się na niesłyszalnym agonalnym biciu jego serca. Zwłoki ojca Nory upadły właśnie u stóp leżącego, wyciągając w jego stronę sine łapska, z których zaczynały odpadać kawałeczki ciała. Obróciła się i rzuciła w ożywieńca snopem srebrnych iskier. Ten upadł na plecy z szeroko rozłożonymi rękami, charcząc z niezadowolenia. Uzdrowicielka nie mogła czekać. Błyskawicznie znalazła się przy martwym, wbijając mu laskę prosto w serce. Trwało to zaledwie kilka sekund. Iluzjonista nie zdążył obronić swojego pupila, ten zabulgotał i skonał. Dobrze wiedziała, jak zabić.

- Wynoś się! - ponowiła okrzyk.

Mag zaśmiał się szyderczo. Zdawała sobie sprawę, że jest wściekły.

- Wynoś się! Dług spleacony! Odejdź do lasu, gdzie twoje miejsce!

- Głupia gęś! Myślisz, że sama dasz mi radę? - zarechotał. - Zobacz, co zrobiłem z twoim pupilkiem. Jeszcze kilka minut i przywita się z tymi waszymi Odkupicielami.

- Odejdź! - zacharczała, tocząc pianę z ust. Iskry strzelały jej z



oczu, odbijając się od szat i upadając na podłogę z trzaskiem. Koniuszki jej włosów zaczęły się najpierw tlić, potem palić.

- Głupia! Nie zabijesz mnie, jesteś uzdrowicielką! Ty nie zabijasz. - Znow się zaśmiał i wyciągnął w jej stronę dłoń naładowaną magią.

- To ja cię zabiję, a potem ożywię. Staniesz się moim psem.

- Nigdy! - syknęła i cisnęła w niego sztyletem ukrytym w połach sukni. Miała celne oko, ostrze utkwiło w ramieniu maga.

- Suka!

Meran poczuła, jak wokół niej tworzy się mroczna zasłona wpływająca wraz z krwią iluzjonisty. Oplatała ją mackami, nie pozwalając oddychać. Chwyciła mocniej laskę i skupiła się na ataku. Siły wpływały z niej z każdą sekundą. Mag okazał się silniejszy, niż przypuszczała. Ponownie zamknęła oczy i uspokoiła umysł. Wyciągnęła drugą rękę i ujęła kij.

Nad jej głową utworzyła się kula ognia, która opadła szybko na trzon kostura. Kobieta krzyknęła i skierowała płomień wprost na maga. Ten upadł, krztusząc się i oklepując szatę dłońmi. Macki mocy ustąpiły, oddech wrócił natychmiast. Nabrała powietrza w płuca, bolały ją niemiłosiernie. Podbiegła do leżącego i cisnęła ręką w głowę. Stracił przytomność i cała aura okalająca dom zniknęła, rozplynęła się w mroku.

Rozeznała się w sytuacji. Mag nie będzie długo nieprzytomny. Odszukała linę i związała intruza ciasno, aby nie mógł się przez jakiś czas uwolnić. Musiała też szybko pozbyć się ciała ożywieńca, póki ten był jeszcze w jednym kawałku. Potem stanie się jedynie skażonym ciałem zatruwającym wszystko, co znajdzie się w jego zasięgu. Wytaszczyła go na zewnątrz i podpaliła. Płonął powoli, skwiercząc i śmierdząc potwornie. Poczuela, jak żołądek jej się skręca i cała kolacja wylądowała na śniegu.

Wróciła do izby, by zająć się resztą. Matka Nory była martwa. Mag zdążył wyssać z niej całą energię, a że była stara, jej ciało nie wytrzymało tak ogromnego obciążenia.

Uzdrowicielka dobrze przyjrzała się jej zwłokom i dla bezpieczeństwa również spaliła za domem. Serce jej krwawiło, ale nie miała ochoty na legion umarłych opanowujący wieś. Nora ocknęła się szybko. Była twarda i silna. Jedynym efektem ośpienia był ból głowy i zawroty.

- C... co się stało? - Usiadła na posłaniu, trzymając się za głowę obiema rękami i próbując utrzymać pion.

- Odpocznij, zaraz do ciebie wrócę. I na Odkupicieli, nie wstawaj.

Pokiwała głową w wyrazie aprobaty i podbiegła do Leta. Nadal okalał go kożuch szronu. Obróciła go na wznak, próbując odczytać, czy jeszcze żyje. Oberwał najbardziej, bo był najsilniejszy. Poza tym stracił mnóstwo krwi, którą posłużył się iluzjonista do wskrzeszenia zmarłego. Powszechnie wiadomo, że elfia krew jest nieskazitelna i na czarnym rynku za fiolkę można dostać pokaźną sumę. Dlatego dzicy magowie uwielbiają handel żywym towarem, szczególnie jeśli są nim młode elfy. Potrząsnęła nim mocno. Nie reagował. Zaczynała się coraz bardziej martwić.

- Leto, ocknij się wreszcie!

W odzwie dostała jedynie martwą ciszę. Nie wiedziała, co ma zrobić. Ogarnęła ją panika, szybko jednak się opanowała i napaliła mocniej w piecu. Położyła nieprzytomnego przy żarze i zaczęła go rozgrzewać. Nora w tym czasie doszła do siebie i zorientowała się, co się stało. Przez niedomknięte drzwi wdzierał się smród palonych zwłok, a za oknem jarzyła się luna ognia.

- Meran?

- Pilnuj go. - Uzdrowicielka wskazała palcem na maga, który

zaczynał odzyskiwać świadomość.

Dziewczyna chwyciła kuchenny nóż i przyłożyła mu do gardła.

- Dobra, siedź tak. Jak się ruszy, zabij.

Nora kiwnęła jej porozumiewawczo głową, nie odzywając się. Uzdrowicielka wiedziała, że jest w szoku, ale w takich sytuacjach nigdy nie zawodziła.

Leto nadal był w strefie mroku. Miał wrażenie, że błądzi w labiryntach tak ciemnych, że nawet Odkupiciele nie byłiby w stanie ich pojąć. Z daleka słyszał jedynie ciepły wołający go głos. Powoli skierował się w jego stronę, ale potknął się o coś, upadł i nie mógł się podnieść. Ból w rękach, nogach oraz w całym ciele pulsował bezlitośnie. Ciało nie reagowało na bodźce z mózgu, oczy jednak zaczęły dostrzegać blask. Powoli ten blask nabierał kształtów i barw. Uzdrowicielka zauważyła, że oczy elfa jakby pojaśniały, a źrenice zwężyły się. Dało jej to nadzieję, że uda się go uratować.

- Leto - pocierała dłońmi jego ciało - wróć do mnie. Moja magia cię nie uzdrowi, musisz chcieć do mnie wrócić.

Iluzjonista ocknął się i zorientował, że nie jest w stanie się ruszyć.

- Co, do cholery? - syknął, gdy poczuł ukłucie w gardło.

Nora przycisnęła ostrze mocniej do krtani.

- Cicho, dziadu.

Napluł jej w twarz, z wyraźnym zadowoleniem karmiąc się widokiem wściekłej kobiety.

Nora otarła ślinę i oddała mu pięścią w brzuch. Zwinął się i zajęczał, puszczając wiązanek szpetnych przekleństw. Uzdrowicielka podeszła do jeńca i złapała go za włosy.

Skrzywił się, ukazując rząd pośliskłych i startych zębów.

- Gadaj, ścierwo, jak mam obudzić elfa!

- Idź do cholery, stara jędzo!
- Nie chcesz gadać? To wyśpiewasz!

Meran skupiła się i skumulowała energię w dłoni, tworząc małą iskrzącą kulę. Poruszała przy tym palcami, a zjawisko wirowało w takt ruchu opuszków.

- Nadal nie będziesz gadał?
- Możesz mi naskoczyć, wiedźmo - zadrwił, śmiejąc się.

Mag rzuciła w niego kulą, a ta z hukiem rozbiła się tuż przy nosie. Iluzjonista zawył, zakaszał i zadławił się własną śliną. Jego ciałem wstrząsały drgawki, a z ust wypłynęła piana. Oczy nabrały matowego wyrazu i zaczęły wychodzić na wierzch.

- Gadaj!

Potrząsnął przecząco głową i zacharczał.

- Coś ty mu zrobiła? - przeraziła się Nora, widząc, jak człowiek wije się na podłodze i próbuje złapać oddech, siny na twarzy.

- Duszę go - odpowiedziała obojętnie.
- Zabijesz go? Mówiłaś, że...

- Nie zabijam. Tak mówiłam. Dziś zrobię wyjątek - syknęła i uderzyła maga ręką laski, roztrzaskując mu czaszkę. Ciało zeszywniało i opadło na ziemię. Podeszła bliżej i kopnęła je. Nie reagowało. Wyciągnęła mu z kieszeni fiolkę z czarną substancją i powąchała ją.

- Co robisz?
- Sprawdzam, czy ma coś na ocucenie.
- I ma?
- Ma.

Wzięła miksturę i podeszła do nieprzytomnego elfa. Nalała kilka kropel na szmatkę i położyła koło nosa, a aromatyczna woń wpłynęła w nozdrza Leta, opanowując umysł. Nerwy zadrgały i zaczęły odnajdywać między sobą połączenia. Wszystko zaczęło ze

sobą harmonizować. Powracał do świata żywych, ciało mu drżało od zimnego potu, było mu niedobrze i marzył jedynie o świętym spokoju.

- Leto! - Nora podbiegła do niego, łapiąc za poły płaszcza. -  
Obudź się!

- Żyję - stęknął i mlasnął. Miał niewiarygodnie sucho w ustach.

- Wody. Daj mi wody - błagał.

Dziewczyna podała mu kubek z napojem. Wychleptał cały łąpczywie, oblewając ubranie.

- Będzie dobrze - westchnęła Meran, opadając na podłogę tuż obok Nory.

- Ale jestem zmęczona. To zbyt wiele, jak na moje stare kości.

Gdy już doszedł do siebie, uniósł się na rękach. Zawył i upadł z powrotem na ziemię.

- Nic ci nie jest? - Dziewczyna przysunęła się do niego z przerażeniem w oczach.

- Boli mnie wszystko i nie mam siły.

Przystawiła bliżej niego lampkę i to co zobaczyła, przeraziło ją jeszcze bardziej niż mag z roztrzaskaną czaszką.

- Na Odkupicieli! Spójrz! - zawołała uzdrowicielkę. Meran spojrzała na Leta, który zrobił zdziwioną minę. Teraz to dostrzegła. Elf miał czarne dłonie, a palce powykrzywiane w nienaturalny sposób. Chwyliła go za nadgarstek.

- Czujesz coś?

- Mrowienie.

- To dobrze, ręce da się uratować.

- Że co, proszę? - spojrzał na swoje palce. Znów poczuł strach, ale tym razem obejmował jego członki.

- Meran, uratuj moje palce - zapłakał.

To było zaskakujące. Nigdy nie płakał, ale szloch wyrwał się z

jego piersi tak gwałtownie, że nie mógł go opanować. Skulił się u stóp Nory, a jego ciałem wstrząsały spazmy histerycznego płaczu. To co się stało, wryło mu się tak głęboko w świadomość, że emocje, które zawsze ukrywał za maską obojętności i zimna, teraz, w sprzyjających temu okolicznościach, wypełzły ze zdwojoną siłą.

- Nie martw się - uspokoiła go kobieta. - Odrodzi się krew w tobie, odrodzą się i ręce.

Pamiętasz cokolwiek?

Leto podniósł na nią załzawioną twarz.

- Zasnąłem. Było tak przyjemnie ciepło. I nagle się zaczęło. Wiem, że błądziłem i za wszelką cenę chciałem się uwolnić. Co on mi zrobił? Co tu się stało?

Meran opowiedziała mu wszystko z drobnymi szczegółami. Zapomniała o jednym. Że Nora nie wiedziała jeszcze, że jej matka nie żyje i wspomniała o tym, jak ją spaliła za domem.

Dziewczyna najpierw pobladła, potem zemdląła. Leto chciał jej pomóc, ale nie był w stanie. Jedyłą rzeczą, jaką mógł zrobić, to podpełznąć bliżej i położyć jej swoją głowę na kolanach. Kiedy w końcu uzdrowicielka ją ocuciła, wybiegła z chaty i zatrzymała się na progu. Resztki ciała tliły się na śniegu.

- Wybacz.

- Jestem sama - wyszeptała sinymi ustami.

- Nie jesteś - odezwał się Leto, spoglądając znad podłogi.

- Nie mam już nikogo, jestem sama...

- Uspokój się, dziecko. - Meran złapała ją za ramiona, wprowadzając do domu. - Musisz ochłonąć. To było konieczne. Pochowamy twoich rodziców i będziemy czekać na zemstę iluzjonistów. Musisz być silna, dziecko. Zima nieprędko się skończy.

Nora siedziała milcząca. Wyglądała teraz tak samo, jak jej

matka czuwająca przy łóżku ojca, zapatrzona w pustkę i nieobecna.

- Leto, jak wszędzie świt, pójdę po medykamenty. Nie jestem w stanie zanieść cię do domu.

Przytaknął jej głową, wtulając się w płaszcz. Było mu zimno.

- Noro - potrząsnęła jej ramieniem. - Noro, ocknij się, potrzebuję cię.

Dziewczyna zmarszczyła żałośnie czoło i w końcu się odezwała.

- W czym mam ci pomóc?

- W tym. - Pokazała palcem zwłoki maga. - Jego też trzeba spalić, bo gotów się ożywić, a wtedy będzie nie wesoło. Zwłoki magów są najgorsze, szczególnie te ożywiane.

No, rusz się.

Obie kobiety wytaszczyły trupa na zewnątrz. W oddali słychać było przeraźliwe wycie wilków. Podeszły bardzo blisko. Widziały zapalone światła w chatach, ale zdawały sobie sprawę, że wieśniacy boją się wyjść na zewnątrz. Byłoby dziwne, gdyby nikt nie dostrzegł i nie usłyszał hałasów, jakie niosła noc.

- Tu nie - zaprotestowała Nora. - Nie chcę mieszać prochów moich rodziców z jego krwią.

- Dobrze, chodźmy troszkę dalej.

Rzuciły ciało maga na śnieg. Uzdrowicielka polała je oliwą, a Nora podpaliła. Stały przytulone do siebie i patrzyły, jak płonie. Nie odczuły jednak żadnej ulgi. Wręcz przeciwnie, atmosfera stała się tak gęsta, że można by ją kroić nożem. Czuć było mieszaninę strachu i gniewu, doprawioną bólem. Wróciły do chaty i zatrzasnęły za sobą drzwi. Za godzinę powinno zacząć świtać.

- Napijmy się czegoś - wyjęczał z podłogi elf. - I może być coś piekielnie mocnego - dodał.

Nora zniknęła w spiżarni, tłukąc się tam przez dłuższą chwilę.

Wróciła z dużym zalakowanym gąsiorem.

- Wspaniale - ucieszyła się Meran. - Miód pitny roboty twojej matki.

- Miód, tak, tego mi trzeba - ucieszył się ranny.

Nalała wszystkim pokaźną ilość trunku. Pierwsza wychyliła szklankę, wypijając wszystko do dna. W ciągu chwili poczerwieniała na twarzy. Przetarła dłonią usta i nalała sobie jeszcze jedną.

- Noro! Upijesz się - skarciła ją kobieta.

- A niech się upije, należy jej się.- Elf wyciągnął dłoń po szklankę, ale nie potrafił jej utrzymać. - Niech to szlag! - zaklął.

Dziewczyna uklękła przy nim i napoiła go.

- Wiesz, moja droga, odnoszę wrażenie, że będę od ciebie uzależniony przez jakiś czas. - Posłał jej najbardziej miły uśmiech, na jaki było go stać.

Odłożyła kubek i fuknęła.

- Kolejny na mojej łasce.

Uzdrowicielka parsknęła śmiechem, oblewając się miodem.

- Widocznie takie twoje przeznaczenie, córo miłosierdzia.

Świt powitał ich różowym blaskiem wdzierającym się przez zamarznięte okna umalowane mrozem. Cisza była nie do opisanania. Uzdrowicielka zasnęła z głową opartą o stół, Nora skuliła się u stóp Leta, ten zaś nie spał. Jego ciałem wstrząsały spazmy bólu. Nie miał serca budzić nikogo, to też zacisnął zęby i cierpiał w milczeniu, prosząc Odkupicieli o siły.

Wieśniacy rzeczywiście słyszeli hałasy w nocy, żaden jednak nie miał na tyle odwagi, by wyjść z chat. Łuna ognia z palących się ciał oświetlała niebo snopem blasku, odbijając się od okien. Świt jednak sprawił, że to co niewidzialne dla oka nocą, okazało się namacalne i rzeczywiste, a strach zacząłony w sercach prostych



ludzi zamienił się w zwyczajną ciekawość.

Ulfrik obudził się rankiem zziębnięty i głodny. Nigdy nie czuł takiej pustki. Dom był cichy i chłodny. Rozejrzał się, ale Meran nie było w pobliżu. Nikt nie napalił w piecu, stąd ten ziąb. Zaniepokoił się. Wydarzenia z ostatniej nocy powróciły do niego. Złapał za płaszcz i wybiegł z domu. Im bliżej był centrum wsi, tym bardziej serce tłukło mu się w piersi. Snop czarnego dymu unosił się z podwórza Nory, złowieszczo rozplływając się na lekkim zimowym wietrze. Śnieg skrzypiał pod stopami. Wbiegł na podwórze i zobaczył dwa zwęglone ciała.

Przyłożył dłoń do twarzy. Takiego smrodu dawno nie czuł. Ominął zwęglone truchła i podszedł do domu. Z wewnątrz nie dobiegały żadne odgłosy. Szarpnął za drzwi, które uległy pod naciskiem jego twardej dłoni i niemalże wpadł do środka, potykając się o próg. Ale zamiast złowieszczej śmierci, do jego nozdrzy dotarł zapach miodu.

- No tak - pomyślał.

Cisza jednak nie dała mu spokoju. Wszedł głębiej do izby i jego oczom ukazał się widok skulonych ciał wokół ledwo płonącego pieca. Meran chrząknęła, podnosząc głowę i łapiąc się za czoło.

- Kto tu jest? - jęknęła i złapała za laskę.

- To ja - wydukał wystraszony. - To ja, skarbie. Co tu się, do cholery, stało?

Uzdrowicielka oprzytomniała, omiotła zaspanym wzrokiem pomieszczenie, po czym powoli wstała, wspierając się na lasce. Zachwiała się jednak i z powrotem usiadła na ziemi. Szum obudził Norę, która również w pierwszej chwili chwyciła za broń, o mało co nie uszkadzając Ulfrika.

- O Wybacz! Na Odkupicieli, przepraszam! - rzuciła przedmiotem o ziemię, rzucając mu się w objęcia.

- Spokojnie, już dobrze. - Ujął jej drżące palce. - Powieście mi w końcu, co tu się stało? - wtedy jego wzrok spoczął na elfie.

Leto trząśł się i patrzył na niego zaszklonymi od bólu oczyma.

- Ja się nie uskarżam - zajęczał - ale może ktoś by mi pomógł?

Meran otrząsnęła się ze snu i położyła rękę na czole chorego. Poczul kojące ciepło skóry i ogarnął go spokój. Jego ciało poczuło ulgę, a drgawki minęły. Zasnął.

- Biedny - chlipnęła Nora, spoglądając na niego.

- Postaramy się doprowadzić go do porządku - rzuciła kobieta. - Teraz musimy ogarnąć to wszystko. Na bogów, głowa mi pęknie, przeklęty miód.

Ulfrik uśmiechnął się, choć nadal nie otrzymał odpowiedzi na zadane pytania.

- Noro.

- Tak? - odwróciła głowę.

- Pomóż mi, trzeba go wynieść - nakazała uzdrowicielka.

- Zostaw - wtrącił się mężczyzna. - Ja go wyniosę, ale wy opowieście, co się stało.

Kobiety przystały na propozycję. Żadna nie miała na tyle sił ani też ochoty, by taszczyć kolejny ciężar na plac. W międzyczasie opowiedziały mu, co się wydarzyło. Ulfrik był tak przejęty, że przysiadł na schodku.

- A ja byłem taki okropny w nocy, wybacz mi.

- Bredzisz - fuknęła kobieta. Żadne nie spoglądało przed siebie, nie interesowało ich, co się dzieje za płotem. A zebrał się tam już pokaźny tłumek gapiów, w tym Anders, rozczochrany, jak zawsze o tej porze, ze snem przyklejonym do powiek.

- Teraz nam się dostanie - odezwała się w końcu Nora.

- Tak, fakt, musimy powiedzieć ludziom, co się stało. Najlepiej teraz, póki są prawie wszyscy. - Pokazała dłonią uwieszonych na

płocie wieśniaków.

Leto obudził się z krótkiej drzemki. Nie bolało go już tak bardzo, ale nadal drgawki nie dawały mu spokoju. Najgorsze było to że od szyi w dół nic nie czuł. Był bardzo zmęczony. Marzył tylko o ciepłym posiłku, nawet jeśli miałyby to być tylko mleko. Nie ważne, byle by sprawiło, że poczuje się lepiej. Szybko zorientował się, że jest na placu. Swąd palonych ciał wdzierał się do nozdrzy, na progu majaczyła jakaś sylwetka. Nie widział, kto to. Okazało się, że wzrok też mu się zepsuł. Zaczynał myśleć, że utknął na dobre. W głowie poczęły kotłować się przerażające wizje spędzenia reszty życia przykutym do łóża, zdany na łaskę innych. Już wolałby umrzeć, ale samobójstwo było wbrew jego religii. Odpędził więc tę myśl i próbował skupić się ze wszystkich sił, aby poruszyć choć jednym palcem. Bezskutecznie. Nie poddawał się, zacisnął powieki i zęby i próbował. Meran opowiedziała gapiom, co się wydarzyło. Mówiła powoli i używała prostego słownictwa, dobierając je tak, by nie wzbudzić niepotrzebnej paniki. Szum w tłumie wzrastał się z każdym jej zdaniem, a na twarzach wieśniaków pojawiała się z minuty na minuty coraz większe przerażenie.

- I powtarzam, nikt, ale to nikt nie chodzi sam. Zawsze bądźcie czujni. Każdy dostanie miecz lub sztylet, by móc się obronić. Leto, jak wyzdrowieje, przekaże wam potrzebną wiedzę.

Z tłumy wybiegła Anna z pobladłą twarzą i sinymi od zimna ustami.

- Leto... - zajęczała. - Co to znaczy, jak wyzdrowieje? Co mu się stało? Gdzie on jest?

- Córeczko! - wrzasnął Anders rozbudzony zimnem i wiadomościami. - Przestań, kompromitujesz mnie i całą rodzinę uganianiem się za tym elfem. Do domu! Już!

- Nigdzie nie idę! - fuknęła wściekle, szcękając zębami. - Muszę go zobaczyć! Gdzie on jest!?!?

Nora wskazała ręką dalszą część podwórza, ale dobrze wiedziała, że Letowi nie spodoba się fakt, że napada go młoda dziewczka. Ale nie było wyjścia. Za chwilę spróbuje się jej pozbyć, jak nie po dobroci, to siłą.

Anna pobiegła dalej, w głąb podwórza, potrącając stojącego na jej drodze Ulfrika. Ten tylko zasyczał, ale nie odezwał się. Zastała go skulonego na ziemi, otulonego szczelnie płaszczem, z mocno zaciśniętymi powiekami. Jego stan ją przeraził. Upadła na kolana tuż przy nim, kładąc dłonie na jego czole.

- Och! - rozplakała się. - Mój najdroższy! Co się stało? Dlaczego? - jęczała załamana.

Elf otworzył oczy i spojrzał na nią. Obraz dziewczyny rozmazywał mu się, ale poznał ją po głosie.

- Anna?

- To ja, jestem przy tobie, już dobrze. - Głaskała go po głowie.

- Idź do domu, proszę. Nic tu po tobie - jęknął i znów zamknął oczy.

- Nigdzie nie idę! Nie opuszczę cię teraz!

- Idź już, nie męcz mnie.

- Nie! Nigdzie się nie ruszę! Będę przy tobie do czasu, aż uzdrowicielka cię uzdrowi.

Na szczęście dla niego podeszła do nich Nora.

- Już dość, uciekaj. Ojciec jest wściekły na ciebie.

- Nie!

- Już! - rozkazała, pokazując bramę. - On potrzebuje spokoju, a nie jazgotu rozhisteryzowanej dziewczki. Wynocha z mojego domu!

Anna rozplakała się jeszcze głośniej.

- Będę się za ciebie modliła. - Chlapiąc, wybiegła z podwórza.

- No, mamy ją z głowy. - Usiadła przy nim.

- Tak. Jakie to szczęście, że cię mam - odezwał się szeptem. -  
Obiecuj, że będziesz mnie przed nią broniła.

Nora położyła dłoń na jego lodowatej ręce.

- Obiecuję.

Meran podeszła do nich.

- Trzeba będzie przenieść Leta do nas. Nie dam rady zajmować się nim i obejściem jednocześnie, gdy Ulfrik będzie patrolował obrzeża wsi. Musimy zapomnieć o polowaniach w lasach.

Elf jęknął na samą myśl o tym, że będzie taszczony kawał drogi. Zmrużył oczy.

- A może zostanę tu, u Nory? Ta podłoga jest taka wygodna.

- Nawet jak jesteś na wpół martwy, masz poczucie humoru - przygadała mu. - Niestety powędrujesz razem ze mną.

- Uch - stęknął. - Niech będzie.

- Pójdę po ludzi i konia, trzeba zrobić ci nosze. Chodź, Noro, poszukamy czegoś, co się nada. Ty tu grzecznie leż.

- Nigdzie się nie wybieram.

Uzdrowicielka wygoniła Ulfrika do wsi, żeby sprowadził kilku silnych mężczyzn do pomocy oraz przyprowadził konia lub jakiegokolwiek zwierzę pociągowe, by móc chorego przetransportować bezpiecznie do jej domu. Wraz z Norą przeszukała obejście. Znalazły kilka desek i pali, z których sprawnie skleiły prowizoryczne nosze. W domu było troszkę skór i koców, które posłużyły za wyścielenie. Ulfrik szybko się pojawił z dwoma mężczyznami i krową. Żaden z mieszkańców wsi nie chciał oddać najcenniejszego zwierzęcia, jakie posiadał, a koni we wsi było aż cztery. Krowa była stara i łagodna, okryta derką szła sobie spokojnie koło wieśniaka, kręcąc pyskiem.

- Wspaniale - zaśmiała się dziewczyna. - Krasula.

- Nie narzekaj - skarciła ją Meran. - Lepsza krasula niż taszczenie nieboraka na rękach. Wątpię, by mu się spodobało noszenie przez mężczyzn.

Nora zachichotała, zasłaniając usta ręką.

- Chyba masz rację. Chodź, przymocujemy to coś do grzbietu tego poczciwego stworzenia.

Kiedy wszystkie czynności zostały zrobione, kobieta podeszła do Leto, okrywając go ściśle kocem.

- Jesteś gotowy?

Otwarł półprzymknięte oczy i pokiwał głową.

Ulfrik wziął go na ręce.

- Na Odkupicieli! Jaki ty lekki jesteś, Nora by cię uniosła.

- Elfy tak mają. No już, pospiesz się - ponagliła go żona.

Leto nadal nic nie czuł. Szyję miał wiotką jak u noworodka, toteż głowa dyndała mu na ramieniu mężczyzny. Strasznie irytowała go ta niemoc. Ułożono go delikatnie i okryto. W powietrzu zaczęły wirować płatki śniegu, znów zaczynało sypać. Kątem oka zobaczył Annę wiszącą u płotu, trzymającą chustę przy twarzy. Cieszył się, że nie podchodziła, nie chciał słuchać jej jazgotu. Droga była zasypana, zatem sama podróż wlekła się niemiłosiernie.

Zwierzę co rusz zapadało się po kolana w śniegu, mucząc z niezadowolenia. Właściciel popędzał je klepaniem w zad i nawoływaniem. Spokojne stworzenie brnęło więc przed siebie, ciągnąc nosze, zaś Leto podskakiwał na każdym wyboju. Z czasem zaczynało mu się robić niedobrze. Przypuszczał, że spowodował to pusty żołądek. Zbliżało się popołudnie, a on nie miał niczego w ustach. Ale nie tylko on, połowa wsi straciła apetyt.

Kiedy dojeżdżali do chaty, drogę przeciął im wilk. Był czarny jak nieprzenikniona, bezgwiezdna noc, sierść miał nastroszoną i

gdzieniegdzie pozlepianą starą krwią. Ludzie zatrzymali się. Nora dobyła ostrza i wysunęła się na przód. Uzdrowicielka podążyła za nią, czyniąc to samo, tyle że dzierżąc laskę w zaciśniętej dłoni. Zwierzę jednak nie miało zamiaru atakować. Stało na szeroko rozstawionych nogach, pokazało rząd śnieżnobiałych kłów, zawyło, wściekle spojrzało żółtymi oczyma, po czym obróciło się i odeszło w stronę lasu.

Obie opuściły broń.

- Ostrzeżenie?

- Tak, Noro. Musimy się pilnować. To chyba wilk zabitego, tak przypuszczam, ale nie gdybajmy. Pospieszmy się, zanim zjawi się cała wataha.

Ruszyli dalej, potykając się i klnąc pod nosem na śnieg, który nie miał zamiaru przestać padać.

- Co za aura - narzekała kobieta.

Uzdrowicielka poszła przodem, by napalić w piecu i przygotować posłanie. Reszta dochodziła powoli do domu. Pod bramą Ulfrik znów uniósł rannego na rękach. Tym razem wydał mu się cięższy, ale chyba spał. Powieki miał zaciśnięte, a oddech bardzo płytki. O tym, że w ogóle oddycha, świadczyła jedynie delikatna smuga pary wydobywającej się z jego nozdrzy. Ten widok rozculił Norę, a zarazem przeraził. Miała wrażenie, że z minuty na minutę jego stan się pogarsza. Zaczynała mieć ogromne wyrzuty sumienia, że to z powodu jej rodziny sprawy tak się potoczyły. Chciała cofnąć czas, zdawała sobie jednak sprawę, że to niemożliwe.

Ułożyli Leta na łóżku uzdrowicielki, okrywając szczelnie. Na piecu grzała się już woda, a kobieta myszkowała po woreczkach z eliksirami i ziołami. Była tak skupiona, że na jej czole pojawiła się bruzda zdradzająca głębokie napięcie. Nikt się nie odezwał. Ulfrik

zaniósł bochen chleba chłopom, którzy pomogli. Jedynie tyle mógł dla nich uczynić.

Podziękowali mu i odeszli, znikając za zasłoną wirujących płatków śniegu. W izbie Meran ważyła napar oraz wrzucała zioła do bulgocącego gara.

Intensywny zapach unosił się po wszystkich pomieszczeniach. Był tak mocny, że obudził śpiącego elfa.

- Yhm - jęknął, obracając głowę w stronę światła. Nie umiał otworzyć oczu. Był tak słaby, że nawet przelknięcie zaczynało być wyzwaniem.

Nora kątem oka zauważyła ruch.

- Obudził się. - Podbiegła do jego posłania i pogładziła po policzku.

- Dobrze, zaraz się za niego zabierzemy - powiedziała uzdrowicielka.

- Co masz na myśli?

- Zaraz zobaczysz.

Wzięła z pieca garnek i postawiła u stóp leżanki.

- Musimy go rozebrać, a potem od stóp nacierać tym wywarem. Spróbujemy przywrócić mu czucie w nogach, a potem będziemy się kierować coraz wyżej. Ale najpierw dajmy mu coś zjeść, bo z głodu padnie.

Kobieta nalala lekkiej owsianki do kubka i łyżeczką zaczęła wlewać mu do ust ciepłą strawę. Elf najpierw pił powoli, potem coraz bardziej łapczywie.

- Spokojnie, bo się utopisz. Nikt ci nie zabierze.

Uspokoił się i poddał powolnemu rytuałowi podawania posiłku. Ciepło rozgrzewało mu trzewia, dając uczucie błogości i spokoju. Przenikliwy, kłujący ziąb, który zaczynał być częścią niego samego uchodził w niepamięć, jednak nadal nie czuł niczego. Jak się już



najadł, Meran wróciła z naręczem szarego płótna.

- Jesteś gotowy?

- Na co? - wydusił.

- Na obnażenie cię.

Zrobił wielkie oczy, patrząc jak uzdrowicielka pozbawiała go kolejnych partii garderoby.

- Już tak nie patrz, wstyd schowaj.

- Łatwo ci się gada - prychnął, zaciskając zęby i powieki.

Kobiety robiły swoje. Meran była przerażona tym, co zobaczyła. Stopy miał sinoniebieskie, a skórę białą jak śnieg. Zbyt białą, nawet jak na elfa. Na wysokości klatki piersiowej jawiła się otwarta podłużna rana, jakby zrobiona przez uderzenie ostrym narzędziem. Pewnie stąd mag czerpał krew i siłę do ożywienia zmarłego. Dłonie miał już w całkiem dobrym stanie, krążenie zaczynało powracać samo, mimo że opuszki przybrały barwę niebieskawą. Ogólnie był nienaturalnie zimny.

- Teraz trzeba cię obmyć. Nie bój się, mam gorącą wodę. Zaraz poczujesz się lepiej.

- Nie chcę na to patrzeć - mruknął, nadal nie otwierając oczu.

Uzdrowicielka miała rację. Ciepła woda sprawiła, że poczuł się znacznie lepiej. Najdłuższy zabieg jednak był dopiero przed nim. Meran instruowała Norę, co ma robić, a sama zszyła mu ranę kościaną igłą. Za nici posłużyły wysuszone jelita ptactwa.

- No, blizna powinna być cieniutka. Jestem dobrą szwaczką.

- Kłującą szwaczką - poprawił ją. Humor zaczynał mu dopisywać bardziej niż wcześniej, ból szycia był niczym w porównaniu z przeżyciami zeszłej nocy. Zahartował go tak mocno, że nie zdawał sobie sprawy, iż ta toporność uratuje go przed śmiercią jeszcze nie raz.

- Dobrze, teraz zabieramy się za przywracanie cię do żywych.

Może boleć - ostrzegła go.

- Czyń, kacie, swoją powinność - zażartował i zacisnął jeszcze mocniej powieki.

Kobiety zaczęły nacierać jego członki silnie pachnącym wywarem. Posuwały się od palców stóp coraz wyżej. Skrępowanie zaczynało się ulatniać. Zapach podrażniał jego nozdrza, bo był piekący, ale poza tym dość przyjemny. Działał jak środek nasenny. Elf zasnął, obie zaś pracowały nad nim przez kilka dobrych godzin. Obudziło go jakby ukłucie szpilki w środkowy palec stopy.

- Meran! - wrzasnęła.

- Co? - uniosła głowę zroszoną potem.

- Palec!

- Co palec?

- Zakuło mnie w palec u stopy.

- Doskonale, więc mikstura działa. Wspaniale - odetchnęła z ulgą i ciężko opadła na stołek.

Nora zrobiła dokładnie to samo, ale wylądowała na ziemi, obejmując rękami kolana.

W końcu się rozplakała.

- A ty czemu beczysz? - spytała kobieta.

- Z ulgi - odrzekła. - Cieszę się, nic więcej - chlipnęła.

Leto uśmiechnął się do niej.

- Jeszcze pogonimy tych iluzjonistów. Nie martw się, twoje ostrze zasmakuje ich krwi.

- Przestań. - Machnęła na niego ręką. - Nie mam ochoty na walkę.

- Idź spać. - Pokazała jej kuchnię. - Tam jest posłanie, zdrzemnij się. Ja owinę Leta szmatkami z wywarem i też idę. Jak przetrwa noc, będzie żył.

- Co? - jęknął, a na jego twarz wypełził niepokój.

- Tak, tak. Mikstura to trucizna.

- Co???

- Nie miałam innego wyjścia. Muszę ci ożywić skórę. Jedynym rozwiązaniem jest jad, ale jeśli twoje ciało go nie przyjmie, umrzesz.

Wstała z krzesła i dokończyła pracę, owijając go szczelnie bandażami i okrywając ciętymi skórą. Patrzył na nią przerażony. Podeszła bliżej i pogładziła go szorstką od płynu ręką.

- Będzie dobrze, śpij.

- To nie będzie dobry sen. - Odwrócił głowę w stronę ściany, nie zamykając powiek.

Nora nie słyszała tej rozmowy, może nawet i dobrze - pomyślała kobieta, usadawiając się wygodniej na krześle na przeciw łóżka chorego.

- Oj, to będzie długa noc - złożyła ręce na podółku i westchnęła. - Jeszcze jedna noc i obiecuję, że wyśpię się za wszelkie czasy.

Leto, oprócz owego ukłucia w stopę, znów nie odczuwał niczego. Irytacja i zwątpienie napełniały jego czaszkę, jak fale na wzburzonym burzą jeziorze lub morzu. Leżał więc wpatrzony w belki na ścianie, licząc uparcie słoje w drewnie. Nie miał ochoty na sen. Było mu wstyd, że dał się podejść jakiemuś podrzędnemu magowi, którego uzdrowicielka, słabsza i starsza kobieta, pokonała z niebywałą łatwością. Tak przynajmniej mu się wydawało.

Minęło troszkę czasu zanim coś zaczęło się dziać. Zdążył się już przyzwyczaić do zapachu mikstury sporządzonej przez Meran, nie drażniła go, nie była już tak intensywna i męcząca. Najpierw po jego stopach zaczęły krążyć jakby roje mrówek, gryząc niemiłosiernie.

Potem wrażenie nasiliło się i zamiast mrówek kąsały go roje

pszczoł. Przesuwało się to coraz wyżej i wyżej, robiąc się boleśnie irytujące. Kiedy ogarnęło całe ciało, poczuł, jak palce u stóp zaczynają mu się skręcać i wykrzywiać jak w skurczu mięśnia. Każde włókienko w jego egzystencjalnej powłoce walczyło, broniąc się przed trucizną. Po pewnym czasie nie wytrzymał bólu i zaczął, a potem zawył. Ciało wygięło się w łuk, a dłonie zacisnęły się w pięści. Nie panował nad nim, żyło własnym życiem. Aby nie krzyczeć, zaciskał zęby. Pot zalewał mu oczy, raz zimny, raz z falą gorąca. Potem przyszły drgawki i mdłości.

Uzdrowicielka siedziała i przyglądała się tej makabrycznej scenerii, prosząc Odkupicieli, by zachowali go przy życiu. Nie wyglądał dobrze. Brak krwi sprawił, że był bardziej podatny na działanie trucizny. Trwało to wszystko dość długo, zbyt długo. Elf wił się na posłaniu, sycząc i jęcząc na zmianę. Powieki miał zaciśnięte, a włosy zlepione od potu.

Wtem wszystko ucichło. Meran zerwała się z krzesła i podbiegła do posłania, łapiąc Leta za nadgarstek. Nie czuła tętna, dłoń była zimna i wiotka, nie reagował na żadne bodźce.

- Na Odkupicieli! - wrzasnęła i przyłożyła ucho do klatki piersiowej chorego. Nie słyszała bicia serca.

- O nie, mój drogi - zasyczała przez zęby. - Ja ci umrzeć nie dam, nie ma mowy.

- Uderzyła go z całej siły w klatkę piersiową. Raz... potem drugi.

W końcu na płóciennych bandażach pojawiła się czerwona smuga krwi. Była ciepła. Przyłożyła jeszcze raz ucho do jego piersi. Serce łomotało cicho, lecz miarowo. Odetchnęła z ulgą.

- Chyba cię uszkodziłam - wyszeptała. - To się da naprawić. Szwy puściły. Ważne, że żyjesz.

Usiadła obok niego na łóżku, była jednak tak zmęczona, że nie była w stanie dłużej czuwać. Zasnęła, kładąc głowę na jego

ramieniu.

Ranek zastał ich pogrążonych w głębokim śnie. Zimowe słońce, którego nie widzieli od kilku dobrych dni, wdarło się z impetem przez szyby domostwa, malując jasne smugi na ziemi. Nora przebudziła się, bo jeden z promieni padał wprost na jej twarz, co w konsekwencji nie pozwoliło jej dłużej spać. Odwróciła głowę od blasku, przetarła twarz ręką i zebrała palcami rozwichrzone snem włosy. Nie była wypoczęta, ale na tyle wyspana, by funkcjonować normalnie. Wstała i zaspana poszła do pokoju, w którym leżał Leto. Zastała go w pozycji embrionalnej, skulonego i drżącego. W nogach łóżka, na poduszce, smacznie spała uzdrowicielka. Łypał na nią raz jednym, raz drugim okiem, nie umiejąc złapać harmonii, by patrzeć oboma.

- Żyjesz - odetchnęła z ulgą.

Skrzywił usta, próbując się uśmiechnąć, ale nie wyszło mu to zbyt zgrabnie. Wargi miał spękane i pokrwawione, a w gardle sucho, wycharczał więc:

- Wody.

- Co? - Podeszła bliżej, klękając przy nim.

- Wody.

- A już daję. - Poszła po kubek.

W tym czasie obudziła się Meran. Wszystko ją bolało przez niewygodną pozycję, w jakiej zasnęła. Pierwsze, co zauważyła, to że nie było Leta obok niej. Dopiero potem dostrzegła, że bardzo się nie oddalił. Położyła mu rękę na czole, ziewając przeciągle, kilkoma seriami. Drugą przetarła zaspane powieki.

- Wybacz - przeprosiła. - Masz gorączkę. To dobrze, organizm pracuje. Jak się czujesz?

Leto skrzywił się i przewrócił oczyma.

- Tak. Rozumiem, że kiepsko - odpowiedziała sobie za niego.

Nora podała mu wodę. Pił powoli, patrząc na nią. Sine kręgi malowały się pod jej oczami, twarz miała spuchniętą i zmęczoną. Pewnie musiała się bardzo martwić - myślał, przełykając orzeźwiający płyn. Nawilżył mu gardło, które również go piekło, nie wspominając o całym ciele. Odnosił wrażenie, jakby leżał w płomieniach. W końcu się odezwał.

- Ściągnij to ze mnie.

- Zaraz cię wykąpiemy. A tak na marginesie, czujesz coś?

- Tak, pali mnie całe ciało.

- To dobrze - uśmiechnęła się kobieta. - Ale czy umiesz poruszyć jakąś częścią ciała?

- Tak - wysunął bardzo powoli stopę spod skór, nie kryjąc przy tym zadowolenia. - Zobacz. - Poruszył wszystkimi palcami. - To samo jest z dłońmi.

- Wspaniale - uradowała się Nora, zaciskając obie ręce w pięści. Na jej policzkach wymalował się rumieniec. Wyglądała jak mała dziewczynka.

- Chodź, Noro, przygotujemy mu kąpiel. Potem coś zjemy. - Meran zwróciła się do dziewczyny.

- Jesteś głodny, co? - spytała elfa.

- Zjadłbym cokolwiek, byle było gorące.

- Da się załatwić.

Czekanie na strawę dłużyło mu się niemiłosiernie. Podrażniony żołądek bulgotał i skręcał się, nie dając chwili wytchnienia. Myśl o tym, że znów go obnażą, też nie była zachwycająca, ale cóż miał począć. Postanowił wszystko z pokorą przyjąć, tak jak jest mu dane.

Nora usiadła na skraju łóżka, patrząc na niego tymi swoimi cielecymi oczyma. Była smutna, przynajmniej tak mu się wydawało. Teraz dopiero zaczynało do niej docierać, co się tak

naprawdę wydarzyło. Pewnie będzie nosiła ten cień w sercu do końca życia, wracając do nich podczas długich wieczorów spędzonych w samotności lub z gromadką pociesznych dzieci. Skuli się wtedy w sobie i wpadnie w śmiertelne przerażenie. Dobrze, by był ktoś obok, kto by mógł ją w tych momentach pocieszyć. Leto wiedział, że jeśli zaciągnie się gdziekolwiek, do armii wojsk króla czy straży miejskiej, skazana będzie na samotność, bowiem rekrutom nie wolno się wiązać. Morale bardzo wtedy cierpi. Ale był to jej wybór, którego będzie musiała sama dokonać. Nie wyobrażał sobie jej jednak w domu przy garach, uganiającą się za drobiem i dziećmi po podwórzu. To nie było jej miejsce, choć proste życie znała doskonale i pewnie nie przeszkadzałoby jej to zbytnio.

Z kuchni dotarł do jego nozdrzy słodki zapach gotowanej owsianki. Znow owsianka. Ale to chyba jedyna rzecz, którą będzie w stanie przełknąć bez ryzyka udławienia. Nie miał nawet siły, by oddychać głębiej, a co dopiero gryźć.

Nora westchnęła i obróciła głowę w jego stronę.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że będziesz żył - jęknęła, znow chowając twarz w dłoniach.

- No, już się tak nie martw - uspokajał ją.

- Łatwo ci mówić. Jestem zdruzgotana. W ciągu chwili straciłam wszystko. Potworne uczucie. Co ja, na Odkupicieli, siostrom powiem, jak przesmyk się otworzy w trakcie wiosennych roztopów?

- Prawdę. Nie zrobiłaś niczego złego, Noro.

- Mogłam być czujniejsza.

- Nic byś nie poradziła, dziewczyno - odezwała się Meran, wkraczając z pełną miską dymiącego jedzenia. - Zanim byś się zorientowała, leżałabyś jak długa na podłodze, krwawiąc i kwicząc. Masz, daj mu. Pewnie czeka z niecierpliwością. Musi jeść.

Dziewczyna zamilkła, powoli karmiąc chorego. Przyjmował jedzenie z wdzięcznością, co rusz na nią zerkając. Na jej czole malowało się zamyślenie, materializując się pod postacią zmarszczki między brwiami. Uzdrowicielka krzątała się po kuchni, szykując wywary dla Leta. Jak zawsze, robiła niespotykane zamieszanie. Ulfrik pochlipywał i zagryzał jedzenie czerstwym chlebem, klnąc pod nosem, że nie ma świeżego, bo ten już jest zakwaśniały.

- Nie narzekaj, dziadu. Mam ważniejsze sprawy, niż napychanie ci żołądka smakołykami.

- Cicho, babo. Wiem, co się stało.

- No to jedz, a nie narzekaj - machnęła na niego ręką, ten jednak ją zignorował i dalej chlipał zupę mleczną.

Nareszcie wywar był gotowy. A raczej dwa, jeden przygotowała do kąpieli, drugi do picia. Kobiety zajęły się oporządzeniem jego ciała na tyle delikatnie, by nie sprawić mu bólu, choć i tak zdarzało mu się jęknąć. Trzymał się bardzo dzielnie, kiedy nacierały go jakimiś specyfikami i masami. Zaczynał powoli wszystko czuć, napawało go to niespotykanym u niego optymizmem. Skóra jednak ucierpiała najbardziej. Odpadały z niej fragmenty spalonego jadem naskórka. Ośmielił się zażartować, że linieje jak jaszczurka. Wzbudziło to ogólną wesołość.

- Noro, idź do domu, wyśpij się - nakazała Meran po tym, jak ułożyły elfa z powrotem do łóżka, okrywając ciepłym, lecz gryzącym kocem.

- No, nie wiem.

- Idź. Ulfrik cię odprowadzi. Musisz wypocząć. Zjedz coś przed snem i śpij, najdłużej jak potrafisz. Chcesz, dam ci wyciąg z melisy, szybko cię uspokoi. - Podała jej woreczek z pachnącym ziołem.



Nora przyjęła zioła i okryła się chustą.

- Do zobaczenia, Leto. Następnym razem, jak tu przyjdę, masz fikać jak młody żrebak.

Ten puścił jej oko i odrzekł:

- Nie zawiodę cię, zobaczysz. Jeszcze będziesz miała problem ze złapaniem mnie.

Ulfrik przepuścił ją w drzwiach i zniknęli za progiem. Na szczęście nie padało, ale było mroźno. Uzdrowicielka przysiadła znów na skraju łóżka, zerkając na elfa i popijając ziołową herbatkę.

- Wiesz, chyba i ja skorzystam z kąpieli i pójdę spać. Jak będziesz czegoś potrzebował, Ulfrik ci da. Na razie śpij i jeszcze raz śpij. Za kilka dni powinieneś wstać.

Przytaknął i zamknął oczy. Słyszał w oddali, jak kobieta krząta się jeszcze po izbie i jak szykuje wodę. Potem ogarnął go błogi, bardzo ożywczy sen.



Minęło kilka dni, zanim cokolwiek uległo poprawie. Ani Meran, ani Ulfrik nie działali pochopnie. Nikt go na siłę nie zmuszał do wstawania. Byli niezwykle uprzejmi i cierpliwi.

Schlebiała mu ich troska, ale też czuł niepohamowane skrępowanie. Nikt w całym jego życiu nie okazywał mu takiej życzliwości. Zawsze słyszał tylko: „Upadłeś, wstań i idź” Żadnego podawania ziółek, sprawdzania temperatury, opatrywania ran, tylko chłód, który i jego przesiąknął na wskroś. Zaczynał sobie uświadamiać, w jakiej klatce emocjonalnej istniał przez tyle lat. Na światło dzienne zaczęły się przedostawać nieznane mu ciepłe

uczucia. Na razie strasznie przerażała go wizja siebie innego niż przedtem. Podziwiał te kobiety, które nie żądając niczego, przebywały obok. Zaczął na nie w końcu patrzeć jak na istoty rozumne, a nie, jak przedtem, obiekty cielesnych uciech lub, co gorsza, służące, które mógł owinąć sobie wokół palca jak marionetki, pociągać za sznurki tylko po to by były mu uległe. Choć rzadko stosował takie chwyt, gdyż wolał jednak unikać towarzystwa tych płochych istot, nie zmieniało to faktu, że był mężczyzną. Kolejną rzeczą, która go zaczynała przerażać, był niedowład prawej ręki, tej która była najsprawniejsza i najszybsza. Poruszał palcami pod kocem, dotykając rąbka materii. Nie czuł jednak na tyle dobrze, by być zadowolonym. Nogi wydawały się w porządku. Zawsze były silne. Z nimi problemu nie będzie, gorzej z rękoma.

To nimi zarabiał na życie.

Z zamyślenia wyrwała go Nora, wkraczając do izby i stukając obcasami zimowych trzewików.

- Jak się ma mój ulubiony elf?

Wyglądała lepiej. Na twarzy znów pojawił się rumieniec, a oczy nie miały fioletowych obwódok.

- Całkiem nieźle, a ty?

- Też dobrze. Anna jak zawsze jęczała. Chciała wiedzieć, co u ciebie i takie tam bzdurki. Kilka osób ze wsi też jest zainteresowanych twoim stanem zdrowia. Nie, żeby cię lubili - zaśmiała się - tylko chyba dlatego, że są bardziej przerażeni niż ciekawi. Wiesz, pokładają w tobie nadzieję na ocalenie. Wszędzie tylko szepty, pogłoski i zmyślane bajki dotyczące owej nocy.

- Biedni prostacy. O przepraszam. - Zarumienił się, kładąc dłoń na ustach. - Nie miałem nic złego na myśli.

- Nie, w porządku, jesteśmy prostakami.

- Odprawiałaś, mam nadzieję, Annę? Nie chcę jej wiszącej u płotu. Ulfrik wspominał, że ostatnio ją kartoflem pogonił.

Zaśmiała się tak głośno, że uzdrowicielka weszła do izby z ciekawości.

- O czym dzieci gadają? Też chcę się pośmiać.

Nora obróciła się w jej stronę z załzawionymi ze śmiechu oczami.

- O Annie. Już cała wieś się śmieje z tej dziewczuchy.

- A tak, moja droga. Jest niezwykle niepoprawna. Biedny Anders - westchnęła współczująco i wyszła.

- Meran mówiła, że niedługo będziesz mógł usiąść.

- Wielce byłbym rad. I wiesz co? Zaraz to zrobię. - Podniósł się powoli z pośłania.

Wysięk sprawił, że zakręciło mu się lekko w głowie. Zmrużył oczy i złapał się za kark. - Wszystko się kręci.

- To może się jeszcze położyć?

- Nie, nie. Posiedzę chwilę. Już mnie plecy bolą od tego leżenia.

Przez chwilę nie zmieniał pozycji, potem powoli opuścił nogi na ziemię, opierając się rękoma o brzeg materaca. Łóżko skrzypnęło.

- I jak? - zaciekawiała się dziewczyna, przekręcając głowę.

- Dziwnie.

- Meran! Meran! - krzyknęła. - Zobacz!

Gospodyni wychyliła się zza drzwi i zerknęła na elfa.

- Tak, ładny widok. Tylko nie wymiotuj na podłogę, w rogu jest wiadro.

- Czemu miałbym wymiotować?

- Czasem od zawrotów głowy są mdłości, a ty zjadłeś dziś sporo. Może cię zemdlić.

- Nie mdli, tylko mi się kręci w głowie, ale zaraz przestanie. - Wbił wzrok w podłogę, na której dostrzegł ślady żerowania polnych

gryzoni.

- Meran, masz myszy.

- A tak, wiem. Jak co zimę.

- Aha - odrzekł, prostując się i wyciągając ramiona w górę. - Uch - stęknął i powtórzył czynność.

Nora obserwowała go z nieukrywaniem zainteresowaniem. Rozcięcie w koszuli na klatce piersiowej ukazywało gojącą się zszżytą ranę. Skóra była spuchnięta, ale zdrowa.

- Już się nie kręci?

- Nie, już nie. No, to teraz czas wstać - uśmiechnął się i spróbował się podnieść.

Przeliczył się jednak i runął jak długi, orając nosem w drewnianą podłogę.

Nora i Meran podbiegły natychmiast, by mu pomóc.

- Nie! - syknął, podnosząc się na ramionach. - Ja sam. - Z nosa pociekła mu krew.

- Ale... - jęknęła dziewczyna.

- Zostaw - upomniała ją uzdrowicielka. - Niech spróbuje.

Zaparł się i uniósł na drżących rękach. Słona krew napłynęła mu do ust, poczuł jej lepkość i metaliczny posmak. Stęknął kilka razy i uklęknął, dysząc ciężko i pocąc się obficie.

- Na Odkupicieli - zamarudził. - Nie sądziłem, że to będzie takie trudne.

Nie poddawał się jednak. Nigdy tego nie robił. Wstał z klęczek, powoli podpierając się o stołek i o ścianę, po czym chwiejąc się i zataczając dotarł do łóżka. Opadł na nie i położył ręce na kolanach.

- No to mamy postęp - mruknęła Meran i wróciła do swoich zajęć, jak gdyby nigdy nic. Nora zaś stała z założonymi na piersi rękami uśmiechnięta od ucha do ucha. Policzki jej się czerwieniły z podekscytowania, a oczy lśniły.

- No i co się cieszysz? - rzucił od niechcienia, zerkając spode łba.

- Jak to - Podeszła i usiadła obok, kładąc mu rękę na udzie. - Bo już jest tak dobrze.

- Masz rację. - Położył dłoń na jej dłoni. - Jestem niezwykle wdzięczny tej wyjątkowej kobiecie. Nie wiem jeszcze, jak się jej mam odplacić.

- Słyszałam i zapamiętam - odezwała się z kuchni gospodyni, krojąc jakieś korzonki.

- Nie podsłuchuj, kobieto - zażartował. - Wiesz, że to nieładnie? Uzdrowicielka wychyliła głowę zza futryny i puściła mu oko.

- Wybacz, mój drogi, brak wychowania.

Atmosfera stała się lekka i przyjemna.

- Teraz będę mógł jeść z wami. Wreszcie posiłki przy jednym stole. To strasznie pocieszające.

- A ten znów o jedzeniu - pisnęła Nora.

Leto wzruszył ramionami w geście oznaczającym „co ja mogę na to”.

- Dobrze, niech je. Szybciej wróci do zdrowia. Domyślam się, że będzie musiał popracować nad sobą. Znaczący się, nad umiejętnościami z jakimi tu dotarł. Potem jeszcze czeka go szkolenie wieśniaków. Nie zapominaj. Myślę, że za około dwa tygodnie będziesz gotowy. Pamiętaj, to prości ludzie, trzeba do nich jak do cieląt.

- Tak, pamiętam. Już kiedyś ktoś mi o tym wspominał.

- Świetnie, teraz się połóż. Wieczorem spróbujemy cię z Ulfrikiem zabrać na spacer po domu. Niech nogi przypomną sobie, po co je masz. A tak na marginesie, zaraz zaparzę ci wzmacniających ziół.

- Świetnie, ale błagam cię, kobieto, niech to nie będzie to ohydztwo, którym mnie poiłaś przez ostatnie dni.

- Takie złe?

- Obrzydliwe.

- To ci posłodzę.

- No, pocieszające. - Skrzywił twarz, patrząc w oczy Norze. Ta odwróciła wzrok zawstydzona.

Uzdrowicielka jak obiecała, tak zrobiła. Wraz z Ulfrikiem wieczorem wyciągnęli go z łóżka. Samo ustawienie stóp twardo na ziemi było nie lada wyczynem. Leto sapał i pocił się, ale nie ustępował. Oni zaś spokojnie znosili jego prychanie i złość. Kiedy udało mu się wyprostować, cieszył się jak dziecko. Szkoda tylko, że pierwsze kroki wychodziły mu gorzej niż rocznemu berbeciowi. Stopy wyginały się w każdą stronę, nie chcąc współpracować z umysłem. Przesuwał się jednak krok po kroku, uparcie dążąc do celu, jakim był stół w kuchni. Kiedy już do niego dotarł, opadł zmęczony na stołek, trzymając się kurczowo krawędzi. Ręce nie były tak mocne, jakby sobie tego życzył, ale potrafił przy ich pomocy utrzymać równowagę.

- No - odezwała się w końcu kobieta, stawiając aromatyczny gulasz z kaszą przed jego nosem - teraz będziesz jadł sam. - Wcisnęła mu drewnianą łyżkę w rękę.

Leto zawahał się, ale uniósł ją, przedmiot jednak upadł i potoczył się z trzaskiem na podłogę. Zaklął soczyście i skrzywił się, wyrażając tym zażenowanie i złość.

- Spokojnie - podała mu łyżkę. - Spróbuj jeszcze raz.

Uczynił, o co prosiła. Tym razem zanim ją podniósł, upewnił się, czy palce ściskają przedmiot na tyle mocno, by mógł go unieść. O dziwo, udało się. Na jego twarzy pojawił się grymas, który spokojnie można było nazwać uśmiechem.

- No to smacznego - odezwał się z drugiego końca stołu Ulfrik, zabierając się za posiłek.

Meran uczyniła dokładnie to samo, siadając jednak blisko elfa tak, by w razie potrzeby móc mu pomoc. On jednak niezgrabnie acz zdecydowanie wiosłował w stawie, nie raz brudząc sobie brodę sosem. Mięśnie ramienia mu się trzęsły, nie był w stanie tego opanować.

Zdawał sobie sprawę, że za kilka dni będzie lepiej. Musiał zaufać Meran i jej magicznym specyfikom uzdrawiającym, nawet tym obrzydliwym. Leczyła go przeważnie ziołami. Zauważył, że nie użyła ani razu swojej mocy uzdrowicielskiej. Zaintrygowany, leżąc już w łóżku, zapytał się jej:

- Meran!?!?

- Tak? - odezwała się, wychylając jak zawsze głowę z kuchni. Tym razem dziergała na drutach gruby sweter dla Ulfrika, gdyż stary miał niewyobrażalne dziury.

- Czemu nie leczyłaś mnie swoją mocą, tak jak zrobiłaś to w przypadku Nory, kiedy zaatakowały ją wilki?

- Zauważyłeś jednak.

- Tak.

- Nie chcę mieć nic wspólnego z twoją krwią. Nie wiem, czy nie jest zatruta.

- Co masz na myśli? - zdziwił się.

- Mag mógł cię zatruć jakimś jadem lub trucizną. Ten paraliż nie wiąże się wyłącznie z utratą krwi czy użycia zimna. Gdy wszystko ustąpi, skorzystam z moich zdolności. Na razie poczekam, aż krew sama ci się oczyści. Widzisz, twoja rana...

Elf przejechał smukłymi palcami po klatce piersiowej, dotykając zasklepiającej się blizny.

- Zrasta się inaczej niż zwyczajne rany - kontynuowała. - Stała się gruba i nieregularna, a powinna być cienka i różowa.

- Co to ma wspólnego z trucizną we krwi?

- A to że spowolniła procesy zdrowienia. Organizm się bronił, ale nie był dostatecznie silny, temu taki efekt. Wiem, że jesteś wyjątkowy, tak więc i ta blizna stanie się wyjątkowa.

Wierzę, że odegrasz dużą rolę w naszej wsi w czasach mroków.

- Mroków?

- Tak nazwali wieśniacy ten czas, „mroki” Strach przed kolejnym dniem czy nocą sprawia, że kryją się jak szczury w swych izbach, błagając o spokojny sen.

Westchnął i oparł głowę o poduszkę, a w powietrzu kręcił kółka nadgarstkami i przecinał powietrze palcami, ćwicząc koordynację. Miał też pod poduszką sztylecik, który co rusz ujmował w dłoń i próbował wykonać zamach bronią. Zajmowało mu to godziny, wierzył jednak, że lekkie ćwiczenia pomogą mu szybciej wrócić do zdrowia. W myślach powtarzał jak mantrę słowo usłyszane od uzdrowicielki. Mroki. Mroczny czas.



## Rozdział III

Niech to szlag! - Leto zaklął szpetnie, przewracając się na bok. Coś strzeliło mu w kostce, sprawiając, że zerwał się na równe nogi i złapał się za nią.

Wyjrzał przez okno, masując się po nodze. Była piękna zimowa noc, księżyc błyszczał na niebie. Było widno prawie jak w dzień. Uśmiechnął się do siebie, ból minął tak szybko, jak się pojawił. Jednak spać mu się nie chciało, jedynie pragnienie zaczęło suszyć mu gardło.

Pokuśtykał więc na jeszcze słabych nogach do kuchni, nalał kubek wody i usiadł przy stole, popadając w odrętwienie. Myśli odpłynęły, ciało zeszywniało w pozycji, w jakiej usiadł. Od czasu ataku miewał stany melancholii trwające czasem kilka godzin. Ocknął się jednak po krótkim czasie, wracając do rzeczywistości. Dopił wodę i wrócił do łóżka, potykając się o drewniany klocek.

- Uwielbiasz hałasować w nocy, co? - odezwała się Meran popijająca mleko. - Każdej nocy to samo. Wędrujesz do kuchni, chlipiesz wodę i hałasujesz.

Elf podrapał się po zmierzwionej czuprynie, uśmiechając szarmancko do kobiety.

- Cóż ci poradzę, jak mnie suszy.

- To bierz dzbanek koło łóżka, nie będziesz musiał skakać przez klocki po nocach.

- Już nie marudź, kobieto - jęknął Ulfrik, skacowany po wieczornym wypadzie do Andersa.

- Tak, chłopie - burknęła. - Ty to lepiej nic nie gadaj.

- Eee - machnął na nią ramionami i włożył głowę do wiadra z zimną wodą. - Brrr - rozchlapał krople na pół izby, trzęsąc włosami albo raczej tym, co mu z nich zostało. -

Wspaniale, od razu mi lepiej.

- Teraz wycieraj. - Obróciła się do niego plecami, nie przerywając popijania mleka.

Leto wyciągnął się w drzwiach, dotykając dłońmi futryny. Do jego nozdrzy dotarł zapach dobrze mu znanych paskudnych ziółek. Meran nadal go poiła tym świństwem. Mimo, że dosładzała to miodem, smak naparu zostawał na języku jeszcze pół dnia, gryząc goryczą kubki smakowe. Co prawda przyzwyczał się już do niego i nauczył się go ignorować, ale marzył o odmianie lub kolejnej dawce uzdrawiającej mocy, jaką kilka tygodni temu zafundowała mu uzdrowicielka. Nigdy nie zapomni ciepła jej dłoni, które przeszywało go na wskroś. Co dziwne, wprawiało jego skórę w drżenie i wywoływało gęsią skórkę. Potem jednak zaczął normalnie lub raczej w miarę normalnie funkcjonować.

Wieś była spokojna, nic się nie działo. Nora stała się u nich częstym gościem i towarzyszyła mu w pierwszych spacerach. Cechowała ją w tym niezwykła wytrwałość.

Dotrzymywała też umowy i nie dopuszczała do niego nachalnej dziewczuchy. Wdzięczność wypełniała jego serce. Stawała się dlań siostrą, jakiej nie miał.

Od czasu ataku coś się zmieniło. Wszyscy odnosili wrażenie, że głusza zamilkła. Było to zaskakujące, bo okalające wioskę lasy zawsze były pełne krzyku leśnego ptactwa, pohukiwania sów oraz szelestu przechadzających się i żerujących zwierząt. Nie było nawet słyhać trzasku gałązek, jedynie w jasne gwieździste noce w oddali, kiedy nasłuchiwali.

Tylko pojedyncze wycie wilka przeszywało mrok. Prawie

podchodził pod wieś. Nikt tego nie lubił, ale tej ciszy także. Mieszkańcy stali się nerwowi i kłótlivi, wybuchały sprzeczki o byle drobnostki, które Anders i uzdrowicielka tłumili. Ludzie mało co wychodzili poza obrzeża swoich siedzib, pielęgowali obejścia, zwierzęta i siebie. Wewnątrz tych mikro społeczności prawie zamarła międzyludzka komunikacja. Nie było już chodzenia do sąsiadów po drobne rzeczy. Jedynymi wyrwanymi z tej maligny byli uzdrowicielka, Ulfrik, Nora i Leto.

Tylko oni przemieszczali się swobodnie, nawet taki radykał, krawiec Anders, wielbiciel domowego miodu, raczej trzymał się blisko domu. Całe to zachowanie sprawiło, że dieta stała się uboższa, a mieszkańcy wsi zaczęli chorować i nie pomagały przekonywania Meran, by schować strach i wrócić do poprzedniego stanu.

Leto popołudniami wychodził w nadziei, że spotka kilku chętnych do nauki prostych zasad fechtunku i obrony. Nora niezmordowanie towarzyszyła mu w tych wyprawach, niestety jedynym, który pobierał lekcje, był Ulfrik, zaś Meran przyglądała się uważnie poczynaniom męża wywijającego coraz sprawniej wykutą specjalnie dla niego buławą. Elf zaczynał powolutku być z niego dumny, jak i Nora, która dokładała swoje zdanie oraz umiejętności walki wręcz. Leto też nie spoczął na laurach. Ledwo odzyskał sprawność w dłoniach, poszły w ruch ostrza różnego kalibru i kształtu. Uzdrowicielka przygotowała mu nawet w chacie kąt do ćwiczeń, by w spokoju mógł dochodzić do wymarzonej perfekcji.

- Głodny? - zagadnęła gospodyni, przyglądając mu się. - Znowu się zamyśliłeś?

- Co proszę? A tak. Tak, głodny.

Usiadł obok niej, sięgając po chleb i mleko. Spode łba zerkał na

Ulfrika mocującego się ze szmatą i próbującego wytrzeć mokre ślady.

Nachylił się do kobiety, przysłaniając ręką usta tak, by nie usłyszała.

- Nieźle tresowany.

Wybuchła gromkim śmiechem. Ulfrik wyprostował się, pociągnął nosem i rzucił im pogardliwe spojrzenie.

- Słyszałem, szelmo - burknął, wygrażając szmatą. - A powiedz komu, że mnie baba ze szmatą po domu gania, to jak kocham Odkupicieli, uwalę łeb tą buławą.

Jego złość jednak miała odwrotny skutek do zamierzonego, bo dwoje siedzących przy stole ludzi ponownie się zaśmiało, tak, że mleko rozlało się na drewniany blat stołu.

- A niech was... - Rzucił szmatą i wyszedł, trzaskając drzwiami.

- U zdenerwował się - odezwał się Leto z uśmiechem na ustach, wzruszając ramionami.

Meran kiwnęła lekceważąco w stronę drzwi.

- Niech idzie. Pewnie znów go cały dzień nie będzie. Dla mnie spokój i dla niego.

- Fajna z was para. - Upił mleka, zerkając z nad kubka.

- To nas różni od innych.

Gospodarz szybko jednak wrócił. Z dłońmi unurzany we krwi, biały jak ściana. Zdążył tylko wymamrotać sinymi ustami coś niezrozumiałego i padł jak długi na progu. Meran podbiegła do niego, kładąc rękę na sercu. Żył, nic mu nie było, zwyczajnie zemdłał. Jednak tego widoku Leto nie zapomni nigdy w życiu. Jak długo przebywał z tymi ludźmi, nie widział uzdrowicielki tak przerażonej. Zbladła, a magia w niej tkwiąca wręcz wylała się z dłoni w momencie dotykania ukochanego. Nie mógł wyobrazić sobie głębszej rozpacz. Kobieta pozbierała się z ziemi i chlusnęła

wiadrem z wodą, które nadal stało w kącie, na twarz Ulfrika. Zakrztusił się i obudził natychmiast, wydmuchując z nosa wodę.

- Co się dzieje? Gdzie żeś się tak urządził? - wycharczała, cały czas walcząc z emocjami.

- To nie ja. To tam, za naszym płotem. Wiedziałem, że tak to się skończy.

- Co za płotem?

Wskazał jedynie ręką miejsce, z którego przyszedł. Na śniegu widniały odciski stóp i krwawe ślady. Meran podążyła tym tropem, a za nią elf, ściskając jadeitowe ostrze. Śnieg nie był ubity w miejscu, do którego szli. Było na nim widać ślady stóp oraz ogromne odciski psich lub wilczych łap. Leto przykucnął i delikatnie dotykał tropów.

- Wilk. Jeden - odezwał się, analizując ślad. - I to duży.

- Pewnie ten, co nas ostrzegął.

- Kiedy?

- Jak nieśliśmy cię do domu po tym całym zamieszaniu. Na Odkupicieli! - Położyła dłonie na twarzy, zakrywając ją całą.

Leto wyprostował się, zacisnął pięści i podszedł bliżej, zaraz jednak odwrócił głowę w drugą stronę, nie mogąc znieść widoku. Na śniegu leżało całkowicie zmasakrowane ciało. Wszystko musiało wydarzyć się najwyżej godzinę temu. Oboje byli zaskoczeni, bo niczego nie widzieli, ani nie słyszeli.

- Nie wiem, kto to - jęknęła, nie ściągając rąk z twarzy. - I chyba nie chcę wiedzieć.

- Pewne jest to że nie żyje. - Podszedł do zwłok, przyglądając się im bliżej. Zapach krwi i wnętrzości dotarł do jego nozdrzy. Zrobiło mu się niedobrze. Widywał zabitych, sam zabijał, powinien być odporny na taki widok. Ten jednak był makabryczny. Spod płątaniny jelit ziała jama pustego ciała, krew wsiąknęła w śnieg,

tworząc złowróźbny okrąg. Gardło rozszarpane, z wyjętą krtanią, która leżała obok, było puste, twarz unurzana w skrzeplinach nie do rozpoznania.

- Idź po wiadro z wodą - nakazała mu. - Trzeba zobaczyć, kto to  
Spełnił jej prośbę. Szybko wrócił i chlusnął zmarłemu w twarz.  
Uzdrowicielka przetarła ją wilgotną szmatką, po czym usiadła na  
ziemi, zanosząc się głębokim szlochem.

Leto nic nie widział, zasłaniała mu.

- Kto to - wyszeptał, coraz bardziej przerażony.

- Idź po Andersa.

- Anna.

- Idź, do cholery, po niego! - krzyknęła, ale zaraz przeprosiła. Jej  
ciałem co rusz wzdrygał szloch.

Elfowi zrobiło się nieswojo. Poczł dreszcze przeszywające jego  
ciało. Powoli ruszył w kierunku obejścia krawca. Jego myśli  
krążyły wokół zmarłej jak kruki żądne jej mięsa.

Zacęło do niego docierać, że po części był winny jej śmierci. Ta  
obsesja Anny na jego punkcie stała się wręcz chorobliwa, nie mógł  
się od niej opędzić. Był szczęśliwy, gdy nie musiał jej oglądać. A  
teraz... jak on to powie jej ojcu? Była najmłodszą i najbardziej  
ukochaną córką, choć była też krnąbrna i uparta. Jego pięść  
zawisła tuż przy drzwiach Andersa.

Kilkakrotnie podnosił i opuszczał rękę, by zapukać. W końcu się  
odważył. Drzwi uchylły się i ukazała się w nich zmęczona twarz  
ojca.

- Leto, ty tutaj?

- Andersie...

Stary mężczyzna wyczuł w jego głosie niepewność i drzenie.

- Co ty tu robisz? Wejdz. Anno! Ale będzie miała niespodziankę.  
Już zacząłem się przyzwyczajać do tej jej miłostki do ciebie.

Podrośnie, to jej przejdzie. Anno! - Odwrócił się, by wejść głębiej i wpuścić gościa.

- Andersie.

- Tak?

- Anny nie ma w domu.

- Co? Przeklęta dziewucha. Znów wymknęła się, by wisieć u was na płocie, tak? Nie wiem, co z tymi młodymi...

- Andersie... - powtórzył po raz kolejny jego imię. Człowiek zwietrzył złe nowiny.

- Co chcesz mi powiedzieć? - Podszedł do niego tak blisko, że prawie stykali się nosami.

- Chodź ze mną.

Elf, nie patrząc na niego i nadal ściskając w jednej ręce ostrze, powlekł się w stronę domu uzdrowicielki i Ulfrika. Anders zarzucił płaszcz na plecy i poczłapał za nim. Przez całą drogę nie odzywali się do siebie. Kiedy dotarli na miejsce, pokazał mu tylko palcem, gdzie ma iść, po czym wyszeptał, spuszczaając głowę, by ukryć łzy, które same napłynęły mu do oczu.

- Przepraszam. Bardzo mi przykro.

Mężczyzna spojrział oczami pełnymi lęku i pobiegł w stronę, którą mu wskazał elf. Na ziemi zastał uzdrowicielkę, która zdążyła przykryć kocem zmarłą, jednak krwawej plamy nie udało się jej zakryć. Starzec upadł na kolana, zawodząc i dławiąc się.

- Moje dziecko. Moje dziecko - powtarzał jak mantrę.

Pozbierał się ze śniegu i podszedł bliżej uzdrowicielki, jednak przytrzymała go za ramię.

- To nie jest miły widok.

- Gównu mnie to obchodzi. - Odepchnął ją tak mocno, że upadła. Leto podbiegł, by pomóc jej wstać.

Jednym ruchem zerwał koc z ciała. Był już przesiąknięty krwią.

Mężczyzna nie wytrzymał widoku i zwymiotował do pobliskich krzaków.

- Moja mała córeczka! - Cały czas zawodził.

Meran podeszła do ciała, przykryła je z powrotem i pociągnęła starca za sobą do izby. Nie miał już ani siły, ani woli, by się jej sprzeciwić. Patrzył obojętnie na wszystko spod opuchniętych powiek. Leto posnuł się za nimi, nerwowo rozglądając na boki, jakby spodziewał się, że coś wyskoczy mu zaraz na plecy, jednak nic takiego nie miało miejsca.

- Siadaj - nakazała krawcowi, lejąc solidny kubek bimbrowa i podtykając mu pod nos.

Sama również nie pogardziła sporym kubkiem.

- Powiedz mi, pamiętasz, kiedy Anna wyszła?

Mężczyzna pokiwał głową przecząco. Leto wbił się w słowo:

- Jak przyszedłem, myślałem, że Anna jest w domu.

- Musiała się wymknąć tylnymi drzwiami, jak jeszcze spaliśmy - zachlipał i skulił się na krześle. - Wszystko to twoja wina, przeklęty ostrouchy czarciu! - Rzucił się na elfa, powalając go na ziemię. - Gdyby nie ty, ona nadal by żyła!

Ulfrik odciągnął go od Leta, ale nadal szarpał się i miotał, bluzgając leżącego.

- Uspokój się, do cholery! - wrzasnęła uzdrowicielka, uderzając go w twarz.

Opanował się, lecz twarz miał ściągniętą i czerwoną, pewnie za sprawą trunku i zdenerwowania.

- Wszystko to twoja wina. Obiecuję, że cię zabiję - mamrotał. - Zabiję, jak kocham Odkupicieli. Zapłacisz mi za to.

- Dość! - wrzasnęła Meran, trzaskając kubkiem o stół. - Zachowujecie się jak dzieci!

To niczyja wina! A przynajmniej nie wina Leta! Twoja córka



szwendała się za nim, nie dawała mu spokoju! Nora, ja, Ulfrik... wszyscy jej tłumaczyliśmy, żeby przestała! Wiedziała, jak było, że jest niebezpiecznie, że nie wolno jej się samej pałętać po wsi, a tym bardziej poza nią. A jak wiesz, nie mieszkamy we wsi, a z boku, więc, na Odkupicieli, zejdź, do cholery, z niego! - skończyła i usiadła z impetem na stołku. Mebel trzasnął pod jej ciężarem.

Leto pozbierał się z ziemi. Nadal miał w dłoni jadeitowe ostrze, schował je więc pod poły płaszcza, zerkając podejrzliwie na Andersa.

- Trzeba spalić ciało - odezwała się, nalewając sobie kolejny kubek.

- Nie pozwolę, by moją dziecinę spalono! - syknął krawiec.

- To niech ją ożywią i sam będziesz się za ghulem uganiał z widłami, proszę bardzo. - Wstała, wzięła chustę i wyszła na ganek, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Dla niej to też było troszkę za dużo jak na przeżycia z jednego poranka. Leto wziął jej płaszcz i zarzucił kobiecie na ramiona. Położyła mu dłoń na ręce, uśmiechając się lekko.

- Idź po oliwę. Mam gdzieś, co ten stary głupiec powie. Im szybciej to załatwimy, tym lepiej.

Spełnił jej prośbę i poszedł do komórki na podwórzu po beczułkę oliwy do kaganków. Za nim poszła Meran, klnąc pod nosem na swój los. Widział, jak znika za płotem, skierował się zatem w tamtą stronę.

- Lej - nakazała.

Wylał oliwę na zwłoki i jeszcze raz spojrzął na zmarłą. Oczy były matowe, a nie jak niegdyś błyszczące i czułe. Stały się jak dwa kamienie. Twarz nie wyrażała niczego. Czasem zmarli pokazują ostatnie emocje przed śmiercią, jednak ta twarz była pusta. Westchnął i odsunął się od niej. Bił się przez chwilę z

myślami, potem obrócił się i podszedł do bramy, chwytając zziębniętymi rękami furtkę. Uzdrowicielka wyciągnęła dłoń, odmówiła krótką modlitwę pogrzebową i z palców wystrzeliły iskierki. Chwilę potem drobne płomyki spłynęły na ciało, zapalając je natychmiast. Słup ognia objął zmarłą, trzeszcząc i zawodząc na wietrze.

Meran opuściła dłoń i schowała w kieszeni płaszcza. Obróciła się tylko, by spojrzeć na elfa, który wisiał u bramy, patrząc na to wszystko nie wyrażającym nic wzrokiem. Kąciki ust mu opadły, a twarz znów nabierała wyrazu głębokiej zadumy. Z chaty wybiegł Anders, wrzeszcząc wniebogłosy. Dobiegł do płomieni, jednak natychmiast się cofnął, gdyż zar poparzył mu czoło.

- Odsuń się - powiedziała spokojnie Meran.

- Cholerna kobieto, czemu zawsze robisz to czego nie powinnaś? To moje dziecko, moje dziecko! - załkał i usiadł na śniegu, bujając się to w przód, to w tył i zawodząc żałośnie.

- Co ja powiem Katlyn?

- Powiesz, że się zaczęło. - Ominęła go, ciężko stąpając po zamarznętej ziemi.

Podeszła do Leta i skinieniem głowy pokazała mu dom.

- Co się zaczęło?!?! - wrzasnął Anders.

- Zemsta.

Zatrzasnęła za sobą drzwi. Leto usiadł przy piecu, zerkając na podwórze i na skuloną sylwetkę starca klęczącego nadal przy dymiących się jeszcze zwłokach córki.

- Jesteś okrutna, wiesz? - w końcu się do niej odezwał. Poczł jednak groźny wzrok Ulfrika na sobie.

- Nie jestem okrutna, jestem praktyczna.

- Co masz na myśli? Mogłaś pozwolić mu pożegnać córkę, a ty co? Kazałaś ją spalić.

A co z matką? Wiesz, co będzie czuła?

Meran usadowiła się wygodniej, zaglądając mu głęboko w oczy.

- Już ci mówiłam, tak będzie najlepiej. Znam Katlyn. Nie dałaby ruszyć ciała. Tak było za każdym razem, gdy umierało jej dziecko. Ostatnie wyrwaliśmy jej z rąk w stanie takiej zgnilizny, że wolę nawet już o tym nie myśleć.

Leto zmarszczył brwi.

- To oni mieli więcej dzieci?

- Tak. Anna była ostatnia. Potem każde, które się rodziło, umierało, nie wiadomo na co, w ciągu kilku tygodni. Katlyn jest szalona, Anders trzyma ją w osobnym pokoju.

- Hmm - pomyślał - to pewnie dlatego nigdy jej nie widziałem. Nawet się nie zastanawiałem nad tym, czy ma żonę.

- Tak więc sądzę, że zrobiłam dobrze.

Elf kątem oka zobaczył, jak Anders zbiera się ze śniegu i idzie w stronę domu. Było mu go żal. Wydał się jeszcze mniejszy niż w rzeczywistości, skulił się w sobie i zniknął za zakrętem. Jednak po czasie wrócił z glinianym dzbanem. Leto dobrze wiedział, po co mu był.

Wieści bardzo szybko rozniosły się po wsi, ciekawscy wieśniacy grupkami podchodzili do chaty uzdrowicielki, by zerknąć na miejsce rzezi. Szybko odchodzili, zasłaniając twarze rękami. Krwawa plama jarzyła się na tle bieli śniegu tak mocno, że oślepiała ich swoją czerwienią. Jedyne, co zostało po Annie, to wspomnienia i dzban z jej prochami, który Anders zaniósł do domu. Elf nie widział dramatu, jaki odegrał się w obejściu krawca. Może i dobrze, pewnie znów targnęłyby nim głęboko poukrywane wyrzuty sumienia.

Po kilku dniach Katlyn powiesiła się na belce od stropu, nie mogąc znieść straty kolejnego dziecka. Anders zaś zaszył się w

domu, nie wychodząc z niego wcale, co stało się bardziej niż niepokojące, bowiem był ważną personą we wsi i stanowił ogromną podporę dla reszty wystraszonych ludzi. Nawet Ulfrik nie był w stanie do niego dotrzeć, dzierżąc pod pachą beczułkę z bimbrem.

- Co nas jeszcze spotka, jak myślisz? - jęknęła Nora, bawiąc się kosmykiem włosów.

Elf wyciągnął się, stając w drzwiach jej chaty.

- Pewnie dużo. Meran mówi, że to dopiero początek.

- Przeraza mnie to teraz. Jak nie mam inwentarza, obejścia do obrobienia i pól, dni spędzam na szkoleniu się w fechtunku. Spójrz. - Pokazała mu ręce, na których przez cienką jasną skórę przebijały się mocno wypracowane mięśnie.

Leto uśmiechnął się do niej.

- Jesteś chyba jedyną, która robi cokolwiek. Nadal nie mogę przekonać wieśniaków do nauki, choć muszę ci się przyznać, że jakoś nie mam ochoty na zmuszanie ich do czegokolwiek. Marny byłby ze mnie nauczyciel. Teraz, jak Anders zamknął się w chacie, nie ma kto nawoływać ludzi do uczenia się obrony.

Wzruszyła ramionami na znak, że rozumie, co ma na myśli i wróciła do kręcenia kosmyka włosów na palcu.

- A jak twoje zdolności? Wracają? - zapytała.

- Tak. Codziennie Meran robi uniki, by nie dostać z czegoś.

Zaśmiała się.

- Jeszcze nam uzdrowicielkę zabijesz.

- Nie martw się, jej się nie da zabić. Ostatnio zaczyna używać jakichś barier magicznych. Przeraziłem się pewnej nocy, jak w mroku zobaczyłem parę błękitnych oczu.

- Pewnie szykuje się na wojnę, na wielką bitwę. Sama się tych iluzjonistów boję.

- Tak, są groźni, ale co zaskakujące - odchrząknął - nie

widziałem nic, nawet śladów butów na śniegu, tylko wilcze. Co gorsza to ślady wyłącznie jednego zwierzęcia i to tego, który zabił dziewczynę.

- Skąd ta pewność?

- A stąd, że ten wilk kuleje na tylną nogę i nie ma w niej jednego pazura. To wciąż to samo zwierzę zostawia ślady.

- Czyli jakie wnioski?

- Takie, jak już kiedyś mówiłem. To wilk zabitego przez uzdrowicielkę maga się mści.

Tylko czemu jest sam i nie ma innych magów?

- Tak, to zastanawiające. - Poprawiła się na stołku, podpierając brodę ręką.

- Wiesz, Leto, chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił.

- Co takiego?

- Zamieszkać ze mną.

Zesztywniał i rzucił jej pełne podejrzliwości spojrzenie.

- Co? Co ty insynuujesz?

- Głuptasie - westchnęła, marszcząc czoło. - Mieszkam sama i po tym wydarzeniu z moimi rodzicami, a teraz z Anną, zaczynam się bać. Chciałabym, by ktoś był obok, a wiem, że się gnieciecie u uzdrowicielki. To mniejsza chata niż ta, a tu miałbyś własny kąć.

- I miałbym zrezygnować z owsianki Meran?

- Ty... ty okropny jesteś, wiesz?!?! - syknęła. - Ja tu o bezpieczeństwie mówię.

- A ja o świetnej kuchni Meran.

Machnęła na niego ręką.

- Zapomnij, że pytałam, głupia byłam.

- Oj, przestań się dąsać. Przemyślę twoją propozycję. W końcu jesteś dla mnie jak siostra.

- Siostra - powtórzyła cicho, kładąc głowę na stole i wpatrując

się w ogień. - Fajne słowo. Już dawno go nie wypowiadałam. Siostra... Jak przyjdą roztopy, będę musiała się przejść do sióstr i powiedzieć im o wszystkim. Nie wiem, czy dam radę. Są takie... no wiesz.

- KobiECE?

- O Z ust mi to wyjąłeś. Takie kobiece, w przeciwieństwie do mnie - zaperzyła się.

- Nie użalaj się nad sobą. Jesteś silna i wyjątkowa, w twych działaniach nie ma tobie podobnej.

- Dzięki, piękny komplement.

- Baby - burknął prawie niesłyszalnie.

Wieczór już zapadł, zima też niedługo zacznie ustępować. Dało się wyczuć w powietrzu wilgotny powiew cieplejszego wiatru. Śnieg jeszcze padał od czasu do czasu, więc krajobraz nadal był czarnobiały, stawał się jednak ciężki i mokry, a i mrozy robiły się łżejsze.

Wracając do domu uzdrowicielki, elf rozmyślał o wszystkim, co się wydarzyło i co zapewne w niedługim czasie się stanie. Ciężko mu to brzemie, którym obarczyli go zaraz po przybyciu do wsi. Wspomnienia jednak były dość odległe, a zima wryła się w świadomość tak mocno, że nie umiał sobie wyobrazić na tę chwilę zielonych gałązek czy traw. Serce miał zimne, tak jak wszystko, co go otaczało, włącznie ze strachem chłopów przeszywającym go jak ostrze.

Nagle zamarzył o samotności i spokojnej szerokiej drodze. Zaczynał się dusić, więc pewnie skorzysta z czasu, jaki tu jeszcze musi spędzić i będzie sam przeżywał dni, wędrując po obrzeżach wsi i patrolując okolice, skoro jego pomoc została odrzucona przez ludzi.

Rozmyślając, zboczył z trasy i niechcący przeszedł obok domu

Andersa. W oknie paliło się światło, świeca lśniła i migotała, intrygując swym płomieniem. Podszedł bliżej, zaglądając do środka, wiele jednak nie mógł dostrzec. Wnętrze było ukryte w półmroku zapadającego wieczoru, ale skoro świecą, był i Anders. Postanowił wejść na chwilę i sprawdzić, jak się czuje. Nadal miał wyrzuty sumienia. Wizyta co prawda nie ukoji skołatanych nerwów, ale może sprawi, że zostanie mu wybaczone.

Nacisnął klamkę, która lekko ustąpiła pod jego dotykiem. Sam nie wiedział, czemu nie zapukał. Drzwi też były solidnie naoliwione, więc otwarły się lekko, zapraszając. Leto wszedł cicho, wytyżając słuch. Doszły do niego odgłosy rozmowy. Zamknął drzwi i przylgnął do nich, zamykając oczy i skupiając się na dochodzących go dźwiękach.

- Co mnie to do cholery, interesuje - syczał krawiec. - Obiecałaś mi, a teraz jej nie ma.

- Obiecywałam, ale widocznie choroba ją tak pochłonęła, że nawet moja magia nie pomogła. Zobacz, widzisz?

Leto bezszelestnie podszedł bliżej, cały czas plecami przywierając do ściany i uważając na przedmioty pod nogami. W blasku zapalonej świecy zobaczył dwie sylwetki.

Bez wątpienia był to krawiec. Siedział przy stole, zaś obok niego z wyciągniętą w jego stronę dłonią, stała wysoka i szczupła postać. Po głosie rozpoznał, że była kobietą.

- I co mi pokazujesz tę rękę? Widzę blizny, ale one nie oddadzą mi ani Anny, ani Katlyn.

- Prosiłeś o moją krew - zdenerwowała się. - Nic nie poradzę, że wilk Savatiusa się wściekł. Nie mamy nad nim władzy, był mu przypisany. Zabije wszystkich, którzy byli blisko w trakcie śmierci jego pana.

- Co mnie to obchodzi? To przez was Anna nie żyje, trzeba było

bestię zabić.

- Nie możemy, takie mamy prawo. A Katlyn była zbyt chora, zbyt obłąkana, by ją uleczyć. Sam widziałeś, że jedyne, czego udało się dokonać, to uspokojenie jej szału.

- Tu masz rację - westchnął, chowając twarz w dłoniach.

Elf przylgnął do futryny. Ciemność była jego sprzymierzeńcem, słuchał dalej ukryty w swej kryjówce.

Kobieta weszła w snop światła. Teraz mógł się jej przyjrzeć. Miała może trzydzieści lat, pociągłą twarz o bardzo znajomych mu rysach, którą okalały jasne włosy opadające falami na ramiona i plecy. Usta miała delikatne i drobne, a dłonie smukłe, zwieńczone białymi chudymi palcami. Ubrana była w tę samą szatę, co mag, który omal go nie zabił. Na szyi również widniał symbol iluzjonistów. Jediną rzeczą, która ją różniła, był sygnet zatknięty na kciuk. Rzadko widywało się taki sposób noszenia biżuterii. Był ciężki, pewnie ze srebra i widniało na nim coś na wzór jakiegoś runicznego symbolu, nie mógł dostrzec przez mrok.

- Wiesz, po co przyszedłam.

- Dałem ci już wszystko, co miałem.

- Zakłęłam twoją krew wilka - parsknęła, wykrzywiając usta.

- Po co mi on teraz? Czego ma bronić?

- Do cholery! - Podniosła w górę dłonie, jakby wzywała w geście wiary Odkupicieli - Wiesz, że zaciągnięty dług wymaga spłaty. Wielki mistrz zażądał jej teraz.

Starzec wstał i podszedł do niej, łapiąc ją za szaty.

- A czy nie dałem im własnej córki?!?! Spójrz, kim się stałaś!

Opuściła głowę, wbijając wzrok w podłogę.

- Posłuchaj... - wymamrotała białymi ustami. - Nie mam wyjścia, muszę ci to zabrać.

- Co mi zabierzesz? Dom? Bierz!



- Nie, papo, dom to tylko bezduszne pomieszczenie do egzystencji. Potrzebuję ciebie.

Rozbłysł błękitny snop światła i pomieszczenie zadrżało. Kobieta zalśniła blaskiem. Andersa odrzuciło w kąt pokoju, uderzył głową w piec. Włosy jej zafalowały na nie istniejącym wietrze. Otworzyła oczy. Widział już to Wokół niej zaiskrzyło się, drobne błyskawice odbijały się od przedmiotów znajdujących się w pobliżu. Wyciągnęła w kierunku starca rękę, która zalśniła białym światłem. Wewnątrz dłoni uformowała się biała kula, którą cisnęła w stronę leżącego. Leto nie mógł dłużej na to patrzeć, wyszukał jadeitowy sztylet i dobył go. Mag zacisnęła w powietrzu rękę, wokół której zbiegła się krwawa chmura. Anders zajęczał, a jego ciałem targnął nagły spazm. Oczy wywróciły się białkami do góry, z okolicy klatki piersiowej uniosła się krwawa mgła płynąca posłusznie w kierunku kobiety. Była skupiona, wypowiadała szybko zaklęcia, kumulując całą swoją moc na dłoniach.

Elf jednym susem znalazł się za magiczką. W ciągu sekundy wszystko ucichło, a kobieta osunęła się, charcząc, na podłogę. Ze sztyletu skapnęło jedynie kilka kropli gęstej krwi.

Instynkt zabójcy go nie zawiódł. W starciu z magami jadeit jest najlepszym sprzymierzeńcem skrytobójców. Anders leżał, drgając, na podłodze. Wokół jego głowy zebrała się już spora kałuża krwi. Leto podszedł do niego, szarpiąc za koszulę. Otworzył oczy i złapał go za nadgarstek, bulgocząc: - Wybaczam ci.

I skonał. Elf usiadł na ziemi obok ciała, przyglądając mu się uważnie i zastanawiając, skąd wiedział, że to on, skoro go nie widział. Jeszcze raz sprawdził, czy nie żyje, by mieć pewność. Podszedł też do mag i obrócił ją na plecy. Miał wrażenie, że cała krew z niej wypłynęła, a nawet więcej. Przypuszczał, że część tego, co rozlewało się na podłodze, było własnością krawca. Teraz mógł

się jej dobrze przyjrzeć. Rzeczywiście miała kilka wspólnych cech z ojcem, choćby falujące włosy czy oczy. Resztę zapewne odziedziczyła po matce.

Ściągnął jej sygnet z palca i przybliżył do świecy. Ten znak też wydał mu się znajomy. Rozejrzał się dokładnie po izbie, szukając podobnych rzeczy lub wzorów, było jednak ciemno i niczego podobnego nie mógł dostrzec. Obracał go w palcach, intensywnie myśląc i kręcąc się po izbach. W końcu natrafił na pokój, w którym mieszkała Katlyn. Było to niewielkie pomieszczenie ukryte w tyle chaty, urządzone bardzo szykownie i zbyt bogato jak na prostych ludzi. Leto zaczął podejrzewać, że coś tu jest nie tak. Zapalił kaganki i usiadł na przepastnym łożu okrytym patchworkową narzutą. Rzucił okiem na materię i wtedy zobaczył ten sam runiczny motyw wyhaftowany na środku. Wyciągnął pierścień i porównał go. To ten sam symbol, wszyty jednak był w pierś czarnego jastrzębia, zatem był to widocznie herb rodziny. Ale jakim cudem arystokracja znalazła się na takim odludziu?

Pozbierał się, zabrał sygnet i powoli poszedł w stronę domu uzdrowicielki. Nie spieszył się zbyt, nie było sensu. Obracał w palcach srebrny przedmiot, ciekawość była bardzo intensywna. Meran jak zwykle przypaliła wywar, więc wraz z Ulfrikiem wyganiaли czarny dym z izb. Na jego widok oboje się uśmiechnęli.

- Wiem, co zaraz powiesz - rozpromieniła się.

- Anders nie żyje.

- Co? - rzuciła materię na ziemię.

Leto cisnął w jej stronę sygnetem. Złapała go w powietrzu, przyglądała mu się przez chwilę, po czym spytała:

- Skąd to wzięłeś?

- Od mag.

- Jakiej mag?

- No właśnie, ty mi powiedz.

- Nie rozumiem?

Leto oparł się o furtkę i opowiedział ze szczegółami sytuację, jaka zaszła w domu Andersa. Meran stała z szeroko otwartymi ze zdziwienia ustami.

- A teraz mi powiedz, kobieto, skąd się wzięli wysoko urodzeni w tej wsi, skoro mi wiadomo, że mieszkają tu wyłącznie prości ludzie?

- Nie wiem. - Pokręciła głową, nie spuszczać go z oczu. - Chodź, musimy zrobić porządek, zanim wstanie świt.

- Tak, spal wszystko, spal nas wszystkich - burknął pod nosem Ulfrik, majtając szmatą przy drzwiach. Meran nie zwróciła uwagi na jego mamrotanie, chwyciła kij i ponagliła elfa.

Ciemność zalała wioskę. Było cicho i nieprzyjemnie, śnieg nie skrzypiał pod nogami, był lepki i mokry, wsiąkał w obuwie.

- Co cię podkusiło - zapytała - by tam wchodzić?

- Światło w oknie.

- Może to i dobrze, że tam byłeś, o kolejnego iluzjonistę mniej.

Dotarli po krótkim marszu pod drzwi Andersa. Ku ich zaskoczeniu były otwarte. Meran wcisnęła się przed Leta i wbiegła do środka. Ruchem dłoni zapaliła wszystkie kaganki, świece i oliwne lampki, jakie były w domu. Rozejrzała się dookoła, ale ciała nie było.

- Cholera - zaklęła.

Leto przeszukał resztę pomieszczeń. Wszystko stało na swoich miejscach, nic nie wskazywało na obecność osób trzecich, nawet patchworkowa narzuta była tak samo ułożona, jak ją zostawił. Meran stanęła na środku, ujęła mocno kij i zamknęła oczy. Wokół niej pojawiła się srebrna otoczka. Stała tak na środku dłuższą chwilę, po czym otworzyła oczy, otrząsnęła się jakby z letargu i

zwróciła do elfa: - Będziemy mieli wesoło.

- Co masz na myśli?

- Jesteś pewien, że zabiłeś magiczkę?

- Tak.

- Hmm - podrapała się w czoło i zaczęła krążyć wokół stołu z założonymi rękami. - Wnioskuje, że zabrali ciała. Co gorsza, mogą się nimi posłużyć.

- Mówisz o ożywianiu?

- Tak. - Pokręciła głową. - Poczekają na dogodny moment i ich ożywią. Dobrze, przeszukajmy wszystko, co jest możliwe. Może odpowiemy na pytania, które nas dręczą, a potem spalmy tę budę, by nie mieli dokąd wracać.

Rozdzielili się i pomieszczenie po pomieszczeniu, z drobiazgowością godną szpiegów, przeszukali wszystko. Najwięcej jednak ciekawych rzeczy znaleźli w pokoju Katlyn i Anny.

Były oddzielone od siebie cienką ścianą. Przypuszczalnie matka z córką rozmawiały przez nią, gdyż w jednym z kątów była wydrapana niewielka dziurka. Najbardziej zaskoczyły ich skrzynie Anny. Miała w nich mnóstwo receptur na dziwne mikstury i maści, skrupulatnie skatalogowane wywary w szklanych flaszkiach oraz rośliny czy maści. Meran obracała w białych palcach każdą rzecz i nie dowierzała.

- Annę szkolono na truciciela, spójrz. - Pokazała mu fiołkę z gęstym brązowym płynem.

- Co to

- Jad tak stężony, że zabiłbyś tym wszystkich we wsi. Są jeszcze korzenie konwalii i fiołków, też silnie trujące.

- No nieźle, nieźle.

- Zabiorę to przyda mi się. Poza tym spójrz, ile tu jest wiedzy. - Nie mogła oderwać oczu od zapisków.

Leto wrócił do pokoju, szukając jakichś wskazówek dotyczących herbu i wyhaftowanego jastrzębia. Pod łóżkiem znalazł skrzynię zamkniętą na kłódkę.

- Meran, chodź no tu! - krzyknął tak głośno i nagle, że kobieta omal nie zemdląła.

- Możesz to otworzyć? Nie ma klucza.

Skupiła się i wyciągnęła dłoń w kierunku złotej kłódeczki. Zaiskrzyło i skrzypnęło, ale zamek ani drgnął. Powtórzyła czynność z tym samym skutkiem, lecz kiedy położyła dłoń na zamku, zaraz ją cofnęła. W powietrzu uniósł się swąd palonej skóry. Szybko złapała się za ucho. Elf spojrzał na mag zdziwiony jej gestem. Wzruszyła ramionami, dla niej to było naturalne, w wiosce robił tak każdy. Domyślił się, że w ten sposób uśmierza ból.

- Cóż to za plugawa magia?!?! - syknęła, trąc opuszki.

- Chyba ten kufer bardzo nie chce, by go otworzyć.

Przez dłuższą chwilę mocował się z zamkiem, ale w końcu zrezygnował.

- Jeden do zera dla przeklętej skrzynki. - Rzucił ją na łóżko. - Musimy mieć klucz i nie wyjdę stąd, dopóki go nie znajdę!

Meran wróciła do przeglądania kufrow, co rusz znajdując coś interesującego. Była już w stu procentach pewna, że Anders i cała jego rodzina mieli powiązania z iluzjonistami, a cała ta otoczka rodziny, która nie ma niczego do ukrycia, była jedynie zasłoną, przesłaniającą prawdziwe oblicze.

Zaczęły dochodzić do niej rzeczy, których wcześniej nie zauważała. Że ubrania, które szył Anders, były zbyt idealne, żaden człowiek nie był w stanie tak dokładnie uszyć czegokolwiek. Że starzec dość często wybierał się wieczorami na spacer i zawsze chadzał w jedno miejsce, ale kiedy wracał, wydawał się szczęśliwy, a jego kieszenie wypchane po brzegi. Tłumaczył się, że zna tajne

miejsce, gdzie są orzechy i jagody, a były to zupełnie inne rzeczy. Potem Katlyn... Czemu nikt jej nie widywał? Szalonych ludzi zawsze w ciepłe dni przywiązywało się do płotu, by zażyli troszkę świeżego powietrza. Ona nie wychodziła nigdy, czyżby i ona była wiedźmą? A Anna? Krnąbrna i pewna siebie. Ktoś kiedyś nawet wspomniał, że stroniła od towarzystwa innych dzieci. Szybko dojrzała, za szybko.

Z rozmyślań wyrwał ją elf, który zaczął pokrzykiwać w kuchni.

- Mam, mam! - cieszył się.

Znalazł jakiś klucz, a że był mały, mógł pasować do skrzynki. Pełen nadziei włożył go do zamka, lecz nie usłyszał charakterystycznego skrzypnięcia, które towarzyszy otwieraniu, a jedynie syk. Z otworu wydobyła się zielona mgła i wypełniła pokój. Leto zakaszał i osunął się na podłogę, chwytając za gardło. Zanim uzdrowicielka zdążyła podbiec, oczy wywróciły mu się na drugą stronę. Złapała go za nadgarstek i wyciągnęła z pomieszczenia, zatykając usta i nos chustą. Nie minęło kilka chwil i elf opamiętał się po nieprzyjemnym zdarzeniu.

- Niezła pułapka. - Zakaszał, dławiąc się jeszcze. - Coraz bardziej mi się podoba ta skrzynka.

- Wariat - rzuciła i weszła z powrotem do chaty. Zielone opary zniknęły równie szybko, jak się pojawiły.

- Znajdę ten klucz - burknął pod nosem i powrócił do poszukiwań.

Uzdrowicielka, zafascynowana znalezionym zbiorem, nadal analizowała składy i zapiski pozostawione przez dziewczynę. Leto krzątał się po izbach, zaglądając w każdy kąt, nic jednak nie znalazł. Sfrustrowany i zły obracał skrzynkę w rękach, słuchając jak wewnątrz szeleszczą rzeczy, do których nie jest w stanie się dostać.

- Musi tu coś być - zagadnął do kobiety przyglądającej się fiołce z bezbarwną ciecżą. - Jestem pewien, że Anders coś ukrywał przed wszystkimi.

- Nie wątpię - burknęła. - Ten dom wymaga bardzo skrupulatnych oględzin. Wrócimy tu rano - ziewnęła. - Jest zbyt ciemno, by przeszukiwać wszystko. Zamkniemy dom i wyjdziemy, jakby nic się nie stało. Nie sądzę, by informowanie wieśniaków było jak na razie konieczne.

Przytaknął jej. Było w nim tyle ciekawości tyczącej się tego miejsca, że nie mógł usiedzieć na miejscu. Meran wyszła na zewnątrz, tworząc znaki w powietrzu i szepcząc coś do siebie.

- Co robisz?

- Zakładam pieczęcie tak, aby nikt nie mógł zbliżyć się do domu. Nie powstrzyma to maga, ale zwykłego człowieka tak.

- Jak powstrzyma?

- To proste. Pieczęcie stworzą w umyśle tego, który zbyt blisko się zbliży, wizję śmierci.

To zawsze działa.

Uśmiechnęła się do niego, wracając do odprawiania dziwnego rytuału. Obeszła jeszcze kilka razy dom, sprawdzając czy wszystko jest w porządku, po czym popchnęła Leta w kierunku drzwi. Wystarczyła mu sekunda, by się przekonać, że to o czym wspominała, okazało się brutalną prawdą. Najpierw zapiszczało mu w uszach, jakby znalazł się pod wodą, potem usłyszał szepty w swojej głowie, które po chwili zamieniły się w nasilający się wrzask, na końcu pojawiła się wizja jego śmierci. Złapał się za głowę, jęcząc, upadł na kolana i z całych sił zaczął pocierać czoło. Meran położyła mu dłoń na ramieniu i odciągnęła od pieczęci, uderzając przy okazji w twarz. Ten tylko spojrział na nią, wstał i skierował się w stronę domu. Odgarnęła włosy z czoła i poszła za

nim, śmiejąc się jednym kącikiem ust, wiedziała bowiem, co zobaczył.

Leto szybko zakopał się w swoim łóżku, dręczony wizją, jaką wtłoczyła w jego umysł pieczęć. Była aż nadto realna, by mógł, a raczej by chciał ją zignorować. Wyobrażał sobie jednak swoją śmierć zupełnie inaczej. Każdy skrytobójca marzy o śmierci w walce. Ta była inna, dręczyła jego ciało, wysysając siły życiowe, sprawiała, że stawał się warzywem niezdolnym do samotnej egzystencji.

Nie chciał spać, ale sen był silniejszy od jego woli. Szybko sprawił, że powieki zrobiły się ciężkie, w końcu opadły. Zbudziło go szarpnięcie za ramię. Otworzył niezbyt chętnie oczy, spod mgły zasłaniającej powieki ujrzał Norę. Stała pochylona nad nim, jej włosy połaskotały go w twarz.

Odgarnął je ręką.

- Już nie śpię, przestań.

- No, w końcu. Trzęsę tobą dobre pięć minut - zdenerwowała się.

- No, nie złość się już. - Wyciągnął się na posłaniu.

- Nie złoścę - prychała jak kotka. - Ale wstawaj, musisz coś zobaczyć.

- Jak już tak prosisz.

Wygramolił się spod ciepłego okrycia, narzucił ubranie i poszedł za Norą, mierzwiąc włosy palcami i próbując doprowadzić je do ładu. Gdy mu się to nie udało, naciągnął na twarz kaptur i posnuł się za dziewczyną, ziewając od czasu do czasu. Chata była pusta, więc pewnie Meran z Ulfrikiem też poszli w owo dziwne miejsce, w które ciągnęła go Nora.

Kiedy dotarli, stanął i przetarł oczy, jakby chciał się upewnić, że to co widzi, jest prawdą. Na rynku stał Anders, o dziwo żywy. Żywo też wymachiwał rękoma, dyskutując o czymś z



uzdrowicielką. Elf stanął w miejscu i przyglądał się scenie z dużym zainteresowaniem, przekrzywiając lekko głowę i marszcząc brwi w grymasie, który miał powiedzieć: „Co się tu, do cholery, dzieje?” Meran nie stała blisko krawca, jak miała to w zwyczaju czynić. Była kilka kroków od niego oddalona, jakby się czegoś obawiała. Ścisnęła kurczowo laskę w jednej ręce, drugą zaś coś kreśliła w powietrzu lub po prostu gestykulowała. Podeszli z Norą bliżej.

- Ciekawe, czy ona wie - zastanowił się.

Anders na widok Leta zrobił krok w tył, zachwiał się i upadł, ale Meran nie podeszła do niego, a odsunęła się. Leto nie mógł zrozumieć jej zachowania. Dopiero z bliższej odległości zauważył, że Anders jest bladoszyn, a oczy ma spowite białą zasłoną. Pojął wtedy, co się dzieje.

- Anders! - krzyknął, wysuwając się przed Norę i w międzyczasie wciskając jej nóż w rękę. Zdziwiona wzięła ostrze, nie wiedząc, po co jej ono.

Mężczyzna odwrócił się w jego stronę i rzekł:

- Przyjdzie ci zapłacić, elfie, za krzywdę, jaką na nas sprowadziłeś.

- Co ty bredzisz, głupcze - zachnął się, zaciskając pięść na jadeitowym sztylcie ukrytym w kieszeni płaszcza. Dobrze pamiętał, skąd miał ten płaszcz.

- Ja bredzę? - zaśmiał się skrzecząco. Meran pokiwała głową, jakby ostrzegała go, by zbytnio w dyskusji się nie posuwał.

- Tak, bredzisz. Jak dobrze pamiętam, jeszcze w nocy byłeś martwy. Ale czekaj, ty jesteś martwy, więc czas skrócić tę mękę. - Dobył sztyletu, ciskając prosto w krtań Andersa.

Ostrze świsnęło w powietrzu i zaśniło w blasku porannego słońca. Krawiec jednak zdążył się uchylić i sztylet uderzył w deski

domu. Leto zaklął pod nosem.

- O co tu chodzi? - szepnęła Nora, zaskoczona jeszcze bardziej.

- To wydarzenia dzisiejszej nocy mnie tak rozdrażniły - rzekł cicho. - Niech to szlag, chybiłem.

- Jakie wydarzenia?

- Iluzjoniści dobrali się do skóry Andersa. Ta sama historia, co u was.

Skrzywiła twarz, zaperzając się.

- Aleś ty dowcipny.

- Ale ja nie żartuję.

W tej też chwili Anders zachwiał się i rzucił w stronę elfa kulę energii, sprawiając, że ten zatoczył się i zarył twarzą w mokry śnieg.

- Iluzjoniści! - wrzasnęła Meran, otaczając się srebrzystą aurą. Nora wyciągała Leta z błotnistej śniegu. Elf szybko stanął na nogi, wycierając twarz w rękaw.

- Masz - wcisnął Norze drugi sztylet. Wzięła go, tym razem bardzo chętnie, bowiem w ich stronę szło dwóch magów, a na czele zmierzał czarny wilk, warcząc. Za magami szli inni.

Nie byli odziani w szaty, a w zwykłe ubrania. Chwiali się i potykali. Owa garstka była dość intrygująca. Leto przyglądał się tej dziwnej grupie, szukając wzrokiem miejsca dogodnego do stawienia oporu. Meran kurczowo ścisnęła laskę oburącz, nie spuszczać oczu z iluzjonistów.

- No, no, no - dało się słyszeć chrapliwe westchnienie Andersa, który w dłoniach formował kolejną kulę energii.

- Nie spieszyliście się - burknął do wysokiego, chudego mężczyzny, który przykląkł przy wilku, łapiąc go za skórę na karku. Spomiędzy jego palców spłynęła krew zwierzęcia i ściekała stróżką na błotnisty śnieg. Mag wyprostował się. Całą dłoń miał

unurzana w ciepłej wilczej posoce.

- Cicho bądź, starcze - krzyknęła w jego stronę kobieta, którą Leto w nocy zabił.

Coraz bardziej mu się to wszystko nie podobało. Mag położył zakrwawioną dłoń na jej głowie. Wywróciła białkami oczu i upadła na ziemię. Targały nią konwulsje, a z ust poczęła toczyć pianę. Szybko jednak się to skończyło. Elf kątem oka zauważył, że grupka zbliżających się w ich stronę osobników stanęła.

- Anders! - odezwał się mag. Głos miał ciepły i życzliwy. - Miałeś nam coś oddać, a teraz nie możesz dać nam niczego.

- Zabiła mnie suka - syknął i zakrztusił się swymi plwocinami.

- Jakie to pokrzepiające - westchnął iluzjonista. - Tak mówić o swojej córce. Zabiła cię, ale potem przywróciła do życia. Ale twoje życie nie jest nam już potrzebne, skoro i tak jesteś martwy, czyż nie mam racji?

- Co tu się do cholery dzieje - Nora nie wytrzymała i wyszła przed Leta.

- Jaka dziarska dziewczka - zaśmiał się mag. - Podobasz mi się.

- A ty mi nie. Zbliź się tylko, a cię uszkodzę - odgrażała się sztyletem.

Leto pociągnął ją za płaszcz.

- Ciii, nie prowokuj go. Rozjuszony mag to trudny do zabicia mag - szeptał tak, by tylko ona go słyszała.

Napięcie rozładowała Meran, ciskając w Andersa kulą ognia, która rozbiła się w miejscu jego serca, wypalając dziurę. Upadł, ale nie skonał. Na jego ustach pojawił się tylko chytry uśmieszek.

- Głupia, niedouczona magiczka - sapał, podnosząc się z ziemi. - To ty nie wiesz, że ożywieńców nie da się od tak zabić?

- Da - odpowiedziała mu ze stoickim spokojem i pokazała palcem w stronę Leta. - On to zrobi.

Leto w lot pojął, co chciała osiągnąć. Chwycił wbity w ścianę domu jadeitowy sztylet i wbił Andersowi w krtań, przecinając do kości. Złapał starca za włosy i jednym szarpnięciem oderwał od ciała głowę, rzucając ją kobiecie pod nogi.

- Masz swojego ojca, wiedźmo!

- Brawo! - Mag stojący nieopodal zaklaskał w dłonie. - Piękny popis siły.

- Zamknij pysk, magu! - wrzasnął na niego.

- Jesteś zwinny, szybki, podobasz mi się, jak twoja przyjaciółka, wojowniczką.

- Zostaw ich - odezwała się w końcu Meran. - Odejdź stąd i nigdy nie wracaj.

- Nie mam takiego zamiaru, moja droga - posłał jej pełne ciepła spojrzenie, irytując kobietę jeszcze bardziej. - Wstawaj. - Kopnął półleżącą na ziemi córkę Andersa. Ta podniosła się i otworzyła oczy, których nie było. Zobaczyli ziejące pustką oczodoły, oplecione skrzeptą czarną mazią. Stała się marionetką poruszaną wolą iluzjonisty.

- Co się dzieje, na Odkupicieli? - jęknęła Nora, tuląc się do elfa.

- To taki sam ożywieniec jak Anders - uspokajał ją. - Tylko, że to mag. Będziemy mieli wesoło.

Kobieta powoli podniosła się z ziemi, zataczając się i potykając. Czeluście jej oczu rozbłysnęły białym światłem, a włosy uniosły się, iskrząc i trzaskając, tworząc jasną aurę.

Skóra zbladła, wręcz zbielała, a dłonie poczerniały i uschły. Uniosła je nad głową, szepcząc jakieś zaklęcia, których nie słyszeli. Wokół niej cała powłoka śniegu stopniała, a rośliny ukryte pod nią spopielały. Szaty na jej ciele poczęły się dymić. Iluzjonista zrobił kilka kroków w tył, stając za pobliskim murkiem.

- O cholera - jęknęła uzdrowicielka, łapiąc Norę za suknię i

popychając ją na zaspę brudnego śniegu. Leto nie spodziewał się, że stać ją na taki wysiłek. Rzuciła mu tylko pospieszne spojrzenie.

- Obserwuj ją!

- Mam taki zamiar. - Zmarszczył czoło i ściągnął brwi. Nabral posepnego i zadumanego wyglądu, choć twarz nie wyrażała żadnych emocji. Nawet kącik ust mu nie drgnął. Mięśnie napięły się, kumulując siłę na ostateczny atak. Nie spuszczał oczu z ciągle zmieniającej się zmory, przybierającej z każdą chwilą inny obraz. Dymiąca szata uległa już zwęgleniu, resztki tylko zwisały na wysuszającym się od żaru ciebie, które, jak dłonie, powoli czerniało i kurczyło się. Kobieta jęczała i wiła się, ale nie traciła kontroli nad dłońmi. Skóra twarzy przylgnęła do czaszki, tworząc nienaturalną maskę. Kiedy reszta szat opadła, stanęła w płomieniach, lecz nie ulegała spaleni. Wręcz przeciwnie, wyprostowała się, a płomienie lizały jej sylwetkę lubieżnym jęzorem. Suche usta wykrzywiły się w uśmiechu, ukazując rząd pożółkłych zębów.

Iluzjonista złapał się za medalion prawą ręką, lewą skierował w stronę płonącej istoty. Tak jak kobiecie, dłoń mu szerniała, a z koniuszków palców wypływały powoli smugi ognia, kotłując się i przepychając na środku dłoni. Uformowały coś na wzór rozkwitającego tulipana, wewnątrz którego jaśniało jak perła srebrzyste serce. Leto nie mógł oderwać oczu. Zjawisko było fascynujące i hipnotyzujące. Ocknął się dopiero, gdy poczuł ukłucie w rękę. Zanim jednak zdążył zareagować, stróżka krwi popłynęła od łokcia w dół, kapiąc na śnieg.

- Cudownie - jęknęła Maran, wykrzywiając twarz.

Leto złapał rozcięte miejsce, ściskając mocno, by przerwać krwawienie, jednak to nie umknęło uwadze córki Andersa. Westchnęła i zapiszczała, wyciągając palec w stronę elfa.

Świeża krew była silną pokusą, tym większą, że była to czysta

elfia krew. Zrobiła krok w jego stronę, zatrzymał ją jednak mag, zaciskając pięść. Zgięła się w pół i runęła na ziemię, wyjąc i sycząc. Leto zrobił krok w tył, gdyż ogień jej ciała począł parzyć mu stopy. Po chwili mag rozluźnił uścisk. Wstała i wyprostowała się.

- Musimy go zabić - szeptała uzdrowicielka - zanim rozpęta się piekło.

Nie zdążyła wypowiedzieć do końca zdania, kiedy kątem oka zobaczyła, jak grupka nieumarłych zaczęła posuwać się w ich stronę, niezdarnie acz zdecydowanie. Szybciej niż się tego spodziewała, nie byli jednak aż tak groźni, na jakich wyglądali. Ożywieńcy są łatwi do zabicia, pod warunkiem, że trafi się ostrzem w ich serca. Zwróciła się w stronę Nory łypiącej zza zasy przekrwionymi ze strachu oczyma.

- Są twoi, moja droga.

- Co? Jja... - stęknęła białymi ustami.

- Idź. To nie walka, to zabawa. Sama zobaczysz. Ale pamiętaj, celuj w serce. Resztę zrobię ja. I nie daj się dotknąć czy zadrapać. No, idź już.

Dziewczyna poprawiła ubranie i z wahaniem skierowała się w stronę ożywionych, obracając się co chwila, jakby chcąc sprawdzić, czy aby to miała właśnie w tej chwili uczynić. Meran skinieniem głowy utwierdziła ją w tym przekonaniu. Im bliżej była, tym bardziej docierał do niej smród rozkładającego się ciała oraz widok, od którego zrobiło się jej niedobrze. Nikt jej nie powstrzymywał, a czas jakby zwolnił. Zacisnęła pięści na broni i zadała pierwszy cios. Wbiła ostrze głęboko w miejscu, gdzie znajdowało się niegdyś serce, niechcący dotykając ciała. Było miękkie, lepkie i przykleiło się jej do palców wraz z okrywającym je sukniem. Skrzywiła się i powstrzymała odruch wymiotny. Drugą ręką wykonała gładkie cięcie, podrzynając gardło. Zwłoki upadły, nie wydając żadnego

dźwięku.

Reszta umarłaków poczęła zbierać się wokół, wyciągając zachłannie łapska w jej stronę. Nora była szybsza. Cięła, nie patrząc już, jakie zadaje rany. Chciała uwolnić się od natrętnych stworzeń, w międzyczasie pilnując, by jej nie dotknęły. Obróciła się w stronę Leta, wykorzystując chwilę, kiedy nie było blisko niej istot. Uśmiechnęła się. Uzdrowicielka miała rację, to była fraszka. Wykończyła szybko każdego, nie męcząc się ani odrobinę. Kiedy skończyła, spojrzała pod nogi. U jej stóp leżało ciało na ciele, wpatrując się w niebo matowymi martwymi oczyma. Meran wyciągnęła w jej stronę rękę, a ziemia skotłowała się, zabulgotała i pochłonęła ciała, zostawiając puste pole, takie, jakie było przedtem, zanim pojawili się oni.

Iluzjonista dzierżący w ręce purpurowy kwiat z ognia nie zareagował na to co wydarzyło się za jego plecami. Był tak mocno skoncentrowany na kontroli magiczki, że to co działo się wokół, przestało dlań istnieć. Meran skinieniem głowy nakazała Norze wrócić za zaspę, ta jednak nie miała na to ochoty. Dzierżąc sztylety, zbliżała się w stronę iluzjonisty z chytrym wyrazem twarzy. Meran pokręciła głową zrezygnowana.

- Niech i tak będzie.

W jednej chwili otoczyła się srebrzystą aurą i uderzyła w ziemię laską. Fala uderzenia zerwała poły śniegu spod jej nóg. Leto zdążył odskoczyć, by nie upaść. Kobieta zamknęła oczy, a z jej ust wydobył się chrapliwy rechot. Elf ścisnął sztylety jeszcze mocniej, knykcie mu zbieleły, a palce zdrętwiały w uścisku na rękojeściach broni. Nora podeszła do iluzjonisty od tyłu, czekając na znak od uzdrowicielki. Wiedziała, że muszą działać zespołowo. Srebrna aura wpłynęła przez oczy, usta i nos do ciała magiczki, skóra jej zalśniła srebrną poświatą.

Kiedy otworzyła oczy, z rąk buchnęły płomienie.

- Teraz! - jęknęła, drżąc z koncentracji i wysiłku.

Nora jednym cięciem poderznęła gardło iluzjoniście, ciepła żywoczerwona posoka spłynęła mu na szaty, potem na dłoń trzymającą medalion. Kwiat ognia przygasł i zamigotał, ale nie zniknął. Drugi sztylet wbiła mu w plecy, łapiąc go za włosy. Ostrze wbiło się prosto w serce, ognisty ożywiec przygasł, ale nie szczył. Miał jeszcze wolę, której nie był w stanie kontrolować nekromanta. Z otwartych ust błysnął snop światła, oślepiając Leta. Przyłożył ramię do oczu i poczuł uciekającą z niego energię. Magiczka czerpała siły życiowe z jego krwi, żywiła się nim łapczywie jak pijawka, głodna i nienasycona. Czuł, jak ucieka z niego życie, znał ten stan, to samo uczyniono z nim w domu Nory. Zebrał resztki sił i uderzył w kobietę laską wyrwaną Meran z ręki.

- Nie masz nade mną władzy, wiedźmo! - krzyknął i powalił ją na ziemię.

Nora doskoczyła do niego, wbijając sztylet w oko nieumarłej i przytwierdzając ją do ziemi. Meran otoczyła ich ścianą magii, taką samą, jaką przed chwilą otaczała siebie.

- Zabijcie ją - wyszeptała. - Nie mam już wiele sił.

Oboje poczuli, jak spływa na nich jej moc, a siły witalne powracają do ciała, napełniając je. Przyjaciele unicestwili magiczkę, wbijając w nią jadedit. Nora poderznęła jej gardło, a Leto rozciął serce. Broniła się przez chwilę, drapiąc szponiastymi rękoma, ale szybko opadła z sił, zastygając w takiej pozycji, w jakiej została unicestwiona. Płomienie z jej ciała zniknęły, zostało jedynie truchło, które kurczyło się i kurczyło, aż zaczęło pękać.

Wreszcie rozpadło się na drobne kawałki jak gliniany dzban. Wszyscy odetchnęli z ulgą, kładąc się na ziemi i ciężko oddychając. Jedynie Meran stała blada i spocona, a z jej oczu spływały strugi



krwi.

- No, to mamy z głowy - odezwała się Nora, przerywając ciszę.

W tej chwili uzdrowicielka upadła na ziemię. Elf zerwał się i podbiegł do leżącej, potrząsając ją za ramiona i krzycząc, by otworzyła oczy. Ścierał jej rękawem smugi krwi z policzków i powoli zaczynał popadać w obłęd. Poczul na ramieniu ciężki dotyk męskich palców.

- Zostaw - usłyszał za plecami Ulfrika, który schylił się i podniósł ciało żony, oddalając się spokojnie.

- Aale... - jękał się.

- Nie martw się! - chłop krzyknął przez ramię. - Do jutra wydobrzeje!

Nie uspokoiło go to za bardzo. Pognał za nim, by dotrzymać mu kroku. Nora została na pobojowisku, ogarniając wszystko z niesmakiem na twarzy. Z domów powoli zaczęli wylegać przerażeni ludzie, bladzi i zdziwieni. Dziewczyna wrzuciła ramionami i skierowała się w stronę swojego domu. Była brudna, głodna i zła. Tłum zaciskał pętlę wokół miejsca walki, ciekawski i żądny sensacji, która przerażała bardziej, niż mogli pojąć swoimi ograniczonymi umysłami. Wielu nigdy nie widziało maga, a tym bardziej ożywieńca czy magicznego ożywieńca. Jedno szczęście, że uzdrowicielka pochowała grupkę nieumarłych, zanim dostrzegł ich motłoch, mogli bowiem doszukać się w nich kogoś z rodziny lub przyjaciół, a nikt nie mógł zagwarantować, że tak nie było.

Ulfrik ułożył omdlałą z wycieńczenia Meran i powoli ściągał z niej odzienie. Było ciężkie od roztapiającego się śniegu i błota, które przykleiło się do trzewików i płaszcza. Elf zagotował wodę na piecu. Wydawało mu się, że trwa to w nieskończoność, zanim zawrze i napar wzmacniający podany przez Ulfrika zdąży się zaparzyć. Pierwszy raz widział ją tylko w szacie bieliźnianej. Była

o wiele szczuplejsza, niż się spodziewał. Dlatego że zawsze nosiła okrywający szal na ramionach i przepasała go przez biodro, wydawała się pulchniejsza. Miała figurę kobiety nigdy nie brzemiennej i niezwykle białą i delikatną skórę. Jedynie krwawe smugi na twarzy i sińce pod oczami zdradzały zajście z przedpołudnia.

- Nie gap się tak - usłyszał zazdrosny ton w głosie Ulfrika.

Rozłożył dłonie w pojednawczym geście i odsunął się od łóżka, nie sprawiło to jednak, że przestał się martwić. Stanął w drzwiach izby i obserwował, jak chłop obmywa ciepłą wodą twarz ukochanej. Był niesamowicie delikatny i czuły, szeptał do niej i głaskał po włosach swoimi wielkimi szorstkimi łapskami niedźwiedzia. Ona spała i nie reagowała na jego zabiegi.

Leto ubrał się i poszedł do Nory. Wiedział, że niczego nie działa, wpatrując się w nieprzytomną i bladą uzdrowicielkę. Może Nora będzie potrzebowała wsparcia.

Cały czas po głowie krążyła mu skrzynka z domu Andersa i ciekawość, cóż mogła w sobie skrywać. Może Nora mu pomoże. Z zadumy wyrwała go chłopka, łapiąc za rękaw płaszcza. Nie zareagował gwałtownie, jak miał to w zwyczaju.

- Panie - jęknęła. - Co się z nami stanie?

Spojrzał na nią i wymusił uśmiech.

- Damy sobie radę, miejcie wiarę.

Odszedł, zostawiając ją na środku drogi dygocącą i przerażoną. Wieś była cicha i senna, obecność ludzi zdradzały jedynie ślady na mokrym śniegu. Wszyscy zabarykadowali się w domach, czekając na najgorsze. Kiedy dotarł do placyku, na którym rozegrała się walka, zastał ciała nie ruszone z miejsca. Wokół nich zaznaczyli jedynie swoją obecność chłopci zerkający na sensacyjny widok. Kopnął resztki, które pozostały z magiczki, jakby chcąc się jeszcze

upewnić, czy nie wstanie i rzuci się na niego z płonącymi pazurami, ale nic takiego się nie wydarzyło. Powędrował więc dalej. Przed zmrokiem spali ciała, teraz nie ma na to najmniejszej ochoty. Marzył o gorącej zupie. Dom Nory jak i jego obejście były ciche.

Dziewczyna, przebrana w czyste ubrania, siedziała przy piecu, grzejąc dłonie. W kącie stała tortownica, a w domu unosił się słodki zapach pieczonego ciasta. Elf poczuł skurcz w żołądku i napływ śliny do ust.

- Muszę sobie jakoś humor poprawić - odezwała się, nie spoglądając w jego stronę.

- A właśnie miałem się spytać, dla kogo to Jak się czujesz? - Podszedł do niej, przystawiając krzesło i siadając obok.

Dziewczyna westchnęła.

- Szczerze?

- Na to liczyłem.

- Dziwnie. Jestem rozbita, skołowana i chcę, by ktoś mnie przytulił. Mam ochotę wrzeszczeć, spać, złościć się i jeszcze raz spać. Chyba za dużo tych emocji jak na jeden dzień.

Zaczynam wszystko mieszać. - Zmarszczyła brwi i wykrzywiła usta, okazując dezorientowanie całą tą sytuacją.

- Też mnie to wszystko zaczyna przerastać. Widziałem wiele i zabiłem wiele, ale to...

- Co masz na myśli?

- A to że jak będę musiał jeszcze się z czymś takim zmierzyć, to chyba wpadnę w taki szał, że pozabijam wszystkich magów w tych cholernych górach za jednym zamachem. A potem usmażę ich ciała na jednym wielkim stosie. - Złapał oddech po wyrzuceniu wszystkiego z siebie. Nie zdawał sobie sprawy, że krzyczał.

Nora spojrzała na niego spode łba, zaskoczona. Ukrył twarz w

dłoniach, nasuwając kaptur jeszcze mocniej na twarz. Nie chciał, by widziała, że nerwy zaczynają wypływać z niego pod postacią łez.

- Sądzę, że ciasto już ma dość - przerwała milczenie, wstała i podeszła do pieca. Leto nadal tkwił w pozycji, jaką przyjął.

- Mam nadzieję, że szybko wystygnie - wymamrotał i przetarł twarz rękawem, by zatrzeć ślady chwilowej słabości. Wyprostował się i wstał, aby pomóc dziewczynie przy wyjmowaniu gorącego ciasta z pieca, ta jednak była szybsza i zanim zdążył wyciągnąć w jej stronę ręce, ciasto z głośnym plaśnięciem wylądowało na stole. Nora przycisnęła palce do ust.

- Auć, oparzyłam się.

- Pokaż.

- Nie, to nic wielkiego.

- No daj.

Wyciągnęła w jego stronę palec, uważanie na niego patrząc, on zaś przyjrzał mu się, wziął kubek i wyszedł na zewnątrz, by po chwili wrócić ze śniegiem.

- Masz, włóż palec, powinno pomóc.

Rzuciła mu zaskoczone spojrzenie, ale zrobiła, jak kazał. Ku jej zdziwieniu, ból zelżał.

- A to ci niespodzianka. Matka zawsze wygrzewała oparzone miejsce.

- Źle robiła, oparzenia się schładza.

Ciasto pachniało smakowicie i wyglądało równie dobrze. Już wyobraził je sobie ze swojskim dżemem i kubkiem gorącego mleka, ale mimo że głód ssał jego wnętrzności, nie powiedział tego Norze. Czekał tylko na chwilę, aż będzie mógł zatopić zęby w puszystym wnętrzu domowego wypieku.

- Lubię lekko ciepłe, chcesz? - zaproponowała, dzierżąc w ręku wielki nóż do krojenia chleba.

- Poproszę.

Odkroiła mu spory kawałek i podała. Wziął i usiadł przy kominku na stołku, który tam pozostawił przed chwilą. Nora spoczęła obok. Jedli w spokoju, rozkoszując się słodkomlecznym aromatem.

- Zastanowiłeś się? - spytała z pełnymi ustami, zasłaniając je wolną ręką.

- Nad czym?

- Czyli się nie zastanowiłeś.

- O czym mówisz?

- O zamieszkaniu ze mną.

- A o to ci chodzi. - Podrapał się w czoło. - Nie, nie myślałem o tym. Tak wszystko szybko się dzieje, że nie mam czasu nawet na własne przemyślenia, a co dopiero na rozważanie tak poważnych kwestii, jaką jest choćby zamieszkanie z niezamężną kobietą.

Chyba liczysz się z konsekwencjami tego? Wiesz, jacy potrafią być ludzie. A nie sądzisz, że byłoby to dla ciebie dużym obciążeniem? Pokiwała głową, wkładając do ust ostatni kęs ciasta. Przełknęła i odpowiedziała:

- Mam to gdzieś, już i tak gadają. Nie słyszałeś?

- Co gadają? - zdziwił się.

- No, że tak bardzo nam pomagasz, że musisz mieć w tym jakiś interes. Choćby sprowadzenie mnie na złą drogę. - Parsknęła głośnym śmiechem.

- Że ja niby ciebie? Na złą drogę? Że ja niby ciebie... no wiesz?

- No, no, dobrze myślisz. - Nie przestawała się dźwięcznie śmiać.

Spojrzał na nią. Była radosna, mimo że nie tak dawno straciła wszystko, włącznie z rodziną i dobytkiem pewnie całego życia. Miała w głowie jednak marzenia i cele. Nie nosiła jej od parady, była też mądra. Podobała mu się. Emanujące zdecydowanie i

pewność siebie dodawały jej tylko uroku, no i przy uśmiechaniu się zabawnie marszczył jej się nos.

- Na pewno chcesz bym tu mieszkał? Jestem mężczyzną i wiesz, mam męskie... przyzwyczajenia.

- Leto, głuptasie! - Położyła mu rękę na kolanie. Poczł gorąco w tym miejscu. - Część mojego życia zajmowałam się starzejącymi rodzicami. Mieszkałam z mężczyzną pod jednym dachem. Nie masz pojęcia, jakie dziwactwa miał mój ojciec, o matce nie wspomnę.

No i weź też pod uwagę, że też jestem istotą żyjącą i przez lata mojego istnienia również wyrobiłam sobie rytuały i dziwne przyzwyczajenia, zatem mogłabym powiedzieć to samo.

Mówiła całkiem do rzeczy, w głębi duszy jednak nie miał ochoty na opuszczanie ludzi, którzy przygarnęli go i ofiarowali mu schronienie wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewał.

- Chyba mógłbym się zgodzić, tak dla twojego bezpieczeństwa, no, żeby cię chronić.

- Wspaniale! - Klasnęła w dłonie i rzuciła mu się na szyję, zaskakując go tak mocno, że zesztynniał cały i spał się. Takie okazywanie emocji było mu obce. Od razu przypomniał sobie Annę i zrobiło mu się jakoś przykro. Lubił Norę, nie była nachalna ani zaborcza, a naturalna i szczerą. Rozluźnił się zatem, pozwalając jej na chwilę zawisnąć na szyi. Jednak po chwili odsunął ją lekko, by móc zaczerpnąć powietrza.

- Udusisz mnie, dziewucho.

- O przepraszam. - Uwolniła go z objęć. - Po prostu się ucieszyłam, że nie będę sama.

- Wybacz, że przerywam ten nastrój, ale musimy zająć się ciałami. Niedługo zapadnie zmrok. Dziś naprawdę nie mam ochoty na szwendanie się po nocy, chcę po prostu spać.

- Masz rację, chodźmy.

Ciała leżały tak, jak je zostawili. Spalili je bez jakichkolwiek emocji, potem popiół zakopali pod ziemią, by mieć pewność, że nikt nie będzie miał ochoty ich wskrzeszać. Choć spopielonych zwłok ożywić się nie da lub graniczy to z cudem, są jednak na tyle silni magowie, że byliby w stanie to uczynić, zatem pewności nigdy mieć nie będą. Ale teraz wydało się to najrozsądniejszym rozwiązaniem. Potem Leto pożegnał się z Norą i poszedł do chaty uzdrowicielki po swoje rzeczy. Nie było mu łatwo. Ledwo przekroczył próg, na horyzoncie zaczęły zbierać się burzowe chmury. Czuło się zapach wilgotnego wiatru hulającego po drogach. Niedługo przyroda zacznie budzić się do życia, a górskie przełęcze się otworzą. Cieszył się, a zarazem i cierpiał. Dobiegał kres jego wizyty w górskiej wiosce.

- O jesteś - usłyszał głos z głębi domostwa.

Zerknął w tamtą stronę. Meran siedziała na łóżku całkiem przytomna i obecna duchem. Uśmiechnął się do niej, machając na powitanie z ganku, gdzie ściągał buty.

- Spaliłem ciała i zakopałem popiół - odezwał się, siadając na krawędzi łóżka.

- To dobrze. - Przetarła twarz dłońmi, ściągając z powiek resztki snu. - Byłeś u Nory, jak mniemam.

- Tak, poszedłem zobaczyć, jak się czuje.

- I

- I czuje się dobrze, wręcz tryska energią, jeśli mógłbym tak rzec.

- To dobrze, sądzę, że chcesz ze mną porozmawiać. Coś ci ciąży, prawda?

- A ty, jak zawsze, zanim otworzę usta, znasz odpowiedź.

Wzruszyła ramionami.

- Idź, wiem, że tego chcesz.

- Nie będzie ci to przeszkadzało?

- Ależ skąd, tam się bardziej przydasz. Mnie chroni magia, więc nic mi nie będzie. A ona będzie miała ciebie, ochronisz ją swoim sztyletem.

- Dziękuję ci, Meran. - Przytulił ją do siebie, ściskając mocno. Ulfrik tylko łypnął okiem i wrócił do krojenia sera. Leto wiedział, że jest diablo zazdrosny o swoją kobietę.

Z dużym ociąganiem pozbierał swoje rzeczy, poukładał poduszki i zwinął koc i skórę, które służyły mu za łóżko. Omiótł izbę smutnym spojrzeniem.

- Idź już - ponagliła go Meran, krzywiąc się na ziółka, jakie przyniósł jej mąż.

- Dziękuję - wyszeptał i wyszedł. Miał wrażenie, że opuszcza rodzinny dom. Oddech sprawiał mu trudność, jakby wielki kamień spoczął mu na klatce piersiowej, ograniczając dopływ drogiego powietrza. Stał za bramą, łapiąc się za serce. Stał tak przez chwilę, dopóki nie poczuł chłodu, który przenikał w głąb jego ciała, wdzierając się pod płaszcz.

Zaczął padać deszcz. Był rześisty i szybko przekształcił się w deszcz ze śniegiem. Droga momentalnie zamieniła się w grząskie bagno. Zanim dotarł do Nory, był kompletnie przemoczony, a błoto sięgało mu do połowy łydki.

- Jesteś. - Otworzyła mu drzwi rozpromieniona, z rozpuszczonymi włosami.

Wszedł za nią, milcząc, rozebrał się i przysiadł przy piecu, patrząc w ogień. Nora wyczuła, że coś jest nie tak. Zabrała jego rzeczy i zaniósła do przygotowanego dla niego pokoiku.

- Może kąpiel? Wiem, że lubisz. Mam nagrzane troszkę wody.

- Nie, chcę być sam.



- Dobrze - przytaknęła. Nie mogła pojąć stanu umysłu, jaki go ogarnął. Zabrała się za polerowanie garnków i segregowanie prania, zostawiając go samemu sobie.

Wieczór był gęsty i czarny. Smutek powoli go opuszczał, będzie się musiał przyzwyczaić do nowego miejsca, przedmiotów i atmosfery.

- Wiesz - podała mu kubek parującego naparu - cieszę się, że tu jesteś, dobrze mieć przyjaciela u boku.

- Tak - odrzekł, pociągając tęgi łyk.

- Smucisz się, prawda? - Nie dawała mu spokoju.

- A taki mam melancholijny nastrój.

- Opowiedz mi coś.

- Co?

- Jakaś opowieść z waszego ludu, może jakieś zabawne przygody, które przeżyłeś w życiu.

- Nie znam historyjek z mojego ludu, niewiele pamiętam. A o swoim życiu nie lubię opowiadać.

- Czyli sobie pomilczymy - westchnęła, upijając łyk z glinianego kubka.

- Pomilczmy zatem.

- Tylko pod jednym warunkiem.

- Jakim? - rzucił jej podejrzliwe spojrzenie. Nie lubił takiego typu rozmów.

- A takim. - Nora usiadła obok, kładąc mu głowę na ramieniu i wpatrując się w ogień.

- Teraz możemy milczeć. Ciepło ciała posłuży nam za tłumacza.  
- Zamknęła oczy.

Jej wielobarwne włosy połaskotały go w szyję. Pachniały ziołową płukanką i świeżą czystą wodą. Oparł swoją głowę o jej. W innym przypadku by tak nie uczynił, a raczej zareagował agresją.

Ona była inna. Nie chciała niczego od niego, prócz ciepła, towarzystwa i bezpieczeństwa. Wpatrywał się zatem w ogień, wdychając jej zapach.

## Rozdział IV

Wiosna wybuchła ze zdwojoną siłą. Trawa zazieleniła się, pochłaniając groby zmarłych ubiegłej zimy z taką żarłocznością, że gdyby nie tabliczki, wędrowiec nie rozpoznałby kurhanów, stałyby się bezimienne. Drzewa wystrzeliły pąkami, które pieszczone ciepłym wiosennym słońcem rozwijały się leniwie, ożywiając suche konary i nadając im kształty żywych istot. O zimie przypominały jedynie kupki brudnego śniegu, leżące jeszcze gdzieś. Nie roztopione wiosennym słońcem drogi były błotniste, a rzeka szumiała zachęcająco, kotliny powoli otwierały się zapraszająco, wioska stawała się otwarta i dawała złudną nadzieję bezpieczeństwa i ciepła. Wieśniacy nadal byli zszokowani przeżyciami, jakie na nich spadły zimą, stali się podejrzliwi, można by się skusić na stwierdzenie, że zdziczeli, kisząc się w sokach własnych lęków i niepewności. Każdy dzień był wypełniony oczekiwaniem na to co nie nadchodziło. Nikt nie rozmawiał o Andersie czy Annie, bojąc się, że słowami wskrzesi zmarłych, a ci wstaną ze swych mogił i spalą wieś.

Leto mieszkał z Norą, wiodąc spokojny żywot. Pomagał w obejściu, dostała bowiem kilka kur od Ulfrika, których trzeba było doglądać. Pożytek z ptaszysk był marny, nie niosły się chętnie, ale za to z wielką pasją opuszczały gospodarstwo, panosząc się po drogach. Nie było dnia, by Nora nie klęła na te stworzenia, rozbawiając przy tym Leta, który nie miał zamiaru biegać za drobiem.

Oboje pilnowali siebie nawzajem, kontrolując dyskretnie swoje kroki. Byli częstymi gośćmi u uzdrowicielki, wspólne obiady stały

się rodzajem rytuału, ale dawały też bezpieczeństwo i pozorny spokój, gdyż każdy był czujny i nerwy miał napięte jak struny.

Nora zaczęła regularnie nosić przy biodrze miecz. Była krzepką kobietą, więc jej nie ciążył, lubiła go. Leto dziennie w oborze ćwiczył sztukę rzucania nożami i innym lekkim orężem, a także refleks, walcząc z dziewczyną. Nauczyła go posługiwać się mieczem i tarczą, więc walki twarzą w twarz już się nie bał, nadal jednak tkwił w nim głęboko zakorzeniony skrytobójca i truciciel pojawiający się znikąd, by zadać jeden celny śmiertelny cios. Wiele razy zaskakiwał tak Norę, która odwdzięczała mu się kopniakiem. Drażnienie dziewczyny sprawiało mu ogromną radość. Meran jednak przestrzegała ich cały czas przed nazbyt luźnym podejściem do siebie, gdyż może się ono okazać zgubne w skutkach, więc trzymali nerwy i głupie zachowania na wodzy.

Leto po raz pierwszy tak na sto procent stał się częścią społeczności. Wieśniacy już nie patrzyli na niego podejrzliwie, niektórzy korzystali z jego nauk i wskazówek, które obiecywali przekazać innym. Można było zobaczyć chłopów, którzy nosili przy pasach drobny oręż. Cieszyło to a zarazem przypominało o niemijającym zagrożeniu.

- Wiesz, Noro - elf podniósł głowę znad stołu - od incydentu z Andersem nie byłem w jego domu.

- A co w nim takiego szczególnego?

- Znaleźliśmy tam z Meran mnóstwo ciekawych rzeczy, w tym skrzynię chronioną przez jakąś podłą czarną magię. Gdyby nie uzdrowicielka, znów by mnie zgubiła moja ciekawość. Nie znalazłem klucza, a ten, który wpadł mi w ręce, okazał się nie pasować.

- Chcesz tam wrócić?

- Myślę, że moglibyśmy tam iść we trójkę.

- Myślisz o Meran?
- No tak, a o kim? Nie ma tu żadnych innych kobiet, na które zwracam uwagę, oprócz ciebie i jej - puścił jej oko.
- Niezły z ciebie czarodziej, a ja się dziwię, że jeszcze ci nie uległam.
- Tak, doskonały żart, moja droga - odgryzł się, wbijając sztylet w stół.
- Jestem tylko kobietą, nie zapominaj o tym.
- A ja jestem marzeniem wszystkich kobiet - trącił sztylet palcem, śmiejąc się.



Wyjdź stąd natychmiast! Nie chcę cię na oczy oglądać! - Wykonała gest wypraszający w stronę wielkich rzeźbionych drzwi. Poseł uklonił się, skrzywił twarz i wyszedł bez słowa.

Baronowa cisnęła pergaminem o ziemię i podeszła do okna, to czerwieniąc się, to blednąc na przemian, ściągając i rozluźniając bruzdy na czole.

- Kretyni - burczała do siebie. - Wszystko na mojej głowie. Wszystko!

- Pani. - Usłyszała za sobą cieniutki głos elfiej służki kłaniającej się nisko.

- Czego?!?!

- Wybacz, że przeszkadzam, ale ochmistrzyni się pyta...

- Mam gdzieś ochmistrzynię! - wrzasnęła. - Jak ma ochotę ze mną rozmawiać, to niech przytaszczy tu to swoje tłuste dupsko i sama mi powie, czego chce!

- Tak, pani. - Wystraszona dziewczyna opuściła komnatę,

zamykając ostrożnie drzwi, by nie rozjuszyc jej jeszcze bardziej.

Baronowa poczęła krążyć po pomieszczeniu, nie wiedząc co zrobić z rękoma. To zacierała je, to ścisłała w pięści. Była kobietą wysoką i bardzo szczupłą. Ubrana zawsze na czarno, z czarną kryzą wokół szyi i kameą tuż przy karku, pewna siebie, niezłomna i sztywna.

Miała bladą skórę i sine od wiecznej bezsenności oczy, które z czasem zapadły się w czaszkę. Mawiano, że kiedyś była piękna, ale zbytnia ambicja, która przerodziła się w chorą obsesję i żądę władzy, zmieniła tę kobietę w karykaturalną istotę o lodowatym sercu. Nie miała męża, wszystkich książąt stojących niegdyś w konkurencji odsyłała z kwitkiem, nikt nie wiedział dlaczego. Nie zwierzała się nikomu, ani też nie miała przyjaciółek. Jediną osobą, która umiała do niej dotrzeć, był jej kuzyn, który obecnie dzierżył tron. Jakże ona go nie cierpiała! Cały czas uważała, że to jej należy się władza i podkreślała to za każdym razem, kiedy miała ku temu sposobność.

Podniosła zmięty pergamin z ziemi i zaczęła czytać jeszcze raz.

Miłościwa Pani, pisał Arcymag ze szkoły magii w stolicy.

Chciałbym uprzejmie donieść o incydencie, który wydarzył się w naszych skromnych progach. Otóż późną jesienią zeszłego roku zanotowaliśmy ucieczkę jednej z uczennic szkolącej się u nas już od jakiegoś czasu. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyż podobne incydenty miały już miejsce, ale zbiegłych chwytałyśmy bardzo szybko z pomocą podległej Pani straży. Ta dziewczyna jest jednak wyjątkowa. Grono Arcymagów i rektorów naszej szkoły odkryło w niej niebanalny talent magiczny. Tacy magowie trafiają się raz na kilka stuleci, dotychczas odnotowano w kronikach tylko siedmiu tak wszechstronnie uzdolnionych i potężnych. Sama

dziewczyna nie ma pojęcia o mocy, jaka w niej tkwi. Nie chciałbym szanownej Pani martwić, ale niejaka Lilian może okazać się niebezpieczna i działać destrukcyjnie na niewinnych obywateli, gdyż uważamy, że moc, którą posiada, jest na tyle silna, że mogłaby zaszkodzić Pani pozycji, jak i samej dziewczynie, a nie chcielibyśmy jej stracić. Uprzejmie więc zwracam się z prośbą o wydanie dekretu oraz listu gończego za wyżej wymienioną dziewczyną. Pozwoliłem sobie sporządzić jej portret pamięciowy.

Z poważaniem  
Arcymag Szkoły Magii  
Evans

Zmiała notatkę w ręce, po czym rozerwała ją na drobne strzępy i rzuciła na podłogę, prychając jak rozzłoszczona kotka.

- Darius! - wrzasnęła, otwierając drzwi. - Darius, do cholery, gdzie ty się szwendasz?!?!

Nie usłyszała odpowiedzi, więc wyszła na korytarz i z szelestem szat zesłała na niższe piętro swojej siedziby. Służba rozpierchła się na jej widok, ci, którzy nie zdążyli, kłaniali się jej aż nazbyt nisko, pozdrawiając i drżąc w obawie, by przypadkiem nie otrzymać solidnego policzka. Baronowa w złym nastroju była jak huragan, nic nie było w stanie pohamować jej humorów.

- Darius! - krzyczała.

- Tak, milady - usłyszała z końca holu głos wołanego. Włosy miał rozczochrane, co wskazywało na sen lub ową inną czynność, której oddawał się zbyt często.

- Znów chędożysz dziewczki, niewdzięczniku! - tupnęła obcasem, a echo uderzenia poniosło się po korytarzu.

- Ależ pani! Spałem. Proszę o wybaczenie, miałem forsowną noc.

Tłumiliśmy bunt więźniów. Żądali więcej jedzenia i wody. Cóż za bezczelny plebs.

- Chodź - rozkazała i poszła przodem, kierując się w stronę przepastnej biblioteki, która zajmowała prawie całe piętro. Była dumna z tego miejsca, zdobywała woluminy i książki latami, nawet król nie posiadał tak bogatego księgozbioru. Kochała książki, była im wierna, godzinami potrafiła siedzieć i pochłaniać jedną za drugą skulona w najdalszym kącie, walcząc z bezsennością i własnymi ułomnościami. Nikt nie wiedział, jaką literaturę czytuje.

Widywano ją jednak zarumienioną i lekko uśmiechniętą, gdy wychodziła z tejże biblioteki. Znikała wtedy w swoim pokoju i mogła z niego nie wychodzić przez kilka dni, nie przyjmując żadnych pokarmów.

- Siadaj. - Pokazała mu ręką bogato rzeźbiony stołek na lwich łapkach.

Dariusz usiadł potulnie, nie spuszczać oka z rozjuszonyj kobiety.

- Słuchaj, czy wiedziałeś o incydencie w szkole magii w stolicy?

- Nie, miłościwa pani.

- Czy aby na pewno? - ściągnęła podejrzliwie brwi.

- Nie, przyrzekam. A czy coś się stało?

- Głupie pytania zadajesz. Jakby się nic nie stało, to bym cię nie wzywała.

- Tak, to prawda - ukorzył się, spuszczać głowę.

Baronowa nalala sobie szklaneczkę trunku, pociągnęła tęgi łyk i usiadła na przeciw sługi, nie spuszczać z niego wzroku.

- Uciekła im mag. - Ponownie upiła łyk złotej substancji.

- Pewnie straż ją złapie, jak zawsze. Nie ma się czym przejmować.

- No właśnie, że jest się czym przejmować - parsknęła. - Podobno



to bardzo zdolna mag, jakiej od stuleci nie było. Kojarzysz może imię Lilian?

Darius wyprostował się i otworzył szeroko oczy, nie dowierzając temu, co usłyszał.

- Baronowo, czy aby na pewno ma pani dobre informacje?

- Jak śmiesz negować to co do ciebie mówię, parszywy psie! - wrzasnęła. Mężczyzna wzdrygnął się, wyciągając przed siebie rękę.

- Proszę się nie denerwować.

- Ja się nie denerwuję, jestem wściekła! Właśnie dostałam list od Evansa, w którym wszystko mi opisał. Nawet straż jej nie była w stanie schwytać. Rozpłynęła się w powietrzu.

Niedługo nastanie wiosna i niczego nie zrobimy. To zbyt sprzyjająca aura na dalsze uciekanie.

- Tak, pani.

- Wydam dekret i list gończy. Wyślę szpiegów do każdego miasta w państwie oraz ciebie i alchemików. Masz mi zdawać relacje. Darius, jak jej nie znajdę, to cię zetnę na placu jak pospolitego ścierwojada. A teraz wynoś się!

- Tak, pani. - Mężczyzna uklonił się i wyszedł z biblioteki. Baronowa opadła ciężko na stołek i dopiła resztę napitku. Na jej bladych policzkach pojawił się rumieniec, alkohol rozpląnął się po ciele, rozgrzewając je złudnym ciepłem.



No, nie śpij już, zobacz jaka piękna pogoda - Leto usłyszał nad uchem. Otworzył oczy i podniósł się na posłaniu. Nad nim stała uzdrowicielka, rozpromieniona jak nigdy.

- Dzień dobry - ziewnęła.

- No, chodź.
- Ale gdzie? - Położył się z powrotem, naciągając okrycie pod sam nos. - Mi tu ciepło, nigdzie się nie wybieram.
- Wstawaj mi tu zaraz! - Ściągnęła z niego koc. Zwinął się w kulkę i nie dawał za wygraną.
- Nie. Idź sobie. Sio! - mruknął, próbując odzyskać zabrany mu koc.
- Co za śpioch okrutny! - machnęła rękami i poszła do kuchni, gdzie Nora nalewała właśnie ciepłego mleka do kubków.
- Ach, chciałam mu coś pokazać - zachnęła się. Widać było, że się jej humor lekko pogorszył.
- Zostaw go, zaraz się wygrzebie z pościeli. Ostatnio źle sypia - szeptała dziewczyna tak, by jej elf nie usłyszał.
- Czemu? - kobieta nachyliła się w jej stronę.
- Chyba śnią mu się koszmary. Zdarza się, że krzyczy, często mnie tym budzi. Ale ciii... Nie chcę, by myślał, że mu się wtrącam w jego sprawy, wiesz, jak tego nie znosi.
- Tak, wiem.
- Leto wygrzebał się w końcu z łóżka. Nie był zachwycony, był śpiący. Kolejna noc, która była koszmarna. Znow śniły mu się chodzące trupy i magowie próbujący go zabić.
- Wziął sobie to wszystko zbyt do serca, teraz nie dawało mu to żyć, ale wiedział, że prędzej czy później upora się z koszmarem, niszcząc go w realnym świecie.
- O czym to tak szepczecie? - odezwał się, wrzucając na siebie szarą koszulę.
- Nora żali się, że chrapiesz - skłamała Meran.
- O ty, istoto okropna! - zażartował i usiadł do stołu, by spożyć z nimi posiłek.
- E tam, zdaje ci się, bo jesteś głodny - uśmiechnęła się do niego.

- Tak, jak zawsze, masz rację.

Zjedli posiłek w spokoju, żartując od czasu do czasu. Żadne nie schodziło na tematy związane z magami czy zagrożeniem wiszącym nad wsią. W końcu jednak uzdrowicielka przypomniała mu o chacie Andersa. Dawno do niej nie wchodzili i nie było to związane z lękiem, a raczej niechęcią do tego miejsca. Było drażniące, wręcz splugawione. Nawet mieszkańcy wioski omijali je z daleka, toteż trawa zarosła podwórze, a chwasty rozpanoszyły się wszędzie niemiłosiernie.

- Sądzę, że w końcu musimy tam pójść.

- Tak, to fakt - odezwał się, żując skórkę chleba.

- Musimy znaleźć wszystko, co ma związek z iluzjonistami oraz wcześniejszymi powiązaniem Andersa z magami.

- Zastanawia mnie jednak, jak długo to trwało, bo Anders mieszkał tu raptem kilka lat i bardzo szybko stał się szanowanym obywatelem wioski. Ale o tym już dyskutowaliśmy jakiś czas temu i myślę, że tę zagadkę warto by było rozwiązać, dając odpowiedź nie tylko sobie, ale też i wieśniakom. Zapewne chcieliby wiedzieć. Jak ty uważasz?

- Sądzę, że powinniśmy po prostu znów tam wejść. Oczywiście pod warunkiem, że ściągniesz to cholerstwo, nie mam ochoty na odbijanie się od magicznych barier.

- Oczywiście, zrobię to wyłącznie dla ciebie - uśmiechnęła się.

- No, to chodźmy. Dzisiejszy dzień, skoro tak miły i słoneczny, to zapewne przykrych niespodzianek nam nie przyniesie. I jest jasno, a to nam sprzyja.

- Jasno - powtórzyła uzdrowicielka. - Jak to ładnie zabrzmiało.

Leto ogarnął już długie włosy i związał je rzemieniem tuż przy karku, pojedyncze kosmyki opadały mu na twarz. Wrzucił na siebie okrycie, ubrał buty i otworzył drzwi do ganku, stając w złotej

poświacie słonecznej. Nora spojrzała na niego i uśmiechnęła się do siebie. Im dłużej go znała, tym był jej bliższy.

- No to my idziemy - rzucił niespiesznie i wyszedł. Meran podreptała za nim, machając ręką na pożegnanie Norze, która odwzajemniła gest i wróciła do swoich domowych obowiązków.

Dzień rzeczywiście był słoneczny. W powietrzu unosił się zapach ziemi, wylaniającej się spod śniegu, mimo że już obficie zazielenionej, jednak jeszcze wilgotnej i błotnistej. Drzewa szumiały melancholijnie na wietrze, a życie toczyło się swoim tempem, nie zważając na to co właśnie miało się wydarzyć.

- Jesteś gotowy? - spytała, kiedy dotarli po kilku minutach na miejsce.

- Tak, możesz zaczynać - zrobił kilka kroków w tył.

Meran zamknęła oczy i zaczęła wymawiać zaklęcia, cicho i w skupieniu unosząc nieznacznie ramiona. Z dłoni wystrzelił jej błękitny ogień, uderzając w barierę, jaką stworzyła. Odbił się od niej i wrócił do kobiety, okalając ją swym blaskiem. W powietrzu dało się słyszeć iskrzenie i trzeszczenie, po czym wszystko ucichło i wróciło do stanu sprzed chwili.

- Już.

- Jesteś pewna?

- Tak, chodźmy.

- Ty pierwsza.

- Co za Och, no już dobrze.

Meran podeszła do drzwi i otworzyła je z potężnym zgrzytnięciem. Nieużywane zamki zardzewiały z wilgoci i drzwi stawiały dość znaczny opór.

- Czekał, pomogę ci.

Popchnęli je oboje, otwarły się w końcu niechętnie. Zapach domu uderzył w ich nozdrza aromatem drewna i stęchlizny,

typowym dla niezamieszkanego domostwa. W blasku wiosennego słońca zatańczyły drobiny kurzu unoszone świeżym powietrzem, iskrzyły się jak srebrne gwiazdeczki.

- Ładny widok - odezwała się, wchodząc tuż za nim.

- Tak, ciekawy. Widywałem to już kiedyś.

- Nie wątpię.

- Otwórzmy okna, by wpuścić tu świeżego powietrza - zaproponował. - Przesiąkniemy tym zapachem na wskroś.

- Tak, zrób to - zaaprobowała.

Leto obszedł cały dom, otwierając w każdej z izb okno. Było podobnie jak z drzwiami, zawiasy zgrzybiały i opierały się, w końcu jednak ustępowały z piskiem, niechętnie. Kwiaty, niegdyś zielone i bujne, były uschnięte i żółtymi badyłami szpeciły jedynie ceramiczne donice na parapetach. Leto pościągał je i poodsuwał zakurzone, pięknie haftowane kotary. Dom nabrał życia za sprawą powietrza i słońca wdzierającego się do jego wnętrza. Już nie był tym mrocznym lokum, które penetrowali z uzdrowicielką kilka tygodni wcześniej.

Skierował się automatycznie do izby żony Andersa i usiadł na łóżku, wpatrując się w skrzynkę, która przysporzyła mu ostatnim razem więcej kłopotów, niż mógł się tego spodziewać. Przeciągnął smukłymi palcami po rzeźbionym wieczku, dotykając runicznych znaków, które teraz dostrzegł. Było misternej roboty, niemal że koronkowe, wykonane przez sprawne palce rzemieślnika. Najprawdopodobniej była to starodawna elfia robota. Takie rzeczy widywano w tak zwanym starym państwie, kiedy to jeszcze elfy należały do ludu wolnego. Przemierzali zatem ziemię, trudniąc się handlem, rzemiosłem i nie tylko. Rzadko jakieś klany osiadały w jednym miejscu dłużej niż na jedną zimę.

Z rozmyślań wyrwała go Meran:

- Wymyśliłeś coś? - oparła się o futrynę, zakładając ręce.  
- Nie, jestem bezsilny.  
- Przeszukaj jeszcze raz ten pokój, ja wracam do mikstur Anny i papirusów. Myślę, że czekają nas tu niespodzianki.

- Tak, trzeba coś z tym zrobić. - Wstał i rozejrzał się dokładnie.

Meran zniknęła w głębi domu, nucąc pod nosem.

Leto rozejrzał się po raz kolejny. Sprzęty pokryte kurzem były jak z aksamitu, pajęczyny okalały co poniektóre drobne rzeczy stojące przy łóżku i małej toalecie. Malutkie buteleczki z delikatnego szkła i szczotka z włosia były tak urzekające, że zatrzymał na chwilę wzrok na tych przedmiotach, mrużąc oczy. Przypomniał mu się epizod z życia, niestety nie mógł go dopasować do znanej scenerii. Przebłysk kobiety o niezwykle długich, białych włosach i srebrna szczotka, którą trzymała w smukłych dłoniach. Błysnęło mu przed oczyma, potem obraz znikł tak samo, jak uśmiech owej istoty.

Ocknął się i zaczął przeszukiwać kolejny raz pomieszczenie. Tym razem było światło i dostrzegał wiele więcej szczegółów, których wcześniej nie widział. Wszystko było jasne i zapraszało do odkrycia. Ruchem ręki strącił przedmioty z toaletki. Te spadły na ziemię i stłukły się z brzękiem, uwalniając delikatny różany aromat, który nasycił powietrze. Nie zwrócił na niego uwagi, ani też na to że ochlapał odzienie. Odnalazł szufladki pozamykane na drobne srebrne kluczyki powtykane w dziurki. Pełne były kobiecych skarbów jak kolczyki, kamee czy brosze albo koronkowe rękawiczki. Wyciągnął jedną parę szafirowych kolczyków i przysunął się bliżej światła. Zalśniły swym zielonkawym mdłym blaskiem żadne słonecznych promieni. Spodobały mu się, schował je zatem do kieszeni. Zawsze może je wymienić po drodze na coś do jedzenia. Szukał dalej, w skupieniu, z kamienną niewzruszoną

twarzą.

Nagle coś nadepnął. Płytką na podłodze jakby się uniosła i zgrzytnęła zachęcająco. Schylił się i palcami przejechał po powierzchni, niczego jednak nie znalazł. Ponowił więc próbę nastąpienia na podłogę. Odezwała się tym samym jękiem, tym razem był pewien, że coś znalazł. Odsunął toaletkę i zajrzał do kąta, macając nerwowo podłogę. Rzeczywiście jedna z desek w podłodze była obluzowana. Wyciągnął ją szarpnięciem, wzburzając tumany kurzu. Zakaszał, kilka razy kichnął i gdy pył opadł, ujrzał małe zawiniątko. Zanim jednak wyciągnął dłoń w jego stronę, Meran go ubiegła.

- Ej! - warknął.

- Ja to sprawdzę.- Wyszła z pomieszczenia, kołysząc biodrami. Leto się wściekł i wybiegł za kobietą na zewnątrz.

- Co ty sobie myślisz! - wrzasnął.

- Nic sobie nie myślę - odezwała się spokojnie, nie zważając na wybuch agresji, jaka została właśnie skierowana w jej stronę.

Przykucnęła na schodach domu i rozwinęła szary papier. Wewnątrz były listy i srebrny klucz niezwyklej urody i misternej roboty, wysadzany małymi rubinkami, zwieńczony czarną perłą na czubku. Podała Letowi klucz.

- Weź, chyba bardzo ci na nim zależy.

Wyrwał jej z ręki przedmiot i zniknął w domu, ciesząc się ze zdobyczy. Tymczasem uzdrowicielka obejrzała listy. Okazało się, że nie była to zwyczajna korespondencja rodzinna.

Wszystkie były oznaczone pieczęciami królewskimi. Kobieta zastanowiła się, zanim je przeczytała. Coś w duchu podpowiadało jej, by tego nie robiła, gdyż wiedza, jaką posiada, może okazać się zgubna nie tylko dla niej. Ciekawość jednak wygrała.

Leto krążył po pokoju, niecierpliwie pocierając klucz w

dłoniach. Odwaga, którą jeszcze miał w sobie przed chwilą, przysła jak owe kruche buteleczki z aromatycznymi olejkami. Doświadczenie z kuferkim miał niezbyt przyjemne, więc jego obawy były uzasadnione. Zebrał się jednak w sobie i włożył kluczyk do zamka. Mechanizm ustąpił lekko, trzaskając pojednawczo. Otworzył kuferek ze skrzywioną twarzą, czekając na moment, kiedy coś na niego wyskoczy lub wybuchnie mu w oczy. Nic jednak takiego się nie stało. W kufierku znalazł szkic i mały złoty pierścionek. Na obrazku skreślone było dziecięcą ręką: Mamusiu, Kocham Cię... i wybaczam.

Twoja na wieki Anna

Elf przetarł oczy ze zdumienia. Wziął do ręki drobny, zniszczony przez czas przedmiot. Nie mógł uwierzyć własnym oczom, że coś takiego zostało w tak doskonały sposób zamknięte. Przecież były to tylko śmieci. Cisnął rozgoryczony szkatułą w kąt pokoju, mnąc w rękach skrawek papieru wraz z pierścionkiem.

Meran weszła zobaczyć jak mu idzie, równie pobladła, co podeksycytowana.

- Co się stało? Co znalazłeś?

- Śmieci, nic więcej. Same śmieci.

- Pokaż mi zatem te śmieci. - Wyciągnęła rękę w stronę elfa, który marszczył z niezadowolenia brwi. Podał jej to co miał w ręce, a kobieta usiadła obok niego na łóżku, rozwijając pomięty papier, z którego wypadł pierścionek. Przeczytała uważnie notatkę i posmutniała.

- Co ci jest?

- Nie masz dzieci, Leto, prawda?

- Na co mi one - oburzył się.

- Dlatego nie zrozumiałeś przesłania.

- A jakież to przesłanie?



- Miłość.

Wstała i wyszła z pokoju, zabierając ze sobą listy. Poszła prosto do domu, nie oglądając się za siebie. Leto został sam z kluciem w sercu, którego nie znał. Było i bolesne, i kojące, jakby obudziło się w nim coś, czego nigdy nie zaznał - współczucie.

Ocknął się jednak i ponownie zaczął oględziny, jakby to robił pierwszy raz. Pusty dom, bez Meran, był kusząco intrygujący. Dotykał opuszkami palców drobnych brzęczących przedmiotów, ścierał kurz, który zwijał się w kulkę tuż pod jego dotykiem. Cały czas miał wrażenie, że czegoś nie zauważa, że coś kryje się wewnątrz tych ścian, ukryte i denerwująco tajemnicze.

- Rupiecie - myślał. - Skurzone, drobne, złośliwe rupiecie.

Zrezygnowany zasiadł na ganku, przyglądając się zdobycznym trofeom. Jakieś drobnostki, w sam raz na sprzedaż. Sentymentalny, żółty, zmięty list, złoty pierścionek...

- Co tam masz? - usłyszał głos nad głową. Stała nad nim rozpromieniona Nora. W blasku słońca jej włosy lśniły ognistą łuną przeplataną jasnymi kosmykami.

- Takie tam - wzruszył ramionami.

- Pokaż. - Wyciągnęła rękę w jego stronę, siadając obok. Buty miała ubłocone.

Dał jej pierścionek, krzywiąc usta.

- Masz, możesz zatrzymać. Pewnie Katlyn się już nie przyda.

- Jest cudny - rzuciła kobiecym okiem na drobnostkę, próbując wcisnąć go na palec.

- Jaki malutki, jak dla dziecka - narzekała, jednak po chwili znalazł się na jej serdecznym palcu, lśniąc w słońcu niczym diamenty.

Leto popatrzył na jej rękę.

- Wygląda bardzo ładnie, pasuje ci - rzucił i wrócił do rozmyślań.

- Tak, też mi się podoba. Teraz we wsi będą gadać, żeś mi się oświadczył - zaśmiała się.

- Oj tam, i tak już mąką. Jedna plotka więcej mi nie zaszkodzi.

Meran dotarła do domu zdyszana. Dawno tak szybko nie szła. Czowała wiatr we włosach i wewnętrzny niepokój. To co przeczytała, wstrząsnęło nią do głębi. Chciała to jeszcze raz, na spokojnie, bez wiecznie podenerwowanego ostatnio przybysza, przeanalizować. Wiedziała, że może lada moment się pojawić w domu, ale w głębi duszy przewidywała, że z domu Andersa ciężko go będzie wyciągnąć. Zbyt pochłonęła go żądza odkrycia prawdy zawartej gdzieś w tamtych ścianach.

Ulfrik z chłopami sprawdzał wnyki w lesie. Miała czas i ciszę, tak bardzo jej teraz potrzebną. Odgarnęła włosy ze spoconego czoła i usiadła przed domem, rozkoszując się zapachem wilgotnej ziemi.

Listy były trzy. Miały odległe od siebie daty. Za pierwszym razem nie przeczytała ich w kolejności, teraz chciała to uczynić. Rozwinęła je zatem, zerkając w rogi pożółkłych kartek.

Wzięła głęboki oddech i zaczęła czytać:

Szanowny Panie!

*Z rozkazu dumnie nam władającego króla chciałabym prosić o przemyślenie spraw, które nie tak dawno wypłynęły w kwestii pańskiej rodziny. Otóż doniesiono nam, że ukrywa Pan w domu nieszkolonego maga, co może zaowocować eskalacją mocy oraz szkodą na rzecz kraju. Rozumiem, że jest to delikatna sprawa, a opinia Pańska w środowiskach arystokracji jest nienaganna i zawsze Pan służył radą oraz wsparciem miłościwie nam panującemu, ale uważam, że powinien Pan przemyśleć sprawę i odeskortować szanowną małżonkę do najbliższej szkoły magii znajdującej się w stolicy.*

*Z poważaniem uniżona  
służka króla baronowa Alvena*

Nic nowego list nie wniósł, oprócz tego, że nie zdawała sobie sprawy, że ten skromny człowiek był arystokratą. Co więcej, gdzie nauczył się fachu krawca? To było dziwne, potrafił przecież tak doskonale szyć ubrania. I Katlyn jako mag, czego dowiedziała się wcześniej z oględzin mieszkania. Czyżby magia sprawiła, że popadła w obłęd? A może to przez iluzjonistów, z którymi Anders zawarł pakt i oddał im jedną ze swoich córek, nie wiedząc, że magia również ujawni się w najmłodszej, która stała się oczkiem w głowie starca i za żadne skarby świata nie dopuszczał nikogo do tej wiedzy. Rozwijał jej talent z dala od ciekawskich oczu wieśniaków. Może jego rozgoryczenie brało się z faktu, że nie mógł niczego zrobić, że wszystko stało się wbrew jego planom, jego życiu, wbrew wszystkiemu, co kochał.

Drugi list był stanowczy i zarysowany mocno emocjonalnie, jakby była to odpowiedź rozdrażnionej kobiety, której racje i poglądy są tak różne, że aż boli. Pismo tym razem było rozchwiane, choć należało do tej samej osoby, która napisała pierwszy list.

Szanowny Panie!

*Jestem dogłębnie zdegustowana Pańskim postanowieniem, skłania mnie to zatem do doniesienia miłościwemu nam panującemu o Pańskich poczynaniach oraz zagrożeniu, jakie niesie ta rodzina naszemu krajowi, bo jak wiadomo, ukrywanie niebezpiecznych przestępców jest karalne ścięciem lub wygnaniem. Wiem jednak, że cieszy się Pan doskonałą opinią i sądzę, że dozna Pan łaski, którą ja bym w tym przypadku Pana nie obdarzyła.*

*Z poważaniem uniżona  
służka króla baronowa Alvena*

Meran zmięła list w ręce, nie dowierzając i złoścąc się zarazem. Jak można tak traktować człowieka, nawet jeśli jest magiem? Przecież magia to dar, a nie przekleństwo. Nie rozumiała tego. Coraz bardziej zagłębiała się w emocje panujące w tej rodzinie. Czuła, jak z krwią zaczynają krążyć i wdzierać się w umysł niczym jad drążący trzewia. Paliło ją to sprawiając ból. Pojęła dlaczego Anders był taki, a nie inny.

Trzeci list był z innego papieru, grubszy i bardziej dopracowany, zwieńczony pieczęcią królewską odbitą na lakowanym wierzchu. Na liście widać było rozmazane smugi i ślady zgniatania, musiał bowiem wzruszyć lub zdenerwować na tyle, by doprowadzić Andersa do takiego zachowania.

Szanowny Panie!

*Ja, miłościwie panujący król, chcę Panu donieść, jakie decyzje musiałem podjąć w sprawie pańskiej rodziny. Przyznam, że był mi Pan oddanym sługą i doskonałym ministrem.*

*Wielce ubolewam zatem nad tym, że ukrywał Pan przede mną sprawę, którą baronowa Alvena dość wyraźnie mi zarysowała. Wiem również, iż moja kuzynka ma skłonności do przesady, ale wiem też, że nie zwykła kłamać czy koloryzować faktów. Nie znam jej źródeł, nie wnikam w to. Mój list wypływa ze szczerego serca i chęci polepszenia i tak już tragicznej sytuacji, w jakiej się Pan znalazł. Muszę niestety wydać wyrok w tej sprawie, choć wcale tego nie chcę i czynię to z bólem serca.*

*Niniejszym oświadczam, że na mocy dekretu „o ukrywaniu niebezpiecznych przestępców, w tym nieszkolonych magów” skazuję*

*Cię, Lordzie Andersie Varn, na banicję poza granicami kraju wraz z rodziną. Niedługo po otrzymaniu wyroku pojawią się w pańskiej posiadłości żołnierze, którzy pomogą się Panu bezpiecznie wydostać ze stolicy. Reszta należy do Pana. Ufam, że przekroczy Pan granicę w ciągu miesiąca, inaczej wszelkie doniesienia o pańskim pobycie zostaną potraktowane jako niewywiązanie się z wyroku, co skłoni mnie do wysłania listu gończego za Panem i pańską rodziną z rozkazem stracenia.*

*Z poważaniem miłościwie  
władający król Orthen II*

Meran zrobiło się smutno, poczuła uścisk w żołądku.



Leto, na Odkupicieli, czym ty pachniesz? - Nora skłoniła się w jego stronę. Ściągnął brwi, przyglądając się jej uważnie. Zmarszczyła nos, wciągając zapach unoszący się z jego odzienia.

- Nie wiem o czym mówisz. - Wciągnął nosem powietrze głębiej niż zazwyczaj. Teraz dotarło do niego, że ubranie ma przesiąknięte aromatem różanym z roztrzaskanych flakoników z perfumami z toaletki Katlyn.

- Aaa, to - westchnął. - Przez nieuwagę stłukłem jakieś pachnidło - skłamał.

- Tak, czuję woń damskich perfum. Hmm, i to nie byle jakich. Ciekawe skąd chłopka miała taką esencję.

Rozkoszowali się zapachem.

- Mnie stać jedynie na mocno rozcieńczonej alternatywie, ehh -

westchnęła z żalem.

- Idź, poszukaj. Może jeszcze coś znajdziesz - zachęcił ją do wejścia do środka.

Zrobiła pogardliwą minę, jakby sama myśl o wejściu do tego domu brzydziła ją. W sumie nie miał się czemu dziwić po tym, co widziała jakiś czas temu. Jemu samemu robiło się ciężko na żołądku. Widok ożywieńca zapada w pamięć dość mocno. To jeden z tych obrazów, których ciężko się jest pozbyć.

- Dom jest skurzony i pachnie wilgocią, ale nadal to tylko dom. - W jego głosie dało się czuć nutę rozczarowania.

- Może masz rację - machnęła rękami i przekroczyła próg. - Ale jak mi coś z kąta wyskoczy, obiecuję, że poobcinam ci uszy. - Zniknęła w półmroku przedsionka. Słyszał tylko stukanie obcasów o drewnianą podłogę. Sam został ze swoimi myślami, grzejąc dłonie na słońcu.

Jeszcze raz powąchał swoje ubranie, skrzywił się, po czym zamyślił. Nora myszkowała po domu w podobny sposób, jak poprzednicy. Rozglądała się i od niechcienia brała przypadkowe przedmioty do ręki. Czuła się obco i nieswojo. Lubiła rodzinę, która mieszkała w tych ścianach.

Choć tak naprawdę, gdy do niej wszystko dotarło, okazało się, że nie znała ich wcale. Intrygowali ją, a zarazem przerażali. Nie zapomni nigdy umierającego Leta, czy powstałych z martwych chcących wszystkich unicestwić. Zatrzymała się w drzwiach do pokoju Katlyn. Były takie niskie, takie małe. Oparła głowę o belkę, spojrzała do wnętrza malusieńkiego pomieszczenia i coś ją tknęło.

- Leto!

Usłyszał z głębi domu krzyk dziewczyny, na szczęście nie był to przenikliwy wrzask.

Wstał, otrzepał spodnie i wszedł do środka. Zastał ją stojącą w

drzwiach, z głową wspartą o futrynę, przyglądającą się czemuś z zainteresowaniem.

- Coś tam wypatrzyła? - zagadnął zza jej pleców.

Pokazała mu palcem.

- Nic tam nie widzę, jedynie załamania światła, które przeciskają się pomiędzy twoją sylwetką.

- Przyjrzyj się uważnie - nakazała. - Albo zamieńmy się miejscami.

Zrobił, co mu kazała. Stał tam, gdzie ona i wytężał wzrok najmocniej jak umiał. Widział tylko koty kurzu w kącie i szarą podłogę z nierównymi deskami.

- Kobieto, albo ja mam słaby wzrok, albo ty urojenia.

- Patrz uważnie.

- Ale nic nie widzę, no.

- Odsuń się, pokarzę ci palcem.

Przeszła obok, wciskając się pomiędzy elfa a futrynę. Poczul zapach jej włosów. Wydała mu się taka... Odgonił myśl. Chyba za dużo czasu z nią przebywa.

- Zobacz. - Przykucnęła w kąciku i na coś wskazała. Był po przeciwnej stronie niż ten, w którym znaleźli z Meran listy i klucz. Łóżko stało lekko odsunięte od ściany i przy bliższym przyjrzeniu się można było dostrzec, że drewniane deski są nieco bardziej uniesione niż reszta i wydają się ciemniejsze, jakby zawilgocone. Była to jednak tak subtelna różnica, że ciężko było cokolwiek na pierwszy rzut oka zauważyć.

- Widzisz teraz? - Przesunęła dłonią po ziemi, zbierając pod palcami brud.

- Tak - zawahał się. Nie wiedział, jak ma się zachować. Tyle czasu spędził na penetrowaniu i szukaniu, że zaślepiiony szalem pomiął najsubtelniejsze rzeczy.

- Przesuńmy łóżko. Zobaczymy, czy da się coś zrobić.

- Dobrze - przytaknęła i pomogła mu.

Ustąpiło bez oporów. Przesunięcie o kilka centymetrów dało bardzo wiele. Ukazało im się bowiem coś na kształt włazu, a raczej zarys włazu. Jedna deska miała lekkie wyżłobienie, które pozwalało na uchwycenie tak, by go podnieść. Ukryte było pod łóżkiem, więc gdyby nie bystre oko Nory, nie odnaleźliby niczego.

- Mam obawy - wyszeptał. - Jakoś mi się to nie podoba.

- A ja tam jestem ciekawa. Może to piwniczka pełna win ukrywanych przed wieśniakami lub jakaś spiżarnia pełna jadła.

- Tak, jasne. I myślisz, że jedzenie by tak chowali? Głupiutka jesteś.

- Ale z ciebie dupek - zachnęła się, wstała i skierowała się do drzwi.

Leto rozłożył ręce.

- Co takiego powiedziałem?

- Nic - fuknęła i wyszła. Po drodze krzyknęła, że idzie po Meran, skoro dziura w ziemi jest taka tajemnicza.

Elf usiadł na podłodze i oparł podbródek na zaciśniętej pięści.

- Czemu wszystko, co cenne i magiczne, jest właśnie w tym pomieszczeniu? - zastanawiał się do czasu, aż usłyszał stukanie butów i charakterystyczny chód uzdrowicielki.

Za nią człapała nadal w złym humorze, być może nawet obrażona, Nora.

- Słyszałam, że coś wypatrzyliście.

Leto podniósł na nią zamyśloną twarz.

- Nora wypatrzyła. W kącie deski są nieco inne, nie widziałem tego. Jesteś jakaś inna.

Czy coś się stało? - zauważył zmianę w jej twarzy. Wydała mu się nieobecna, zamyślona, jakby ją coś dręczyło.



- Przeczytałam listy. Potem ci je pokarzę. - Odetchnęła głęboko i podeszła bliżej, kucając tuż przy nim i dotykając podłogi czubkami palców.

- Oj, niedobrze.

- Czyli to nie kiełbasa - bąknęła Nora. Założyła ręce na piersi, zwieszając nos na kwintę.

Kobieta rzuciła im pospieszne spojrzenie, nie pojmując zachowania tak jednego, jak i drugiego.

- Na pewno nie jest to piwniczka z jedzeniem, jeśli o to wam chodzi. Znów mnie ten dom zaczyna interesować.

- Czy to aby nie nudne? - elf wbił jej się w słowo. - Cały czas tu siedzimy i cały czas coś znajdujemy. Kiedy w końcu dojdziemy do winsoku, że już tu niczego nie ma i spalimy to cholerstwo?

- Ciekawa myśl, mój drogi, ale skoro dom się przed nami otwiera, otwórzmy się i przed nim. Potem uśmiercimy go nie tylko ogniem.

- Oby, bo zaczyna mnie drażnić.

- Aleś ty nerwowy, a myślałam, że to ja mam gorszy dzień.

- Wchodźcie już tam - odezwała się dziewczyna.

- Tak, wejdziemy - rzucił jej uśmiezek znad wolno opadającej grzywy białych włosów.

Oboje z Meran ostrożnie wyszukali brzegi kłapy i oczyścili dłońmi z kurzu i kłębow brudu. Tak jednemu, jak i drugiemu powbijały się drzazgi. Drewno było bardziej miękkie i bardziej plastyczne.

Nie skrzypiało, może dlatego nie odkrył go wcześniej. Unieśli ostrożnie klapę i popchnęli, by oparła się o ścianę. Uderzył ich w nozdrza zapach kwaśnej stęchlizny, zbutwiałego drewna i oliwy, pewnie zjełczałej za sprawą wilgoci. Poczuli też dziwny odór gnijącego ciała lub skóry, który napełnił nozdrza mdłym, słodkim

zapachem rwącym trzewia.

- Uch - Meran zasłoniła usta dłonią. - Cóż za smród.

- Śmierdzi, jakby im tam kot zdechł.

Dziewczyna machnęła ręką, jakby chciała powiedzieć: „o nie, żadnych umarłaków”

- Ja wychodzę, nie mam zamiaru zwymiotować tu na podłogę. Wy sobie tam wchodźcie, ale beze mnie.

- Idź, tchórze - zaśmiał się Leto. Nora znów obdarzyła go kwaśną miną, zacisnęła usta i wyszła, nie odzywając się wcale.

Meran spojrzała w czarną otchłań otwierającą się przed nimi. Wyciągnęła przed siebie rękę, która zaśniła błękitnym blaskiem. Dało to niewiele jasności, ale wystarczająco, by mogli się przyjrzeć temu, z czym mają się zmierzyć.

- Na Odkupicieli! - kaszlnął elf, zasłaniając usta i nos od smrodu. - Toż to dziura w ziemi, jakby wykopana od niechcienia przez niechłuja w budownictwie.

- Na to wygląda. Obejrzyjmy zatem to dzieło, ale najpierw znajdziemy jakieś kaganki i drabinę.

Znaleźli, co było im potrzebne, choć zajęło to więcej czasu, niż sami by tego chcieli. Drabina na ich szczęście była nawet za duża, wszystko przez to że wytargali ją z obory. Jej właściciel, sąsiad Andersa, raczej nie będzie zachwycony jej utratą. Kobieta odpaliła lampki i spuściła jedną na dół, by zobaczyć, jak w rzeczywistości jest głęboko. Nie było źle. Zeszli ostrożnie, trzymając światło przed sobą w rękach. Ogień zaczynał syczeć i przygasać, im niżej schodzili. Przed nimi wyłonił się z głębokich nieprzenikniętych ciemności wąski i niski tunel. Musieli się bardzo schylać, by przebrnąć przez niego. Robiło im się niedobrze, gdyż ich nozdrza zalewał coraz intensywniejszy fetor.

- Nie wytrzymam - jęknęła Meran i zwymiotowała.

- Ja się trzymam - westchnął elf, przykładając po raz kolejny dłoń do ust. Jak on marzył o tym różanym olejku na szatach. Zdążył się ulotnić lub wymieszać z tym czymś.

Nie uszli daleko, kiedy korytarzyk się rozszerzył, zamieniając w obszerne pomieszczenie podtrzymywane ciosanymi belami drewna i kamiennymi blokami, choć te wyglądały, jakby były częścią tego miejsca. Tworzyły coś na wzór formacji skalnej dającej fundament ukrytej jaskini. Gdzieniegdzie słychać było w głębi chlupotanie wody kapiącej ze stalaktytów.

- No to teraz wiemy, któredy nam iluzjoniści włożą do wsi - odezwała się Meran, następując na coś grząskiego i oślizłego. - Fuj! Uh, nie mogę, idź pierwszy.

- No tak, ja pierwszy - bąknął i wyminął ją. Rzeczywiście podłoże było grząskie, ale po chwili mieli pod stopami twarde drewniane oparcie dla nóg. Obcasy zastukały rytmicznie, dodając odkrywcom otuchy. Stanęli plecami do siebie, świecąc po ścianach przygasłymi lampami. Pomieszczenie było przytłaczające, duszne i wilgotne. Cisza brzęczała w uszach, drwiąc z ich strachu. Meran kątem oka zobaczyła podest wciśnięty w skały. Zmarszczyła czoło i podeszła bliżej. Serce zaczynało podchodzić jej do gardła.

- Chodź no tu - zawołała, by przyszedł bliżej. Czuła się wtedy bezpieczniej. Elf potulnie spełnił prośbę. Spomiędzy sterty dziwnych przedmiotów i potrzaskanych flaszek wylaniał się wolumin, gruby i powykręcany od wilgoci i starości. Im bliżej podchodzili, tym bardziej mieli wrażenie, że coś ich odpycha, szepcząc do uszu, by się nie zbliżali. Meran jednak brnęła naprzód, nie zważając na głosy i opór. Powietrze zgęstniało.

- Co, do cholery? - Leto próbował złapać oddech, jednak nie umiał. Pulsujące tętno krwi dudniło mu w uszach, powodując ścisk w czaszce.

- Czarna magia.

Podeszła jeszcze bliżej. Ciało jej drżało, a ręce pulsowały od ciśnienia. Skoncentrowała się i skupiła całą swoją siłę magiczną na miejscu, z którego dopływała energia. Włosy jej zafalowały i zaiskrzyły się na końcach, a dłonie zalśniły znanym już elfowi błękitnym światłem. Tym razem jednak otaczała się błękitną połyskującą pajęczyną, która pulsowała z każdym uderzeniem jej serca. W pomieszczeniu nagle zaczęło robić się zimno. Leto schował dłonie w rękawy płaszcza, palce zaczynały mu kostnieć.

- Nie ruszaj się, nie reaguj na nic i nie wierz w nic, co ci może powiedzieć lub wlać w twe myśli. To ułuda, zwidy, omamy konającego.

- O czym ty bredzisz?

- Mamy tu nieumarłego. - Pokazała stertę śmieci. Przyjrzał się dokładniej, ale dostrzegał tylko śmieci i potłuczone szkło.

- Nic nie widzę.

- I dobrze. Zobaczysz, jak się wkurzy. Przygotuj się. Mam nadzieję, że jadeit masz ze sobą.

- Zawsze mam.

- To sobie wyciągnij.

- Po co, do cholery, jadeit na niby nieumarłego?

Pajęczyna światła zamigotała jaśniej, trzeszcząc i elektryzując. Meran zacisnęła powieki.

- Bo to cholerny nieumarły mag! - krzyknęła.

Wtedy usłyszeli trzask i brzęk szkła. Sterta rupieci uniosła się i rozsypała po ziemi. Zerwał się wiatr niosący ze sobą ostre jak brzytwa kawałeczki lodu i szkła. Oboje zasłonili twarze, by nie ulec pokaleczeniu, ale na wiele się to nie zdało. Istota wynurzająca się z kąta zawyła i skuliła się jaśniej. W końcu się wyprostowała i wlepiła w nich swoje niewidzące, pozbawione źrenic oczodoły.

Usta wykrzywiły się w pokracznym uśmiechu, choć raczej ustami tego nazwać nie mogli. Smród stał się ogłuszająco nieznośny.

- Na Odkupiacieli! Co to za - elf jęknął i osunął się na kolana.

Znów poczuł, jak życie z niego ucieka.

- Przeklęta elfia czysta krew - warknął i skupił się na odpychaniu dziwacznych myśli, jakie zaczęły napływać do jego czaszki. W ręce kurczowo ścisnął jadeitowy sztylet. Nie mógł się jednak ruszyć, wiatr był zbyt silny. Uzdrowicielka stawiała mu opór dość łatwo, ale jej siła woli też miała swoje granice. Zjawą kurczowo trzymała powykęcany grimuar, mamrocząc coś pod zgniłym nosem przyklejonym do policzka. Mokre szare włosy okalały czaszkę jak wieniec, przegniła szata opadała z nadgniętego ciała, ukazując degradację śmierci i rozkładu, białe zębra wydstawały się spod śliskiej, sinej, owrzodziałej i opuchniętej przez gazy skóry.

Widać było, że nieumarły czerpie siłę z księgi, jak i z krwi Leta. Z każdą chwilą jego wygląd polepszał się, Leto zaś słabł.

- Zabij go! - wrzasnęła w końcu poirytowana, gdyż żadne zaklęcia, jakie kierowała w jego stronę, nie skutkowały. Wyglądało to jak rzucanie grochem w ścianę lub kamyczkami w szybę. Odbijały się i upadały nieopodal, ginąc w mroku.

- Nie mam siły. Nie... nie mogę. - Upadł, tracąc przytomność.

- Cudownie - syknęła pod nosem, nie traciła jednak kontaktu wzrokowego. Zrobiła dwa kroki w tył. Wiedziała, że jej siła woli niedługo się wyczerpie, po omacku palcami szukała sztyletu Leta. Znalazła go w końcu. Elf leżał skulony, drgawki targały jego ciałem, ale żył.

Wyprostowała się i ścisnęła dłoń na rękojeści niedużego przedmiotu. Istota wyciągnęła powykęcane ręce nad głowę, dzierżąc księgę jak broń. Nie wiedziała, czy nią w nią ciśnie, czy

zrobi co innego, postanowiła jednak zaryzykować i znów zrobiła dwa kroki do przodu. Tym razem stwór wcisnął się bardziej w kąt, chrapiąc i posapując.

- Boisz się mnie, ohydo - zadrwiła.

Emanowała z niej moc uzdrowicielki, która zaczynała ogłuszać nieumarłego. Stawał się wiotki i nieskoncentrowany. Upuścił wolumin, który plasnął z hukiem o wilgotną podłogę.

Nie wahała się ani chwili. Uniosła się w powietrzu z rozłożonymi rękami, zmieniając aurę na barierę ochronną. Otoczyła ją kula nieprzeniknionej energii, włosy zaczynały płonąć na końcach, było czuć ich zapach. Puściła sztylet, który zawisł w powietrzu kierowany siłą jej umysłu. Nieumarły upadł na połamanych kolanach i wyciągnął pobielające kości w stronę upuszczonego przedmiotu. Desperacki czyn i utratę kontaktu wzrokowego wykorzystała kobieta, kierując w stronę jego czaszki broń. Sztylet zawirował i ze świstem, lotem strzały, wbił się w sam środek głowy nieumarłego, pomiędzy oczodołami. Leto wziął chrapliwy oddech i zakaszłał, łapiąc się za klatkę piersiową. Skulił się jeszcze bardziej, był jednak przytomny. Meran stanęła na ziemi, powietrze się uspokoiło, a temperatura w pomieszczeniu ustabilizowała na tyle, by oboje mogli zaczerpnąć pełną pierś smrodliwego powietrza.

- Koniec, już po wszystkim - szepnęła, patrząc jak istota rozpada się na cząstki gnijącego truchła, które po chwili zamieniło się w stertę spróchniałych i zzieleniałych gnatów.

Grimuar leżał tam, gdzie padł, powykręcany i tajemniczy. Meran podeszła bliżej i wzięła go do ręki. Księga stęknęła i wyprostowała się. Brzegi zalśniły nową miękką koźlącą skórą. Leto patrzył na to zjawisko z otwartymi ustami.

- Dobrze się czujesz?

- Chyba tak. - Wyciągnął się jak po długim śnie. - Jestem tylko śpiący i szczerze powiedziawszy, to mam serdecznie dość Andersa, jego domu i tych przeklętych dziwactw, które w nim się poukrywały. Nie chcę już niczego tu znajdować.

- Chyba już nie znajdziemy, sądząc po tym. To była najgorsza z jego tajemnic, nie wspominając o pochodzeniu.

Rzucił jej wymowne spojrzenie.

- Tak, nasz szanowny uzdolniony krawiec był szlachcicem, co więcej sama baronowa maczała w tym palce. - Spojrzała na księgę. - I miała tym razem rację. Szkoda, bo chyba zmarnował się talent.

- Do czego zmierzasz?

- Anders tak kochał swoją rodzinę, że był skłonny zawrzeć pakt z dzikimi magami, by jego tajemnica pozostała dochowana. Ci wykorzystali jego słabość i zniszczyli go. Tak... szkoda, wielka szkoda - mruknęła pod nosem. - Z Anny byłaby świetna uzdrowicielka i nekromantka, o ile moja hipoteza, że ta księga należała do niej, jest prawdziwa. I te jej trucizny... Istny majstersztyk. Ech, szkoda.

Obróciła się, ominęła siedzącego na ziemi elfa i zagłębiła się w ciemność, kierując ku wyjściu z piwnicy. Leto pokiwał głową, wyburczał kilka szpetnych przekleństw i poszedł w tę samą stronę. Marzył jedynie o wygodnym łóżku. Zresztą, kiedy on o nim nie marzył - uśmiechnął się sam do siebie.

Kiedy opuszczali domostwo, było już szarawo, a wiatr smagał ich twarze jeszcze północnym chłodem wprost ze szczytów okalających dolinę. Pożegnali się na ryneczku i rozeszli do swoich siedzib. Leto nie chciał myśleć o księdze. Zawierała zapewne rzeczy, których by nie pojął, napisanych w jakimś archaicznym języku będącym jedynie niepojętym bełkotem.

Nora krzątała się po kuchni, ani podekscytowana, ani

zainteresowana jego wejściem do domu.

- Witaj - bąknął pod nosem, rzucając płaszcz na oparcie krzesła i wygodnie się na nim usadowiając. Ciepło pieca było takie usypiające, nawet nie zorientował się kiedy zasnął.

Obudził go świt i ostre promienie słoneczne wdzierające się przez szybki, zapowiadające bardzo miły dzień. Zabolał go też krzyż. O tak, drewniane stołki to niezbyt odpowiednie miejsce na drzemkę po wyczerpujących starciach z nieumarłymi. Nora popijała mleko wciśnięta pomiędzy piec a ścianę. Lubiła to miejsce.

- Wypałeś się? Chrapałeś jak stary chłop.

- Taaa, można tak to ująć.

- Tam masz strawę. A i nowinka z nocy.

- Jaka?

- Meran spaliła dom Andersa, więc jeśli będziesz chciał czegoś szukać, to pokop w popiele - zachichotała.

- I mnie to nie obudziło?

- Nie.

- Ani troszkę?

- Nie.

- Na Odkupicieli! To spałem jak zabity. Albo nie. Nie takiego słowa powinienem użyć.

- A jakiego? Jak śnięta ryba? - znów się zaśmiała.

- To już wolę „jak zabity” - odbił słówko i zabrał się za ogarnianie swojej osoby.

Zbyttnio głodny nie był, ale kąpiel, czemu nie.

Meran na ganku studiowała grimuar, przykładając do oka małe szkiełko. Literki były niezwykle malutkie, napisane niewyraźnie, tu i ówdzie porozcierane lub rozmyte przez wodę, a przynajmniej taką miała nadzieję. Niektóre kartki były posklejane czymś, co wyglądało na krew. Czy ludzką? Nie miała ochoty się dowiadywać.



Z tego, co doczytała, rzeczywiście był to przepisany jakiś podręcznik do nekromancji i czarnej magii. Z użyciem krwi, nie tylko zwierzęcej. Każde zaklęcie i opis był gęsto okolony notatkami uczącego się lub wskazówkami tego, który uczył, adepta tej sztuki. Część rozumiała, części nie. Potrzeba kilku dobrych lat, by pojąć wszystko, co zawierała księga. Nie mniej sądziła, że jest ważna, że na pewno ktoś się o nią upomni.

- Jak się czujesz? - usłyszała nad głową głos Ulfrika. Twarz miał zatroskaną i nieogoloną, szara szczecina pokrywała jego brodę.

- Skąd ta troska, mój drogi?

- Wyglądasz marnie.

- Co ty mówisz? - przesunęła dłonią po włosach. Rzeczywiście poczuła pod palcami szorstką szczecinę popalonych końców.

- Oj, nie przejmuj się mną. Zrobię z tym porządek wieczorem i rano będę jak nowa.

Jest tyle do przeczytania i przemyślenia. Wybacz, chyba się zaniedbałam.

- Dla mnie zawsze jesteś piękna - westchnął. - Tylko się martwię, nic więcej. Poza tym jeden z chłopów zauważył znów wilki niedaleko. Zaczynają podchodzić, ale nie atakują, po prostu podchodzą, patrzą i czekają jakby na sygnał. Ludzie się boją.

- Tak, to zrozumiałe. Wbiliśmy kij w mrowisko i prędzej czy później będzie z tego kłopot.

- No właśnie. - Znów westchnął, opierając się o futrynę. - Mam złe przeczucia. Tak czy siak wszyscy zajęli się orką, ogrodami i zwierzyną. Będą mieli w trakcie tych czynności mniej czasu na rozmyślanie o atakach.

- To dobrze, prawda?

- Tak, moja droga, wręcz z pyszna. - Usłyszała w jego głosie sarkazm.

- Nie rozumiem?  
- Usypia się nasze zmysły i czujność, a wtedy trach i po nas.  
- Oj, nie biadol - upomniała go, podnosząc oczy znad stronic. -  
Dawaliśmy sobie radę w gorszych sytuacjach.

- Jeśli gorszą sytuacją można nazwać horde nieumarłych drepczących posłusznie w stronę wsi. Oj, dobrze, idę nakarmić kury.

Meran zamyśliła się, patrząc, jak Ulfrik przyodziewa przepaskę, do której nasypał odrobinę ziarna z worka. Ptactwo od razu zakłębiło się wokół jego nóg, gdakając radośnie, nieświadome niczego.

- A na obiad będzie kura - powiedziała do siebie i poszła po siekierę do przedsionka.



Pozorny spokój otaczał okolicę. Rolnicy korzystali z pogody i zajmowali się typowymi prozaicznymi sprawami, jak orka czy pielenie domowych ogródków.

W sadach zazieleniło się, drzewka owocowe puściły pąki kwiatów, od których okolica zrobiła się białoróżowa. Zwabione zapachem owady krążyły od kwiatka do kwiatka, brzęcząc z zadowolenia. Pobudzone ule grzmiały melodyjnie, uwijający się jak w ukropie pszczelarze byli zachwyceni. Dawno nie było takiego urodzaju. Ukwieczone łąki, bystra woda i szum lasu działały kojąco, nikt nie myślał o zagrożeniu czyhającym za rogiem. Wszyscy zajmowali się swoimi przyziemnymi i prostymi sprawami.

Ulfrik, Meran i Leto co dzień patrolowali okoliczne wzgórza, śledząc naturę w nerwowym, napinającym struny w ciele

zniecierpliwieniu. Nora została we wsi. Miała być drugą linią obrony, chodziła więc z zawieszonym potężnym mieczem na plecach, nie rozstając się z nim nawet na chwilę. Wykuł go dla niej młody kowal, Arnik, uczony przez swego ojca fachu. Już od kilku lat miecz ten był czymś na wzór chrztu bojowego w zawodzie.

Miał pokazać kunszt i dokładność młodego kowala, który marzył również o płatnerstwie. Miecz był doskonale wyważony, leżał idealnie w dłoniach, choć budowę miał prostą. Zauroczonej Norą młodzian pokusił się nawet o graver jej imienia na ostrzu pięknym inkrustowanym pismem krasnoludzkim, ale dziewczyna nawet go nie zauważyła. Dla niej liczyła się sama broń i jej użyteczność.

Jej uwagę od jakiegoś czasu przykuwał Leto. Pasjonował ją i kusił swym chłodem i tajemniczością. Im więcej z nim przebywała, tym trudniej jej było ukrywać emocje czy drobne gesty. On jednak albo ich nie zauważał, albo nie chciał pokazać, że je widzi.

Frustrowało ją to ufała jednak sobie i jemu na tyle, by wiedzieć, że nic się nie stanie, że żadne z nich nie poweźmie kroków, by sprawić przykrość drugiemu.

Młody kowal poczuł się niedoceniony, ale przełknął gorzką pigułkę, wierząc, że kiedyś będzie mu dane porozmawiać choć chwilkę z Norą. Ojciec był surowy i nie pochwalał zainteresowania syna starszą o kilka lat kobietą, na dodatek, jak na jego gust, zbyt męską i silną. Poza tym była to już stara panna, a na takie nie warto zwracać uwagi.

Dni mijały sielankowo i radośnie, ludzie wczesnymi wieczorami śpiewali w domach, radując się z doskonale zaczynającego się roku. Brzemienne zwierzęta spały ufne i ciepłe w swych obórkach, kury na grzędach. Jak w baśni o krainie mlekiem i miodem płynącej, nikt nie miał trosk poza tymi, którzy od tych trosk byli.

- Widzisz? - odezwał się Leto pewnego dusznego wieczoru, kiedy to patrolowali okolice wsi wraz z Ulfrikiem. Wiosna się kończyła, a dni były już długie i jasne.

- Co?

Wskazał mu palcem jakby legowisko lub miejsce na pagórku, gdzie niegdyś Nora pasła swe owce i dane jej było stoczyć walkę z małą watahą rozwścieczonych wilków.

- Widzisz pomiętą trawę?

- Widzę. Świeża jest, jakby ktoś tu przed chwilą siedział.

- Tak, obserwują nas cały czas. Ta sielankowa atmosfera i urodzaj wydają się podejrzanе.

- Wszędzie widzisz podstępny, przebrzydły elfie - westchnął chłop.

- Nie widzę podstępów wszędzie. Dla mnie to dziwne. Żadnych chorób, zwierzęta się rozmnożyły, nikt nie umarł. Czy to nie dziwne?

Ulfrik zamyślił się, spoglądając na wieś kładącą się w szarzyźnie wieczoru spać.

Utopijna wizja szczęśliwości ukazała się jego oczom.

- Może jest jakieś ziarno prawdy w tym, co mówisz. Dawno tak nie było na wiosnę.

Ludzie chorowali, co drugi kaszlał i miewał gorączkę, Meran cały czas miała pełne ręce roboty. Najgorzej było z dziećmi, zawsze któreś nie dawało rady.

- No właśnie, coś mi tu nie pasuje. Czy Meran nadal czyta ten grimuar, który przynieśliśmy z piwnicy Andersa?

- Tak, wieczorami ślęczy nad nim z wypiekami na policzkach. To samo jest, kiedy czyta i ogląda po raz nie wiadomo który mikstury tej przeklętej Anny.

- Hmm - zastanowił się, podpierając pod boki. - A może oni się

nas obawiają?

- O czym ty bredzisz?

- No bo zobacz, odkryliśmy tajemnice, które miały być ukryte na zawsze. Tajemnice iluzjonistów, dzikich magów. A oni tego nie lubią. Dowiedzieliśmy się więcej, niż przeciętny człowiek mógłby sobie wymarzyć. Wszystko z listów, ksiąg i tego, co znaleźliśmy. Może zaczęli się nas bać. Meran jest bardzo uzdolniona, mógłbym nawet zaryzykować stwierdzenie, że jest to jeden z potężniejszych magów, jakich udało mi się poznać. Nigdy nie widziałem żadnego w takich sytuacjach, w jakich widziałem ją. To niezwykle utalentowana kobieta.

- Tak. I niezmiernie nieznośna towarzyszka życia - zachnął się Ulfrik.

- A tobie to chyba nikt nie dogodzi.

- Ano nie.

- Co za chłop - machnął na niego ręką i dalej spoglądał na zagniecioną trawę.

- Chodźmy - odezwał się w końcu, znudzony jednostajną i nudną atmosferą. - Pewnie kobiety czekają już z posiłkiem.

- Tak - odchrząknął Ulfrik i skierował się ścieżką w dół, pogwizdując pod nosem i wywijając kijem.

Leto jeszcze raz spojrział na okolicę z góry i poszedł za nim, krzywiąc się zniesmaczony fałszywą melodią wydobywającą się z ust chłopca. Pamiętał tę pieśń zupełnie inaczej.

Rozmowa tego dnia zbytnio im się nie kleiła, więc część drogi do wsi przebyli w milczeniu. Nieopodal kapliczki usłyszeli dziwne dźwięki, jakby szelest wśród krzaków, który, bądź co bądź, nie był spowodowany poruszaniem się gałązek na wietrze. Elf położył chłopcu rękę na ramieniu, gdyż ten, pochłonięty pogwizdywaniem, nie zwrócił uwagi na to co działo się nieopodal. Zatrzymał się

zaskoczony.

- Co?

- Ciii - położył palec na ustach. - Cicho bądź, głupi.

- Przecież jesteśmy już we wsi. Coś zaś usłyszał dziwaku?

- Cicho bądź i stój tu.

Mężczyzna wzruszył ramionami i został tam, gdzie mu wskazał. Leto powoli zbliżył się do dziwnie szeleszczącego krzewu, wyęzając słuch i wzrok. Było w nim coś, co go zainteresowało. Musiał wyglądać dość zabawnie, gdyż stojący za nim Ulfrik zaczął uśmiechać się pod nosem, spoglądając na wypięty zad schylającego się elfa. W jednej chwili Leto wyciągnął rękę i coś pochwycił. Szamotało się to i wrzeszczało, bluzgając najokropniejszymi przekleństwami. Kiedy to wytargał, okazało się umorusaną potwornie dziewczynką, której połamane gałązki sterczały z głowy na wszystkie strony, a listki przykleiły się do zabrudzonej twarzyczki, zapłakanej i zasmarkanej. Dziecko było obszarpane i zapewne głodne, jednak język miało przedni i choć nie wypadało młodej damie tak się wyrażać, samo jej zachowanie tak obu rozśmieszyło, że elf puścił szamoczące się stworzenie, które za kołnierz wyszarpał z kryjówki.

Istotka prychnęła jak dziki zwierzak, wymachując piąstkami w kierunku bacznie przyglądających się jej mężczyzn.

- No, który pierwszy? Dawać mi tu, łachudry! Zaraz wam nogi z zadków powyrywam! - wykrzykiwała.

- O tak, to ja poproszę - zaśmiał się Leto, podnosząc rękę do góry, jak grzeczny uczeń, kiedy chce udzielić odpowiedzi w miejscowej szkółce.

Dziecko rzuciło się na niego, gryząc i kopiąc go po piszczelach, sycząc przy tym i prychnając. Elfowi odechciało się żartów, kiedy dotkliwie wbiła mu się w łydkę.

- No, tego już za wiele - bąknął i ponownie złapał dziecko za kołnierz, unosząc w powietrzu.

- Puść mnie, ty czarci pomioście! - piszczała.

Ulfirk stał z boku i zasłaniał usta ręką, by nie wybuchnąć gromkim śmiechem. W tym całym zamieszaniu i szarpaninie Letowi w końcu spadł kaptur z głowy, ukazując jego twarz.

Dziewczynka zamarła, jakby czas się zatrzymał i wlepiła w niego swoje wielkie niebieskie oczy.

- O cholera! - wyrwało się jej z ust.

- Działasz na kobiety, Leto.

- O tak - przytaknął mu. - Piorunująco.

Postawił na ziemi dziecko, które nadal się nie ruszało, tylko wpatrywało w niego jak w coś niezwykłego. W pewnym momencie podskoczyła wysoko, łapiąc go obiema rączkami za włosy i nie chciała puścić. Nie dość, że go zaskoczyła tym, że tak wysoko potrafi się od ziemi odbić, to jeszcze była w trakcie wyrywania mu sporych fragmentów czupryny.

- Puść, na Odkupicieli, mała wiedźmo! - warknął na nią, próbując odczepić od siebie stworzenie.

- Nie ma mowy - pisnęła. - Złapałam i nie puszcę.

- Chyba będziemy musieli zapoznać ją z Meran - bąknął Ulfrik, nadal nie umiejący powstrzymać się od śmiechu. - Nie damy sobie rady z tą małą, kimkolwiek jest i skądkolwiek przybyła.

Elf złapał dziecko pod paszki i przytulił do siebie. Uścisk na głowie nie zelżał, ale nie ciągnęła już tak bardzo.

- Czas cię poznać z najpotężniejszym magiem w tej okolicy - zakomunikował jej.

- Ona rzuci na ciebie uroki, mała wiedźmo.

- Pff - zachnęła się. - To ty chyba potężnych magów nie znasz, sama jestem taka.

- Jasne, a świny latają - usłyszał za sobą chłopa.

Mała jednak była całkiem poważna. Puściła jedną rączką włosy elfa, a drugą śmignęła mu koło nosa, podpalając grzywkę. Tego było już za wiele. Zawsze uważał dzieci za niewinne istoty. Ta nie była taka. Wręcz przeciwnie, odnosił wrażenie, że ma do czynienia z jakimś zaklętym w ciele dziecka monstrum. Mała chichotała, patrząc, jak twarz mu zaczyna przybierać gniewny wyraz. Wolną ręką sięgnął za poły płaszcza i wyciągnął jodełkowy sztylet.

- Skoro jesteś magiem, to cię zaraz...

Ulfrik złapał go za rękę.

- Co ty robisz?

- Uwalniam świat od kolejnej mag wariatki.

Istotka zadrżała i puściła drugą ręką włosy Leta. Skuliła się na jego rękach, a usteczka wykrzywiła w podkówkę.

- No i widzisz, coś narobił? Teraz się rozwyje i dopiero będzie pasztet.

Elf chwycił ją mocno i odczepił od siebie, po czym podał ją z obrzydzeniem na twarzy skuloną w kulkę.

- Bierz, Ulfriku, to niewiniątko i trzymaj z daleka ode mnie, bo uszkodzę jej tę białą skórkę.

- Jesteś nieczuły - zabrał dziecko i skierował się w stronę domu.

- Ja nieczuły - rozłożył ręce. - Ja, do cholery. To ona mi spaliła włosy, zobacz.

Mężczyzna jednak nie spojrzał na niego, elf zatem pobiegł za nimi naburmuszony i zły.

Dziewczynka nie miała zamiaru być posłuszna, a tym bardziej cicha. Już po chwili zaczynała dawać w kość i tak niezwykle cierpliwemu Ulfrikowi. Choć zacisnął zęby i nie zważał na jej bluzgi, wrzaski i wbijanie paznokci w ramiona, o żebrach nawet wolał nie myśleć, już i tak był cały podrapany, z każdym jej



atakiem przyciskał ją coraz bardziej do siebie w nadziei, że ją przydusi, a ta się uspokoi. Efekt był odwrotny do zamierzonego. Dziecko szamotało się jeszcze bardziej i jeszcze bardziej wrzeszczało.

Meran czytała właśnie grimuar z wypiekami na twarzy, pochłonięta bez reszty. Świat dla niej nie istniał, tylko inskrypcje, runy i zaklęcia tak fascynujące, że tylko mag mógł rozvodzić się nad ich niezwykłością. Z oddali, bynajmniej nie tylko do niej, dotarły wrzaski i słownictwo, którego w życiu w tej wsi nie słyszała. Podniosła głowę i zobaczyła ludzi stojących przy furtce intensywnie przyglądających się czemuś. Wytężyła wzrok i w oddali zauważyła Leta i Ulfrika zmierzających w jej stronę dość szybkim krokiem. Jej towarzysz niósł coś na rękach, co wyglądało jak... dziecko.

Odłożyła księgę na schodki i zdziwiona, niemalże z otwartymi ustami, podeszła do furtki. Oczy jej nie myliły, chłop miał na rękach wijące się dziecko, wrzeszczące wniebogłosy.

- Co tu się dzieje? - zaczęła ostro, ale i z przejęciem.

Stworzenie odwróciło się w jej stronę i ukazało rządęk ostrych ząbków, po czym wbiło je Ulfrikowi w ramię. Mężczyzna nie wytrzymał i postawił ją na ziemi, łapiąc się za miejsce ukąszenia.

- Mała, wstrętna diablica - syknął.

Dziewczynka pokazała mu język, zaparła się pod boki i łypała groźnie spode łba oraz rozczochranej grzywki wprost na Meran, która równie gniewnie spojrzała na nią.

- Coś ty za jedna?

- Gównu cię to obchodzi, stara babo.

- Co za maniery - zachnęła się kobieta, nie spuszczać z małej wzroku. Miała dziwne przecucia.

- Zobacz, co mi zrobiła - odezwał się Leto, pokazując spalone

włosy. - Mała czarownica. Jeszcze raz to zrobi, a poderżnę jej gardło. - Machnął dziecku sztyletem przed twarzą. Nie zrobiło to jednak na niej jakiegokolwiek wrażenia.

- Mówisz, mój drogi elfie, że to mała mag? Aż się dziwię, że jeszcze sobie tyłka nie spaliła.

- Sama sobie spal tłuste dupsko, stara wiedźmo.

- Nie ładnie odzywać się tak do starszych, mama cię nie uczyła?

- Nie mam matki, ojca ani innego ścierwa, które mogłoby mnie na łańcuchu trzymać.

- To po co do wsi przylazłaś, jak jesteś taka samowystarczalna? - Meran ciągnęła rozmowę, choć nie miała ochoty na kłótnie z mniej więcej dziesięcioletnim dzikusiem.

- Głodna jestem.

- Aaa, to taki powód. A może byś się przedstawiła?

- Sama się przedstaw, stara wariatko.

- Jak sobie życzysz. Jestem Meran, ten tam to Ulfrik, a obok ciebie stoi Leto. Jakbyś jeszcze nie zauważyła, Leto jest elfem i zabójcą. Bądź miła.

Mała skrzywiła się i popatrzyła po każdym z obecnych.

- Morgana - bąknęła pod nosem, wycierając go rękawem.

- Bardzo ładne imię, nadaje się dla mag.

- Jasne, że się nadaje... jak ci tam.

- O proszę, dzikie zwierzątko ma ochotę zwracać się do ludzi w cywilizowany sposób.

Jakie to pokrzepiające - zadrwił Leto i skierował się na schodki, by usiąść w spokoju i dalej obserwować już nieco nudną sytuację.

- Zamknij się, szcurze - wrzasnęła. - Nie jestem zwierzątkiem.

Błyskawicznie podbiegła do Leto, rzucając mu się do gardła. Z oczu posypały jej się iskry, a drobne paluszki zaczęły płonąć

żywym ogniem. Meran zareagowała dość szybko, studząc zapal wściekłego dziecka i tworząc wokół niej aurę. Mała nie wiedziała, co się dzieje, ale uspokajająca moc woli uzdrowicielki sprawiła, że poczuła senność. Usiadła zatem u stóp zszokowanego elfa i ziewnęła dwa razy.

- No, no. Niedługo z tej wściekłości rzeczywiście tyłek sobie podpali - bąknął Ulfrik.

- Ano, nie kontroluje tego. To trudna sprawa. Jedyne jej nadzieje to szkoła magów, ja nie poradzę sobie w zapanowaniu nad jej gniewem i chyba raczej nie mam na to ochoty.

- Spróbuj choć trochę ją ugłaskać.

- Leto, tu nie ma czego ugłaskiwać.

- No, ale jeść trzeba jej dać, w końcu to tylko dziecko.

- Nie jestem dzieckiem - jęknęła u jego stóp, ziewając przeciągle, cały czas odurzana podtrzymywaną przez Meran aurą.

- Jesteś, jesteś. Już nie dyskutuj ze mną, tylko się zdrzemnij.

- Nie będę spać - walczyła ze zmęczeniem. - Zostaw mnie w spokoju, chcę tylko odzyskać... - Głowa oparła się na kolanie elfa i dziewczynka zamknęła oczy.

- Odzyskać? - bąknął. - Przed chwilą mówiła, że jest głodna.

- No dobra - Ulfrik rozłożył ręce - ja już nic z tego nie wiem.

- Mała coś kręci, przyciśniemy ją, jak się obudzi. - Leto zdjął małą głowę z kolana i wziął na ręce. Zaniósł ją do izby i położył na posłaniu, na którym wcześniej on sypiał.

Dziecko skuliło się w kłębek, mruknęło przeciągle i zapadło w odurzający, magiczny sen. Od samego patrzenia zrobiło mu się mdło.

- Gdzieście ją znaleźli? - spytała Meran.

- Niedaleko kapliczki, zaraz za domem Andersa. W krzakach siedziała. Leto ją wypatrzył, ja bym nawet nie zwrócił uwagi.

Kurczę, po coś ją stamtąd wytargał? Teraz to tylko same kłopoty z nią będą.

- Musiała tam długo siedzieć. Odnoszę wrażenie, że obserwowала wieś od jakiegoś czasu. Zauważyłem wygniecioną trawę tam, gdzie zawsze Nora owce pasła. Jakby ktoś mościł sobie wygodne legowisko. Pierwsze skojarzenie jakie miałem to obserwujący nas iluzjoniści. Teraz ona pojawiła się jak grom z jasnego nieba. Co gorsza coś kręci i pewnie dowiemy się co, gdy znów się na nas rzuci lub nas powyrzyna w nocy.

- Nie, mój drogi - machnęła ręką kobieta. - Nie zrobi niczego głupiego, chyba bardziej się nas boi niż my jej.

- Widziałś małą diabolicę. Spali nam wszystko, zobaczysz.

- Nie obawiaj się - pocieszała. - Ja się nią zajmę, a wy dalej patrolujcie okolicę.

Podejrzanie spokojnie i bezproblemowo jest od jakiegoś czasu, wyczuwam napięcie, które nie daje mi spać po nocach. Coś wisi w powietrzu.

- Oj tak, mały rozwścieczony bachorek - wyrwał się Leto.

- Idźcie już, sio! - wygoniła mężczyzn z domu.

Obaj z ulgą opuścili izbę, kierując się w stronę domu Nory, która zapewne ugości ich ciepłą strawą. Od jakiegoś czasu uzdrowicielka, pochłonięta studiowaniem grimuaru, zapominała o podstawowych obowiązkach domowych. Żaden się nie skarżył, obaj zdawali sobie sprawę, że wiedza, którą posiadzie, może okazać się przydatna w walce z iluzjonistami, którzy na pewno upomną się o swoje.

Kobieta usiadła przy stole w głównej izbie i przyglądała się śpiącej istocie. Była mniejsza niż jej rówieśniczki, przypuszczała jednak, że jest starsza, niż na to wygląda.

Ciężkie warunki życiowe, brak odpowiedniego wyżywienia

degradują młode ciało jak i ciało dorosłego. Utrzymała ją w kojącym, leczniczym śnie, który miał na celu regenerację sił witalnych i fizycznych. Łagodził też agresję oraz stres.

Nie wiedziała, jak ma się zabrać za rozmowę z diablątkiem. Nigdy nie miała do czynienia z dziecięcymi magami, a tym bardziej takimi nieokrzesanymi i pełnymi gniewu.

Obawiała się, że może sama sobie zrobić krzywdę, tym bardziej, że władający ogniem mag często ulega poparzeniom, nierzadko śmiertelnym. Chciałaby doprowadzić jej stan fizyczny do jakiegoś ładu, tak by wyglądała na normalne dziecko. Z drugiej zaś strony nie chciała naruszać jej prywatności.

Myśli zaczynały krążyć i zapętleć się w jej głowie, tworząc nieznośny węzeł różnych rozwiązań prostych sytuacji, które sama sobie, na własne życzenie, zaczynała komplikować.

Prędzej czy później wrzuci małą złošnicę do bali z wodą i wyszoruje ostrą myjką. Tak, to dobry początek.

Na dworze zagościł zmierzch, ptaki ucichły, było słychać jedynie szum lekkiego wiatru kołyszącego drzewami w takt nieznaney muzyki natury. Ulfrik wracał właśnie do domu, syty i zadowolony. Leto został. Nie chciało mu się ruszać z miejsca. Nora wszak doskonalila się w kucharzeniu coraz bardziej, a jej posiłki stawały się równie smaczne, co Meran. Na niebie zabłyszczały pierwsze zmierzchowe gwiazdy, by za chwilę zaroić się na firmamencie. Wszedł po cichu, wiedział bowiem, że kobieta nie śpi. Świadczyło o tym palące się światło. Na stole leżało jadło, w dzbanku stało wino, które tak lubił. Humor jednak popsuł mu widok, jaki zastał.

- Na Odkupicieli - prawie że podskoczył. - Jeszcze tu jest.

- A gdzie ma być? - podniosła wzrok znad robótki.

- Czemuś tej małej czarownicy nie wyrzuciła? Więcej z niej kłopotów będzie niż pożytku.

- Oj, nie martw się - uspokajała. - Otoczyłam ją letargiem. Pośni do rana, a potem się pomyśli. Zobacz, jaka ona słodka - rozczuliła się. Pomyślała o tym, że mogłaby stać się matką nawet nie własnego dziecka. W głębi duszy marzyła o tym.

- Oszalałaś, tak? No, powiedz, żeś oszalała, bo zaraz ja oszaleję!

- Daj że już spokój, śpi, nic ci nie zrobi.

- Ja się nie obawiam, że mi coś zrobi. Ja się obawiam, że nam chałupę z dymem puści.

I pogryzie nas, lunatykując!

Zaśmiała się.

- Jasne, i jeszcze będzie lewitowała nad ziemią, śpiewając pieśni na cześć Odkupicieli.

Ech, chłopie, napij ty się wina, umyj i idź spać, bo chyba Norowa strawa zaćmiewa ci umysł.

Wyciągnął w jej stronę palec, jakby chciał się odgryźć, ale zawisł mu nieruchomo w powietrzu. Opuścił rękę i poszedł ze spuszczoną głową do izby, mamrocząc pod nosem.

- Głupia baba. Zaiste, na Odkupicieli, wariatka.

- Nie biadol - usłyszał za plecami. Nie miał ochoty na spory. Zrobił, co miał zrobić i udał się na spoczynek. Pociuszające było jedynie to że miał pełen brzuch ciepłej zupy.

Rano obudził go przeraźliwy pisk, jakby zarzynanego zwierzęcia. Wybiegł z chaty szybciej, niż mógł sobie to wyobrazić w najgorszych scenariuszach. Na środku podwórza zobaczył drewnianą balię, w balii małą mag trzymaną i moczona przez Meran, która w jednej ręce dzierżyła dużą kostkę mydła, a drugą trzymała kurczowo dziecko za nadgarstek. Mała wiła się i darła, bluzgając przekleństwami. Kobieta była opanowana i zaskakująco cierpliwa.

- Uspokój się, jeszcze nikogo mydło nie zabiło.

- Zostaw mnie, wiedźmo! - wrzeszczała.

- Zostawię, jak wyszoruję ci te małe brudne uszka i doprowadzę tę strzechę, co masz na głowie, do porządku.

- Zostaw mnie, do jasnej cholery! - wyrywała się.

- No, już, spokojnie. Przekonasz się, że kąpiele są bardzo przyjemne. Zobacz, pozbędziemy się robaczków i nie będziesz musiała się już tak drapać. Połowę ciała masz w strupach przez wszy, które załęgły ci się w odzieniu.

Kątem oka zauważyła mężczyznę, który przyglądał się tej scenie, stojąc cicho na schodach ganku.

- Kochanie, weź spal te łachmany, bo się rozniosą po domu.

Przytaknął jej i zabrał kupkę zbutwiałych od wilgoci i starości ubrań. Jak się im przyjrzał, rzeczywiście zobaczył rój pełzających wszy.

- Fuj - zachnął się, krzywiąc. - Jak ty, mała, mogłaś w czymś takim chodzić?

Wszedł do izby, wrzucając gałgany do ognia. Nie chciały spłonąć, musiał kilka razy pogrzebaczem je poobrać, nim ogień łaskawie je zajął. Przerażone robaczki skwierczały na palonych skrawkach.

- Teraz jestem goła, stara wiedźmo! I gdzie ja goła pójde!?!? Coś mi zrobiła!?!? - zapłakała, kuląc się w wodzie.

Meran otarła strugi płynące z jej włosów wprost na czoło.

- Nie martw się, załatwiłam ci ubrania. We wsi jest pełno dzieci.

- Nie będę chodziła w cudzych szmatach - założyła ręce pod pachy.

- A te, co miałaś, niby twoje?

Nie uzyskała odpowiedzi. Szorowała zatem w spokoju małą złościcę szorstką gąbką, nie pomijając żadnego miejsca. Mała znosiła to w milczeniu do momentu, kiedy uzdrowicielka zabrała

się za jej skołtunione włosy. Wyzwiskom nie było końca. Kiedy uporała się i z tym, wyciągnęła ją na miękką trawę i pozwoliła, by sama się wytarła, podając miękki ręcznik oraz odzienie. Rano przyniosła je od sąsiadki, która miała czworo wrzeszczących dzieciaków. Dziewczyna ubrała się niespiesznie, jakby smakując każdą chwilę. Ubrania były tu i ówdzie połatanne, ale jakością przewyższały te, które posiadała.

- Wyglądasz bardzo ładnie, zobacz. - Uzdrowicielka podała jej metalowe lusterko.

Morgana wzięła niepewnie przedmiot w wychudzone ręce i rzuciła pospiesznie okiem na swój wygląd. Odrzuciła je w kąt przerażona.

- Chcesz na mnie urok rzucić, stara wiedźmo? - wysyczała.

- To tylko lusterko.

- To dzieło potępionych.

- Nie, to tylko lusterko. Nigdy tego nie widziałaś?

Dziewczynka zaperzyła się i spojrzała spod mokrej grzywki.

- Tak też sądziłam. - Poszła po lusterko i podała jej jeszcze raz. - Nie bój się, nic ci nie zrobi. To w odbiciu to ty, tylko czysta. Tak wyglądasz, kiedy pozbędziesz się warstwy brudu i wszy.

Mała ponownie wyciągnęła rękę, tym razem pewniej i pochwyciła lusterko, obejmując obiema rękami uchwyt i wpatrując się w siebie z taką zapalczywością, że jakby wzrok mógł pochłaniać, pewnie by tak się stało. Trzepotała rzesami, dotykała włosów i twarzy zdziwiona tym, co widzi.

- Podoba się?

- Tak - szepnęła, dotykając koniuszkami spierzchniętych warg.

- Na to też mam radę. - Podeszła do niej i dotknęła jej ust. Pęknięta skóra zagoiła się, a strupki poodpadały. Uzdrowicielka uśmiechnęła się do niej. Dziewczynka patrzyła na nią szeroko



otwartymi oczami.

- Jak to zrobiłaś?

- Normalnie, jestem uzdrowicielką. Każdy mag ma jakiś dar, ja mam ten.

Oddała jej lusterko z nieufnością, że może jej coś zrobić, cały czas dotykając jedną dłonią wyleczonego miejsca.

- Ja umiem ogniem...

- Tak, posługujesz się ogniem. Widzieliśmy to wczoraj, aż za bardzo dokładnie - weszła jej w zdanie.

Zaskoczyło ją to nagłe złagodnienie dziecka.

- Widzę, że już ci lepiej.

- Nie przyzwyczajaj się - bąknęła, znów zakładając ręce pod boki i patrząc na wszystkich tym swoim wzrokiem spode łba.

Tymczasem Leto właśnie przechodził koło domu. Wybierał się na codzienny poranny samotny spacer. Zaintrygował go harmider panujący na podwórzu przyjaciół. Postanowił zerknąć, czy wszystko jest u nich w porządku. Balia z potwornie brudną wodą stojąca na środku podwórza i nadąsana mała panienska uczesana i ubrana rozjaśniły nieco sytuację.

- O królewna jaka elegancka - zadrwił, ściskając ostrze w kieszeni płaszcza w obawie, że rzuci się na niego.

- Nie jestem królewna, ty elfickie ścierwo - przywitała go uprzejmie.

Ścisnął sztylet jeszcze mocniej, pohamował jednak emocje, gdyż cały czas do głowy wbijał sobie myśl, że to tylko małe dziecko, bezbronne i głupie. O nie, nie bezbronne. To mały wredny mag ognia, nieokrzesany i niebezpieczny. Odpędzał tę myśl, ale wracała za każdym razem, gdy spojrzał na stworzenie wytargane z krzaków.

- Wygląda bardzo ładnie, prawda? - Pochwaliła ją po raz kolejny

uzdrowicielka, spoglądając wymownie na przybysza.

- Tak, tak, powiedziałem już, że jak królowna.

- Nie jestem...

- Cicho już, on próbuje być miły. Nie jest mu łatwo, tak samo jak tobie.

- Wredny, wstrętny elf - burczała pod nosem.

- Jesteś głodna? - usłyszała od Ulfrika, który trzymał w ręku kawałek chleba.

Morgana aż połknęła wielki haust powietrza na widok jedzenia. Podbiegła do mężczyzny i wyrwała mu chleb z ręki, pożerając łapczywie. Usiadła na ziemi jak zwierzątko.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- No, moja mała, będziemy musiały porozmawiać. Jak zjesz, oczywiście.

- Dobrze - odpowiedziała z pełnymi ustami. Jadła tak łapczywie, że dostała czkawki.

- Chodź, napijesz się mleka i zjesz resztę tego, co Meran ci przygotowała. - Chłop wskazał dom i wszedł do środka.

Dziewczynka ze skórką chleba w ręku wbiegła do izby zaraz za nim, rzucając się na jedzenie, jakby była to ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobi. Ulfrik obserwował ją w ciszy.

- Niezły dzikus - bąknął Leto.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Ciekawe, kiedy miała tak naprawdę kontakt z ludźmi, oprócz okradania ich oczywiście.

- Tak, zastanawiające.

- Musimy się dowiedzieć, skąd przybywa i po co. I jakim cudem jeszcze pomagierzy baronowej jej nie złapali, bo to jej „chwalenie” się magią na pewno rzuca się w oczy od jakiegoś czasu. Nie uwierzę, że nie używa swoich umiejętności, by dopiąć swego.

- Tak, charakterek ma.
- Jakby ją dobrze szkolić, byłby z niej pożytek.
- Ani mi się waż - zagroził jej palcem. - Wiesz, czym to grozi.
- Czym? Spaleniem grzywki?

Elf pogłaskał dłonią włosy.

- Nie to miałem na myśli. Czemu ty mnie, babo, cały czas łapiesz za słówka?

- Bo się dajesz, marudo.

Morgana pochłonęła wszystko, co stało na stole i pewnie zjadłaby więcej, gdyby nie fakt, że Ulfrik nie spuszczał jej z oka.

- Mogę? - wyciągnęła rękę w stronę sera leżącego na półce.
- Sądzę, że ci wystarczy jak na razie. Zjadłaś za trzech.
- Skąpiec - fuknęła, a jej czarne włosy spadły loczkami na twarz.
- Nie fucz, dziewczko, dobrze radzę.
- A co mi zrobisz, stary klocu? - wytarła resztki śliny z brody w rękaw.

- Przełożę przez kolano i doprowadzę do ładu, panienko.

- Nie boję się - położyła ręce na biodrach.

- Mam dość tych słownych potyczek.- Machnął na nią ręką. - Idź do Meran, a mnie dupy nie zawracaj.

- Stary piernik.

- Idź już, sio - przegonił ją miotłą z domu.

Meran siedziała na schodku, jak zawsze zamysłona. Leto odszedł, by dopełnić swoich spraw we wsi. Nadal szkolił kilku wieśniaków w walce wręcz. Została mu garstka, ale byli to pojętni chłopcy. W ciągu tych kilku miesięcy nabyli takiej wprawy, że daliby sobie radę z pospolitym zbójem.

- Pojadłaś? - uzdrowicielka odezwała się do dziewczynki, nie podnosząc głowy znad kłębka włóczki.

- Tak - odpowiedziała piskliwym głosem.

- To teraz siadaj obok.

- A po cholere?

Meran podniosła wzrok.

- Jak mówię siadaj, to siadaj, a nie dyskutuj.

- Nie chcę.

- Ale ja chcę - i pokazała jej palcem miejsce obok siebie.

Mała założyła ręce, odwróciła głowę w przeciwną stronę i nie miała zamiaru ustąpić.

- Morgano, nie zachowuj się tak.

- Nie jesteś moją matką, nie możesz mi rozkazywać.

Kobieta nabrała powietrza w płuca.

- Skoro chcesz stać, to sobie stój. Mnie tam wygodnie na schodku.

- I dobrze. Mnie wygodnie tak. - Nadal stała z założonymi rękami, wpatrując się w drugą stronę.

- Skąd pochodzisz? - zabrzczała drutami, zaczynając robótkę.

- Z gór.

- To tak, jak ja. Tyle że jak się rozejrzysz, gór ci u nas dostatek. Pamiętasz miejsce, a może nazwę? Będzie mi łatwiej sobie wyobrazić, jakie to góry.

Spojrzała na nią, ściągając czarne brwi.

- To przesłuchanie?

- Nie nazwałabym tego tak. Raczej poznawanie się. Sądzę, że to miłe.

- Po co chcesz mnie znać?

- A czemu nie? Trafiłaś do mojego domu, chcę poznać gościa.

- Góry nazywają niskimi. Wujek, zanim wyjechał, nazywał je „szafkowymi”.

- Nie rozumiem.

- Bo mają dużo jaskiń i rozpadlin, jak szafki, gdzie można rzeczy

pochować.

- Aha, ciekawe skojarzenie. A pamiętasz jakąś konkretną nazwę, której używali ludzie? Może wiem, gdzie to jest.

- Chyba Góry Jonasza. Podobno stamtąd pochodził jeden z Odkupicieli, czy jak mu tam.

- A Już wiem. Legendarne Elfie Góry Niskie, płaskie na wierzchołkach, gęsto zalesione. Tak, tak, czytałam o tym miejscu, ale to bardzo daleko. Jak długo tu szłaś?

- Minęły ze trzy zimy. Hmm... - podparła brodę ręką w zamyśleniu. - Tak, trzy zimy.

- Sama? Bez opiekunów? No, jestem pod wrażeniem.

Mała w końcu usiadła obok Meran, patrząc jej na ręce, jak szybko przerzuca oczka w robótce. Minęło zaledwie kilka chwil, a widać było efekt jej pracy.

- Co to będzie? - spytała z zainteresowaniem.

- To co robię?

- No, to - pokazała palcem.

- A robótka? To będzie sweter dla ciebie, jak będziesz grzeczna.

- Nie mów do mnie jak do smarkuli.

- Ależ nie mówię. Stwierdzam fakty. - Ujęła jej dłoń, jednak dziecko, wystraszone tym gestem, od razu ją cofnęło.

- Nie bój się, nikt ci tu krzywdy nie robi. O ile nie będziesz biednemu Leto grzywki podpalać - zaśmiała się.

- On jest chyba skrzywiony na punkcie tych włosów, co?

- Nie, moja droga. To elf, a elfy mają ogromne poczucie estetyki. Są wręcz pedantyczni w wyglądzie i higienie. Musisz to zaakceptować, nie zmienisz kogoś, bo ci się nie podoba jego ubranie czy włosy. Ludzie i inne istoty stąpające po tej ziemi to indywidua, rozumiesz? Każdy jest inny i to czyni go lub ją takimi ciekawymi. Ty też jesteś ciekawa, tak samo pewnie ciekawi cię

moja osoba. Ale musisz szanować zachowania innych, wtedy uszanują i ciebie.

- Przestań moralizować.

- Nie moralizuję, mówię, jak jest. Dlaczego taki kawał drogi tu szłaś?

- Bo podobno wujek tu ma mieszkać.

- A kimże jest ten twój wujek?

- Wychował mnie, a potem powiedział, że wyjeżdża, bo musi znaleźć jakiś zakon magów, którzy nauczą go, jak korzystać z mocy.

Meran zmarszczyła czoło.

- A o jakim ty zakonie mówisz? O szkołach magów?

- Nie, nie. Mój wujek uważał, że szkoły magów to miejsca, gdzie zabija się ludzi. Że się już z nich nie wraca. Nie chciał tam trafić, dlatego ukrywał moc.

- Ja ukończyłam taką szkołę i jak widzisz żyję.

Spojrzała na nią szeroko otwartymi oczyma.

- Kontynuuj.

- No i powiedział, że oni mają starodawną księgę, którą im ukradnie, żeby móc mnie uczyć.

Meran robiła coraz większe oczy.

- O czym ty mówisz?

- No, tak mi mówił. A ja nie chciałam siedzieć i czekać, bo nie wracał. Minęła zima, a jego nie było. Niania, z którą mnie zostawił, przepiła wszystkie złote monety, jakie jej dał, by mnie utrzymywała za ten czas, jak go nie będzie, więc chodziłam głodna. No i postanowiłam, że odszukam wujka.

- Ile miałaś lat, jak wyruszyłaś? Bo chyba nie sześć?

- Nie, miałam dziesięć i byłam bardzo zaradna. Wujek mnie nauczył sobie radzić.

- Więc teraz masz trzynaście? Na Odkupicieli, wyglądasz na dziewięć z górą. W tym wieku to by ci tu już małżeństwo aranżowali - uśmiechnęła się.

Morgana aż podskoczyła w miejscu na samo słowo małżeństwo.

- Mężczyźni! Fuuuj - skrzywiła się. - Nienawidzę ich. Tylko wujek był dobry, reszta to świnię.

- Nie mów tak, nie wszyscy są źli. Zaufaj mi.

- Nie ufam ci, wiedźmo, nie znam cię.

- Pięknie opowiadasz. Chcę usłyszeć więcej. Opowiesz mi swoje przygody? - szczęknęła drutami na robótce i dodała do niej białą nić.

- A co tu opowiadać, jakoś trzeba sobie było radzić. Ludzie mają ogródki, kury, w lesie są jagody, na straganach chleb. Po miastach po drodze pytałam się o mojego wujka.

Ludzie opowiadali, że poszedł tam lub że widzieli podobnego mężczyznę w purpurowej opończy i poszedł tam, więc szłam w stronę, którą mi wskazywali, aż kilka tygodni temu trafiłam na wieś za przełęczą i taka pani powiedziała, że widywała go wieczorami wędrującego po graniach z jakimś Ahersem, Awersem... podobno krawiec u was. Opisała mi go nawet, więc siedziałam tam na wzgórzu - pokazała palcem w stronę pastwisk Nory - i obserwowałam wieś, ale nie widziałam nikogo takiego, tylko tego olbrzyma, twojego chłopca, z tym dziwolągiem elfem i czasami chodziła z nimi taka kobieta o kolorowych włosach z mieczem na plecach.

- Nora - odezwała się uzdrowicielka.

- Kto?

- Tak ma na imię.

- Aha.

- I zdecydowałaś się podejść bardziej i złapał cię Leto.

- Tak, to wszystko.

Meran umilkła, przekładając oczko do oczka. Odezwała się w końcu po dłuższej chwili.

- Miał na imię Anders.

- Co?

- Anders, ten, który znał twojego wuja.

- O To jest tu, tak? Gdzie? Zaprowadź mnie do niego, może powie mi, gdzie znajdę wuja, proszę! - krzyczała, szarpiąc ją za rękaw.

- Przykro mi, moja droga, ale Anders nie żyje.

Dziewczynka puściła jej rękaw i nastąpiła niemiła cisza przerywana szcękaniem drutów. Przerwała ją Nora, wkraczając swym pewnym, męskim krokiem na podwórze. Za nią snuł się zde gustowany elf, nie mający najmniejszej ochoty na spotkanie z młodocianą histeryczką, stanął zatem w bramie i łypał spode łba.

- Jaka słodka - westchnęła Nora, zakładając ręce na piersi. - Leto, zobacz jakie ma śliczne loczki.

- Baby - burknął.

- Tak, to ostatnio twoje ulubione słowo.

- Daj spokój, poczułem tę słodycz. Zachwycasz się, jakby była niemowlakiem. Zresztą niemowlaki też są okropne, takie...

- Wiesz co, idź już sobie - machnęła na niego ręką. - No, sio!

Zignorował ją. Ciekawiło go, jak zareaguje na ten wylew uczuciowości mała terrorystka, ta jednak, ku jego zdziwieniu, siedziała na schodku, wgapiając się w ziemię i chlapiąc pod nosem.

- A tej co? Czyżby to miało jakieś uczucia?

- Leto! - fuknęła uzdrowicielka, chowając po części skrawek zrobionego swetra do kosza.

- Właśnie opowiedziała mi, jak się tu dostała - westchnęła kobieta.



- I - zmarszczyła czoło Nora ciekawa nowin.

- Chyba nie miałam dla niej dobrych wieści.

Mała nie reagowała na dotyczącą jej dyskusję, raczej podróżowała własnymi myślami we własnym świecie.

- Po co tu przylazła? - spytał.

- Szukała Andersa.

Na dźwięk tego imienia Morgana wstała z miejsca i spojrzała na zgromadzonych.

- Czemu nie żyje, kto go zabił? Przysięgam, że dopadnę...

- Nie ekscytuj się za bardzo.

- Jak śmiesz się tak do mnie odnosić, ty synu pomywaczki! - wrzasnęła, rzucając się na elfa.

Ten odepchnął ją tak, że wylądowała na pupie, wzbudzając kłęb kurzu.

- Uspokój się, dziecinko, bo ci zrobię to samo - pogroził jej.

- Ty! Ty mały, podły, plugawy...

- Dość! - Wkroczyła do dyskusji Meran. - Mam dość tych dziecinnych zagrywek. A teraz do ciebie młoda damo. Zabiliśmy go wszyscy, jak tu stoimy, każdy dołożył swoje drobne. Zaprzedał się dzikim magom, nie mieliśmy wyboru. Inaczej i nas wszystkich by wymordowali i przestań, na Odkupicieli, się na wszystkich rzucać, bo zaczyna mnie to irytować.

Mała spojrzała na nią, zaskoczona wybuchem gniewu. Pierwszy raz od przybycia kobieta się rozzłościła i gniew skierowała w jej stronę.

- Ale co ja teraz, do cholery, zrobię? Jak znajdę wuja?

- Jeśli miał kontakt z Andersem - zamyśliła się - to pewnie i miał kontakt z iluzjonistami, a ci raczej do przyjaznych nie należą. Musiałabyś się po prostu zapytać, czy widzieli wuja, to chyba jedyna opcja.

- Tak i trzeba by było udać się w głąb głuszy i znaleźć iluzjonistów. Hahaha, bardzo zabawne - bąknęła Nora, gładząc ostrze miecza.

Leto dodał:

- O tak. I zaproszą nas na podwieczorek składający się z wilczych szczęk. Cóż za urocza perspektywa.

- Sama pójdę - pisnęła. - Mam gdzieś, co sobie myślicie. Wuj miał ukraść dla mnie księgę, więc pewnie teraz kombinuje, jak im ją podwędzić.

- O czym ty mówisz? - przerwał jej elf. - Jaką księgę? - rzucił wymowne spojrzenie Meran, która zatrwożyła się i jakby skuliła w sobie.

- No taką ważną, wiecie, o co mi chodzi? Taką, która jest cenna dla magów pracujących z umarłymi, no, czarujących ich.

Wszyscy przełknęli ślinę.

- Czy ty masz zdolności...

- Ja to wszystkim rzucam: od ognia po wiatr i czasem uda mi się burzę i błyskawice wywołać, by przestraszyć bydło, jak mi jaki chłop na nocleg nie pozwoli. Ale wuj zauważył, że dobrze mi szło ożywianie. Szkoda tylko, że te ożywione duszyczki, jak je nazywał, nie były rozumne - westchnęła, wzruszając ramionami. - Chciałam tak obudzić matkę - spuściła głowę - ale zamieniła się w coś i wuj musiał...

- Na Odkupicieli! - Meran usiadła na schodku z impetem i otwartymi ustami.

- No to chyba mamy i wuja.

- Co ty gadasz, elfie?

- No bo widzisz, chyba znaleźliśmy twojego wuja.

Dziewczynka popatrzyła na Meran z niedowierzaniem.

- Nie rozumiem.

- Wszystko zaczyna się wyjaśniać.

- Ale co?

- Widzisz, wuj poznał Andersa, a Anders miał córki magów i żonę, prawdopodobnie też o tych zdolnościach. Zawarł pakt z iluzjonistami. Ceną była krew. Zresztą u nich wszystko ma właśnie tę cenę - ciągnął. - Oddał im jedną z córek w zamian za pomoc w szkoleniu najmłodszej. Miała być zdolną trucicielką oraz uzdrowicielką. Dowiedzieliśmy się tego, penetrując jego dom - opowiadał. - Po tym jak zniweczyłem, a raczej zniweczyliśmy zagładę nas wszystkich...

- Przypuszczam, moje dziecko, że zaprzyjaźnił się z Andersem i oboje ukradli tę księgę, ale wuj pewnie nie chciał mu jej oddać, więc Anna zamieniła go w ghula - nieumarłego.

- Jaka Anna?

- Córka Andersa, ta najmłodsza. No i my znaleźliśmy tego ghula w piwnicy i

- I

- Nie mieliśmy zbytniego wyboru - odezwała się Meran.

- Zabiliście mi też wuja?!?! - wrzasnęła. Drobne błyskawice przeskoczyły jej po ciele.

- Uspokój się, on już dawno był martwy.

- Zabiliście go! - zawyła, iskrząc i paląc się jednocześnie. Trawa wokół niej spłonęła w ciągu jednej chwili, a ziemia pod jej stopami zadrżała, unosząc się wraz ze spopieloną trawą. Dziewczynka iskrzyła i syczała z zaciśniętych zębów. Słysząc było niezrozumiałe zaklęcia wypowiedane w złości.

- Uspokój się natychmiast!

- Zabiję was wszystkich, bez wyjątku. Wszyscy umrzecie jak Anders, mój wuj i ta Anna!

Nora pochwyciła miecz i powoli podeszła do dziewczynki.

Oślepiła ją łuna ognia i błyskawic, jedną ręką zasłaniała twarz, drugą kierowała rękojeścią w stronę dziecka.

Leto pojął, co ma zamiar zrobić i rzucił jej porozumiewawcze spojrzenie.

Uzdrowicielka jednak pohamowała ich zapędy, rzucając w dziewczynkę kulą aury, która na chwilę wtrąciła ją w letarg.

- Nie pójdzie ci ze mną tak łatwo - syknęła i skierowała w jej stronę snop światła, który ta odbiła niewidzialną tarczą swojej woli, opadając na trawę.

Powietrze falowało od gorąca i naelektryzowania. Ziemia pękała pod jej malutkimi stopami, oczy dziewczynki błyskały ogniem. Była tak wściekła, że nie kontrolowała swoich zdolności. Końcówki włosów jej dymiły, a dłonie poczerwieniały i spuchły. Zaczynała odczuwać ból, ale nie mogła powstrzymać łańcucha magicznej ekstazy. Zacisnęła jeszcze mocniej zęby i próbowała się skoncentrować. Leto i Nora obserwowali ją przygotowani na najgorsze.

- Uspokój się - Meran ponowiła prośbę.

- Umrzecie.

W tej chwili spod płonących powiek zaczęły sączyć się strugi gęstej, po części krzepnącej od ognia, krwi, a dłonie pokryły się pęcherzami.

- Aaa - zaczęła jęczeć, lecz nie przestawała napędzać w sobie gniewu. Blask bijący od niej zapewne poniósł się daleko w głąbę i został już dostrzeżony przez iluzjonistów.

- Przestań, do cholery!

- Zabiję was! - dyszała. - Wszystkich, co do jednego!

Meran skupiła się na wysyłaniu spokojnych wizji do jej umysłu, niestety zamknęła go przed nią bramą, której nie była w stanie przebić.

- Leto.

- Co?

- Ogłusz ją, bo zaraz dokona samospalenia.

Nora nie wytrzymała napięcia i zanim uzdrowicielka dokończyła zdanie, jednym precyzyjnym ruchem uderzyła ręką dziewczynkę w głowę. Upadła, wywracając białka oczu i iskrząc na ciele, ale atak magiczny się skończył. Powietrze jeszcze przez chwilę falowało z gorąca, po czym uspokoiło się. Uniósł się duszny zapach spoconego i nadpalonego ciała i włosów.

- Meran, czemuś, na Odkupicieli, nic nie zrobiła?!?! - wzburzyła się dziewczyna, dotykając małej i sprawdzając, czy żyje.

- Blokowała mnie. Nie wiem, jak to robiła, całą moją moc zablokowała. - Patrzyła na wszystkich wzrokiem zbitego psa, przerażona i zarazem zaskoczona tym, co się przed chwilą wydarzyło.

- Jak blokowała, co masz na myśli?

- Nie wiem, ale ma umysł potwornie mocny. Teraz przestaję się dziwić, że przetrwała tyle lat, tułając się po świecie, pchana wyłącznie rządzą odnalezienia wuja.

Otrzeptała szatę z resztek trawy i ziemi.

- Żyje.

- Wiem, trzeba ją opatrzyć i doprowadzić do ładu. Ktoś z was musi jej też ze szczegółami opowiedzieć, co tu się stało, bo połowiczne informacje nie zdały się na nic.

- No to ty to zrób - odrzekła Meran.

- Dlaczego ja? - oburzył się Leto.

- Wydaje się, że cię lubi - Wzruszyła ramionami.

- A nie przyszło ci do głowy, że ona przeze mnie się tak rozgniewała? To co, ma wysłuchać elfa, którego ma za ścierwojada?

- Może będziesz miał z nią lepszy start, niż ja. - Obróciła się i przywołała Ulfrika, by zabrał dziecko do domu.

- Meran, do cholery!

Zbyła go i zniknęli za progiem domostwa.

- Świetnie. - Uderzył dłońmi boki płaszcza.

- Aj, nie narzekaj - pocieszała go dziewczyna. - Chodź, wypijesz coś, uspokoisz się.

- Daj spokój, idę się przejść.

- No i gdzie poleziesz?

- A okąpię się w rzece, uspokaja mnie to Nikt przynajmniej nie będzie mi przeszkadzał i oglądał mojej elfickiej dupy. - Obrócił się na pięcie, zaszeleścił płaszczem i wyszedł z podwórka, kierując się w stronę rzeki.

Nora chciała jeszcze wejść i zobaczyć, co się dzieje u uzdrowicielki, ale zrezygnowała. Jakoś nie było jej w smak wysłuchiwanie Meran, tym bardziej, że nie była w nastroju na cokolwiek. Jej zdolności magiczne właśnie zostały skonfrontowane z magiczną mocą dziecka. Nie miała takich kłopotów z magami iluzjonistów. To musiało mieć duży wpływ na samopoczucie. No, przynajmniej w tej chwili. Miała jednak ochotę na rozmowę, tylko nie było z kim. Poszła zatem potrenować w zaciszu brzozowego zagajnika.

Kilka dni później, jak plotkowanie we wsi ucichło, a baby grzejące się na stołkach przed swymi skromnymi domostwami straciły tematy do ożywionych dyskusji, Meran w końcu opuściła swój dom, blada i wyczerpana. Ulfrik tylko na nią spoglądał, martwiąc się o jej zdrowie, ale też o stan psychiczny. Całą swoją energię poświęciła na utrzymanie co chwilę wybuchającej magicznej mocy uspięnej dziewczynki. Połowa pomieszczenia, w którym przebywała, stała się zwęglonymi zgliszczami, a kobieta

miała popalone knykcie i szaty.

Czuwała jednak niestrudzenie, okładając popuchnięte palce dziecka masami ziołowymi i deklamując uzdrawiające formuły, które zamiast uzdrawiać małą, powodowały wybuch jej magii i co gorsza odbijały się od niej jak od lustra. Pozostało jej jedynie ziołolecznictwo i modlenie się do Odkupicieli, by ten koszmar wreszcie się skończył. Dużo nauczyła się z ksiąg i notatek Anny, zaczęła wykorzystywać jej przepisy i istniejące już smarowidła na bazie roślin i tłuszczu zwierzęcych.

Niezauważalnie, ale jednak, stan Morgany poprawiał się. Cieszyła się Meran, cieszył się Ulfrik, wiedział bowiem, że jego kobietka nie ustąpi, dopóty nie osiągnie wyznaczonego celu, nawet kosztem własnego zdrowia. Widział jak przemawiała do małej, głaszcząc rozgorączkowane ciało, jak śpiewała do snu i poprawiała poduszkę. Oczami wyobraźni zobaczył scenkę matki czuwającej przy własnym dziecku. Zrobiło mu się przykro. Wyszedł wtedy z domu i długo nie wracał, tłumacząc się potem, że szukał materiałów na zniszczone sprzęty.

Meran udała się do lasu w poszukiwaniu korzonków. Była to dość rzadka roślina, więc musiała przejść nie lada kawał, by ją znaleźć. Nie myślała ani o wilkach, ani też o iluzjonistach, którzy mogli by ją po prostu zabić. Myśli skupiała na dziecku i ono stało się priorytetem.

Tymczasem w domu dziewczynka obudziła się, usiadła na łóżku wyczerpana i zła, przetarła zaspane i zapuchnięte powieki owiniętymi w bandażę dłońmi. Zauważyła też stan pokoju w jakim leżała. Zaskoczyło ją to troszkę, ale nie na tyle, by zrobiło jakiegokolwiek większe wrażenie. W głowie miała tylko jedną myśl - nienawiść do tych wszystkich, którzy sprawili, że cierpi, że nie żyje jej wuj. Nie miała zamiaru siedzieć beczynn timer. Postanowiła sama

na własną rękę odszukać księgę, a jak jej nie znajdzie, to ją iluzjonistom po prostu ukradnie. Tak, w tym była świetna. Potrafiła zrzucić na ludzi sen tak mocny, że tylko sami Odkupiciele mogliby takiego obudzić.

Z myśli wyrwał ją dyskomfort, który ograniczał ruchy jej palców. Zerwała pospiesznie z rąk bandażę wraz z częścią naskórka. Zapieкло ją to dotkliwie.

- Cholera - syknęła niezadowolona, gdy kropelki krwi opadały z otwartych ran wprost na podłogę.

Złożyła ręce na piersiach i zamknęła oczy. Skupiła się najmocniej jak umiała, ból jednak był na tyle intensywny, że przychodziło jej to z ogromnym trudem. Pot pojawił się na czole i plecach, z małych kropelek zrobiły się strugi i zalały jej ciało mokrym strumieniem, nie przerywała jednak. Oddychała ciężko i nierówno, w końcu osiągnęła stan potrzebny do uzdrawiania. Nie była w tym aż tak dobra, ale wystarczająco pojęła tę sztukę, by pozamykać sączące się rany. Najpierw spłonęła błękitnym światłem, potem jej oczy nabrały białej mgły.

Kiedy osiągała kumulację skupienia, włosy zaiskrzyły się niebieskimi iskrami i uniosły wokół głowy. Stęknęła i mrugnęła kilka razy. Efekt uzdrawiającej mocy zniknął tak szybko, jak się pojawił. Spojrzała na swoje dłonie. Wyglądały lepiej, tak samo z twarzą i innymi uszkodzonymi częściami ciała. Rzuciła okiem na stolik pełen medykamentów i notatek, poczuła też mdły ziołowy aromat wydobywający się z kociołka na piecu. Meran gotowała w nim ten sam paskudny wywar, którym poiła chorego Leto. Zrzuciła bulgocące zioła na ziemię. Upadły i rozlały się po całej kuchni.

- Wstrętna wiedźma - syczała, myszkując po izbach i przewracając wszystko, co napotkała na swej drodze. - Gdzie to masz, ty wredna babo - mówiła do siebie. - Powinnaś mieć jakieś



księgi, woluminy, notatki, które by mi się przydały. No, gdzieś to schowała, stara wariatko?

W końcu znalazła notatki Anny, a że nie potrafiła płynnie czytać, zajęło jej to nieco więcej czasu, niż mogłaby się spodziewać, do tego Anna miała drobne i bardzo niewyraźne pismo. Zmiała kartki i schowała do kieszeni. Jej uwagę przykuł kufer bogato rzeźbiony w leśne zwierzęta, czarny i masywny, obity miedzianymi ornamentami. Podeszła bliżej, zerkając z ukosa i przyglądając się przedmiotowi. Odnosiła wrażenie, że skrzynia do niej szepcze, coś na zasadzie: „Tu jestem, chodź” Im bliżej podchodziła, tym głos wydawał się głośniejszy i bardziej słyszalny. Zatrzymała się, wahając. Przedmiot pulsował energią, jakby wewnątrz znajdowało się czyjeś serce. Dudnienie doprowadzało ją do szału. Zatkąła uszy i skuliła się, wykrzywiając twarz w szpetnym grymasie.

- Zamknij się, słyszysz?!?! - wrzasnęła do skrzyni, ale dudniący odgłos się nie uciszył, brzęczał jej pod czaszką jak rytualny bęben, łup, łup, łup, łup...

- Przestań, do cholery! - syknęła i wstała, zaciskając pięści i opuszczając ręce wzdłuż ciała. Podeszła bliżej i zaczęła szarpać zamek. Kłódka była solidna, wykuta z najlepszego gatunku stopu stali. - Cholera. - narzekała, szarpiąc ją z całych sił, lecz złośliwy przedmiot nie miał najmniejszej ochoty ustępować. Szczekał sobie w zawiasach, jakby naśmiewając się z poczynań dziewczynki.

- Nie ustąpisz? To ja z tobą inaczej pogadam. - Zamknęła oczy i znów skupiła całą swoją siłę na dłoni. Nie trwało to zbyt długo, gdy z palców wystrzeliły snopki błękitnego ognia. Im bardziej się skupiała, tym bardziej barwa zmieniała się na krwistoczerwoną.

Wyciągnęła palec wskazujący i dotknęła kłódki, która syknęła i zaczerwieniła się pod wpływem gorąca. Dziewczynka zacisnęła dłoń na rozżarzonej metalu, miażdżąc i topiąc przedmiot.

Roztopiony metal spłynął po jej szczupłych palcach jak ciepła melasa. Strzepnęła resztki i powróciła do początkowego stanu umysłu.

Teraz mogła spokojnie otworzyć kufer, nic nie stało jej na przeszkodzie. Wieko zgrzytnęło i otwarło się na oścież. Wewnątrz zobaczyła górę zwierzęcych miękkich skór.

- I po to się męczyłam? - pomyślała. - Dla nędznych skór?

Zaczęła wyrzucać zawartość z kufra szybkimi zamaszystymi ruchami. Dźwięki z wewnątrz ucichły. Kiedy ostatnia skórka wylądowała na ziemi, na dnie kufra ukazał się gruby grimuar oprawiony również w skórę. Położyła dłoń na okładce. Pulsowała mocą i energią.

- Tak, tego szukałam - uśmiechnęła się do siebie, wydobywając księgę z wnętrza.

Pogładziła jej złote litery i zachłysnęła się jej zapachem. - To pewnie ta księga, o której mówił wuj, bez wątpienia to ona.



Meran, zadowolona z faktu, że udało się jej zdobyć w lesie potrzebne zioła, spokojnie przemierzała ścieżkę prowadzącą do domu. Martwiła się o małą, chyba jej nie doceniała, myślała w duchu, to takie mądre i zdolne dziecko. Niestety nie umie jeszcze kontrolować mocy. Może jak wyzdrowieje to pouczy jej podstaw. Z zamyślenia wyrwał ją warkot zwierzęcia, które zaszło jej drogę. Szybko się ocknęła, spoglądając nań z ukosa.

- Sio! Idź sobie! - machnęła od niechcienia ręką w nadziei, że zwierz ustąpi i pójdzie w swoją stronę.

Wilk jednak nie miał najmniejszej ochoty na usuwanie się z

drogi, wręcz przeciwnie, zaczął szczyżyć śnieżnobiałe kły, przyjmując pozycję gotową do ataku. Ugiął przednie łapy i zmrużył połyskujące złotym blaskiem ślepie.

- No, idź uparty zwierzaku do swojego pana, nie mam nastroju na gierki. - Zaczął ją irytować. Nie wyczuwała znikąd zagrożenia, co więcej jedyną żywą duszą okazał się nagle ów warczący przybysz. Dało jej to do myślenia. Rozejrzała się wokół i powróciła wzrokiem do wilka, który nadal tkwił w poprzedniej pozycji, wymachując ogonem i śliniąc się.

- Czyżbyś przestraszył wszystko, co tu żyje?

Skupiła się mocno, próbując dotrzeć do świadomości zwierzęcia, ale wilk był cwany. Kiedy Meran przymknęła oczy, marszcząc czoło, zaatakował, robiąc susa w jej stronę. Zrobiła krok w tył, uderzając go koszem ziół. Rozsypały się wokół nich. Zwierz zatrzymał się i ugiął łapy, warcząc i szykując się do kolejnego ataku.

- Odejdź! - krzyknęła, wyciągając w jego stronę płonąca błękitną łuną dłoń.

Wilk nie zareagował, ale warczenie jakby ucichło i z zaciekawieniem przekręcił łeb, nie spuszczając kobiety z oczu.

- Idź! - rozkazała mu.

Po raz kolejny nic to nie dało, znów zawarczał, szczebnał kilka razy i zawył przeraźliwie. Dźwięk napełnił głowę uzdrowicielki. Zatkaną uszy, krzywiąc twarz. Kiedy wycie ucichło, odniosła wrażenie, jakby świat ucichł jeszcze bardziej.

Wokół niej zaczęła zbierać się chłodna aura. Zwierzę usiadło na zadzie. Z pyska wydobywała mu się para, by po chwili zamarznąć, pokrywając szronem wąsy. Otuliła się rękami, chroniąc ciało. Coś ewidentnie zmierzało w jej stronę i nie było to raczej przyjazne spotkanie. Wzięła głęboki oddech i postanowiła poczekać na to co

ma się wydarzyć. Wokół niej zamarzały rośliny, umierały, trzeszcząc i łamiąc się. Trawa oszroniła się, słońce świecące nad jej głową nie dawało żadnego ciepła. Było jedynie świecąca kulą, nic poza tym. Jej ciało przeszywały dreszcze, a ziąb, jak miliony szpilek, wbijał się w nerwy, kalecząc i kłując.

Zamknęła powieki i poczuła zimne kule gałek ocznych. Opuszki palców nabrały niebieskiego odcienia, a usta zbieleły. Stała tam i czekała na tego, który miał się pojawić.

Wilk ułożył się wygodnie na ścieżce, nie spuszczał jej z oczu. Z jego nozdrzy wybuchały obłoczki ogrzanego powietrza. Meran spojrziała na niego.

- Powiedz swojemu panu, by się pospieszył.

Stworzenie przekręciło głowę, zerkając na nią.

- No i co się głupio patrzysz. Mam ważniejsze sprawy, niż odmrażanie sobie tyłka.

- A jakie to sprawy? - usłyszała za sobą głęboki męski głos. Zesztywniała i wyprostowała się, kładąc ręce po bokach i zaciskając pięści. Miała je tak zmarznięte, że nie czuła knykci.

- Moje sprawy - odpowiedziała cicho.

Za nią mężczyzna zaszurał butami o zlodowaciały grunt, podeszwy zaskrzypiały na oblodzonej trawie. Obszedł ją i stanął koło wilka. Pies radośnie zamerdał ogonem na widok swojego pana, mag poklepał go po łbie, lekko uśmiechając się do niego. Przyglądała się tej scenie z rosnącym zainteresowaniem.

- Jakie to urocze.

- Nieprawdaż, moja pani? Tak, zaiste, bardzo urocze. To niezwykle, jak te zwierzęta przywiązują się do właścicieli i jakież są wierne, mimo że co rusz zadajemy im ból. Z czasem same przychodzą, jakby wiedziały, że to już czas.

- Po co mnie zatrzymujesz? By opowiadać rzewne historyjki o

głębokich i smętnych więziach? Czy po coś konkretnego?

- Jak zawsze niecierpliwa i chcąca nieść pomoc wszystkim wokół. Nic się nie zmieniłaś, nic a nic.

Ściągnęła brwi, marszcząc czoło, by przyjrzeć się mężczyźnie stojącemu naprzeciw.

Nie, nie był stary, ale młody też już nie. Był silny i wysoki, gęste szare włosy upięte w gruby warkocz opadały na plecy, pojedyncze kosmyki okalały twarz. Oczy miał jak dwa skrawki lodu, głęboko osadzone i przenikliwe. Krzaczaste brwi dopełniały całości. Brodę miał gęstą i równie szarą jak włosy, poprzeplataną gdzieniegdzie pierwszymi oznakami siwizny. Nie kojarzyła go. Skupiła swe myśli najmocniej, jak potrafiła, nie mogła jednak odtworzyć obrazu stojącego przed nią człowieka.

- Kim ty jesteś?

- Nie pamiętasz?

- Nie.

- Bardzo mnie to smuci. Od czasu jak zamieszkałaś z tym opasłym człowieczkiem, zapomniałaś o swojej przeszłości. Bardzo dobrze wyparłaś z niej wszystko to co wydarzyło się jeszcze wtedy, kiedy byłaś młodziutką mag snującą się po korytarzach szkoły magii.

Pamiętam cię zawsze zamyśloną, niechętną do kontaktów, szarą i niezauważalną.

- Kim ty, do cholery, jesteś?

- Tym chłopcem, który widział za wiele.

Skupiła się jeszcze bardziej, a mag zacisnęła obie ręce na lasce, wspierając się na niej. Miał rację, nie lubiła wspomnień z czasów nauki, były smutne i pełne samotności. Labirynty korytarzy były jej ulubionym miejscem, jak i ogród wraz ze szklarnią pełną ciekawych i intrygujących roślin. Zawsze panowała tam taka

dziwna atmosfera. Mawiali, że starsi adepci własną siłą woli hodoją najdziwniejsze zioła. Przez myśl przebiegła jej postać chłopca ze starszych grup, wiecznie niszczącego wszystko, co stało mu na drodze, ale myśl szybko odpłynęła. Pojawili się inni ludzie, nauczyciele, adepci, starsi i młodsi, bardziej lub mniej dziwni.

- Ciepło, ciepło, moja droga - szeptał. - Jestem wśród nich, przypomnij sobie.

- Nie grzeb mi w myślach! - syknęła.

- Nie grzebię, ale takie masz wizje, że nie sposób je przeoczyć. Śmiało, uda ci się, wierzę w ciebie. - Nachylił się w jej stronę, uśmiechając szelmowsko.

Uzdrowicielka zamknęła oczy i zacisnęła pięści. Ciężko jej było, ziąb przedostał się już do szpiku kości, a siła jej woli walczyła nieustannie o przetrwanie. Powróciła do wizji szkoły, wertowała kartki w bibliotece, sprawdzała ławki, katedry, pokoje, zakamarki, w których ukrywali się ci mniej zdolni, by ćwiczyć swoje zdolności z dala od wścibskich oczu starszych, chcąc w ten sposób uniknąć wyśmiania i głupich żartów skierowanych w ich stronę. Podpalanie zadków nowicjuszom było ulubionym zajęciem starszych adeptów.

Zawędrowała pod kopułę szkoły. Kolorowe szkiełka lśniły w blasku wiosennego słońca, witraże rzucały na podłogę barwne smugi, a kolumnada okalała całe pomieszczenie, na środku którego stał ołtarzyk. Długo nie wiedziała, do czego służył. W kącie przy schodach usłyszała szelest.

- Gorąco - odezwał się.

Otworzyła oczy i spojrzała na maga. Zrobiła krok w przód, by przyjrzeć mu się jeszcze raz.

- Varden - syknęła.

- Jednak mnie zapamiętałaś.
- Jak mogłabym zapomnieć. - Krew napłynęła jej do twarzy, tworząc na zmarzniętych policzkach rumieńce.
- Jak mogłabym zapomnieć - powtórzyła. - To przez ciebie połowę mniej zdolnych uczniów skazano na wiązanie mocy.
- Tak, to ja - uśmiechnął się szeroko.
- Wyrosłeś i zmężniałeś, ale nadal jesteś wrednym małym szurkiem chowającym się przed wszystkimi pod kopułą.
- Nikt tam nie chadzał, oprócz skazanych na pętanie mocy. Doskonale pamiętasz ten ołtarz. Zawsze zimny, biały, lśniący. Taki nierzeczywisty.
- Pamiętam. - Krew z wściekłości krążyła w jej ciele, burząc się i pieniając.
- A myślisz, skąd ta zdolność? - Rozłożył ręce, ukazując zamrożone pustkowie, na którym stali.
- Konfidencka świnia. Niszczyłeś wszystkich tych, którzy stawali ci na drodze, wykorzystując dar przewidywania czasu. Pochwaliłeś się nim arcymagowi. O tak, pamiętam, jak rozprawiał z jedną z nauczycielek przy popołudniowej herbatce, że znalazł maga, który bardzo mu ułatwi życie.
- Nie jestem zły.
- Nie - zaśmiała się ironicznie.
- Nie, nie jestem. Wykorzystałem talent, dostając coś w zamian. To była bardzo intratna wymiana. Tak, dla mnie oczywiście, nie dla nich.
- Co tu robisz, Vardenie? Nie powinieneś donosić baronowej?
- O nie, moja droga, teraz mam potężnych przyjaciół.
- Niech zgadnę, przyłączyłeś się do bandy zdegrustowanych i znudzonych magów, którzy nie mają nic innego do roboty, niż uprzykrzanie innym życia?

- Nazywaj sobie to jak chcesz, ale tak sobie patrzyłem na ciebie już od jakiegoś czasu, rozwijasz się, stajesz się potężna i wiesz co? - zniżył głos. - Nie podoba mi się to Ba, zaczyna mi to przeszkadzać.

- To sobie idź, jak ci się nie podobam i nie truj dupy.

- No widzisz, nie mogę za bardzo. Obiecałem przywódcy, że zaopiekuję się twoim martwym ciałem. Przyda nam się zdolny ghul.

- No to sobie pomarzyć możesz.

- Chociaż... - zamyślił się, przykładając palec wskazujący do brody i zerkając w niebo.

- Co by się stało, gdybym cię zabrał do mistrza? To by była całkiem interesująca rzecz, nieprawdaż?

- I myślisz, że tak po prostu z tobą pójde?

- Oczywiście.

Usłyszała trzask i blask na wysokości oczu. Oślepiło ją to na tyle, by na kilka chwil stracić orientację i wybić się ze skupienia. Świat zawirował i nogi ugięły się, jakby stały się miękkim plastycznym tworzywem. Upadła na kolana. Ostre jak igły zdźbła trawy poprzebijały jej skórę, poczuła piekący, lodowaty ból, a potem tylko ciemność.



Morgana pochylona nad księgą pałała ogromną dumą. Oddech miała głęboki, a dłonie trzęsły się od podekscytowania. W myślach cały czas powtarzała „znalazłam, znalazłam”.

Chłoneła każdą literę, drobne zaklęcie czy klątwę, od najłatwiejszych po te, które wymagają najgłębszego skupienia i siły woli. Oczy miała okrągłe i zaszklone, usta lekko rozchylone,



wilgotne i łapczywe. Wykresy, szkice migwały jej przed oczyma, za każdym razem, gdy obróciła kolejną kartkę, pochłaniało ją to bez reszty. Duma i szczęście sprawiały, że czuła się lekko i bezpiecznie, a zarazem niezwykle pewnie. Na dworze zszarzało, a Meran nadal nie wracała z lasu.

Ulfrik spacerował jego brzegiem, co chwila spoglądając, czy aby nie wraca. Niestety ani szelestu liści na ścieżce, ani trzasku gałązek pękających pod jej stopami nie usłyszał.

Niepokój sięgał zenitu, a strach więził mu powietrze w płucach, które z każdym oddechem stawało się cięższe. Nie wytrzymał i skierował się w stronę domu Nory z nadzieją, że uzdrowicielka podeszła tam, zanim on zaczął spacerować przy lesie. Znał swoją wybrankę, lubiła czasem posiedzieć z kimś innym niż on.

Leto wyciągnął się przed piecem, chłonąc jego ciepło. Było mu błogo. Był najedzony, szczęśliwy i senny. Spokój przerwał mu Ulfrik wdzierający się do domu, trzaskający przy tym niemiłosiernie obcasami okutych butów po drewnianej podłodze.

- Meran! Jesteś tu? - wrzasnął od progu.

Leto wychylił się na stołku, by zerknąć na przybysza spod przymrużonych powiek.

Pech chciał, że runął jak długi na plecy.

- Cholera! Mam za swoją ciekawość. - Wstał, masując sobie plecy. - Na Odkupicieli, co się tak drzesz?

- Jest tu Meran? - mężczyzna niespokojnym wzrokiem omiatał pomieszczenia, ale im więcej patrzył, tym wzrok robił mu się coraz bardziej matowy.

- Nie ma jej tu - odezwała się w końcu Nora, wycierając talerz ścierką.

- A była?

- Nie.

Leto potwierdził, kiwając głową, słowa dziewczyny.

- Niech to szlag!

- A gdzie poszła? Może jest we wsi u kogoś. Wiesz, poszła wymienić jajka na mleko albo coś.

- Głupis - bąknął. - Takie rzeczy załatwia się wczesnym rankiem, a mamy już późny wieczór. Poszła do lasu po jakieś korzonki dla tej małej wiedźmy.

- O nie dobrze - Nora zaniepokoiła się.

- Musimy ją znaleźć, ale najpierw chodźmy do domu zobaczyć, co z tym postrzelonym bachorem. Mam nadzieję, że śpi.

- Oby spała - westchnął Leto, zakładając płaszcz.

Cała trójka ruszyła w stronę domu uzdrowicielki. Szybko przemierzali trasę, nie dyskutując. Jedyne, co chcieli wiedzieć, to kiedy Meran wyszła z domu, ale chłop nie mógł sprecyzować. Patrolował, jak zawsze popołudniami, skrawki lasu, wypatrując znaków. Poranek spędził tak jak zawsze, oporządzając skromne gospodarstwo.

- Zaczekajcie - zatrzymał gestem resztę.

- Coś nie tak? - zdziwiła się Nora.

Ulfrik pokazał ręką światelko w bocznej izbie.

- O Widzisz, wróciła do domu, jak ty byłeś u nas.

- Nie, Noro. My tam nie palimy świeczek. Jasność wpada tam przez okno, a w kuchni nie potrzebujemy by było więcej światła, starcza nam blask ognia w piecu i kaganka nad stołem.

- No to czas sprawdzić. Zaczekajcie tu - zaproponował elf i kocim krokiem zbliżył się do chaty. Pozostała dwójka obserwowała go w skupieniu, gdy stąpał lekko i delikatnie, nawet jedno przyduszone słońcem źdźbło trawy nie zaszeleściło. Skulił się pod oknem i zerknął przez szybkę najpierw szybko, potem pewniej i dłużej. Zobaczył małą na podłodze z lampką przy nogach i księgą otwartą

na kolanach. Była tak zajęta, że nie zauważyła wpatrującej się w nią twarzy za szybą. Oddalił się tak samo cicho i bezszelestnie, jak tylko elfy potrafią.

- Morgana znalazła księgę - wyrzucił z siebie jednym tchem.

- Ożeż! - Nora przykryła twarz dłońmi. - Super, po prostu wspaniale. Jak się doczyta wszystkiego, czego nie ma się doczytać, to zrobi nam koniec świata. Pysznie po prostu.

- Nie panikuj, zawsze możemy ją zabić - pocieszał Leto.

Ulfrik jednak ugodził go zaraz ostrym jak sztylet spojrzeniem.

- No co, to mag.

- To dziecko, kretynie, które nie wie połowy z tego, co się tu wydarzyło. Trzeba z nią pogadać.

- Mądrała - zaśmiała się nerwowo dziewczyna.

- Idź i z nią pogadaj, cwaniaczku.

- Pójdziemy wszyscy razem. Nie będziemy napadać, wrzeszczeć, będziemy potulni jak barany, pojęli?

- Tak jest, komendancie - zasalutowała mu.

Machnął na nią ręką i udali się w stronę domu. Już na progu uderzył ich ostry, lekko przypalony zapach wywaru wzmacniającego.

- Fuj - szepnął Leto, przypominając sobie, jakie męki przeżywał, kiedy Meran wlewała w niego to paskudztwo.

- Cicho bądź - trzepnęła go Nora.

Kuchnia była zrujnowana i wszędzie rozlany wywar wydobywał z siebie smrodliwy ziołowy zapaszek.

- Morgana! - zawołał chłop, stając w progu kuchni. - Morgano, porozmawiaj z nami, proszę.

Dziewczynka oderwała oczy od fascynującej lektury.

- Czego?

- Chodź tutaj!

Usiadł przy stole, zakładając ręce.

- Chodź, porozmawiamy proszę.

Usłyszeli szuranie i trzaski, potem ukazała się im drobna osóbka z księgą w rękach i potarganych włosach.

- Czego, dziadu?

- Usiądź, proszę.

- Znowu mi rozkazujesz! Mam cię spalić jak ścierwo na drodze?

- Nie, po prostu posłuchaj i postaraj się nam pomóc.

Skrzywiła głowę, wpatrując się w chłopca jednym okiem.

- Co?

- Powiedz mi, dziecinko, pamiętasz, kiedy uzdrowicielka wychodziła?

- Nie ma jej? To dobrze, nie?

- No właśnie nie. Martwię się o nią, bo widzisz, ty kochałeś swojego wuja, ja kocham Meran - zasmucił się. - I nie wiem, gdzie jest. Powinna dawno wrócić. Proszę cię, pomóż nam.

Podszedł do niej, łapiąc za ramiona. Dziecko patrzyło na niego szeroko otwartymi oczyma. Scenę przerwał Leto, chrząkając znacząco. Ulfrik puścił jej ramiona i powrócił na miejsce, chowając twarz w dłoniach i łkając.

- Stracę ją, na Odkupicieli, stracę. Pewnie już ją ci cholerni iluzjoniści zabili - płakał.

- Morgano - odezwał się elf, rozdrażniony żalosną scenerią, jaka zaczęła panować w tym pomieszczeniu. - Usiądź no, księżniczko, opowiem ci całą historię. Nora zwieńczy opowieść, Ulfrik dopowie, a ty posłuchasz o tym wszystkim, co tu się w ciągu niecałego roku wydarzyło. Myślę, że cię to zainteresuje. I nie - pokazał na nią palcem, gdyż otwierała usta, by powiedzieć pewnie coś niestosownego. - Nie tym razem. Posłuchasz, potem możesz brać tę cholerną księgę i iść w cztery strony świata, jak sobie tam

zechcesz. Tylko, na Odkupicieli, nie przerywaj!

Mała, tak jak stała, tak usiadła sobie na progu, zerkając na każdego z przybyszy z osobna.

- No to gadajcie, mnie się nie spieszy.

- Wreszcie do czegoś doszliśmy - uniósł ręce, jakby w geście podziękowania.

Każde z nich, spokojnie, bez zbędnych emocjonalnych wybuchów czy gniewnych aluzji, opowiadało zdarzenia mające miejsce w zimie. Morgana słuchała ich tak, jak obiecała, nie odzywając się, kiedy jednak doszli do śmierci Anny, drgnęła. A jak dotarło do niej, że i Anna była magiem, jej drobniutka twarzyczka zadrżała, jakby miała zalać się rzewnymi łzami. Nie zrobiła tego, opanowała odruch i słuchała dalej. Kiedy w końcu dotarli do części opowieści związanej z nieumarłym w piwnicy Andersa, zaczęła jakby pojmować całą powagę sytuacji i miejsca w jakim się znalazła. Oczywiście Leto nie omieszkał jej poinformować o spekulacjach związanych z księgą i wujem.

- No i to wszystko. - Spojrzał w okno na granatową czerń nocy upstrzoną połyskującymi na niebie gwiazdami.

Wszyscy patrzyli na dziewczynkę i czekali na reakcję, jaką miałyby zaraz ich uraczyć. Spodziewali się ataku złości, ale nic podobnego się nie stało. Dziewczynka była zamyślona i bardzo zainteresowana opowieściami, jakimi została właśnie uraczona.

- Ale mieliście wspaniałe przeżycia - westchnęła.

- Co, proszę? - warknęła Nora. - Myślisz, że śmierć mojej rodziny i utrata dorobku całego życia to świetne przeżycia?!?! Ty mała...

- Powstrzymaj konie - upomniał ją Ulfrik.

- Nie to miałam na myśli - odgrodziła się od poprzedniej wypowiedzi. - Żadna osoba jeszcze mi tak nie opowiedziała działania magii. To bardzo... ciekawe.

- Cieszę się, że ci się podobało, ale teraz czas działać. Musimy znaleźć Meran, zanim ją iluzjoniści przerobią na ghula lub inne ścierwo. Choć nie sądzę, by szybko skórę sprzedała, to twarda baba.

- A żebyś wiedział - odezwała się Nora.

## Rozdział V

Meran złapała się za głowę. Rozbolało ją w skroniach niemiłosiernie. Powietrze pachniało tu inaczej i było jakieś stęchłe. Pod dłonią poczuła mokre siano lub trawę, powoli otwarła oczy i rozejrzała się. Pomieszczenie było raczej małe, jak kurnik na jej podwórzu, zbudowane z desek pleśniejących i porośniętych tu i ówdzie mchem. Na jednej ze ścian wisiał zamocowany na żelaznym haku kaganek z oliwą. Kopcił się i syczał za każdym razem, kiedy tylko spadła na niego kropla wody. Zaczynała sobie przypominać mniej więcej sytuację, która niechybnie postawiła ją w tym oto położeniu.

Była słaba i przemarznięta, nadal miała problem z odczuwaniem w dłoniach i stopach, ale wiedziała, że to szybko zniknie. Użyje tylko troszkę magii, by sobie pomóc. Usiadła wygodnie, odetchnęła pełną piersią, skupiając się na bolących miejscach. Nic się jednak nie wydarzyło. Zaczęła zatem jeszcze raz, zrzucając nieudaną próbę na karb swej słabości, ale i tym razem nic się nie wydarzyło. Spojrzała na swoje ręce zaskoczona i zarazem przerażona.

- Co, u diabła? - pomyślała na głos, poruszając palcami energicznie i pocierając nimi o szatę. - No, dalej.

Nic jednak się nie działo. Im bardziej się skupiała, tym bardziej czuła się zmęczona. Pot zalał jej ciało, czuła, jak spływa wzdłuż kręgosłupa dużymi kroplami, podrażniając małe włoski na ciele, co znów sprawiało, że dostała gęsiej skórki. Odruchowo dotknęła klatki piersiowej, modląc się do Odkupicieli, by jej przypuszczenia

były mylne. Na szczęście nie znalazła żadnej rany na wysokości serca. Odetchnęła z ulgą. Chwiejąc się na nogach, obesła małe pomieszczenie, dotykając ścian i szukając drzwi, ale ich nie znalazła. Złość zaczęła w niej buzować. Nie z powodu tego, że jest zamknięta, ale dlatego, iż dała się tak łatwo podejść. Pomyślała o Ulfriku i reszcie oraz dziewczynce, która pewnie potrzebuje jej pomocy i o garnku z wywarem na piecu. Pewnie znów ją chłop zbeszta, że spaliła wywar, zadymiając całe mieszkanie.

Otrząsnęła się, gdyż za ścianką usłyszała kroki. Przyłożyła ucho i nasłuchiwała intensywnie głosów z zewnątrz. Nawet szum własnej krwi w żyłach jej przeszkadzał. Słyszała krzątanie, zdawkowe rozmowy nie dotyczące się w ogóle jej osoby, śmiech jakichś kobiet i radosne poszczekiwanie wilków. Chyba miały szczenięta, gdyż przez ten cały cichy rozgardiasz przebijały się popiskiwanie. Miała też ochotę krzyknąć, ale postanowiła sobie tego oszczędzić, zważywszy na to że mogłaby zostać odebrana jako panikara i domagająca się uwagi więźniarka, a tego miała zamiar uniknąć. Nie chciała się bać, ale strach gdzieś tam w niej siedział i nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że uderzy ją w twarz przy pierwszej lepszej okazji. Postanowiła zatem usiąść i się nie odzywać. Kiedyś pewnie ktoś sobie o niej przypomni. Z więzienia pieczętowanego magią nie ucieknie, jej moc jest blokowana pewnie przez jakiegoś kapłana, nie było sensu próbować.

- Mistrzu Arthenie - usłyszała głos zza drewnianej ściany. - Czy mógłby mistrz...

- A tak, tak - odezwał się matowym głosem nobliwego starca wołany.

Ściana zgrzytnęła i zatrzęsła się, sypiąc ziemią i kurzem gdzie popadnie. Przestraszone pajęczki pochowały się po kątach. Pojawił



się zarys drzwi jarzących się zielonkawą poświatą.

Zgrzytnęły i otwały się powoli, oślepiając uzdrowicielkę szarym światłem wczesnego poranka. Wpadło dużo świeżego powietrza pachnącego wilgotną od rosy ziemią, Meran wciągnęła je głęboko w płuca.

- No i co ty mi tu przywiodłeś, mój uczniu? - Usłyszała głos, choć postaci nie widziała. Nie musiała jednak długo czekać, a w drzwiach pojawił się starzec o bardzo białych i bardzo długich włosach, z brodą poplątaną i kędzierzawą. Szaty miał szare, haftowane na rękawach. W dłoni trzymał laskę z powykręcane drewna, która niemalże krzyczała z bólu.

- Mistrzu, to ta kobieta, o której ci wspominałem, uzdrowicielka ze wsi.

- Meran - odezwała się, otrzepując szatę z resztek wilgotnego siana.

- Tak, tak, widzę Vardenie, widzę.

- Jak śmiesz się odzywać! - wrzasnął na nią drugi dawny znajomy, szykując się do uderzenia kobiety w twarz, starzec jednak złapał go za nadgarstek.

- Opanuj się, chłopcze. Pani się przedstawiła. Twoja arogancja cię zniszczy.

Meran zaśmiała się, przyglądając całej tej sytuacji.

- Co nie zmienia faktu, że tyczy się to też ciebie, moja droga - upomniał ją.

Poczuła się jak uczennica na zajęciach z warzenia wywarów w szkole magii. Ciarki przeszły jej po skroniach.

- Vardenie, dlaczego uważasz, że ta pani tutaj jest zagrożeniem?

- Mistrzu, czy mistrz nie pamięta, co się stało we wsi? Opowiadałem mu przecież, jak ona, elf o imieniu Leto oraz chłopka zwana Norą pokonali jednego z naszych.

- A tak, tak, przypominam sobie tę przestrożę - zwrócił się bezpośrednio do niej.

- Widzę, że wiedza twoja, pani, wykracza poza podstawy arkan magii uzdrawiania.

Zaskakujące, zaiste ciekawe. Widziałem piękną barierę w domu zdrajcy, Andersa. Cudowne dzieło sztuki, byłem pod wrażeniem, chylę czoło. Niestety nie było mi dane widzieć, jak zajęłaś się wraz z towarzyszami naszymi magami, a i wilki za panią jakoś nie przepadają.

Jaka szkoda. To takie wdzięczne stworzenia. I jeszcze jedno, jestem taki ciekawy i myślę, że pani udzieli mi odpowiedzi?

- Jakaż to odpowiedź?

- Moja pani, jak się żyje we wsi kontrolowanej przez iluzjonistów?

- Co ty bredzisz, starcze? - skrzywiła się.

- Och, moja pani, staraliśmy się ze wszystkich sił, by ten rok był niezwykle urodzajny, czy spełniliśmy oczekiwania?

Meran zerkała na niego z coraz większym zdziwieniem.

- O widzę, że się nie podoba. Jaka szkoda, tyle jedzenia się zmarnuje.

Uderzył laską o ziemię. Usłyszała trzask i syk, po lasce przebiegła zielonkawa iskra, zatrzymując się na jej czubku. Przybrała kształt kropli rosy, po czym spłynęła po żłobieniach na ziemię, wsiąkając w nią. W miejscu, gdzie jej dotknęła, zwiędło wszystko, by zaraz zgnić i zaśmierdnąć.

- Coś uczynił?

- Ależ nic, moja pani. Uczę cię jedynie szacunku do starszych. Vardenie, nakarm panią, a potem przyprowadź do mojej kwatery. Mam ochotę na rozmowę przy kubeczku stygu. Pani pewnie też się ze mną napije.

I poszedł. Drugi mag obdarzył ją spojrzeniem pełnym odrazy.

- I co się tak gapisz? - syknęła. - Oddawaj mi moc, ty plugawy gadzie!

Rzuciła mu się do gardła, drapiąc paznokciami, szybko jednak przekonała się, że był to wielki błąd. Wilk, który zawsze podążał za Vardenem, ugryzł ją w rękę, szarpiąc skórę. Ból przeszył ją na wskroś.

- Niech cię szlag, nawet walczyć nie umiesz jak mężczyzna!

- A ty jesteś słaba jak dziecko - bąknął, odpychając ją od siebie tak, że upadła na ziemię.

- Masz, jedz, żebyś nie powiedziała, że dzicy magowie to bezduszne ścierwa.

- Zamknął ścianę, pieczętując ją magią. Meran patrzyła na miskę owsianki i kubek wody.

- Cudownie, po prostu wspaniale.



Po nieco pokrępowanej rozmowie z małą szaloną mag i ogarnięciu bałaganu, jaki po sobie zostawiła, wszyscy doszli do wniosku, że szaleństwem by było szwendanie się po nocy w poszukiwaniu uzdrowicielki. Dziewczynka potulnie poszła spać, po raz pierwszy nie grymasząc i nie rzucając bluzgów na każdego, kto choć raz na nią spojrzał. Ulfrík przynajmniej troszkę w tej kwestii odetchnął z ulgą, choć lęk o ukochaną był niezwykle silny i nie spał tej nocy.

Nora z Letem udali się do swojego domostwa, zaniepokojeni i przerażeni jednocześnie świtem, który miał nadejść. Coś wisiało w powietrzu, sprawiając, że nasycone było ciężkimi emocjami, jakby

sączącymi się z wnętrza czyjejś duszy, złęknionej i gniewnej. Oboje również mieli duży problem z zaśnięciem, czego konsekwencją była długa rozmowa przerywana wybuchami płaczu Nory, która zaczynała się czuć równie bezradna jak wtedy, kiedy okazało się, że matka zaprzedała ich życie w ręce iluzjonistów. Szarpały nią emocje, których elf niestety okiełznać nie potrafił. Udręczoną zaniósł do łóżka i okrył szczelnie, sam kładąc się obok i wpatrując w belki na suficie. Nie miał ochoty na sen, dziewczyna zaś zasnęła szybko i oddychała lekko. Czuwał nad jej snem, patrząc na ruchy jej klatki piersiowej, bojąc się po części, że może się zapaść.

Świt obudził ich mgłą i wilgocią, powietrze cuchnęło rozkładem i śmiercią. Leto zerwał się na równe nogi i pobiegł do kuchni. Kosz z owocami, który stał na blacie stołu, zamienił się w lepką, śmierdzącą brązową breję, którą toczyły białe czerwie. Zrzucił go z obrzydzeniem, depcząc plugastwo. Wybiegł na podwórze w nadziei, że to tylko urojenia zmęczonego umysłu. Jednak to co zobaczył w domu, tak samo panoszyło się dalej. Obraz, na jaki się natknął, sprawił, że skóra ścierpła mu na karku.

- Nora! - wrzasnął na całe gardło, czując jak naciągają mu się struny głosowe. - Nora! - powtórzył.

Dziewczyna z rozczochranymi włosami i zaropiałymi jeszcze od snu oczyma wyszła na ganek.

- Co?

- Patrz.

Przetarła oczy i wyciągnęła się w progu, ziewając donośnie. Szybko oprzytomniała, szok sprawił, że nie zamknęła ust. Ze środka wsi biegły brunatnoczarne żyły, oplatając każde z domostw swymi mackami. Smród, jaki czuli, wydobywał się z ich martwych trzewi, napełniając powietrze. Im były bliżej chat, tym stawały się grubsze. Wyciągały swe oślizłe palce po małe drewniane domki jak

obmierzła gnuśna wdowa, żądająca wszystkiego, co w nich się znajdowało.

Zwierzęta w klatkach przed domami były wyczerpane i w agonii, świeżo skoszona trawa stała się lepłą mazią, parującą i bulgocącą jednocześnie. Większe zwierzęta dogorywały w stajniach, pojękując żałośnie. Ludzie wychodzili z domostw jeden po drugim, zaskoczeni, z rękami na ustach. W przerażeniu i konsternacji obiegali swe przybytki w mgle unoszącej się nad wsią. Wszędzie było słyhać odgłosy śmierci i płacz wieśniaków. Kobiety klękały na progach, zawodząc i modląc się do Odkupicieli o łaskę i wybaczenie.

- Co, do cholery? - jęknęła Nora.

- Entropia.

- Co?

- Magia śmierci. Już to gdzieś widziałem. Ten, kto posiada tę moc, jest potężny jak diabli. Chodź, obejdzimy wieś.

- Jaki potwór mógł to uczynić?

- Mag. Idziemy.

Poszli, przekraczając linię martwej roślinności na ziemi. Przy jednych domkach było więcej jej odgałęzień, przy innych mniej, jakby śmierć wiedziała, gdzie ma zapukać.

Za prowizorycznymi płótkami, na kikutach, które kiedyś były krzakiem pomidora, dyndały na wietrze szare kule ruszające się w środku. Przez cienką skórkę można było dostrzec żerujące weń robactwo. Marchew stała się obrazową breją, płynną i cuchnącą. Kosze pełne rumianych jabłek brzęczały rojem czarnych much, kolby kukurydzy zerkały oczyma chrząszczy pożerających jej nasiona, co rusz o ich stopy obijały się omamione bólem kurczaki lub inne domowe ptactwo. Umierały, przewracając się na bok, jeszcze przez chwilę drgały im nóżki, by zatrzymać się na zawsze.

Oczy spływały białą przesłoną. Nie mijało kilka chwil, a martwe zwierzęta wchłaniała ziemia. Zapadały się pod nią.

Nora trzymała się kurczowo rękawa Leta. Nie miała odwagi, by iść sama. Drżała przy tym jak liść. Pośród tego zawodzenia dotarli do domu uzdrowicielki.

- Ulfrik! - elf uderzał pięścią w drewniane drzwi. Przez chwilę było cicho, ale zaraz usłyszał kroki w głębi domostwa. Mężczyzna otworzył drzwi zniesmaczony zapachami, jakie uderzyły go w twarz, kiedy wchodził do ganku.

- Na Odkupicieli, ależ wy cuchniecie, co żeście robili?

- To nie my - załkała Nora, nadal uwieszona u boku elfa.

- Jak to Co się dzieje?

Leto zszedł mu z drogi, pokazując ręką obraz, jaki przedstawiała wieś. Mężczyzna zareagował identycznie jak wszyscy. Wybiegł z domu i obiegł obejście, trzymając się za głowę. Z wybałuszonymi w szoku oczyma wyciągał drżącymi rękami ukochane kurczęta, a te zamieniały się w jego dłoniach w spopielałą grudę tego, co kiedyś tak bardzo kochał i o co tak bardzo dbał.

- Dlaczego? - szlochał skulony na ziemi, tuląc martwe zwierzęta do piersi. - Dlaczego?

Morgana, trzymając kurczowo księgę, stała na ganku, nie dowierzając temu, co widzi. Zmarszczyła czoło, jakby intensywnie coś analizowała. Zaczęło się jej robić żal tych, których nie знаła. Zawodzenia poruszyły jej z gruntu zimne serce. Przyglądała się intensywnie mackom śmierci pełzającym po ziemi i zabierającym wszystko, co urodziła tego roku.

Podeszła powoli do jednej z nich, zanurzając weń dłoń.

- Co ty, do cholery, robisz?!?! - Leto wyciągnął jej rękę z ciepłego bagna.

- Spójrz. - Pokazała palcem najpierw na nich, a potem na ludzi. -  
Widzisz?

- Co mam widzieć? Nadchodzący głód?

- Nie, głupku. Żaden z nich nie choruje, wy też nie.

Wszyscy popatrzyli po sobie. Dotarło do nich, że mała mag ma rację. Żaden z nich ani też wieśniaków nie kaszłał, nie toczyła go wewnętrzna choroba, a ciało nie pokryło się wrzodami jak u konających zwierząt.

- Widziałam to już.

- Co? - zdziwiła się Nora. - Gdzie?

- W tej księdze. - Pokazała na opasy grimuar dzierzony pod pachą.

- Pokaż - zniecierpliwili się.

Dziewczynka usiadła i wytarła unurzana rękę w rąbek sukienki. Chwilę wertowała żółte kartki, analizując dokładnie ich zawartość, w końcu znalazła i pokazała małym paluszkiem szkic maga i jakieś opisy oraz drugą stronę, na której było dokładnie narysowane to co działo się we wsi.

- Widzicie? Tam jest centrum. Z tego od kapliczki idą linie, widzicie?

Wszyscy przytaknęli. Zaskoczyła ich jej wiedza oraz chłonność umysłu.

- Z tego centrum rozchodzi się to na wieś. To magia kropli.

- Jakiej kropli?

- Tego typu zaklęcia może rzucać jedynie nestor i arcykapłan i to nie każdy.

Zobaczcie, widzicie?

Znów pochylili głowy, by dokładnie przyjrzeć się rycinom. Żaden jednak nie pojmował, o co jej chodziło. Zirytowana pokazała na laskę, którą mag trzymał w dłoniach.

- Kostur, idioci. Są na świecie takie cztery, tylko dwóch dzikich magów takie posiada, reszta jest w szkołach magii, ukryta skrętnie i zapieczętowana.

- Skąd to wszystko wiesz? - spytał zaintrygowany Leto.

- Uwielbiałam słuchać wuja, jak opowiadał różne rzeczy. Myślał, że nie zapamiętam i potraktuję jak bajkę. No wiecie, pomyślę, że bajki opowiada.

- Tak, tak, rozumiem.

- Ale ja wszystko pamiętałam. Jak wychodził, często buszowałam po jego skromnej biblioteczce. Szybko nauczyłam się liter, nie było więc dla mnie żadnym problemem zaszywać się za piecem i czytać. No i wuj kiedyś opowiadał o magii śmierci. Zainteresowało mnie to bo do tego typu rytuałów trzeba być naprawdę zdolnym, wiecie, i wyuczonym, takim arcymistrzem czy jak to się nazywa. Był moment, że chciałam się tej sztuki nawet nauczyć, ale wuj mi powiedział, że krzywdzenie ludzi w ten sposób to zło i nikt nie zasługuje na taką śmierć.

- Niesamowite, to czuje - bąknął Leto, marszcząc czoło. Reakcja była natychmiastowa, oberwał z obcasa w piszczel.

- Mała, złośliwa...

- Przestańcie, niech mówi dalej.

- No dobrze. Aha, są cztery takiego typu kostury. Reszta magów nosi laski, takie jakby przedłużenie ręki. Wzmacniają magię. Te są inne, w ich rdzeniach są kości dawno wymarłych smoków. Podobno posiadają moc tak potężną, że tylko umysł i silna wola trenowana latami jest w stanie zapanować nad ich mocą. Zobaczcie. - Przewertowała kilka kartek w przód i zatrzymała się na ilustracji, na której ktoś zgrabnie narysował cztery kostury. Każdy był inny, wszystkie posiadały tę samą moc, moc magii śmierci. - Widzicie? Żaden nie jest gładki czy sękowaty, różnią się od siebie tylko tym,



że są krótsze lub dłuższe. Jeden ma w zwieńczeniu kryształ, ten jest podobno najpotężniejszy. - Pokazała opis w księdze. - Zapamiętajcie sobie te rysunki.

- Jak sądzisz, jaki on ma?

- To bez różnicy. Ten z kryształem, na moją głowę, jest w szkole magii w stolicy. Jest w kufrze zamknięty silnymi pieczęciami magicznymi. Legenda głosi, że tylko mag władający wszystkimi żywiołami potrafi go otworzyć, ale jeszcze się taki nie urodził.

- Więc kto go tam zamknął, skoro jest tak potężny?

- To było w trakcie wojen trzystuletnich. Podobno skrzyknięto wszystkich arcymagów, by pozamykać te cholerstwa. Niestety, w dwóch przypadkach pieczęcie popękały. Nie wiadomo, dlaczego. Nikt nie wie i od tego czasu nikt też nie wie, gdzie są. No dobrze, teraz wiemy chociaż, gdzie jest jeden.

- Pocieszające, zaiste, pocieszające - westchnęła Nora.

- Dużo wiesz, jestem pod wrażeniem, księżniczko - Leto poklepał małą po głowie.

Prychnęła na niego jak rozzłoszczona kotka. Cofnął rękę, udając, że niczego nie zauważył.

W bramie stanął przerażony syn kowala, blady i roztrzęsiony.

- Gdzie jest uzdrowicielka?!?! Na Odkupicieli, zróbcie coś!

- A co mamy zrobić, chłopcze? Nie ma jej. Prawdopodobnie porwali ją iluzjoniści.

- Co?!?! Kiedy?

Złapał się za głowę jeszcze bardziej spanikowany, niż przyszedł.

- Noro - jęknął.

Spojrzała na niego zdziwiona i zaskoczona.

- Co?

Podszedł do niej, łapiąc ją za rękę i patrząc głęboko w oczy.

- Obiecuj mi, proszę, że zniszczysz to plugastwo. Nie ma tu

nikogo tak silnego i szlachetnego jak ty.

Zaskoczenie osiągnęło apogeum.

- Co? - powtórzyła.

- Ha ha ha - zaśmiała się Morgana. - On cię miłuje. - Złapała się za brzuch, kładąc na ziemi ze śmiechu.

- A idź w cholere, mała wiedźmo, ze swoimi teoriami.

- Wybacz mi, proszę, Noro. Jakby coś się stało niedobrego, obiecaj, że weźmiesz to ze skrzyni mojego ojca. Jak wszyscy poumieramy. - Wcisnął jej w rękę duży mosiężny klucz.

- Co ty mówisz? Nikt tu się do umierania nie spieszy.

- Obiecaj mi, proszę! - jęczał.

Dziewczyna spojrzała po wszystkich wybałuszonymi z zaskoczenia oczyma i przytaknęła chłopakowi.

- Idź już - rozkazała. - Pilnujcie obejścia.

Posłuchał i pospiesznie się oddalił.

- No co?

- Nie, nic.

- Myślałam, że macie jakieś cięte uwagi w zanadrzu.

- Nora ma wielbiciela, Nora ma wielbiciela. - Morgana podskakiwała wokół nich, podśpiewując.

- Przestań.

- No dobra. - Usadowiła się wygodnie, czytając księgę.

- Wiesz coś jeszcze, co mogłoby nam pomóc? Na przykład o tej magii kropli?

- Magia kropli to magia woli. O czym pomyśli nestor, to się dzieje. Materializuje swoje pragnienie i skupia się na miejscu, w którym ma dokonać się czyn, potem wolę zamienia w kroplę jadu nasyconą magią, wzmacniając przy okazji siłą kostura. Ta kumuluje się, a kiedy dosięga ziemi, wchłania się w nią niepostrzeżenie, ale czasem jest to dość zjawiskowy widok. Bywa,

że nikt niczego nie zauważa do czasu, aż w jakimś miejscu zaczynają się dziać dziwne rzeczy.

- Co może z tym zrobić?

- To co widzicie. Sprowadzić pomór na całą wieś lub tylko jedną rodzinę, może też spalić wieś lub sprawić, że zmarli wstają z grobów. A i to co zawsze mi się podobało w tej magii, zbiorowe opętanie, które sprawia, że w szale ludzie zabijają się nawzajem, a ty masz czyste ręce. Mocna sprawa, nie?

- Wariatka.

- Cicho bądź, pokurczu o szpiczastych uszach.

- Sama jesteś pokurcz, niedorobiony magu.

- Przestańcie w tej chwili! - wrzasnął Ulfrik. - Mam was dość! Jak dzieci. Dorośnijcie w końcu. Aaa! nie wytrzymam, wymyślmy coś, trzeba odnaleźć Meran i to szybko.



Uzdrowicielka kręciła pustą miską po owsiance to w prawo, to w lewo, zastanawiając się, jak wybrnąć z tego wszystkiego. Drapanie ścian i nawoływanie o pomoc były zbędne przy pełnym obozie dzikich magów. Będzie musiała okazać się dyplomatką, choć nie miała pewności, czy podoła temu wyzwaniu. Cały czas skupiała się na własnej woli, ćwicząc umysł w nadziei, że moc powróci, jednak zbyt szybko. Nic się nie działo, jakby piach sypała na kamień bez odzewu, nawet iskry na włosach. Ciężko to znosiła, zważywszy na to że nie da się od tak po prostu nie korzystać z magii, skoro robiło się to nieustannie.

- Przeklęte bariery - myślała. - Jakby je tu złamać...

Poczęła przechadzać się wzdłuż ściany tam i z powrotem z

rękoma skrzyżowanymi na plecach, wpatrując się w sufit. Cztery kroki przed siebie, obrót, cztery kroki i tak w kółko. Zaczynała się powoli niecierpliwić. Ileż można czekać, aż starzec ją wezwie? Czas dłużył się w nieskończoność.

- Przeklęty czas, przeklęta cuchnąca buda, przeklęci magicy z koziej dupy! - wrzasnęła, uderzając pięściami o deski. Kurz posypał się jej do oczu. Wzbudziło to jeszcze większą frustrację.

- Uspokój się - westchnęła. - Uspokój się.

Ściana zgrzytnęła dość głośno i rozstąpiła się jak za pierwszym razem.

- Jak tak będziesz krzyżeć, to sobie pogorszysz sytuację - odezwał się niewysoki człowiek o sympatycznej twarzy.

- A ty to kto?

- Nikt nadzwyczajny. Chodź, pan nie lubi czekać, złości się wtedy, a ja obrywam - zniżył głos i uśmiechnął się do niej, wyciągając dłoń.

- Sługa, co? - parsknęła.

- Coś w tym rodzaju. No, chodźże już.

- Podaj imię.

Wziął głęboki oddech, wzruszając ramionami.

- Moje imię nie jest ważne. Ale jak ci tak na tym zależy, nazywaj mnie, jak chcesz. - Powoził gest.

Skapitulowała i poszła za nim. Szedł wolno, z wysoko podniesioną głową, z dłońmi schowanymi w szerokich rękawach szaty. Ci, co stawali na ich drodze, rozstępowali się zaraz, łapczywie obserwując przechodzących, jakby żądni jakiejś sensacji.

- Prostaczkowie, nie zwracaj uwagi.

Uniosła brwi, zaskoczona wypowiedzią drobnego mężczyzny i posnuła się dalej za nim, uważnie kodując każdy zakręt i namiot jaki mijali. Nigdy nie była w tej części lasu.

Okalające ich drzewa były bardzo stare, powykręcane i grube. Większość to były dęby i buki z czerwieniejącymi już liśćmi, które przypominały o niechybnym końcu lata. Te, co już opadły, szeleściły dźwięcznie pod ich stopami. Minęli już nieduży obóz i zagłębili się w głuszę, stąpając po wąskiej ścieżce.

- Dlaczego nazywasz ich prostaczkami? Sądziłam...

Zatrzymał się i spojrzał na nią wodnistymi oczyma.

- Bo to magowie mieszani, pół magowie, jakieś odrzuty, które ledwo pokończyły szkoły magów, a są na tyle głupi lub słabi, że rzucenie prostego zaklęcia sprawia im kłopot.

- Hmm, ciekawe więc, po co ich trzymacie.

- O widzę, że nie trafiłem na pospolitego maga. Jesteś inteligenta, tym lepiej.

- Po prostu odpowiedz.

- Oczywiście. - Zrobił jeden krok w jej stronę. - Nasłuchali się bajeczek o swojej niby mocy i oto są, ściągają ich siła woli naszego mistrza. To on potem wybiera poprzez rytuał złączenia najbardziej odpowiednich magów. Ci, co są zbyt słabi, umierają.

- Nie rozumiem, jaki rytuał? Co to za złączenie?

- To proste. Poprzez połączenie dwóch świadomości, mistrza i maga, który ubiega się o zaszczytne miano iluzjonisty.

- No dobrze, tego nie znam.

- Moja droga, sądzę, że będzie ci dane stawić czoło mocy naszego pana. Jeśli przeżyjesz, oczywiście.

- Co to ma znaczyć?

- Nic szczególnego. Chodź, on nie lubi czekać.

Pokierował się dalej w stronę głębszej części obozowiska. Drzewa otaczały ich ramionami, tworząc nad głowami tunel, przez który nie przebijało się słońce. Im głębiej szli, tym tunel stawał się węższy i bardziej duszny, a las cichy. Nawet ptak nie krzyknął czy

zaszeleściła gałązka, tylko głucha zielona cisza podsycana szarą plątaniną konarów.

Na szczęście dotarli na miejsce. Sługa kazał jej zaczekać, odchodząc, pokiwał palcem, co pewnie miało znaczyć „niczego nie kombinuj” Polana była zaskakująco jasna, zważywszy na fakt, że wiele słońca do niej nie docierało. Nad głowami tworzyła się kopuła żywego dachu, zapewne ukształtowana siłą woli. Nigdy nie widziała, by rośliny rosły w taki sposób.

W samym centrum tworzyły lufcik, przez który wpadało słońce tworzące niezwykły i zapierający dech widok. Było jak promień stworzony przez samych Odkupicieli ku czci Matki Ziemi. Padał on centralnie na purpurowy namiot, który stał na środku. Był największy ze wszystkich, jakie się tam znajdowały. Prowadziło do niego nieduże wejście, płachta była misternie zwinięta ku górze i zahaczona o jelenie rogi po obu stronach. Materia zaś delikatna, ale i wytrzymała. Reszta namiotów tworzyła półkole, stały obok siebie, jeden przy drugim, na brzegu zielonej polany. Były jednak bardziej ubogie, chociaż materia, przy przyjrzeniu się, była ta sama. Wszystkie też były rozbite na polu koła. Srebrne kołki sterczały, podtrzymując konstrukcję na wierzchołkach, pochylane okienka wpuszczały niewiele światła, z niektórych sączył się szarawy lub biały dym. Brzegi złożone lub malowane we wzory roślinne.

Atmosfera miejsca wręcz kipiała od magii. Można się było nią zachłysnąć. Próbowwała poruszyć ponownie swoją moc, na próżno. Skronie perliły się od wilgoci, ale nie była w stanie niczego osiągnąć. Mag, który blokował jej świadomość, musiał być albo blisko, albo ona była zbyt słaba, by móc się mu przeciwstawić. Z jednego z namiotów wyszła elfka w długiej białej szacie, niosąc glinianą misę.

Rzuciła na nią pospieszne spojrzenie i zniknęła w purpurowym namiocie. Meran zaczęła się niecierpliwić. Zrobiła krok przed siebie, by podejść do centralnego punktu miejsca, w którym się znalazła i to był błąd. Usłyszała trzask nad głową i ciepły strumień krwi popłynął jej po twarzy.

- Ostrzegałem cię, nie kombinuj - powiedział sługa, z którym tu dotarła. Tym razem szedł za nim duży szary wilk. Miała dziwne wrażenie, że już go gdzieś widziała.

- Nie kombinuję. Zresztą, co mam zrobić, skoro zabraliście mi moc?

- Nie interesuje mnie to - uśmiechnął się ciepło i dotknął jej czoła. Ranka zniknęła jak i krew, która się z niej przesączyła. Poczula, jak się cofa do miejsca, z którego wypłynęła. Nie знаła tej magii, była zaintrygowana.

- Coś zrobił?

- Dobrze. Sądzę, że teraz będziesz mogła porozmawiać z mistrzem. Wszystko jest przygotowane - i wskazał wielki namiot. - Idź, czeka na ciebie.

- Coś zrobił?

- Idź!

Skrzywiła się. Zanim zrobiła pierwszy krok, upewniła się, że nic się jej nie stanie. Nie było trzasku, ani też bólu rozcinanej skóry. Poszła tam, gdzie jej wskazywano. Strach i złość, jakie odczuwała, usunęły się w cień, nawet nie czuła frustracji. Im bliżej namiotu, tym stawała się bardziej podatna na atmosferę panującą w tym miejscu. Cisza i spokój brzęczały jej w uszach.

- Miejmy to z głowy. - Weszła do środka, schylając się.

- Jesteś, jak miło - odezwał się nestor, pociągając duży łyk z kielicha. Za nim, ze spuszczonej oczyma, stała wcześniej widziana elfka. Była blada i przestraszona.

- Wzywałeś mnie, więc mnie przyprowadzono.

- A tak, obiecałem ci kieliszek stygu, nie pamiętasz?

- Nie lubię stygu, mąci umysł.

- Ależ moja droga, kieliszek nikogo jeszcze nie zabił. - Pokazał jej ręką miękką poduszkę, by sobie usiadła. Uczyniła to niespiesznie, nie spuszczając starca z oka.

- Wyczuwam niepokój. Nie masz się czego obawiać. Reno, podaj pani napitek.

Dziewczyna skłoniła się nisko, obeszła starca lekkim elfickim krokiem, nalała purpurowobrazowego stygu do szklanicy i podeszła do siedzącej Meran. Jakież było jej zaskoczenie, kiedy uklękła przed nią i spuszczając głowę podała jej napój. Wzięła od niej pucharek, zdziwiona takim zachowaniem.

- Wstań. - Szarpnęła ją za rękaw. - Nie musisz kłaniać się przede mną.

Dziewczyna załkała i wybiegła z namiotu.

- Jakaś ty nieuprzejma.

- Ja, nieuprzejma? Nie jestem nieuprzejma, ale nie lubię, jak się ludzie poniżają.

- To nie poniżanie, moja droga. To sługa, tak ma się zachowywać. - Wstał, opierając się na lasce. - Widzisz, mamy tu pewne zasady. Niewolnicy są po to by nam służyć i sprawiać, by życie stawało się łatwiejsze. Ciężko dzisiaj o dobrego sługę. Kiedyś jeden służył ci do śmierci, teraz wymieniasz ich raz na miesiąc. Niesamowite, co się z tym światem dzieje.

Mniemam, że ty nie masz sług. A nie, zaczekaj. - Nachylił się w jej stronę. - Masz jednego i też elfa. Sama widzisz, elfy są same w sobie doskonałymi sługami.

- On nie jest moim sługą - sapnęła.

- Ależ jest. Pomaga wam, patroluje, przybiega na rozkazy. Jak



piesek.

- Jesteś odrażający.

- Nie, nie. Jestem stary a nie odrażający. Ciebie też to czeka.

Hmm, a może nie - pogładził się po siwej brodzie.

- Wiesz, że nie miałam tego na myśli.

- Wiem, co miałaś na myśli. - Stuknął się palcem w skroń. -

Widzę twoje myśli, zanim ubierzesz je w słowa. Twoja moc jest o właśnie tu. Mam ją w sobie, a ty nic nie możesz na to poradzić. Stoisz, pocisz się i skupiasz na próżno. Odebrałem ci ją, jak spałaś.

- Jakim cudem? - Pokazała klatkę piersiową. - Widzisz tu jakieś stygmaty? Miejsca po kamieniach blokujących? Bo ja nie!

Arthen zaśmiał się ochryple. Śmiech sprawił, że jego starczym ciałem targały konwulsje radości.

- Mała głupiutka czarodziejka. Lubię takie młode i niedoświadczone.

- Co ty bredzisz, starcze?

Stuknął laską kilka razy. Wokół niej utworzyła się błękitna łuna i krążyła niczym chmura naokoło kostura.

- To twoja moc. Nie potrzebuję kamieni runicznych, nie jestem egzekutorem baronowej, która polega na swoich psach gończych. Mam magię starożytnych, o której nie masz zielonego pojęcia, dziewczko ze wsi.

- Oświeć mnie zatem. - Odłożyła z impetem czarę stygu, tak mocno, że naczynie się stłukło, oblewając wszystko, co było naokoło.

- Jaka porywcza! Cudownie! Reno!

Nie minęła chwila, a w drzwiach pojawiła się elfka.

- Posprzątaj ten bajzel.

- Tak, panie - pisnęła i zabrała się za wycieranie.

- Mogłeś sam to posprzątać.

- Nie kalam się takimi czynnościami, moja droga. Szkoda mocy na przyziemne rzeczy.

Mam od tego ludzi. - Złapał dziewczynę za nadgarstek tak mocno, że posiniały jej knykcie.

Dziewczyna pisnęła i zalała się łzami.

- Nie, panie, błagam.

- Co ty robisz? Zostaw ją!

- Dlaczego?

- Nic ci nie zrobiła.

- Zrobiła. Uciekła z namiotu, kiedy miała tu zostać. Poza tym znudziła mi się.

Elfka skuliła się i załkała jeszcze głośniej, błagając o litość i przyrzekając, że się poprawi. Mag nie miał ochoty na lamenty. Wyciągnął laskę i dotknął końcówką czoła dziewczyny. Z jej skroni wypełzły blade nici i otoczyły trzon kostura, tworząc koronę w miejscu, którym jej dotknął. Skóra poczerniała i zaczęła się sypać. Nie minęło kilka chwil, a powoli całe ciało zamieniło się w popiół i rozsypało u stóp Meran. Cofnęła je przerażona.

Mag wyprostował się i znów uderzył kosturem o ziemię. Popioły wzbily się w powietrze, tworząc kulę, którą zebrał na dłoni. Jeszcze przez chwilę wirowała ponad koniuszkami jego palców, by cieniutką stróżką wpełznąć do laski. Ta zalśniła szarawym płomieniem i zgasła, stając się tą samą, którą przez cały czas dzierżył w dłoniach.

- I posprzątane.

- Jak mogłeś, była taka młoda!

- I taka piękna. Niestety w alkowie była zbyt płochliwa. Ale widzę doskonałą kandydatkę na jej miejsce.

- O kim ty... Ani mi się waź!

- Nie ty decydujesz, tylko ja, co pocznę z twym marnym

jestestwem.

- Na Odkupicieli! Przysięgam, że kiedyś cię zabiję.

Znów usłyszała ten chrapliwy śmiech. Zrobiło jej się niedobrze.

- Moja droga, mnie nie da się zabić - śmiał się dalej.

- Każdego się da, nawet takiego jak ty.

- A co? Ten twój elficki pomagier wbije mi jadeitowy sztylecik prosto w serce? O nie, moja droga, nawet nie zdąży do mnie podejść. Skona w mękach, a ty sobie na to popatrzysz.

Co ty na to podoba się?

- Jesteś odrażający - wstała, prostując się.

- Znowu to słowo. Och, jak ja go nie lubię. - Usadowił się wygodnie na fotelu. - Jesteś taka niewdzięczna. Zobacz, ja ci oferuję dogodne życie, może nawet pokusiłbym się o zwrócenie ci części mocy, jakbyś na to zasłużyła, ale ty nie. Ty mnie obrażasz i to w moim domu. To się nie godzi, naprawdę.

- A godzi się zabijanie innych, bo ci się nudzą? Godzi się niszczenie plonów i nasyłanie watach wilków na niewinnych? Godzi się zawieranie paktów z nieświadomymi konsekwencji prostymi ludźmi, a potem niszczenie ich jeden po drugim?

- Godzi się, moja droga, jeśli ma się z tego korzyści.

- No tak, zapomniałam. Krew... to jest cena.

- Krew jest bezcenna. Potrzebujemy jej.

- Macie wilki, po co wam ludzie?

- Bo wilki nie mają takiej woli jak ludzie. A to głupia rasa, taka uczuciowa i wynosząca te swoje wyższe emocje ponad wszystko.

- Sam jesteś człowiekiem.

- Byłem człowiekiem - uśmiechnął się do niej. - Byłem, już nie jestem.

- To co przede mną siedzi? Nieumarły, ghul, mara? Czym, do cholery, jesteś?

- Nie doceniałem cię. Taka mądra, tym lepiej.

- Odpowiedz.

- A po co? Sama się przekonasz.

- Gadaj.

- Nie tym tonem, złociutka. Nic ci to nie da. A teraz wybacź, zmęczyłaś mnie. Mój sługa cię odprowadzi.

- Nigdzie się nie wybieram.

- Ależ wybierasz. - Klasnął w dłonie. Meran podeszła do niego jak najbliżej się dało i wbiła swój wzrok w jego. - Co ty, do cholery, kombinujesz, starcze?

- No idź już, jestem zmęczony.

Poczuła dotyk czyjejś dłoni na ramieniu. To był ten sam człowiek, który ją przyprowadził.

- Zabierz ją do namiotu sług. Od dziś to moja nowa zabaweczka.

- Nie będę twoją zabaweczką.

- Więc wolisz zostać moją panią?

- Co ty bredzisz?

Wstał i zbliżył się jeszcze bardziej.

- Potrzebuję syna, a ty się nadajesz. - Położył jej rękę na brzuchu. Nie mogła odskoczyć ani się ruszyć, bo mag, którego przywołał, blokował jej ruchy. Poczuła ziołowy zapach jego oddechu i ciepło powietrza na policzku.

- Stworzymy arcymaga wszech czasów. Długo cię obserwowałem i mam pewność, że dziecko będzie idealne. Jestem stary, ale wolę mam silną. Wystarczy na tę magiczną chwilę.

- Nie waż się - wysyczała.

- No już, zabierz moją przyszłą małżonkę. Dziewczęta dobrze się nią zajmą.

Poczuła szarpnięcie, a potem nastąpiła ciemność.



No to co zrobimy? - westchnęła Morgana, nadal siedząc na ziemi. - Musimy ich znaleźć, już mówiłem.

- Ulfriku, a gdzie masz zamiar ich szukać?

- Jak to gdzie? W lesie, wszędzie.

- I myślisz, że dasz radę obejść te wszystkie gęstwiny, zagajniki, poukrywane grotty, jaskinie i polanki? - rozejrzała się po towarzyszach. - Ktoś musi zostać tutaj, by pilnować wsi.

W ogóle wsi trzeba pilnować. Nie wiadomo, co się stanie. Patrz, co się dzieje teraz, a będzie jeszcze gorzej.

- Młoda dobrze gada - odezwał się Leto.

Ulfrik ukrył twarz w dłoniach, oddychając ciężko. Nie miał już nadziei, że jeszcze zobaczy swoją żonę. Widział Andersa, widział te wszystkie rzeczy, na które nie znał słów. Oczami wyobraźni dostrzegał wszystko w kolorach niezbyt mu odpowiadających.

- Na Odkupicieli, na co nam przyszło - westchnął, opuszczając ręce. - Na co nam przyszło.

- Zróbmy coś, do cholery - wtrąciła się w końcu Nora, poirytowana już całą tą niejasną sytuacją.

- Wiem.

- Co?

Leto pogładził sztylety wewnątrz płaszcza.

- Ja i Nora obejdziemy najbliższe zagajniki, poszukamy śladów. Wy zostaniecie.

Morgana zna się na magii. Umiesz tworzyć bariery? No wiesz, takie przeciw magom?

- Nie, ale się nauczę.

- Mam nadzieję, że wszystko jest w tej księdze. Dobra, Morgana

zrobi barierę. Nie za mocną, taką, którą zniosą wieśniacy, będąc w środku. I postara się ją utrzymać do naszego powrotu. Dasz radę? - zwrócił się do dziewczynki. - Pomożesz nam?

- Dobrze - kiwnęła głową zachwycona pomysłem. Pierwszy raz poczuła się ważna i przydatna.

- Ty, Ulfriku, przejdź po wsi. Sprawdź, czy wszyscy są cali, potem każ siedzieć im w domach i się modlić.

- Jak chcesz.

- Dobra, Noro, chodźmy.

Nie zdążyli wyjść z za furtki, kiedy dziewczynka z wypiekami na twarzy zaczęła wertować poźółkłe karty grimuaru, marudząc coś pod nosem.

- Jak znajdziesz, najpierw wypróbuj na czymś małym, potem na nas, dobrze?

- Tak, tak, idź już sobie. Nie mogę się skupić. Wiem, że gdzieś pod koniec były zaklęcia barierowe, muszą tu gdzieś być. - Przewracała kartki. - No, idź już.

Ulfrik poszedł do wsi. Wieśniacy nadal w złudnej nadziei przeglądali zebrane zbiory, myśląc, że znajdą coś, co nie uległo zepsuciu. Próżne były to poszukiwania. Mgła opadła i jedynie żyły entropii ukazywały ogrom smutku. Większość zwierząt spopieliała i zniknęła pod ziemią, resztki roślin dogorywały, nadal czerniejąc na grządkach. Wszędzie tylko strach i przerażone oczy ludzi, którzy w życiu nie widzieli czegoś podobnego. Uspokajał ich łagodnie i objaśniał powoli i niespiesznie to z czym właśnie się zetknęli. Słuchali go z otwartymi ustami. Niektórzy chłopcy wyrażali protest, wywijając widłami w jego stronę i obwiniając o wszystko uzdrowicielkę i jej magię. Trudno było im pojąć, że ona też zniknęła i że to iluzjoniści upominają się o długi zaciągnięte w tej wsi przez nieświadomych ich mocy ludzi.

Złagodnieli i powrócili do swoich domostw, głodni, wymęczeni paranoją drążącą ich proste umysły. Ulfrik miał jedynie nadzieję, że to czego nauczył ich Leto, nie poszło w przysłowiowy las.

Morgana w końcu znalazła odpowiednie zaklęcie. Wymagało jednak dość dużej siły woli i krwi. Zmartwiła się. Jej rozkwit magii nie nastąpił jeszcze, była zbyt młoda, by tego doświadczyć. Zwykle osiąga się pełnię w wieku dwudziestu jeden lat, potem można się jedynie wzmacniać. Fakt, byli magowie, którzy odkrywali swoje moce w późniejszym wieku lub przychodziły z jakimś silnym przeżyciem emocjonalnym. Zmartwiła się. Nikogo nie było obok, by mogła przeprowadzić rytuał tworzenia bariery. Żadnej zwierzyny czy, co gorsza, człowieka. Wybiegła na drogę, szukając wałęsającego się psa lub kota. Mogłaby go pochwycić i wykorzystać, ale i takowych nie znalazła.

- Cholera - klęła na głos, odgarniając kosmyki włosów z czoła. Na drodze zobaczyła powracającego Ulfrika. Szedł noga za nogą, zrezygnowany i zmartwiony.

- Ulfriku! - wrzasnęła, podbiegając do niego z księgą.

- I jak bariera? - ziewnął.

- No właśnie kiepsko.

- Jak to kiepsko?

- To księga entropii, magii starożytnych. Nie ma tu magii klasycznej, tu się korzysta z...

- Z czego, dziewucho?

- Z krwi. Nauczyłam się, zobacz. - Pokazała mu ryciny z tworzeniem bariery ochronnej. - Widzisz? Na jednym z obrazków mag przeprowadzający rytuał łączy swoją krew z krwią drugiej osoby lub zwierzęcia.

- Czy ja myślę o tym, o czym ty myślisz?

Pokiwała głową, na znak, że dobrze pojmuje.

- Zgłupiałaś?

- No to bariery nie będzie. Nie ma tu innej księgi. Jak przeglądałam dom, to znalazłam jedynie notatki na temat uzdrawiania i te od Anny na temat mikstur i trucizn.

Zapadła głucha cisza. Oboje słyszeli swoje skołatane serca, które trzepotały jak uwięzione szczygły w klatkach. Kurz z drogi unosił się ponad ich głowami.

- Mam oddać swoje życie w twoje ręce?

- A mamy wyjście?

- A mamy wyjście? - powtórzył pytanie. Ominął dziewczynkę i poszedł w stronę chaty. Podreptała za nim na swoich małych, dziecięcych nóżkach.

- Przemyśl to Jak oni tu przyjdą, to nas wszystkich wymordują.

- Zastawiła mu drogę tuż przy furtce. - A tak, to zatrzyma ich bariera. Nieumarli lub ożywieńcy przez nią nie przejdą, ludzie będą bezpieczni.

- A magowie? Przecież ją złamią. Nie masz tak wielkiej siły woli, by utrzymać ją na tyle długo, by móc wezwać Leta i Norę.

- Zatrzyma ich na około pięć minut, zdążymy zadać w róg.

- Do cholery, dziecko, tu chodzi o moje życie, pojmij to - wrzasnął, omijając ją.

- Tu chodzi o życie nas wszystkich! - krzyknęła w jego stronę.

Na horyzoncie zaczęła zbierać się burza. Kumulowała się dokładnie nad wsią, tworząc na niebie ołowianą koronę. Ciężkie, nasączone deszczem chmury zaczęły pulsować nad nimi, wewnątrz nich zaczynało grzmieć i trzaskać. Błyskawica przedzieliła powietrze, trafiając w drzewo przy drodze, które zajęło się płomieniami.

- Ulfriku, proszę! Oni nas wszystkich wymordują. - Upadła na kolana, nie wypuszczając księgi z dłoni. Położyła na niej głowę,



mamrocząc zakłęcie bariery. Odgarnęła włosy, które wiatr cały czas zarzucał na twarz, kawałkiem szkiełka rozcięła sobie nadgarstek, nie przerywając deklamacji rytuału. Krew wypłynęła spod jej białej skóry, najpierw wolno, potem jej krople zaczęły się unosić w powietrzu, dzieląc się na coraz to mniejsze, aż stały się tak maleńkie, że wirując wokół niej, tworzyły purpurową chmurę. Mimo bólu nie przerywała, skupiała się ze wszystkich sił, jakie posiadała w swym małym dziecięcym ciele. Ulfrik obserwował to zjawisko, stojąc na środku podwórza. Siła woli unosiła ciało w powietrzu, oczy miała zamknięte, usta poruszały się w nieznanym dla niego języku. Rozłożyła szeroko ramiona i odchyliła głowę do tyłu. Krople jej krwi wirowały wokół niej coraz szybciej i szybciej, wir rozszerzał się na coraz większy obszar, ogarnął już jego dom, potem płonące drzewo, które w sekundzie wygasło. Dalej i dalej obejmowało całą wieś.

Mężczyzna był bardzo zaskoczony jej talentem, jednak zauważył, że młoda mag długo tak nie wytrzyma. Albo nie starczy jej siły, albo wspomianej krwi. Podeszedł do niej i schylił się po szkiełko, które leżało na ziemi, uznając, że jest w stanie się poświęcić dla dobra Meran i naciął swój nadgarstek. Dziewczynka krzyknęła i zwinęła się w kłębek. Krew Ulfrika pomieszała się z jej krwią w identyczny sposób, jaki widział przed chwilą. Ogarnęła go słabość i senność. Upadł na ziemię, dysząc. Kurz wdzierał mu się do nosa i gardła, bariera nad nimi nabrała intensywniejszej barwy, stając się kopułą.

Morgana kucnęła na ziemi, nadal zwinęta w kłębek, ale bardziej już świadoma.

Złapała Ulfrika za nadgarstek, przybliżając własny. Połączenie ran sprawiło, że ich ciała stały się jednym krwiobiegim. Czuł, jak w jego trzewia wdziera się coś nienaturalnego, jak sięga do głębi i

szarpie. Ból ustał, senność stała się faktem, poddał się jej, zamykając oczy w błogostanie. Morgana usiadła obok, wyciągając zdrową rękę i tworząc w dłoni kulę wirującej krwi, by za chwilę rozbić ją wolą na miliony drobnych kawałeczków, które wystrzeliły, wzmacniając barierę. Rytuał został zakończony. Pozostało jedynie go podtrzymywać. Nie było to wyczerpujące, ale czasochłonne, moc czerpała z krwi Ulfrika, pogrążając go w śmiertelnym śnie.



No, wstawaj - usłyszała nad uchem uzdrowicielka. W głowie jej szumiało i miała niezłe zawroty. Próbowwała zapanować nad kołowrotkiem, który nie pozwalał jej otworzyć oczu.

- Nie śpię - odezwała się po chwili, trzymając się za czaszkę.

- No, to świetnie - znów ten głos zabrzączał nad uchem. - W końcu się ubierzesz.

- Jestem ubrana.

- O nie, mam dla ciebie coś innego.

Otworzyła oczy. Światło wlało się jej pod powieki i zakłuło boleśnie. Powoli usiadła, rozglądając się wokoło. Wszędzie widniała biel poprzecinana skraweczkami zielonych listków i błękitnych kwiatów wszytych w tę białość. Pod stopami miała miękką, równie białą jak wszystko, skórę.

- Gdzie ja...

- W namiocie sług, pani - odezwał się inny głos, tym razem mniej skrzekliwy i cieplejszy.

Obróciła się. Za nią siedziały dwie elfickie służki, ubrane tak samo jak ta, którą nestor zamienił w pył. Przed nią zaś stała

wysoka, potężnie zbudowana kobieta z dzbanem w ręce.

- O co chodzi?

- Pani... - zapiszczała elfka. - Pan prosił o przygotowanie pani do ceremonii.

- Jak długo spałam?

- Wystarczająco, by być wypoczętą. A teraz ruszaj się, bo nie zdążysz, a on nie lubi czekać - pociągnęła ją za rękę starsza.

Wstała niechętnie, poprawiając fałdy szaty, jednak okazało się to zbyteczne, gdyż elfickie służki już stały obok, rozplątując troczki i wstążeczki jej sukni.

- Zostawcie! - wrzasnęła, odganiając je. Odsunęły się posłusznie krok od niej, opuszczając potulnie głowy.

- Nie będziesz im, moja droga, rozkazywać! - wrzasnęła starsza i ruchem ręki przywołała dziewczyny, by kontynuowały czynność.

- Powiedziałam nie!

- Mam cię ogłuszyć? - spytała.

- Wystarczy, że poprosisz.

Kobieta zrobiła niezwykłą minę, w życiu nie widziała tak zdziwionych oczu.

- Ale... ale... - język począł jej się plątać w ustach.

- Widzę, że choć jesteś stara, to dobre maniery są ci obce. Poproś!

- Kim ty jesteś, szmato, że śmiesz mi, nestorce, rozkazywać? - Wymierzyła Meran siarczysty policzek. Kobieta przyjęła zniewagę dość chłodno, jakby jej to nie obeszło.

Uśmiechnęła się do karcącej.

- Jak śmiesz! - Ponowiła atak. Elfickie służki skuliły się w kącie wystraszone, a uzdrowicielka poczuła słony smak krwi w ustach.

- Poproś - powtórzyła, nie uginając się.

- Uparta suko...

- Dość! - usłyszały. - Co to ma znaczyć?!?! - Sługa, który ją tu przywiódł, stał w wejściu do namiotu, dzierżąc w ręku grubą księgę.

- Bo ona... Panie. - Skłoniła się nisko. Gdyby nie fałdy tłuszczu na jej brzuchu pewnie zaryłaby nosem w ziemię.

- „Bo ona”. Nie masz innego wytłumaczenia, Fisko? Ile razy mam ci mówić, że tak się spraw nie załatwia?

- Ale ona...

- I po co to - przerwał jej i zwrócił się do służących. - Panienki, proszę pomóc naszemu gościowi się przebrać. Przyniosłem księgę, którą powinnaś, moja droga, obejrzeć, zanim przystąpisz do rytuału.

Podał jej opasły tom. O dziwo nie był ciężki, choć na taki wyglądał. Lekki jak piórko, nie poczuła nawet, jak wkładał jej go do ręki.

- Poproś - powtórzyła z uporem maniaczki.

- Proszę, daj się przebrać.

- Oczywiście. - Rozłożyła ręce, by elfickie dziewczęta mogły robić swoje.

- Trzeba było tak od razu, Fisko. Nie podoba mi się to co zobaczyłem. Idź do nestora, mam cię dość, nie chcę cię na oczy oglądać.

- Ależ panie, proszę.

- Wynoś się!

Kobieta zniknęła, blada i przerażona. Chwilę później usłyszeli krzyk, potem powietrze wypełniała już tylko cisza przerywana brzęczeniem owadów. Meran zauważyła wielką ulgę w wyrazach twarzy dziewczyn. Odniosła też wrażenie, że odetchnęły, spokojniejsze, ręce przestały im się trząść.

- No dobrze, trzeba coś z tym zrobić. - Wskazał palcem na

rozciętą wargę, po czym przesunął nim po ustach, szepcząc jakieś zaklęcie. Opuchlizna i rozcięcie zniknęły pod jego dotykiem. Teraz była już pewna, że jest to mag i to nie byle jaki. Zapewne jest prawą ręką samego nestora.

- Po co to wszystko?

- Zobaczysz. A teraz wybacz, nie chcę oglądać twojej nagości, to niestosowne, choć...

Nie, po prostu wyjdę, a ty pozwolisz dziewczynom działać. Pozwolisz, prawda?

Przytaknęła. Rzucił jej przelotny uśmiezek i wyszedł, zasłaniając wejście. Znów zrobiło się mdło. Jedyne przez wyrwę w suficie wpadało letnie słońce, choć przyrzec by mogła, że jesień puka już do bram puszczy, barwiąc ją czule. Jej specyficzny zapach wypełniał nozdrza i docierał do płuc. Lubiła to Elfki uwijały się. Umyły ją dokładnie, mimo sprzeciwu, że robi to sama, ale nie chciała, by podzieliły los poprzedniczki, więc się zgodziła. Przyjęły to z ogromną ulgą i wdzięcznością. Szaty, które dla niej przygotowano, były bardzo proste, ale szalenie miękkie i delikatne. Rękawy, haftowane przez sprawną hafciarkę, były przetykane złotą i purpurową nicią wijącą się pomiędzy zielonymi liśćmi. Rąbek dołu sukni stworzono podobnie. Wciśnięto ją też w skórzany gorset pełen pasków i rzemieni. Czuła się dość nieswojo, ale utwierdzano ją w przekonaniu, że wygląda świetnie. Włosy zebrały jej z karku, upinając w kok, pojedyncze kosmyki spadały jej na twarz. Po wszystkich tych zabiegach upiększających wniesiono do namiotu ogromne lustro oprawione w drewnianą ramę, na której wyryto krasnoludzkie runy. Popatrzyła na swoje odbicie i nie dowierzała, że to ta sama Meran, jaką знаła.

Pierwszy raz zauważyła, że jest atrakcyjną kobietą.

- Gotowa?

Zobaczyła stojącego za sobą sługę.

- Na to wygląda.

- Świetnie, weź księgę i chodź.

- Dziękuję wam - uśmiechnęła się do pomocnic. Te spłonęły rumieńcem i spuściły głowy.

- Im się nie dziękuje, taka ich rola. No chodź już.

Zabrała księgę pod pachę i poszła za nim. Nie zmierzali jednak w stronę namiotu stojącego pośrodku, a znów zagłębili się w gęstwinę, tę którą tutaj przybyła. Drzewa otwały przejście, ukazując ścieżkę.

- Dokąd tym razem?

- Zobaczysz.

- Mam się bać czy już się powiesić z własnej woli?

- Skąd ten pesymizm, moja droga? - Zatrzymał się, spoglądając jej głęboko w oczy.

- A jak myślisz?

- No właśnie, co myślisz?

- To ja zadałam pytanie.

- A ja je powieliłem.

- Myślę, że mam ochotę walnąć cię w głowę tym tomem i zwiąć w cholerę.

- Zły pomysł - zaśmiał się.

- Zatem jaki jest dobry?

- Zobaczysz. - Poszedł, a ona za nim, nie spuszczać wzroku z jego sylwetki migającej pomiędzy gałęziami.

Weszli na polankę, a raczej doszli do miejsca, z którego ją wcześniej zabrano. Poznała po szopie stojącej z boku. Była jakby wciśnięta w las, wcześniej tego nie widziała. Przywitał ich tłum odświętnie ubranych ludzi stojących po obu stronach ścieżki. Jedna z kobiet podeszła do niej i nałożyła jej na skronie wieniec z

polnych kwiatów, kłaniając się nisko, po czym się oddaliła. Meran przewracała oczyma ze zdziwienia, nie mogła pojąć, o co chodzi. Wiedziała jedynie tyle, że nestor ma jakieś plany, ale nie mogła sobie przypomnieć jakie. Od myślenia zahuczało jej w głowie, poprzestała zatem, czekając na to co nastąpi. Podstępny plan ucieczki wziął w łeb, byłoby szaleństwem branie nóg za pas przy takim zbiegowisku. Pewnie by ją pochwycili i powalili na ziemię zanim odeszłaby choć kawałek.

- Podejź - usłyszała znajomy głos starca. Stał na drewnianym cokoliku, dzierżąc tę swoją koszmarną laskę. Nie mogła ścierpieć jej widoku, za każdym razem, kiedy ją widziała, przewracało jej się w żołądku.

- No już, podejź, proszę. - Poczwała, jak sługa popycha ją delikatnie w stronę maga.

Zrobiła jeden krok i zatrzymała się.

- Idź - szepnął za jej plecami.

- Nie.

- Nie upieraj się, idź.

Starzec zszedł z cokoliku, szumiąc szatą. Wsparł się na lasce obiema rękami i wbił w nią małe świdrujące oczka. Nie zbiło jej to z tropu. Stała tam, gdzie stała, uparcie czekając na to co ma się wydarzyć.

- Podejź, moja droga - wyciągnął do niej rękę. Wokół usłyszała szum szeptów. Tłum się poruszał jak fala na jeziorze, zaskoczony nieposłuszeństwem kobiety. Nie dowierzali, że ktoś może się sprzeciwiać jemu.

- No dobrze. - Uderzył laską o ziemię. Meran poczuła mdłości i ból w okolicy piersi, na białej tkaninie zalśniła mokra i lepka smuga krwi. Spłynęła lekko w dół, by zatrzymać się tuż przy gorsecie.

- I tym masz zamiar mnie złamać? - wyszeptała ogłuszona.

- Nie mam zamiaru cię złamać, mam zamiar cię spętać.

Wokół jej ciała uniósł się kurz, wirował na tyle szybko, by wedrzeć się w oczy, nos i usta, zatykając przy tym uszy. Z rany uniosła się cienka nitka i zawisła w powietrzu, nie wzruszona wirującym pyłem. Starzec wyciągnął w jej stronę dłoń, smuga wydłużyła się i poszybowała w jego stronę, oplatając ją, by w chwilę potem stać się błękitnym ognikiem płonącym na jego dłoni. Kurz opadł na ziemię, wraz z nim uzdrowicielka.

- Nadal masz zamiar być taka uparta?

Odkaszlnęła, łapiąc się za serce.

- Możesz zabrać mi magię, woli mi nie zabierzesz.

- Zatem czas na mały pokaz przed zaślubinami.

- Nigdy za ciebie nie wyjdę - jęknęła, kuląc się. - Jestem żoną Ulfrika.

- Ależ wyjdiesz, jesteś mi potrzebna, a ja jestem taki staroświecki. Nie ma potomka bez pięknych zaślubin. Zobacz, moja droga, ilu gości przybyło, sama śmietanka wolnych magów.

- Mam gdzieś ciebie i tę twoją śmietankę - sapnęła. - Lepiej mnie zabij.

Arthenowi nie drgnęła powieka, uniósł kobietę nad ziemię.

- Czas na prezent. A chciałem ci go dać po ceremonii. Cóż, chyba się pośpieszę, bo tak być nie może, by panna młoda odmawiała swemu panu.

- Nie jesteś moim panem - kaszlnęła.

- Jaka uparta jesteś. Niezwykła. Niezwykła w swej zwyczajności i prostocie. Złamię tę twoją wolę, a wtedy dasz bractwu magii dar, o jakim piszą w starożytnych księgach znalezionych w trakcie wojen trzystuletnich. Wiesz, jakie to księgi, prawda?

- Wiem. Nie dostaniesz potomka, musiałbyś mnie zabić.



- A ty nadal o tym zabijaniu. Robisz się już nudna. Wszystko w swoim czasie. Jeszcze się doczekasz, obiecuję. - Nachylił się w jej stronę, puszczając oko.

- Ścierwo - splunęła mu w twarz.

- Ukochana.

Powoli postawił ją na ziemi, nadal dzierżąc kulę magii wyciągniętą z jej wnętrza. Łączyła ją z nią cienka jak pajęczyna nić woli, prawdopodobnie jej. Nie miała pojęcia, marzyła tylko o tym, by wreszcie to się skończyło i mogła wrócić do domu.

- Chodźmy - usłyszała i dwóch mężczyzn w zielonkawych szatach wzięło ją pod ramiona, idąc za Arthenem. Ten zaś spokojnie, nigdzie się nie spiesząc, kroczył w stronę wsi.

Za nim podążała Meran, wleczona przez sługusów, stado wilków oraz kilku magów, których na oczy nie widziała. Wszyscy na szyjach mieli symbole iluzjonistów, a ich szaty odpowiadały wzorom szat, jakie nosili ci, którzy pojawiali się we wsi. Tłumek zgromadzonych odsunął im się z drogi, chowając po szarych namiotach.



Leto z Norą zagłębili się w las. Im głębiej wchodzili, tym bardziej zaskakująca cisza wdzieriała się w ich uszy, brzęczała i rozbijała się pod czaszką. Nie mieli pojęcia, co o tym sądzić.

- Dziwne - szeptał elf.

- Tak, jakby las umarł, nawet nie widzę owadów, a gryzą w tym czasie jak wściekłe.

- Nora rozglądała się zaniepokojona.

- Chodź, obejdziemy wieś z tamtej strony. - Leto pokazał gestem

cienką drózkę wijącą się w górę.

- Dobrze, choć nie wiem, czy jest sens tego wszystkiego.
- Nie trać wiary, kobieto.

Poprowadził ją czujny i gotowy na atak w każdej chwili, ona zaś trzymała rękojeść miecza w rękach tak mocno, że krew przestała dopływać do czubków palców. Poczowała mrowienie i dotarło do niej, jak bardzo jest przerażona. Poluźniła uścisk, ale tylko na tyle, by mieć kontrolę nad sobą i bronią. Miecz był ciężki i ramiona zaczynały ją boleć, nie miała jednak zamiaru się poddawać. Szła za elfem, czujnie stąpając, tak aby żadna gałązka pod jej stopami nie trzasnęła, czy liście nie zaszeleściły w gęstwinie.

- Może wrócimy? Zobacz, nic nie ma, ani śladu, ani złamanej gałązki, jakby rozplynęła się we mgle. Poza tym zaczynam być głodna, chodzimy już od wielu godzin, zlitujże się.

- Jeszcze tam i wracamy.

Przytaknęła i posnuła się za nim.

- Patrz.

Oczom ukazał się widok dość zaskakujący jak na tę porę roku. Ziemia była zmarznięta, a w niektórych miejscach widać było szron na liściach. Wokół widniała martwa, zmrożona, brunatnoszara trawa, było tam też miejsce skupienia się czegoś niezwykłego. Tworzyło regularny okrąg, im dalej od niego, tym roślinność zieleńsza, im bliżej, tym bardziej zgniła.

- Widzisz? Tam!

Podszedł do pochylonego drzewka z długimi gałązkami dosięgającymi ziemi, pod liśćmi, lekko ukryty, leżał kosz Meran pełen ziół, które już zdążyły obumrzeć, nie nadając się nawet na paszę dla kur.

- Była tu.
- Więc ją jednak porwano.

- Tak, to magia żywiołów. Zobacz, wszystko jest pokryte lodem.

- No, no, no, kogo my tu mamy - usłyszeli za plecami.

Mag podszedł bliżej, uśmiechając się od ucha do ucha.

- A ty, to kto? - spytał Leto, mrużąc oczy.

- Varden, mili państwo. Czego szukacie w takich ostępach?

- Przyjaciółki - syknęła. - Jak ją widziałeś, to mów zaraz, gdzie jest.

- A jak wyglądała?

- Przestań się zgrywać, magu. Myślisz, że jesteśmy ślepi? To miejsce jest zniszczone magią, a jedynym magiem, jaki tu jest, jesteś ty.

- Cóż za dominujący charakter. Młodzieńcze, wybaczę ci gorącą krew. O tak, twoja krew jest bezcenna.

Uderzył kosturem w ziemię, Leto wywrócił oczy i padł na ziemię.

- Na Odkupicieli! - wrzasnęła Nora. - Czy ty zawsze musisz padać, kiedy akurat jest coś ważnego?

Elf skulił się na ziemi, ściskając w ręce sztylet z jadeitu.

- Zabij go - wycedził przez zęby. - Zabij, do cholery!

- Ona ma mnie zabić? Ale za co? - Wyciągnął dłoń, a z ciała Leta uniosła się purpurowa chmura krwi.

- A choćby za to - Ruszyła w jego stronę. Mag był jednak szybszy i zanim zrobiła kilka kroków, również leżała na ziemi, zmrożona chłodem, jaki ją otoczył.

- Jejku, jak zimno. - Drżała, a z ust wydobywała się para wodna, tworząc obłoczek.

- Zabij go. - Ostatkiem sił cisnął w jej stronę sztylet.

Nora podniosła się, zostawiając miecz tam, gdzie leżał. Ciałem szarpały dreszcze, utrzymanie równowagi było czymś niewykonalnym. Znów upadła, kątem oka zobaczyła, jak mag

uśmiecha się szeroko, wysysając życie z elfa. Twarz ofiary stawała się niebieska, a oczy coraz bardziej zamykały się z wyczerpania.

- Zabij... go - stęknął i stracił przytomność.

Podpełzła do broni, wykorzystując nieuwagę oprawcy i chwyciła ją w dłoń. Kierowała się coraz bliżej niego, nie widział jej. Trwał w ekstazie krwi, coraz mocniej pochłonięty jej wydobywaniem i mocą, jakiej mu dostarczała.

- Będę niepokonany, jak zabiorę ci jeszcze wolę, mały, głupiutki parobku - śmiał się.

Nora wstała, wzięła głęboki oddech i wykonała niezręczny zamach skostniałymi rękoma. Najpierw nie trafiła i mag zorientował się, co się dzieje. Obrócił się w jej stronę, oczy mu zasły czerwona łuną, lśniły krwią jak złowróźbny omen. Dziewczyna nie czuła nic, prócz zimna i przenikliwego bólu. Miała wrażenie, że w każdym zakamarku jej ciała siedzi milion igieł, które wbijają się głębiej i głębiej, docierając do wnętrza, by atakować jej organy.

Skupiła się i zacisnęła z całej siły rękę na rękojeści. Sztylet był lekki, nie wiedziała, czy robi to co głowa jej podpowiada, czy ciało reaguje na bodźce, jednak musi zaryzykować.

- Zgiń - zacharczała. - Umrzyj!

Wykorzystując masę ciała, popchnęła maga, upadając na niego z hukiem. Rytuał przyjmowania krwi został przerwany, Varden, ogłuszony, stracił orientację i kostur wypadł mu z ręki, padając nieopodal. Próbował go odszukać, ale leżał za daleko, by mógł go dosięgnąć. Poza tym przygnieciony był ciałem kobiety i nie mógł się poruszyć, była bowiem ciężka. Nigdy nie znał dziewczyny, która by tyle ważyła. Temperatura powietrza nieco się ociepliła. Wykorzystała to na swoją korzyść, oparła się jedną ręką o ziemię, drugą przyłożyła magowi nóż do klatki piersiowej w okolicy serca.

Patrzył na nią, nie dowierzając, że to się dzieje. Czerwona mgła zaczęła powoli odpływać w głąb jego ciała i oczy nabrały normalnej, bardziej ludzkiej formy.

- Co ty, dziewucho...

W tym momencie ocknął się Leto.

- Zabij!

Nora bez zastanowienia wbiła ostrze w ciało maga. Ten stęknął i zacharczał, wybałuszając na nią zaskoczone oczy.

- Co? Co? - powtarzał, jakby to „co” było czymś nierealnym, czymś, co w ogóle nie miało prawa miejsca.

- Poderżnij mu gardło, tak dla pewności.

Nie wahała się, zrobiła to o co prosił. Krew trysnęła, brocząc twarz Nory i jej koszulę, szybko jednak zakrzepła, jakby była częścią martwej osoby. Mag, wydając ostatnie tchnienie, nadal wyglądał na zdziwionego. Nie minęła nawet minuta, jak z jego ciała uniosła się czerwona łuna. Spojrzeli po sobie, ale nie wykonali żadnych zbędnych ruchów. Krwawa chmura zawirowała i wzbiła się wyżej, kręcąc się i falując na wietrze. Dopłynęła do leżącego na ziemi elfa.

- Na Odkupicieli, co to za ustrojstwo?

Błysnęło wewnątrz zjawiska i cienka błyskawica uderzyła go w czoło, przygwoźdżając do ziemi i unieruchamiając. Nie mógł się poruszyć. Otworzyła lej, by cienką stróżką wpełznąć do jego ciała przez oczy, nos i usta. Targały nim konwulsje, charczał i wił się jak robak wyciągnięty z ziemi i nadziewany na haczyk przez rybaka. Dziewczyna zakryła usta ręką i nie mogąc nic uczynić, siedziała na martwej trawie, w myślach błagając Odkupicieli, by przerwali te męki. Kiedy wszystko się skończyło, leżał skulony na ziemi, dysząc i pocąc się. Podbiegła bliżej, szarpiąc go.

- Nie szarp, żyję - powiedział z trudem.

- Jak ja się bałam! - łkała, gładząc go po włosach. - Co to do jasnej cholery, było?

- Chyba moja krew postanowiła do mnie wrócić - zakaszłał.

- Co?

- No tak - złapał się za kark, kręcąc przy tym głową. - Wróciło wszystko i szczerze powiedziawszy, czuję się świetnie. Nic mnie nie boli.

- Och! - Rzuciła się na niego, tuląc z całych sił.

- No już, starczy. Zwijajmy się stąd. Mam dość tego miejsca.

- Ja też, chodźmy do wsi.

Szarzało już. Cisza, która ich otaczała, stawała się przytłaczająca, a powietrze jakim oddychali, było duszne i cuchnące. Każdy krok męczył, a zmęczenie pulsowało boleśnie, najpierw w łydkach, a potem w udach. Oddychali ciężko, brnąc do przodu. Drobne gałązki smagały ich po twarzy, świszcząc w powietrzu. Nieraz Leto czy też Nora zaklęli siarczyście przy uderzeniu.

Kiedy dotarli do skraju lasu, ukazał się im widok niezwykły. Nad wsią wisiała czerwona luna, układając się na kształt kopuły, ciężka i pulsująca, jakby ktoś tchnął w nią życie. Gdzieś tam wirowało powietrze, sprawiając, że skrawki bariery układały się w okręgi, by za chwilę powrócić na swoje miejsce. Wyglądało to tak, jakby ktoś kazał im scalić się z resztą. Oboje popatrzyli na siebie zaskoczeni i noga za nogą podążyli przed siebie.

Im bliżej byli wsi, tym powietrze było gęstsze, a im bliżej kopuły, tym mocniej do ich nozdrzy docierał zapach krwi. Leto wyciągnął rękę przed siebie, dotykając wirującej mgły. Była ciepła i aksamitna w dotyku, zostawiła mu na palcu drobne purpurowe ślady. Przyłożył palec do nosa i skrzywił się.

- Krew.

- Co? - złąła się dziewczyna, patrząc na jego dłón.
- Morgana miała zrobić barierę.
- Morgana posłużyła się magią zakazaną. Chodźmy, zanim ta miała wiedźma kogoś wykończy.

Ruszył gwałtownie z miejsca, zanurzając się w całości w czerwonej smudze. Poczłł przenikliwą wilgoć, ale nic poza tym. Mógłby nawet powiedzieć, że było to przyjemne uczucie. Nora zawahała się, zrobiła krok do przodu, po czym cofnęła się z obrzydzeniem, kiedy zapach podrażnił jej nozdrza jeszcze silniej.

- Nie mogę, mdli mnie.
- Nie narzekaj, to nic strasznego, chodź.

Wzięła głęboi oddech, zamknęła oczy i biegiem pokonała barierę. Doznała podobnego uczucia, co jej towarzysza. Zatrzęsło nią, ale nic poza tym. Uspokojona poszła za Letem.

Kiedy schodzili w dół ścieżką, zauważyli dziwny obrazek. Na drodze wokół domu Meran było większe ognisko i nagromadzenie aury ochronnej, jaka zawisła nad wsią. Na ziemi ktoś leżał, a obok siedziała skulona postać trzymająca rękę na piersi leżącego. Znad postaci unosił się wir czerwonego wiatru. Nora pobiegła w ich stronę, krzycząc przeraźliwie. Elf podążył za nią.

- Morgana! - krzyczała, dobiegając do nich w chmurze kurzu. Upadła na kolana i dotknęła dziewczynki. Była lodowato zimna i nieobecna, mamrotała zaklęcia białymi ustami.

Obok niej spoczywała księga otwarta na rytuale. Leto spojrział na nią, potem na grimuar.

- Nie to miała zrobić - jęknął, chowając twarz w dłóniach. - Nie to do cholery.

- O czym ty mówisz?

- O zaklęciu bariery. To ich zabije, niech to szlag! - Usiadł na ziemi, przyglądając się scenie.

- Jak ich zabije, o czym ty bredzisz?

- No to popatrz na nią i na niego.

Dziewczyna spojrzała na blade, pozbawione krwi ciała. Nie miała pojęcia, czy żyją, czy to tylko materialne powłoki napędzane przez jakąś machinę magii. Krew wpływała i wypływała z nich, krążąc nad nimi i otaczając spokojnie śpiącą wieś. Ona też poczuła się zmęczona, jakby ktoś na jej powieki położył ciężkie monety.

- Jestem taka...

Nie zdążyła wypowiedzieć słowa, kiedy zasnęła i upadła twarzą obok kolan dziewczynki. Leto czuł się dobrze. Nie działała na niego ta aura. Rozejrzał się wokoło, nic się nie zmieniło, świat potraktowany entropią nadal był martwy. Wszystko już zdążyło za ten czas, kiedy ich nie było, uschnąć. Nie zauważył już na ziemi nici magii, a jedynie martwość, ciszę i smród śmierci. Dotknął policzka Nory, był ciepły. Spała lekko, a jej klatka piersiowa unosiła się w rytm każdego oddechu. Postanowił obejść wieś, sprawdzić każdy kąt, w który uda mu się zajrzeć. Jeśli znajdzie potrzebne mu do walki z magami narzędzia, będzie zadowolony, ale nadzieja na to była raczej nikła.

Śpiąca wieś była cicha jak wszystko wokół. Nie było to zaskoczeniem. Ludzie leżeli na gankach, podwórzach lub przycupnęli na schodkach przed domami. Mieli na twarzach wymalowany spokój. Brakowało mu gdakania kur i dźwięków obór, nie przeciął mu też drogi żaden zbłąkany kundel czy kot zebrzący o pieśczołę. Dziecięce głosiki umilkły, ukojone w matczyńskich ramionach. Wszystko stało się niemym obrazem namalowanym przez szaleńca w amoku stygu. Na drodze wirował kurz. To wznosił się, to opadał i tak bez końca. Przecinał te wstęgi, zaglądając do każdej z chat. Nie znalazł ani odrobiny śladu magii, wszędzie tylko figurki Odkupicieli upstrzone zwiędłymi kwiatami.



Był głodny, wyczerpany i spragniony. Studnia, z której korzystali wieśniacy, była nadal pełna, wahał się jednak, czy aby woda też nie jest zatruta. Postanowił zaryzykować i napełnił wiadro. Wyciągnął je, męcząc się okrutnie, całe ciało miał zroszone potem. Kiedy postawił je na brzegu, dyszał i krztusił się. Szarpał nim kaszel, nie wróżyło to niczego dobrego. Woda była zimna i świeża, perliła się kusząco na brzegu wiadra. Zanurzył dłoń, nic się jednak nie stało. Zapach wody był ziemisty. Dotknął ustami ciecicy, zapiekła go i poczuł gorycz. Wypluł zawartość na ziemię.

- Szlag! - zaklął, wycierając usta rękawem płaszcza. - Przekleci magowie, przysięgam sobie, że jak jakiś stanie mi na drodze, to go zabiję.

Kopniakiem przewrócił wiadro, woda wylała się na ziemię z głośnym chlustem. Niespiesznie skierował się w stronę domu Meran. Nic nie zmieniło się w obrazie nad horyzontem, jedynie niebo pociemniało, a słońce chyliło się ku zachodowi, czerwieniejąc i podpalając wierzchołki drzew purpurową poświatą. Jeszcze było na tyle jasno, by mógł dostrzec na ścieżce postacie sunące w jego stronę. Okalał je kurz, były zbyt daleko, by mógł rozpoznać, kim są. Przed nim na ziemi leżała Nora u stóp małej mag i Ulfrika. Zaczął szarpać dziewczyną z całych sił.

- Noro, do cholery, otwórz oczy! - krzyczał, choć nie miał pojęcia dlaczego.

Poruszyła się lekko, marudząc pod nosem, by dał jej spokój. To obudziło w nim iskrę nadziei, że jest w stanie dobudzić wszystkich wokół. Szarpnął ją zatem jeszcze raz, tym razem mocniej i bardziej zapalczywie.

- Wstawaj! No, do licha, nie rób głupot!

Mruknęła i odgoniła go ręką.

- Zostaw, spać mi się chce.

- Nie ma spania, wstawaj!

Zasłoniła twarz rękawem.

- Nie mam ochoty, idź już sobie tam, no, gdziekolwiek.

Postacie zbliżały się w ich stronę powoli. Leto nie wytrzymał i zgotował Norze siarczysty policzek. Otworzyła oburzona oczy, ściągając brwi w gniewie.

- Jak śmiesz! - syknęła.

- W końcu. Patrz. - Pokazał palcem postaci wynurzające się z szarości zmierzchu.

- Ty tu drzemki urządzasz, a mnie znów magowie upodlą. Wstawaj rzesz kobieto, nie rób scen.

- To po cholere żeś mnie uderzył?

- Nie bądź taka delikatna, trzeba się pozbierać.

Usłuchała go i powoli wstała, otrzepując pył z ubrania, nie dowierzając, w jakim miejscu zasnęła i czemu było jej tak wygodnie, skoro spała na ziemi. A to przecież nie najlepsze miejsce na popołudniową drzemkę.

- Niesamowite - starła sen z powiek. - Nawet nie wiem, kiedy...

- To magia, nigdy nie wiesz kiedy.

- No dobrze, nie będę się spierała, nie mam zielonego pojęcia o magii.

- Oj masz, widziałaś więcej, niż niejeden człowiek. A teraz osłaniajmy się nawzajem, jakieś złe przeczucia mam, co do tych tu idących.

Grupka ludzi zatrzymała się przed barierą, po jej drugiej stronie dwie osoby przyglądały się im bacznie. Byli gotowi do walki jak nigdy przedtem. Tamci cofnęli się z obrzydzeniem, kiedy bariera ich dotknęła, towarzyszące im zwierzęta podkuliły ogony i wycofywały się zatrwożone. Tylko dwoje zostało, nie zważając na barierę, która wirowała tuż przed ich twarzami. Zmierzch

roztaczał nad nimi wszystkimi ramiona.

Arthen wyciągnął dłoń w kierunku bariery, jednym ruchem głowy odgonił sługusów od uzdrowicielki i przywołał ją, by stanęła obok niego. Kula jej aury łącząca się z nim nadal wirowała i iskrzyła w jego dłoni.

- Widzisz, moja droga, sama otworzysz nam drzwi do wsi, czy to nie ironia losu?

- Zamknij się. - Plunęła na ziemię u jego stóp.

- Coraz bardziej cię lubię, ukochana, coraz bardziej.

Ścisnął pięść, zgniatając wolę. Ta rozprysnęła się jak bańka mydlana na kilka kropel.

Uzdrowicielka upadła na kolana, ciężko dysząc. Mag zebrał drobiny światła i skierował je w stronę bariery, dotknęły jej lekko i dźwięcznie. W powietrzu uniósł się melodyjny brzęk tłuczonego szkła, bariera zatrzymała się, wraz z nią powietrze i kurz pod ich stopami. Czas zwolnił, słysząc było tylko trzepotanie serca kobiety. Purpurowa kopuła upadła na ziemię krwawym deszczem, który w półmroku przybrał czarną barwę.

- To takie proste - zaśmiał się.

- Jesteś podły.

W oddali poruszyła się trzecia sylwetka, skuliła się zaraz w sobie i upadła, znikając w mroku. Meran kątem oka zobaczyła wysoką postać elfa, a obok niego zapewne była Nora. Nie mogła jednak dostrzec postaci, które były kilka kroków dalej. W duchu błagała Odkupicieli, by nie byli to jej najbliżsi. Mag wsparł się na swoim kosturze, uśmiechając się szeroko.

- Grabież nie popłaca, ale przyznam, piękna bariera, jestem pod wrażeniem. Pewnie żaden z tych tam w tyle nie poradziłby sobie z jej rozbiciem.

Ruchem ręki wskazał pozostałym, by wyprzedzili go i przeszli

do wsi. Mężczyźni posłusznie skierowali się w stronę zagród, omijając przy tym stojących na drodze.

- Co ty kombinujesz, starcze?

- Nic, moja droga, podoba mi się dolina bez tych zbyteczności tutaj. Postanowiłem, że stanie się naszym nowym domem, co ty na to?

- Co?

- Widzisz, to bardzo piękne miejsce, ale ma jeszcze jedną niezwykłą zaletę. Tu jest coś, czego pragnę.

Spojrzała na niego spode łba, jeszcze bardziej niż zazwyczaj.

- Na tej ziemi przelano wiele setek lat temu krew, czystą, nieskalaną elficką krew. W tym miejscu jest pradawna moc, a ja jej potrzebuję tak samo, jak i ciebie. Jesteś krystaliczna, stworzymy arcydzieło na wzór bogów i naszych praprzodków. Czy to nie ekscytujące? - rozmarzył się.

- Jesteś szalony.

- Nie, jestem wizjonerem.

Wilki za ich plecami zaszczekały radośnie. Pogłaskał po łbie największego, zapewne przywódcę watahy, który wdzięcznie polizał jego dłoń. Mag nakreślił nad jego głową kilka niezrozumiałych dla uzdrowicielki znaków, po czym zwierzę posłusznie skierowało się w stronę wsi, a za nim reszta, rozdzielając się tak, że każdemu obecnemu we wsi magowi przypadało jedno zwierzę.

- Uwielbiam wilki, są takie inteligentne. Cudowne stworzenia.

Meran zakręciło się w głowie. Miała już dość, chciała, by ten koszmar się skończył. Upadła. Koniuszkiem palca dotknęła krwawej smugi na ziemi. Powietrze przecięła błyskawica, uderzając ją prosto w czoło. Przez jej ciało przebiegł prąd i zatrzymał się na stopach, skóra jej pojaśniała, a elektryczność

błyskawicy przeskakiwała ze skrawka skóry i ubrania na kolejny, w jednej chwili tworząc sieć. Nie trwało to długo, kiedy skupisko energii zebrało się w okolicy serca, by tam zniknąć. Zakaszła i zwymiotowała tuż przy stopach nestora.

- No pięknie - syknął niezadowolony, uderzając kobietę końcem kostura i pozbawiając ją przytomności. Sam skierował się, mamrocząc przekleństwa, w stronę stojących przed nim ludzi.

Leto obserwował scenkę, coraz bardziej mrużąc oczy. Mrok gęstniał, tak jak i atmosfera oraz dziwaczna sytuacja, w jakiej się znalazł. Ominęła go grupka magów, nie zwracając na niego uwagi, oddalili się z szelestem szat. Potem zwierzęta pobiegły za nimi, szczęśliwe, z wywalonymi z podniecenia jęzorami. Nie mógł niczego pojąć, do momentu aż usłyszał krzyki za plecami. Pobudzeni ludzie poczęli w panice biegać po wsi, krzycząc i zawodząc jak zranione zwierzęta. Wilki polowały na nich, dopadając w szale, rozrywając krtanie. Niezczędzono nikogo. Magowie zaś podchodzili do każdego z zabitych i wyciągali resztki aury i życia z dogorywających wieśniaków. Widział strach, jaki malował się w oczach Nory, ścisnęła pięści i szeroko otwartymi oczyma obserwowała wszystko jak zahipnotyzowana. Nie było ratunku dla nikogo, działo się to tak szybko, że żadne nie było w stanie niczego zrobić.

- Na Odkupicieli, co oni robią? - zawodziła.

- Zbierają siły. Sami sobie nie poradzimy.

- Poradzimy - usłyszeli cieniutki głosik za sobą. Nora rzuciła się w stronę Morgany, która na wpół omdlała, ledwo trzymała się na nogach.

- Ty żyjesz! Co za szczęście! Byłaś taka zimna, myślałam, że już po tobie. - Spojrzała na rozłożonego na ziemi Ulfrika z otwartymi, wpatrzonymi w niebo oczyma.

- Co z nim?

- Dla niego nie ma już ratunku - westchnęła. - Oddał wszystko, co miał, a miał dobre serce.

- No to Meran nie ucieszy się, jak wróci - dodał elf, przyglądając się uważnie wsi.

- O ile wróci - poprawiła go.

- Zróbmy coś! Na Odkupicieli!

- Noro, spokojnie - pouczyła ją dziewczynka. - Ja się nimi zajmę.

W momencie kiedy wypowiedziała te słowa, wszystkie chaty zajęły się ogniem, płomienie lizały ściany i słomiane strzechy, pożerając je żywcem. Powietrze napełniło się zapachem palonego drewna, słomy i czegoś jeszcze - ludzkiego mięsa. Magowie zbili się w grupkę, stając na środku. Oczy ich plunęły białym żarem, a wokół nich stanęły wilki o zakrwawionych pyskach.

Morgana zrobiła dwa kroki przed siebie i uniosła grimuar. Dziecięcą dłonią przesunęła po okładce, ta zatrzeszczała i również stanęła w płomieniach. Dziewczynka także zapłonęła, lecz ona nie przejmowała się żarem. Otworzyła księgę, czytała na głos runy. Kiedy skończyła, płomienie otaczające ją zniknęły, wchłonęły wewnątrz niej. Odwróciła się do towarzyszy.

Dopiero teraz zauważyli, że oczy jarzyły jej się żółtym blaskiem, a koniuszki palców płonęły.

- Nie martwcie się o mnie, martwcie się o nich.

Nora zdębiała i podeszła bliżej elfa, strach krążący wraz z adrenaliną w jej żyłach sięgał już zenitu, nie panowała nad drżeniem nóg i rąk.

- Przestań, bo mi się udzieli - skarcił ją, kiedy uwiesiła mu się na ramieniu, wtulając twarz w rękaw.

- Boję się, chcę do domu, mam dość.

- Weźże się ogarnij, idziemy.

Poszli za dziewczynką, ostrożnie stąpając po ziemi. Wszędzie słyhać było trzask palonych desek, domostwa upadały jedno po drugim, wzburzając fale iskier oraz żaru, który unosił się na lekkim wietrze, by opaść za chwilę na ziemię w postaci szarego popiołu. Dym gryzł ich w oczy i wypełniał płuca, im bliżej podchodzili centrum, tym bardziej stawał się duszący. Morgana w pewnej chwili zatrzymała się i dotknęła ziemi. Wokół jej osoby zatańczyła chmura zebranej krwi. Nora cofnęła się na tyle daleko, by jej nie dotknąć, z obrzydzeniem wspomniała barierę, a to wyglądało identycznie.

- Czemu tego nie zdołali zebrać? - spytała zląkniona.

- Bo to moja krew.

Popatrzyli po sobie, nie mówiąc nic.

- Krwi maga mag nie ruszy.

- Dobrze, zatem bierzmy się do roboty. Już i tak nie ma tu kogo ratować, wymordujmy zatem tych tutaj.

- Jestem za - syknęła dziewczyna, dobywając miecza.

- Już się nie boisz? - dogryzł jej Leto.

- Idź w cholere.

- Też cię lubię.

Morgana podeszła bliżej do magów, a oni zaczęli się za nią i czekali na odpowiednią chwilę. Ta zawadiacko, jak przystało na młodą mag, zaserwowała im najszczęśliwszy uśmiech na jaki było ją stać. Szkoda tylko, że śmiech płynący z jej ust zaczął ogłuszać i otępiać wilki strzegące swoich panów. Zwierzęta piszczały i kulły ogony, chowając się za murem mężczyzn w szatach. Nie rozumieli, co się dzieje. Spłoszone psy pokładły się na ziemi, zawodząc żałośnie, to przeżyły, to przykurczały nogi, nie wiedząc, co mają począć. Potem jeden po drugim nieruchomiały, ogłuszone niesłyszalnym dla ludzkiego ucha dźwiękiem.

Zaczęła się walka. Jeden po drugim mag uderzał w nich energią, która przeszywała ich ciała bolesnymi ukłuciami. Mag próbowała stworzyć tarczę, niestety jej siła malała. Leto i Nora, uzbrojeni we własny oręż, dotykali magów stalą i jadeitem. Wspomagała ich skulona na ziemi niepozorna dziewczynka. W powietrzu uniósł się słony zapach krwi i potu. Norze kręciło się w głowie, a Leto oberwał dość solidnie w ramię, próbując się zasłonić przed ciosem laską. Pech chciał, że kostur atakowanego maga był ze stali i udało mu się przeciąć płaszcz wraz ze skórą. Wściekły rzucił się na niego, rozpruwając mu policzek. Kotłowali się jeszcze chwilę na ziemi, aż mag zastygł w bezruchu. Leto zaskoczony rozejrzał się wokół, nie wiedząc, kto zadał ostateczny cios. Zobaczył Norę z zadowoleniem na twarzy.

- Wisisz mi przysługę.

- Zapamiętam.

Na polu walki został jeden mag. Ciężko było go dotknąć, zasłaniał się tarczą mocy pobieranej z poległych towarzyszy i zajmował atakujących dziwacznymi sztuczkami. W pewnej chwili oboje zorientowali się, że zaczynają walczyć między sobą, a mężczyzny już nie było, tak samo jak ciał poległych przed chwilą. Dopadła ich konsternacja, rozglądali się wściekle na wszystkie strony, ale oprócz dogorywających zgliszczy, niczego wokół nie zauważali. O dziwo Morgana też zniknęła.

- Co, u diabła? - dyszała Nora.

- Sztuczki, wszystko to plugawe sztuczki. - Upuścił sztylet, rękę miał zakrwawioną i lepłą.

- Gdzie Morgana?

- Nie wiem.

- Poszukajmy jej, zanim się w coś wplączę.

- Z jej niewyparzoną gębą, na pewno - westchnął.



Arthen oddalił się już od nieprzytomnej Meran. Zmierzał krok za krokiem w stronę centrum wsi, był spokojny i opanowany, dzierżył swój kostur w starczej dłoni poprzecinanej niebieskimi żyłami, skórę miał cienką i suchą jak pergamin. Smugi żaru jednak nie dotykały go, jedynie iskry, które padały na jego włosy, znikwały w ich bieli, sycząc. Na wąskich ustach malował się grymas ni to zadowolenia, ni to zdenerwowania, ciało jednak miał napięte i gotowe do walki. Choć w jego starczym umyśle nie mieścił się fakt, że mógłby ktoś stanąć mu na drodze do upragnionej nieśmiertelności. Pożądał władzy i siły, jaka za nią szła, ale pożądał też dziedzica, który by mu uTORował drogę do tego, do czego dążył.

Z zamyślenia wyrwał go pisk, który uderzył w jego uszy i ogłuszył na chwilę. Szybko się opamiętał i rozejrzał nerwowo po okolicy, jednak niczego nie dostrzegł. Kłęby dymu zakrywały ścieżkę szarym kobiercem i tworzyły drobne zawirowania u jego stóp i rąbka szaty.

- Kto tu jest?!?! - krzyknął, przystając.

Cisza panowała nadal, wdzierając się do jego czaszki, im bardziej wytężał słuch, tym bardziej go drażniła.

- Wyłaż, do cholery! Wiem, że tam jesteś, mała wiedźmo.

Morgana ominęła spalony dom Andersa i wynurzyła się z czerni nocy, iskrząc i złocąc się od płomieni, jakie w niej tkwiły. Pod pachą trzymała lekko nadpalony grimuar, który płomienie lizały po okładce z koziej skóry.

- Szelma i złodziejka - zasyczał starzec.

- Nie jestem złodziejką - odezwała się wewnątrz jego głowy.

Patrzył na nią i wzbierała w nim coraz większa złość, zaczynała dominować nad jego stoickim spokojem.

- Umrzesz tu. Mam cię dość, wszędzie wetkniesz ten swój

zasmarkany mały nosek.

- Wiele lat cię szukałam, wiele wcieleń przeszłam i w końcu oto jesteś.

- Znalazłaś mnie. I co, wypalisz mi oczy jak ostatnio? - Pokazał suchym paluchem.

- Zobacz, mam nowe, widzisz?

- I co ci to dało? Ładniejszy już nie będziesz.

Starzec zaśmiał się chrapliwie, rozkładając ręce. Otoczył go ognisty wir, który uderzył w dziewczynkę. Straciła równowagę, ale nie upadła.

- Śmieszny jesteś, wiesz? - znów ten głos, którego nie mógł znieść.

- Przestań, wiédźmo.

- Mianujesz się nestorem, a jesteś słaby jak dziecko. Starzejesz się, Arthenie. Masz moc zmiany ciała, a nadal tkwisz w tej sentymentalnej powłoce jak żółw, który zasiedział się w jednym miejscu.

- Zamilcz.

- Wszystko to sztuczki. Krew, zew wilków, zabijanie elfów... I co ci to dało?

- Milcz w końcu!

Uderzył w nią lodowymi sztyletami. Pochwyciła je w dłoń, stapiając i wylewając wodę na ziemię. Zabulgotała, dotykając jej i wyparowała. Dziewczynka tylko z pożałowaniem pokręciła głową. W tym też czasie zza zakrętu wyszli Leto i Nora. Kierował nimi niepoohamowany gniew, więc szli w stronę maga, dobywając broń. Arthen zablokował tarczą miecz Nory. Ostrze utknęło w niej głęboko, nie była w stanie go wyjąć. Szarpała się, nic jednak to nie dawało. Leto zaś, trzymając jadeitowy nóż, próbował dotrzeć do maga z drugiej strony, ale i jego próba skończyła się fiaskiem.

Zatrzymała go Morgana, łapiąc za nadgarstek.

- Stój, tak go nie zabijesz.

Popatrzył na nią zaskoczony.

- Co ty bredzisz, dziecko? To tylko stary mag, spójrz na niego.

- Już próbowałam, zaufaj mi.

Leto wyrwał jej rękę, marszcząc czoło.

- O czym ty mówisz?

Rozmowę przerwała Nora, nadal siłując się ze starcem. Nie było już tarczy, atakowała go, ale każdy jej cios odpierał z lekkością i finezją. Odnosiła wrażenie, że trafia w próżnię. Im więcej ciosów zadawała, tym mniej trafiała.

- Skończcie dyskutować, tylko mi pomóżcie - dyszała, nie spuszczać oczu z celu.

- Głupcy - mamrotał. - Nieskończenie głupie istoty.

- Trzeba mu odebrać kostur - nakazała dziewczynka, wskazując w jego stronę księgą.

- Tam tkwi jego moc.

Arthen wyprostował się i złapał oburącz laskę. Na ziemi utworzył się wir, który wpelzał do kostura z szybkością wiatru w trąbie powietrznej, z czubka zaś wypłynęła chmura, otaczając go ze wszystkich stron. Centymetr po centymetrze ziemia odkrywała coraz to nowsze warstwy. Wiatr był tak silny, że ledwo utrzymywali się na nogach. Kurz oślepiał i dusił.

- Zróbcie coś, dziecko, bo nas zmiecie.

Morgana usiadła zatem na ziemi i przewracała z wysiłkiem kartki, jedną po drugiej. Nie mogli pojąć, w jakim celu to robiła, ale im więcej stron przewertowała, tym wiatr stawał się słabszy. Mamrotała pod nosem zakłęcie, niewzruszona. W pewnej chwili po prostu wstała i podeszła do maga. Dyszał ciężko, próbując zapanować nad tym, co się działo. Wokół niego otworzyła się

rozpadlina, z której unosił się błękitny dym. Otaczał go z każdej strony, lśnił w blasku ognia jak poranna mgła.

- Co się dzieje? - spytała Nora, patrząc na zjawisko.

- To czysta moc tego miejsca, to przelana krew elfów zamieszkujących tę dolinę setki lat temu. Z wiekiem ziemia oczyściła ją z powłoki i stała się widmem czystej, nieskalanej mocy. Użyję jej, by się obronić.

- To przerażające, że mieszkałam na cmentarzysku - dostała gęsiej skórki na samą myśl o tym.

Leto podał mag jadeitowy sztylet. Zrobił to bardzo niechętnie, ale głos w jego głowie nakazywał mu, by to uczynił. Pochwyciła go drobną dziecięcą rączką. Wydawała się drobniejsza, niż w rzeczywistości była. Podeszła jeszcze bliżej nestora z kamiennym wyrazem na twarzy, smagał ją ogniem i mocą wyplwaną z czeluści ziemi. Nie dotykało jej to Płonęła wewnątrz, deklinując swoje formułki jak kamienna figura. Wściekły Arthen buzował błękitnym blaskiem zalewającym jego ciało. Włosy unosiły mu się na wietrze i falowały wokół niej, przypominając jadowite węże.

Syczał i przeklinał, jednocześnie koncentrując się na niej. Nie obchodzili go ci, którzy stali obok, ważna była ona. Znał ją od stuleci, za każdym razem poznawał w innej postaci i za każdym razem udawało mu się ją pokonać. Zostawiała mu pamiątkę pod postacią blizn i ran, które długo się goiły. Tym razem była inna. Nie poznawał jej, siła, jaką w sobie miała, odpowiadała czystości, jaką dawała mu ziemia, na której stał. Ochroniała ją bariera, której żadnym zaklęciem nie mógł przełamać. Nie przychodził mu do jego starczej głowy żaden pomysł.

- Zdychaj wreszcie, wiedźmo! - krzyknął, uderzając kosturem o ziemię z takim impetem, że zadrżała pod ich stopami. Morgana znów się zachwiała, ale po raz kolejny nie upadła. Gniew pożerał

jego wewnątrz jak robak toczący jabłko.

- Nie uda ci się, nie tym razem - wyszeptała cichutko, rozcinając sobie nadgarstek.

Krew kapiała na ziemię gęstymi kroplami, które stały się żyłami pełznącymi po ziemi. Im więcej wypłynęło z jej ciała życiodajnych soków, tym grubsze stawały się ramiona mocy pełznące w jego stronę jak macki. Dotknęły jego stóp. Cofnął się, lecz przepaść, jaką sobie sam wytworzył, nie pozwoliła mu zrobić kroku dalej.

- Boisz się?

- Jakim cudem...?...? Jak...

Macki woli oplotły go, dusząc i ściskając. Szamotał się nerwowo, wybałuszając oczy z zaskoczenia, ale i bólu, jaki mu zadawała. Z każdą minutą stawała się jeszcze bardziej potężna i żadna jego śmierci. Szarpiąc się, upuścił kostur, który upadł na ziemię z głośnym hukiem. Mag stracił kontrolę nad mocą wypływającą z ziemi, mgła opadała sennie, dotykając go czule na pożegnanie. W powietrzu uniósł się dźwięk szeptów i pojękiwań, ale i zapach jaśminu i bzu. Macki wpełzały mu w oczy, uszy i usta.

- Przestań - bulgotał, dusząc się.

Nie przerywała, stała przed nim z zamkniętymi powiekami. Kiedy poczuła, że jego ciałem wstrząsa agonia, zwolniła lekko uścisk, by mógł nabrać powietrza na jeszcze jedną chwilkę.

- Przepróż mnie, głupcze.

- Nigdy, więdźmo.

- Zatem żegnaj.

Leto z Norą popatrzyli po sobie, nie rozumiejąc niczego, ale już nie mieli na to ochoty. Marzyli o świcie i słońcu na horyzoncie, które przywita nowy, lepszy dzień. Morgana ściągnęła pęta i Arthen skonał. Jego twarz w chwili śmierci wyrażała jedynie zaskoczenie, w wybałuszonych oczach odbijały się płomienie

dogorywających chat.

- Kim jesteś?!?! - krzyknęła Nora, szarpiąc dziewczynkę.

Morgana odepchnęła napastniczkę tak mocno, że przewróciła się, uderzając głową o kamień na drodze.

- Na Odkupicieli - jęknęła, łapiąc się za uderzone miejsce. - Ale z ciebie wredna suka.

- Może kilka wyjaśnień? - rzucił Leto, pomagając podnieść się Norze. - Skąd go znałaś i kim ty w ogóle jesteś? Czy to co nam mówiłaś, to kłamstwo?

Odwróciła się w ich stronę, ogień w niej wygasał. Płonęła już jedynie niewielkim żarem, który też szybko się wypalił.

- Nazywam się Morgana, a to był mój dawny mistrz.

- No ja nie rozumiem, nie jesteś taka stara jak on - pokazała na nią Nora, krzywiąc się.

- Jestem. Nauczył mnie przenoszenia.

- Czy mam rozumieć, że przerzucałaś swoje ego, jestestwo lub jak to nazwać do ciała innego człowieka?

- Tak. To rzadka umiejętność. Za każdym razem go dopadałam w ostępach, głuszy czy na pustyniach, zawsze posiadał tę samą zmęczoną powłokę. Sentymentalny stary dziad.

- Więc czemu nie udało ci się go zabić za pierwszym razem, skoro był stary?

- Bo nie znałam tajemnicy kryjącej się pod jego powłoką. Był przesiąknięty do szpiku kości zakazaną magią, złem i okrucieństwem. Zabić mógł go tylko ktoś niewinny. Że też nie wpadłam na to wcześniej - uderzyła się dłonią w czoło.

- Skąd masz ciało dziewczynki?

- Sama mi je oddała. Szukała wuja, który odnalazł stare zapiski i poszedł ich śladem.

Spotkałam ją na rozdrożu, głodną i zmarzniętą. W jej sercu był

jedynie ból i tęsknota za człowiekiem, za którym podążała. Zrobiło mi się jej żal. Wysłuchałam jej i zaproponowałam układ, a ona się zgodziła.

- Co z kosturem? Czy to co mówiłaś, jest prawdą? Czy to kolejna bzdura, którą nas uraczyłaś?

- Kostur muszę zniszczyć, najlepiej jeszcze przed świtem. Pożegnaj się też z wami.

To koniec mojej podróży.

- Gdzie się udasz?

- Odpocznę.

Podeszła do leżącej na ziemi laski Arthena, schyliła się i podniosła ją ostrożnie, wręcz z namaszczeniem. Myśl, by ją zatrzymać i stać się nieśmiertelną była kusząca, jednak kostur posiadał moc siania śmierci. Pomimo setek lat, jej pogląd na ten temat nie uległ zmianie.

Wolała umrzeć, niż ciągnąć to wszystko dalej w nieskończoność. Prędzej czy później znalazłby się ktoś, kto miałby ochotę na ten przedmiot i pieczętowanie go w skrzyniach nic by nie dało. Ujęła go oburącz i położyła na grimuarze.

- Dziękuję za pomoc, jesteście dobrymi kompanami.

- To musi się tak skończyć? - szlochała Nora.

- Nie obawiaj się, ja tu zostanę. Tylko jakby mniej mnie będzie widać.

Powietrze stało się gęste jak melasa. Morgana wbijała kostur coraz głębiej w księgę. Im głębiej się zanurzał, tym bardziej się krzywił i stękał. Bronił się, wyciągając palce entropii w jej stronę, zaciskając je na szyi. Jego trzon lśnił zielonkawym blaskiem coraz mocniej, konar skręcał się i jęczał, wił i zawodził. Nie puszczała go. Pękł na kawałki, atmosfera zgęstniała jeszcze bardziej, smołowate powietrze oplotło dziewczynkę, dusząc ją. Nie broniła się, dawała

się pochłonać gęstej mgle. Fragmenty laski przybrały kształty strzaskanego kamienia z fragmentami białych skrawków, które były cząstkami smoczych kości. Spadły na grimuar jak gruz lub lawina poruszona przez nieostrożnego wędrowca. Ten pochłoniął je łąpczywie wraz z drobną Morganą. Rozpadała się na ich oczach, kawałek po kawałeczku, jak rzeźba rozbijana młotem. Nie zostało po niej nic, tylko powykręcana nadpalona księga z wgłębieniem pośrodku. Lecz i ta zniknęła pod ziemią, nie zostawiając po sobie żadnego śladu.

Stali tam i patrzyli na to wszystko, brudni i zmęczeni. Ulga wypełniała ich serca, mieszając się z zalem i cierpieniem. Nie było to jednak cierpienie fizyczne, choć rany ich piekły i pulsowały, a ubrania mieli potargane i zniszczone. Leto otoczył ramieniem Norę, zaciskając wargi w niemocy. Żadne słowo nie cisnęło mu się na usta, po raz pierwszy od dłuższego czasu brakowało mu ciętego komentarza do sytuacji.

- Chodźmy, znajdziemy jakieś spokojniejsze miejsce, by odpocząć.
- Pogrzebmy zmarłych, potem odpocznijmy. Nie mogłabym siedzieć spokojnie, kiedy ciała zaczyna toczyć robactwo. To wbrew moim wierzeniom. Proszę, pomóż mi.

Przytaknął, mimo że jedyną rzeczą, jaką chciał teraz zrobić, było zanurzenie ciała w rzece. Skierowali się w stronę domostwa uzdrowicielki. Ono jako jedyne było tylko w części spalone. Na drodze leżało ciało Ulfrika. Nadal wpatrywał się w niebo szeroko otwartymi, matowymi od kurzu oczyma. Nora uklękła przy nim, gładząc po policzku. Łzy spływały jedna po drugiej, rosząc mu ubranie. Leto myszkował po podwórzu, szukając czegoś, czym mogliby kopać groby. Nie znalazł niczego przydatnego, wyszedł więc na drogę, by pójść w stronę zgliszczy domu kowala. On pewnie miał łopatę. Dostrzegł ruch kątem oka.



Zesztywniał, nie chciał kolejnej walki. Dobył broń i poszedł w górę drogi, zaciskając pięść na rękojeści. Usta miał białe z siły, z jaką je ściągnął. Zabicie kolejnego maga będzie już pestką.

Ma ich dość, tak, ma dość magów, chyba do końca życia. Pamiętał swoją obietnicę przy studni i dochowa przyrzeczenia. Doszedł do postaci na drodze i złapał ją energicznie za włosy. Kobieta jęknęła i szarpnęła się. Nie widział twarzy, nie miał ochoty jej widzieć. Po prostu poderżnię jej gardło. Była jedną z nich, zdradzała ją szata z ornamentem cechującym tylko iluzjonistów.

- Giń, magiczne ścierwo - wycedził przez zęby, przykładając kobiecie nóż do gardła.

- To ja - szepnęła. - To ja, Meran.

Puścił ją, gwałtownie odskakując, nie dowierzając jej. Szybko odgarnął jej włosy z twarzy i rzeczywiście okazała się uzdrowicielką. Odczuł ulgę.

- Dzięki Odkupicielom, żeś się odezwała - mamrotał, podnosząc ją z ziemi. - Zabiłbym cię.

- Zauważyłam.

Poprawiła szatę. Oczy miała okolone sinymi obwódkami i wyglądała na bardzo zmęczoną. Coś uległo w niej przemianie, nie mógł pojąć co. Przez czoło przebiegała głęboka przypalona rana, nie narzekała jednak. Chwyliła go pod rękę i poszli, milcząc, w stronę domostwa. Zdawał sobie sprawę, że widok Ulfrika i wiadomość o śmierci Morgany wstrząsnie nią do głębi, mimo to milczał i nie przygotowywał do zderzenia się z rzeczywistością.

Nie mylił się, obie kobiety padły sobie w ramiona, dotykając po twarzach, włosach, jakby chciały mieć pewność, że nic się poważnego nie stało. Nie płakały jednak, a gesty wystarczyły im za słowa. Uzdrowicielka stała nad ciałem zmarłego, zaciskając

pięści. W oczach dostrzegali głębokie wzruszenie. Ciszę przerwał Leto, opowiadając po kolei wszystko, co się stało. Meran miała przed oczami obraz zdarzeń, kadr po kadrze, sekunda po sekundzie.

Milczała zapatrzona w martwego. Nie dotykała go, nie lamentowała. Coś w niej umierało, z minuty na minutę serce kamieniało jej w piersi. Pierwszy raz w życiu nie odczuwała już niczego. Spalona wieś, wszędzie porzucane ciała, martwa Morgana, która gdzieś zapadła się pod powierzchnię ziemi wraz z przeklętym grimuarem. Nic, tylko pustka.

Gdzieś nad horyzontem wstawało słońce, a nad drzewami jego blask jaśniał, przerywając lepką noc, która ustępowała chłodnemu i blademu słońcu. Powietrze stawało się rześkie, wpływało swobodnie w ciała, ożywcze i ochocze jak nigdy przedtem. Żadne z nich nie przeżyło takiego świtu jak ten. Dawał im ciszę przerywaną okrzykami milczącego tak długo ptactwa. Ono też budziło się jakby z letargu, otrząsało ze strachu. Płuca leśnej zwierzyny napełniały się tym oto zimnym świtem.

Strudzeni walką nie mieli na nic ochoty, nawet walające się trupy stały się dalszym planem, jakby nie istniały, choć były kiedyś częścią społeczeństwa, które tak o nich dbało.

Teraz liczyła się jedynie chwila, ta chwila, która pozwoliła im na nowo zaczerpnąć powietrza i doznać pocałunku słońca na splamionej krwią wrogów skórze.

Letarg przerwało szuranie butów na ścieżce. Obrócili się niespiesznie, zerkając w stronę, z której dochodził dźwięk. Ścieżką, noga za nogą, szedł znany Meran sługa z założonymi na piersi rękoma, szczelnie schowanymi w połach płaszcza. Twarz miał ściągniętą i zadumaną, po raz kolejny nie wyrażała żadnych emocji. Była jak z marmuru, jasna i posępna. Oczy miał

zapadnięte, podkrążone i senne. Pewnie i on tej nocy nie spał tyle, że dla niego ta noc wydawała się fraszką. Meran obróciła się w jego stronę, marszcząc brwi.

Był kilka kroków od nich, lecz nie przejmował się postawą elfa, który dzierzył w dłoni sztylet, gotów mu go wbić między zębra z uśmiechem na ustach. Zatrzymał się, wyplątał dłonie z rękawów płaszcza, by poprawić zmierzwione wiatrem włosy. Każdy ruch był spokojny i wyważony. Szczupłymi palcami przeczesał kosmyki i znów zniknęły w rękawach.

Uśmiechnął się do nich.

- Witajcie - odezwał się w końcu, nie spuszczać oka z całej trójki.

- Po coś tu przyszedł? - mruknęła cicho, prawie niesłyszalnie, Meran nie mająca już ochoty na swary.

- Przyszedłem zobaczyć klęskę gbura i oddać coś, co należy do ciebie. Zasłużyłaś.

- A co takiego masz, czego ja nie mam?

Mag sięgnął do sakwy wesoło dyndającej u jego pasa, wyciągając biały kamień lśniący w blasku słońca zielonkawym światłem.

- To należy do ciebie. Pozwoliłem sobie dodać coś od siebie.

Meran zrobiła wielkie oczy, jakby ktoś pod nos podłożył jej sole trzeźwiące. Zaskoczenie sięgało zenitu, serce chciało wyrwać się z piersi. Nie wiedziała, czy ma do niego podejść, czy też pozostać na miejscu, wietrząc podstęp.

- Podobno starzec miał ją zabrać inaczej, aniżeli przez kamień runiczny? - Jej oczy przybrały wyrazu kocich szpar, podejrzliwych i nieufnych. - Spójrz - pokazała mu swoją klatkę piersiową, odsłaniając szatę. - Widzisz tu jakieś rany, sługo? Nie widzisz? No właśnie.

Po co mi tu zatem przychodzisz i karmisz złudzeniami o odzyskaniu magii? Spójrz, do cholery, nie odwracaj wzroku! - niemalże krzyczała. W jej oczach zalśniły łzy, by chwilę później spłynąć po policzkach, ciężkie i gorące. - Widzisz to - pokazała palcem na martwego męża - Gdyby nie wy, on by żył. Nie mam teraz nawet kur - szlochała, nadal trzymając szatę na piersi i odsłaniając skórę. - Nie mam nic - upadła na kolana, chowając twarz w dłoniach. Jej ciałem szarpały spazmy cierpienia i szlochu. Nora przykucnęła obok niej, głaszcząc po ramionach.

Mag spuścił głowę, nie odzywając się wcale. Zrobił kilka kroków, by podejść do kobiety. Ujął jej dłoń i położył na niej lśniący kamień. W blasku słońca był jeszcze jaśniejszy, wewnątrz pulsowało światełko, przelewając się z brzeżku do brzeżku. Meran zacisnęła pięść na kamieniu, był ciepły i miły w dotyku jak królicze futerko.

- Tyle mogę zrobić, nic więcej. Dał mi ten kamień napełniony wolą zaraz jak przyprowadzono cię do obozowiska. Nie wiedziałem, kim byłaś, choć mogłem się domyślić.

Mówił o tobie, fantazjował. Nie jestem sługą, Meran, jestem drugim. Miałem ci oddać tę moc po ceremonii, ale i tak byś nie mogła jej tam używać, bał się ciebie. Teraz zostałem ja i tamci, którzy są bardziej zagubieni niż stado baranów. Grupa magów, która niegdyś była potęgą, teraz musi walczyć o przetrwanie, ukrywać się. Meran, jemu się nikt nie przeciwstawił do dziś. Morgana była jedyną, teraz ty. Zrób z tą mocą to co uważasz. Przyjmij ją lub zniszcz, jest twoja. Na mnie już pora, nie chcę, by się zorientowali, że i mnie nie ma w obozie.

Żegnajcie, mam nadzieję, że już się nie spotkamy.

Skłonił się nisko i oddalił równie spokojnie, jak do nich przyszedł, wzburzając jedynie nieco kurzu na ścieżce. Potem

pochłonał go szary świt i drzewa. Meran ścisnęła kamień, nie patrząc na niego. Nie chciała patrzeć, w którą stronę odszedł, nie miało to dla niej najmniejszego znaczenia. Popatrzyła spuchniętymi oczami na Ulfrika. Leżał tak spokojnie, jakby właśnie zaraz miał wstać i powiedzieć, że zgotował im przedni żart. Nic jednak takowego się nie wydarzyło. Leto schował sztylet lekкими dłońmi do kieszeni. Jemu też nie chciało się wertować kieszonek i schowków za pazuchą.

- Zróbmy coś - wydukał spierzchniętymi od wysiłku ustami. - Nie możemy ich tak wszystkich zostawić, zlecą się kruki i inne ścierwojady. - Mówił to bez przekonania, jednostajnie i matowo.

Nora przytaknęła i pozbierała się z ziemi. Tym razem nie poprawiła sukni, pył z drogi pozostał na niej nienaruszony.

- Chodźmy, mam klucz od kowala. Spójrz, pamiętasz? Dostałam go od jego syna.

Chcę zobaczyć, co tam jest, potem pogrzebiemy wszystkich.

- Tak, pogrzebiemy wszystkich jeszcze dziś, a jutro wyruszam.

- Nie możesz! - pisnęła.

- Mogę i właśnie to zrobię. Moja rola dobiegła końca.

- Meran! Powiedz mu coś! - szarpnęła kobietę, patrzącą na truchło ukochanego.

- Niech idzie - odrzekła matowo.

- Meran!

- Daj jej spokój - upomniał ją. - Chodźmy.

Podszedł do dziewczyny i zdecydowanym ruchem pociągnął ją za ramię za sobą. Opierała się przez chwilę, jednak po kilku metrach dała za wygraną. Szli tak w stronę domu kowala. Nie rozmawiali, nie patrzyli też na boki, jakby w obawie, że widok zmasakrowanych i nadpalonych zwłok może przyprawić ich o mdłości.

Smród palonego mięsa i drewna napełniał powietrze. Rzeźkość świtu zamieniła się w cuchnącą breję, która docierała do każdego skrawka ich ciała, wzbudzając obrzydzenie. Żołądki skręcały im się z bólu i głodu, a woń powodowała odruch wymiotny.

- Marzę, by stąd odejść. Na Odkupicieli, jak najdalej stąd - odezwała się tuż przy kuźni.

Leto przystanął i popatrzył jej głęboko w oczy. Poczowała się bardzo nieswojo, nigdy tak na nią nie patrzył.

- Chodź ze mną na rozstaje - wyszeptał aksamitnym głosem.

- Mówisz to z taką lekkością.

- Bo takie jest - podszedł bliżej, łapiąc ją za rękę. - Chodź, tutaj już niczego nie ma.

Patrzyła w te jego lśniące w blasku dogorywających krokwi kuźni oczy koloru szmaragdów. Im dłużej to trwało, tym bardziej się jej wydawało, że powietrze staje się gęstsze i cięższe. Od tego skupienia rozboleła ją w klatce piersiowej, zrobiło się jej słabo.

- A co z Meran?

- To jej decyzja, co zrobi. Teraz jest pora, Noro, by spełnić marzenia. Możesz udać się do stolicy i wstąpić w szeregi straży, tak jak chciałaś.

Patrzyła nadal na niego z lekko rozchyłonymi ze zdziwienia ustami. Głos wiązał jej w gardle. Doskonale wiedziała, że mówił prawdę, teraz zaczęło do niej docierać.

- Noro, co ty na to

- Ja... Ja nie wiem, co powiedzieć - dukała - ale chyba masz rację. Tu już nic mnie nie trzyma. Oprócz...

- Oprócz? - zmarszczył brwi, oczekując odpowiedzi.

- Oprócz ciebie - spuściła zawstydzone oczy.

- Och, Noro - westchnął, przyciągając ją do siebie.

Zamknęła oczy, kiedy ich dłonie splotły się, a palce delikatnie

dotknęły skóry. Oboje poczuli dreszcze w okolicach kręgosłupa płynące strumieniem w dół ich ciał. Oddechy mimochodem stały się szybsze, a usta łapczywe i żądne pocałunków. Stało się to wbrew ich obietnicom i staraniom, by nie dopuścić do takiej sytuacji. Cała ta energia kumulowana przez wiele miesięcy znalazła ujście w jednym gorącym pocałunku. Ich wargi płonęły i były spękane od wysiłku, były też chłonne i namiętne w tańcu zmysłów i pożądaniu, jakie ze sobą niosły. Leto przyciskał ją do siebie mocno i zdecydowanie, nie wiedząc co czyni. Błękitna mgła zasnęła mu oczy, pożądał więcej i więcej. Nigdy nie doznał takiego uniesienia. Nie panował nad sobą, oddychał szybko i głęboko. Nora zaś przyjmowała każdy jego gest z ulgą i wdzięcznością. Marzyła od dawna o takiej chwili.

Błogość przerwał krzyk rozdzierający powietrze i błysk rozdzielający niebo na pół. Odskoczyli od siebie zakłopotani. Leto oprzytomniał. Popatrzył na równie zaskoczoną, ale zarumienioną na policzkach dziewczynę. Złapał się za głowę, nie wiedząc, jak ma się zachować. Jego ciało pulsowało od żądy, nie potrafił jej ukryć, co krępowało go jeszcze bardziej.

- Przepraszam - wyjęczał i pobiegł w stronę domu Meran, zostawiając Norę przy kuźni.

Uzdrowicielka siedziała na ziemi. Miała wywrócone białka oczu, ale oddychała miarowo. W ręce trzymała czarny kamień, a w okolicy klatki piersiowej miała wypaloną czarną dziurę, z której brzegów obficie sączyła się krew.

- Meran! - potrząsnął nią, ale nie reagowała. Po części domyślał się, co się stało, po części miał zmrozone serce. Nie chciał, by i jej coś się stało, byłoby to zbyt wiele, jak na jeden poranek.



Nora rozejrzała się uważnie. Dach wisiał nad kuźnią, gotów zawalić się w każdej chwili. Wszystko syczało i dymiło, ogień jeszcze trawił naoliwione drewno. Za zabudowaniem dostrzegła kufer, o którym wspominał syn kowala. Wielki, ciężki, kuty misternie i ozdabiany starannie w motywy roślinne wykute z bardziej miękkiego rodzaju metalu. Podeszła bliżej, ważąc każdy krok, czujna i gotowa uskoczyć przed upadającą budowlą. Budynek jednak stał, jakby czekał na nią, aż zabierze to co skrywa. Dotknęła zamka. Był gorący, sparzyła koniuszki palców. Ból jednak był niczym w porównaniu do ran, jakie nosiła po walce, która miała miejsce jeszcze chwilę temu. Uchwyciła rąbek sukni i poradziła sobie z żarem. Klucz pasował idealnie, idealny był też moment, w którym to wszystko się działo. Kiedy wieko otworzyło się z trzaskiem, nastał dzień. Szarość świtu zniknęła wraz z fioletowymi smugami, które były pozostałością nocy. Wnętrze było wyściełane baraniami skórami, lekko nadpalonymi na brzegach. Ogień i tam dotarł, ale jego macki nie miały szans z wolą kufra. Odsunęła skóry na bok i jej oczom ukazał się najpiękniejszy miecz, jaki na oczy widziała. Rękojeść była otulona ciasno skórzanymi pasami, przylegającymi do siebie ściśle jeden przy drugim. Klinga lśniła i śpiewała za każdym razem, kiedy przecinała powietrze. Ostry, lśniący, ze smokiem grawerowanym u szczytu. Nie mogła oderwać wzroku, jej dłonie dopasowane były idealnie, jakby miecz był tylko jej przeznaczony.

- Piękny - usłyszała za sobą głos Leta, który powrócił.

- To prawda, coś niesamowitego. Nie mogę oderwać wzroku.

Przecięła powietrze ostrzem tuż przy twarzy elfa, ten nawet nie



drgnął. Patrzył na nią i uśmiechał się lekko, podziwiając nie tylko miecz, ale i ją samą, a konkretniej jej stan ducha, jaki malował się na zmęczonej a zarazem szczęśliwej twarzy. Nie widział jej nigdy takiej.

- Przepraszam - wyrwało mu się po chwili.

Nora opuściła miecz i wlepiła w niego wzrok.

- O czym ty mówisz?

- Doskonale wiesz.

- Czy ty nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać?

- Obawiam się, że to nie nastąpi.

- Co masz na myśli? - podeszła do niego bliżej.

- Nie róbmy tego więcej, błagam. Nie będę mógł się powstrzymać, nie zapanuję nad sobą. Zaklinam cię na Odkupicieli, bądźmy jak brat z siostrą. - Opuścił oczy, oddychał tak samo szybko, jak wyrzucał z siebie potok słów.

Dziewczyna posmutniała, słowa zakłuły ją bardziej, niż ostrze wbijające się w pierś.

Pierwszy raz poczuła się odrzucona.

- Dobrze - westchnęła. Oczy zrobiły się lekko wilgotne, przełknęła ślinę, by mówić dalej. - To dobre rozwiązanie. Ja też przepraszam, dałam się ponieść. Och, teraz jest mi wstyd.

Leto odczuł coś na miarę ulgi, ale ta ulga wiązała się z cierpieniem Nory, a to raczej mu się nie podobało. Przytulił ją do siebie, głaszcząc po włosach. Podświadomie chciał, by to miało ciąg dalszy, ale nie widział siebie w drodze z kimś, na kim mu zależy. Nie zniósłby straty. To była jedyna odpowiednia chwila, by uciąć narastające uczucia, zgniatając je w zarodku. Skrytobójca nie może sobie na to pozwolić. Wracał do świata żywych, którzy niekoniecznie mieli nimi długo pozostać. Kończył się czas sielanki, zaczynała normalność, dla niego codzienność.

## Rozdział VI

Meran doszła do siebie, jakkolwiek by to miało brzmieć. Była zmęczona, odwodniona i koszmarnie bolało ją wszystko, co mogłoby boleć. Każdy ruch był niemiłosiernie dokuczliwy. Rana na piersi piekła ją i denerwowała, nie pozwalała poskładać myśli. Patrzyła zapuchniętymi oczami na męża. Miała ochotę wygrzebać resztkami sił Morganę wraz z księgą i za sprawą zakazanej magii ocucić go tu i teraz. Wiedziała jednak, że jej nie wolno.

Wieś w blasku porannego słońca nie była już siołem, a kupą gruzu, spalonych płotów, desek, tłących się jeszcze trupów, porozrzucanych w nieładzie po kątach i podwórzach.

Pocieszające było to że jej dom nadal stał. Ucierpiał, ale był do odzyskania. Z rozrzewnieniem spoglądała na chylący się ku trawie skrawek dachu.

- Poskłada się - myślała, odgarniając sztywne od pyłu włosy. - Wszystko będzie tak pięknie, jak kiedyś.

Nie pozostało jej nic poza zabranieniem się za odbudowę. Czuła w sobie moc, jakiej nigdy nie знаła. Miała wrażenie, że opanowuje ją i wdziera się w każde najdrobniejsze naczynie jej ciała, odczuwała ją nawet w cebulkach włosów, jak trzeszczała i syczała pod skórą.

Nora i Leto znaleźli łopaty w schowku u kowala. Miały nadpalone trzonki, ale były użyteczne. Oboje skierowali się w stronę cmentarza, by zacząć kopać groby. Ciężko im było, ziemia w kotlinie to w większej części kamienie i korzenie, a cmentarzyk akurat był tuż przy lesie, niedaleko wiszącej skarpy.

- Jak my ich wszystkich rozpoznamy? - jęczała, wyrzucając

kolejną grudę za siebie.

- Meran nam pomoże, sam nie znałem wszystkich.

- Znałeś z widzenia.

- Ale nie z imienia, dla mnie większość to byli chłopcy w opończach. Ludzie, Noro, zwyczajni ludzie - podparł się strudzony na łopacie, ścierając pot z czoła.

- Aż tak nienawidzisz ludzi?

- Nie nienawidzę ich, tak samo jak ich nie porównuję. Spotkałem dobrych i tych złych.

No, tych drugich najczęściej zabijałem, choć - zamyślił się - wykonując zlecenie nie patrzysz, czy ktoś jest dobry czy zły, po prostu go zabijasz.

- Przestań! Nie mogę tego słuchać, to podłe!

- To nie jest podłe, to rzeczywistość, którą zobaczysz, jak dotrzesz do stolicy.

- Chyba mi się zaczyna odechciewać.

- Oj, przestań. Wielkie miasta są ciekawe, pełne zaułków, po których chowają się tabuny rzezimieszków, dziwek i tego plugastwa, które nazywamy krasnoludami. Do tego idzie przywyknąć, stajesz się niewidzialny, nikt nie pyta cię o nic. Będąc pośród ludu, stajesz się jego częścią, a szumowiny cię akceptują lub nie. Gorzej jak nie, ale zawsze zabicie jednego czy dwóch przynosi skutek.

- Leto, kim ty u diabła jesteś?

- Przecież wiesz.

- Mam wrażenie, że cię nie znam - usiadła na krawędzi świeżo wykopanego grobu.

- Bo mnie nie znasz, jestem... - zapadła cisza.

- Kim? - przerwała milczenie.

- Skrytobójcą, moja piękna. - Wrócił do kopania, nie patrząc na

nią.

Nora rozdziawiła usta, zaskoczona. Obiło się jej o uszy, że umiejętności, jakie posiada, są nie byle jakie, sama na oczy widziała go w akcji. Ale to że jest mordercą za pieniądze, zmroziło ją do takiego stopnia, iż głos uwiązał jej w gardle.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? - odezwała się po chwili, przełykając głośno ślinę.

- Myślałem, że Meran lub Ulfrik ci powiedzieli, ale widzę, że nie uczynili tego.

Wracam teraz z powrotem do skrytobójstwa - znów przerwał kopanie, patrząc jej tym razem w oczy. - Obiecuj mi, Noro, że jak spotkamy się w stolicy, udasz, że mnie nie znasz.

- Jak możesz tego ode mnie żądać? Przecież jesteśmy...

- Przyjaciółmi, tak. I nie chcę, by ci się coś stało tylko dlatego, że znasz moje imię.

- Patrzył na nią wymownie i wyczekująco. - Obiecuję, że się odezwę, ale tylko ja to uczynię.

Ty nie będziesz robić nic.

Przytaknęła mu, choć nie podobało jej się to Cicho marzyła, że razem udadzą się do stolicy, jednak teraz do niej dotarło, że raczej tak się nie stanie. Podróżowanie traktem będzie dla niej czymś nowym, bez wsparcia, ciepłego słowa czy ochrony, kiedy będzie spała. Nigdy nie opuszczała wsi. Strach do niej docierał, ale nie był na tyle silny, by zamrażać jej nerwy.

Dzień rozwijał swe skrzydła nad nimi, ogrzewając i jakby wspierając ich w znoju, jaki dzierżyli na swych barkach. Żadnemu nie było łatwo, każde nosiło na barkach jakiś własny prywatny ciężar, z którym się borykał. Meran pochowała Ulfrika tuż przy domu. Użyła do tego magii, jak zwykle miała to w zwyczaju, ale tym razem cierpiała jeszcze bardziej, kiedy to ciało ukochanego

pochłaniała ziemia. Patrzyła jak znika pod jej powierzchnią z tym swoim zadumanym wyrazem twarzy. To zwyczajnie się działo i docierało do niej z każdą chwilą. Z każdą też chwilą czuła w sobie moc, która rozwijała się w niej z siłą, która ją onieśmiała.

Ogarniała ją swą pełnią, a ona bez entuzjazmu poddawała się jej. Teraz, kiedy nie było nikogo, komu mogłaby ją oferować, stała się jedynie dodatkiem i ułatwieniem w codziennym życiu. Nie wiedziała, czy zostanie, czy wyruszy w drogę. Trzymała ją tu ziemia i miłość do tego miejsca oraz ludzie, których już nie było. Nie było już Andersa i Anny, nie było też milczącej Katlyn, matki Nory i jej wiecznie uśmiechniętego ojca. Nie było też zadziornych i ciekawskich chłopek przychodzących wczesnym rankiem z bańką mleka lub jajami. Nie było Ulfrika, czułego i uszczypliwego, silnego i opiekuńczego zarazem. Pozostał dom okolony po części spalonym płotem, z upadającym z jednej strony dachem. Pozostał jej też płacyk i złamane na wpół drzewo na drodze. Reszta to popiół i zwłoki. Musiała zacząć myśleć jednostkowo, wyłącznie o sobie, jakby to ona teraz była najważniejsza. Reszta się nie liczyła.

Nie miała jednak pojęcia, czy jest na to gotowa, nie wiedziała, czy tak naprawdę tego chce. Dotknęła dłonią mogiły. Ziemia była jeszcze wilgotna, choć zaczęła się już osypywać po brzegach. Uśmiechnęła się do siebie, chcąc dodać sobie otuchy. Nie pomogło. Wróciła do domu, zanurzając się w jego mrok. Jediną rzeczą, na jaką miała ochotę, był sen.

Leto z Norą ciężko pracowali, wymieniając się co jakiś czas przy grzebaniu zmarłych, wędrując też od czasu do czasu nad rzekę, by uzupełnić bukłaki. Nie rozmawiali wiele, pochłonęła ich praca, gonił czas. Nie mieli serca, by iść do Meran, prosząc o identyfikację zmarłych. Jednogłośnie stwierdzili, że przed cmentarzem napiszą tablicę upamiętniającą wszystkich, którzy

zamieszkiwali w kotlinie. Oboje byli głodni i strudzeni, ale myśli ich nie krążyły już po wsi, a raczej płynęły daleko na rozstaje, które stały się dlań jak obiekt pożądania, kuszące i zniewalające nieznanym, zakazanym pięknem.

Wieczór chylił się nad ich głowami, a skórę pieścił chłodny, wilgotny wiatr. Prawie każdy z wieśniaków otrzymał cichy, spokojny grób. Ci, co byli spaleni doszczętnie, stali się pożywką dla ziemi i tylko robactwo i resztki ocalałej roślinności będą miały z nich pożytek.

Oboje spojrzeli na siebie. Oczy mieli otoczone krwawymi obwódkami, a skórę brudną i szarą od popiołu. Ciężko było dostrzec w nich istoty ludzkie, raczej wyglądali jak dzicy. Leto spojrział po sobie i jedyną myślą, jaka do niego w tej chwili dotarła, były rzeka i wartki nurt.

Nora odeszła. Nie odzywając się, skierowała się w stronę domu uzdrowicielki, noga za nogą. Przemierzyła tę odległość nieśpiesznie, bo dokąd miałyby się śpieszyć. Leta pochłonął szary zmierzch, tej nocy go nie zobaczyła.

Meran przywitała ją na ganku, siedziała jak gdyby nigdy nic i robiła na drutach. To był ten sam sweter, który zaczęła dziergać dla Morgany, oczko za oczkiem i tylko szczepek drutów było słychać w milczącym i ciężkim powietrzu. Usiadła obok niej, kładąc głowę na ramieniu. Uzdrowicielka odwdzieczyła się jej tym samym, przerywając robótkę.

- Jak cicho - dziewczyna przerwała milczenie.

- Tak, ta cisza dzwoni mi w uszach. Spałaś w ogóle?

Nora pokiwała przecząco głową. Teraz dopiero sobie przypominała, że od dwóch dni była na nogach i nie miała okazji na to by choć na chwilę zmrużyć oczy.

- Zapomniałam o śnie, było tyle do zrobienia, tyle się wydarzyło,

tyle jeszcze trzeba... - ziewnęła przeciągle. Poczowała, jak Morfeusz dotyka jej powiek. - Ależ jestem zmęczona - przetarła twarz brudnymi rękami.

- Gdzie Leto?

- Nie mam pojęcia - wzruszyła ramionami. - Był tuż za mną, a kiedy się obróciłam, już go nie było. Sądzisz, że powinnam pójść go poszukać?

- Nie sadzę, moja droga. On potrafi o siebie zadbać, niech ta noc będzie jego. A my chodźmy do domu, nic tu po nas, kiedy noc nadciąga.

Zgodziła się bez wahania. Wiadro z zimną orzeźwiającą wodą stało na ganku. Umycie się sprawiało jej trudności, zaczęły bowiem boleć ją wszystkie mięśnie, a rany piekły niemiłosiernie przy zetknięciu z życiodajnym płynem. Za każdym razem, jak obmywała ciało, syczała do siebie sfrustrowana i zła. Meran nie musiała długo czekać, by dziewczyna się do niej zwróciła.

- Pomóż mi, proszę, chyba mam serdecznie dość tego mycia - odsunęła się od wiadra.

Meran pomogła jej dojść do kuchni i wprawnym okiem obejrzała dziewczynę. Rzeczywiście jej skóra posiadała liczne otarcia i rany, co niektóre dość głębokie, w które dostało się zakażenie. Czoło Nory płonęło od gorączki. Uzdrowicielka była zaskoczona jej siłą, normalny człowiek nie dałby rady z takimi obrażeniami pracować cały dzień, a ona nawet się nie skarżyła. Zacisnęła zęby i czyniła to co do niej należało, jak na wojownika przystało. Magia, którą odzyskała, będzie niezwykle pomocna w procesie uzdrawiania, ale najpierw wszystko musiała oczyścić i zadbać o to by się ponownie nie otwarło. W ruch poszły zioła i igła z rybiej ości. Meran przeszukiwała zapiski i mikstury pozostawione przez Annę w nadziei, że znajdzie jakieś wyjątkowo mocne panaceum. Nora z

minuty na minutę czuła się coraz gorzej. Pomogła jej się położyć, krytycznym okiem patrzyła na to wszystko. Ciało dziewczyny walczyło, ale czy ona chciała walczyć, tego nie wiedziała, gdyż Nora straciła przytomność.

Leto snuł się po obrzeżach wsi. Mrok sprawiał, że czuł się bezpiecznie jak nigdy przedtem. Dawno nie zaznał takiego spokoju, jakby mu ktoś zdjął z szyi ogromne chomąto i puścił wolno. Miał się niemalże zachłysnąć tym świeżym powietrzem i zimną wodą, która tak kusila go w oddali. Teraz nie obawiał się, że jakaś nieokrzesana dziewczka zakłóci mu błogostan kąpieli. Kaptur miał zdjęty z głowy i czuł wiatr we włosach, jak swymi palcami przeczesuje je i odgarnia z twarzy. Dawno zapomniane przyjemności, proste a zarazem ulubione, powróciły, by zmaćć choć na chwilę jego elficką głowę. Ubrania pozbył się szybko i nagi stanął na brzegu rzeczki.

- Wolność - myślał, łapiąc wiatr w rozłożone palce.

Przymknął oczy, by jeszcze bardziej móc zasmakować orzeźwienia. Woda była wartka i zimna, nie przejmował się tym. Zmywała z niego cały znój i cierpienie, jakiego doznał, jakie widział. Jego odporność na ból jakby zmaląła, stał się bardziej wrażliwy, niż wtedy, kiedy po raz pierwszy zawitał we wsi. Był kimś innym, po części nie poznawał siebie.

Nigdy nie obchodziło go ludzkie cierpienie, teraz było inaczej. Co gorsza dotykało go do żywego, wypalając rany w jego sercu, a rany te się nie zablizniały. Nigdy też nie przypuszczał, że jego ciało będzie pożądało, a jednak nieznanne mu dotąd emocje zostały brutalnie wyrwane z jego podświadomości i przeszyły go na wskroś, przecinając swym ostrzem. Nie panował nad tym. Ilekroć pomyślał o Norze, odczuwał dziwne dreszcze. Smak jej ust i ciepło jej ciała wryły się w jego czaszkę jak robak wgryzający się w ciało.



Nie chciał o tym myśleć. Ktoś kiedyś mu powiedział, że fantazjowanie o kobietach czyni człowieka słabym i nie tyczyło się to jedynie ludzi, ale i elfów czy krasnoludów. Nie pomijając biednych i nadwrażliwych jermów. Te uczucia niszczą, musi się ich pozbyć za wszelką cenę, by znów umieć zabijać bez mrugnięcia powieką.

Był stworzony do skrytobójstwa, dotychczas była to jedna z najprzyjemniejszych rzeczy, jaką w życiu wykonywał. Widok konającego i wyraz jego oczu to miód na jego duszę, biała zasłona śmierci zalewająca źrenice i ostatni oddech wyrywający się przed zgonem, muzyka dla uszu. Nigdy nie zabijał, dręcząc ofiarę, zawsze robił to szybko, zadając tylko jeden cios. Teraz będzie to trudniejsze, niż przypuszczał.

Woda zaczęła już powoli wychładzać jego ciało, opuścił więc jej nurt, kładąc się na trawie. Niebo nad nim było rozgwieżdżone i jasne, powietrze pachniało leśnym runem i aromatem gnijących resztek roślin. Powieki stały się ciężkie i trudne do opanowania. Zasnął, otoczony nocą i szumem wody.

Meran zerkała niespokojnie przez okno, jakby w wyczekiwaniu, że jednak Leto powróci na noc do domu. Martwiła się też o Norę. Leżała z rozsypanymi włosami na poduszce, z oczami niedomkniętymi. Usta miała suche i spalone na wiór przez gorączkę.

Pracowała przy jej ranach niestrudzenie, czyszcząc każdą i szyjąc te, które tylko mogła. Najbardziej martwiła ją rana, jaką miała na udzie. Skóra była poszarpana i zaogniona. Każda próba zszycia kończyła się fiaskiem. Postanowiła spróbować to opatrzyć okładem. Chatę wypełniała woń gotowanych ziół, pary i wilgoci wymieszanej z zapachem spalenizny, która wpadała do domu poprzez strop. Noc była już gęsta, otoczyła wszystko wokół kotarą

granatowego nieba usianego setkami jarzących się gwiazd. Czuwała przy chorej, wycierając jej z czoła pot chłodną ścierką.

Bała się swojej magii, po raz pierwszy w życiu miała wrażenie, że jest z nią coś nie tak. Miała niepoahamowaną żądzę użycia krwi, obawiała się, że wzmocniony dar może okazać się zbyt nieprzewidywalny i nie będzie w stanie nad nim zapanować. Musi poczekać na Leta, on będzie potrafił ją uspokoić, jakby poszło coś nie tak. Oby tylko dziewczyna dotrwała do rana. Zanim się zorientowała, dopadł ją sen, opadając ciężko na czoło, potem na powieki. Nim się spostrzegła, spała z głową opartą o wezglowie pryczy.

Leta obudziły brzęczące pszczoły lekko unoszące się nad trawą. Odgonił nieznośne owady, które unosiły się nad jego głową, łapczywie chcąc wtopić się w kwiaty, które akurat wyrastały koło jego głowy. Słońce było już wysoko na niebie, grzało jeszcze, choć nie był to już letni żar, a późnojesienne agonalne zrywy dobrodziejstwa natury. Ubrał się, ale nie uczynił tego z przyjemnością. Odzienie cuchnęło i było zabrudzone wczorajszą ziemią z grobów. Reszta jego odzienia przepadła wraz z domem Nory, zostało mu to co miał na grzbiecie. Będzie musiał to uprać, zanim wyruszy w dalszą drogę, nie chciał nieść ze sobą zapachu śmierci.

Zarzucił kaptur na głowę i poszedł w stronę domu uzdrowicielki, nie patrząc na to co było wokół niego. Droga o dziwo nie była daleka, jak się spodziewał. Zastała go cisza i dogasający piec. Wewnątrz było duszno i nieprzyjemnie. Omiótł izbę wzrokiem, szukając kobiet. Znalazł je w starym pokoiku, w którym mieszkali Meran i Ulfrik. Nie spodziewał się takiego widoku. Uzdrowicielka spała z głową na kolanach, a Nora spoczywała na łóżku, blada i nieobecna. Jednym susem znalazł się obok nich, budząc jedną i

drugą. Meran ocknęła się od razu, ścierając sen z twarzy szorstkimi od ziół i medykamentów dłońmi.

- Co tu się, do cholery, stało?

- Zakażenie - bąknęła, zaglądając pod bandażę i sprawdzając stan ran. Były całkiem ładne, oprócz tej na udzie, która jeszcze bardziej się zaogniła. - Przekłęte ugryzienie - syczała niezadowolona. - Co ten wilk miał w pysku?

Leto odsunął kobietę na bok i obejrzał z lekkim onieśmieleniem nogę dziewczyny.

Zapach ziół pomieszany był z czymś innym.

- To trucizna - wciągnął powietrze głęboko nosem. - Trzeba ją usunąć, bo ją zabije.

- Co to jest? Nie znam tego - posmutniała.

- Wyciąg z kwiatu o błękitnych płatkach, nazywają go śniącym, bo osoba zapada w narkotyczny sen. Jad przedostaje się do krwi. Im szybciej, tym lepiej. Oby nie było za późno.

Wziął Norę na rękę, kierując się do wyjścia.

- Co ty robisz? - zaprotestowała, zastawiając mu drogę.

- Odsuń się, kobieto, znam tę truciznę, sam takiej używałem. Wiem, co robić.

- Dokąd idziesz?

- Nad rzekę, muszę ją schłodzić. Ty napal w piecu i włóż jeden z noży w żar, będzie nam potrzebny. Jak i twoja magia, uzdrowicielko.

Wyszedł, otwierając frontowe drzwi zamaszystym kopniakiem. Meran uczyniła, jak jej kazał. Elf szybko znalazł się nad rzeką. W głowie kotłowała się jedynie jedna myśl, by ocalić przyjaciółkę przed niechybną śmiercią. Rozebrał dziewczynę do bielizny i zanurzył w lodowatej wodzie. Stęknęła tylko i wywróciła oczami. Wiedział, że nie jest to dobry znak.

Narwał świeżej trawy i czyścił nią dokładnie ranę, najpierw delikatnie, potem bardziej zdecydowanie do momentu, aż woda zaczęła robić się czerwona od krwi. Rozdrapał ranę najmocniej, jak tylko potrafił. Wiedział, że jad jest już bardzo głęboko, ale wiedział też, że jest na tyle gęsty, by pozostać na powierzchni. Po wszystkim wyjął Norę z wody, zrobił ucisk i zaniósł nieubraną do domu uzdrowicielki. W połowie drogi zaczął odczuwać zmęczenie. Był to kolejny dzień bez jedzenia, jego ciało zaczynało domagać się strawy.

Kobieta przygotowała wszystko, o co ją poprosił i uważnie obserwowała go podczas pracy. Pierwszy raz mogła przyglądać się jego mocom uzdrawiania. Leto ułożył wygodnie broczącą dziewczynę na podłodze obok pieca i wyjął z ognia czerwony od żaru sztylet.

- Trzymaj ją na tyle mocno, by mi się nie ruszyła.

- Wiesz, co robisz? - zmartwiła się.

Popatrzył na nią wymownie i gniewnie. Więcej się nie odezwała, zdawała sobie sprawę, że i ona nie lubiła, jak ktoś jej przeszkadzał, kiedy leczyła chorych. Elf złapał Norę za nogę i przyłożył ostrze do rany. Ciało jej drgnęło, a dziewczyna oprzytomniała natychmiast, wyjąc i wijąc się jednocześnie.

- Trzymaj ją, na Odkupicieli! - wrzasnął.

Spełniła prośbę, przyciskając ją do ziemi, a elf ponowił przykładanie rozżarzonego metalu do uda dziewczyny. W powietrzu uniósł się zapach palonej tkanki, rana została zasklepią, a krwawienie ustało.

- Teraz tylko zszyć i czekać - oparł się o nogę stołu.

Nora syczała i coś mówiła lub też bredziła od gorączki. Patrzyli na nią bez słowa.

- Zanieśmy ją do łóżka, zszyję tę ranę. Potem zobaczymy.

- Potem skorzystasz z mocy, jaką otrzymałaś od tego maga na drodze - poprawił ją.

- Obawiam się, że i ja w tym wezmę udział - spojrzał na kobietę wymownie.

- O czym ty mówisz?

- O zakazanej magii. Inaczej jej nie ocalimy, Meran. Trucizna weszła zbyt głęboko, a tylko ja mam lekarstwo, które może jej pomóc.

- Nie zniżę się do plugawej magii - potrząsnęła przecząco głową.

Złapał ją za poły sukni i przyciągnął do siebie, rzucając iskry ze szmaragdowych oczu.

- Zrobisz to

Wystraszyła się, nie poznawała go.

- Zrobisz to - powtórzył, marszcząc groźnie czoło. - Nie dopuszczę do tego, by umarła, pojęłaś?

Meran pokiwała twierdząco głową, pobladła i zdenerwowana. Sytuacja ją przerosła. Nie знаła żadnych zaklęć, których mogłaby w tej sytuacji użyć. Nigdy nie parała się zakazanymi praktykami, jednak wewnętrzna moc cały czas szeptała jej w głowie, a żądza elfickiej krwi niemalże ogłupiała. Broniła się, ale fale przyływały i odpływały, żądając od niej rzeczy niemożliwej.

Usiadł na brzegu stołu, bacznie przyglądając się kobiecie. Widział, jak biła się z myślami. Jemu samemu też nie było lekko, doskonale wiedział, co się z nim dzieje, jak tylko jakiś dziki mag znalazł się obok i wyczuł jego obecność. Jego bezcenna czysta krew była jego przekleństwem.

- Doszłaś do siebie? - bąknął. Jakoś nie miał ochoty na rozmowy, chciał, by już się wszystko skończyło.

- Tak - potrząsnęła głową. Pot sperlił się na jej czole.

- W takim razie zacznijmy. Czas to świętość, nie pozwólmy jej

dłużej cierpieć - podszedł do łóżka Nory.

- Ale ja nie wiem jak, na Odkupicieli! W życiu nie parałam się tą magią.

Leta ogarniała złość, z minuty na minutę był bardziej podenerwowany.

- Notatki Anny! - pokazał palcem na mały krzywy stolik w koncie, na którym leżały zwoje. - Tam masz wszystko.

Popatrzyła na niego i podeszła do stolika. Miał rację. Na jednym ze zwojów Anna szczegółowo opisała rytuał oczyszczania ciała z trucizn za pomocą elfickiej krwi.

- Skąd, u diabła, wiedziałeś? - wycodziła przez zęby.

- Bo czytałem.

- Jak, kiedy?

- Myślisz kobieto, że ja jako zabójca nie lubię wiedzieć tego czy owego? Otóż się mylisz. Uczę się każdego dnia, każdego ranka odkrywam coś nowego. Myślałaś, że nie będę zwracał uwagi na te zapiski? No to byłaś w błędzie. Przeczytałem wszystkie, a ty nawet się nie zorientowałaś, kiedy to uczyniłem.

Uzdrowicielka nie mogła pojąć jego złości. Był rozdrażniony, wręcz wściekły. Rzucił iskry spod przydługiej grzywki, jego oczy lśniły żółtym blaskiem.

- Dobrze, zrobmy tak, jak jest tam napisane. Tylko nie strać przytomności - po raz kolejny buzowała w niej żądza.

- A ty nie zrób ze mnie ghula.

- Postaram się.

Elf wyciągnął zza pazuchy jadeitowy sztylet. Patrzyła na niego z lękiem, nie chciała, by użył go przeciw niej.

- Zaczynajmy - nakazał.

Uzdrowicielka rozwinęła pergamin i przeczytała uważnie. Rytuał nie był trudny, wymagał jedynie skupienia i silnej woli, ale

jedno potknięcie mogło kosztować życie elfa lub ją samą. Zamknęła oczy i wypowiedziała kilka formułek zaczynających łańcuch magii. Leto w tym czasie naciął sobie dłoń. Czerwona, lepka stróżka spłynęła w dół. Meran zaczerpnęła głęboko powietrza, otwierając szeroko oczy. Doznała silnego ataku głodu krwi, pobladła, miała wrażenie, że jej własna wola gdzieś zniknęła. Zatopiła się w nią tak mocno, że wydobyć choć odrobiny będzie graniczyło z cudem. Wytworzyła się jednocześnie w niej druga świadomość, jakby inna istota. Pożerała jej życie od wewnątrz, chcąc dotknąć światła.

W powietrzu uniośł się słonomodły zapach potu i wydzielin. Trzasnęło. Elf zboczył błękitne smugi przed oczyma, coś złapało go za serce. Niewidzialna dłoń zacisnęła się na nim, odbierając oddech. Kątem oka widział, jak Meran porusza ustami, czytając pergamin. Słowa zapętały się w jedną dźwięczną melodię. Im szybciej je powtarzała, tym mocniej zapadała się w ekstazę muzyki własnych ust. Walczył z czarnymi plamami, jakie pojawiły się przed jego oczyma. Nie było to łatwe, cały czas powtarzał sobie w myślach, jak mantrę: „wytrzymaj”.

Uzdrowicielka kontynuowała. Stróżka krwi w końcu uniosła się i zawirowała, czerwona chmura popłynęła w powietrzu, ciągnąc za sobą wiotką dłoń elfa. Nie protestował. Czują niepokonany głód, który przeszkadzał jej w czynieniu magii. Zaczęła pulsować, najpierw jasnym, białym światłem, otoczyła się srebrną tarczą, która pochłonęła również leżącą na łóżku błękitnym blaskiem. Po chwili barwa zasłony przyjęła kolor purpurowy i jej drobiny uniosły się nad Norą, sycząc. Dziewczyną targały konwulsje. Im bardziej kobieta była skupiona tym mocniejsze drgawki szarpały jej ciałem. Z jej otwartych ust wypłynął zielonkawy obłok, przybrał kształt dymu fajkowego, jego zapach był gorzki, przypominał ziołową miksturę. Nappełniał powietrze trzaskiem i

wyładowaniami, jak w trakcie burzy, kiedy to błyskawice, jedna po drugiej, uderzają w ziemię. Meran odsunęła się od łóżka, unikając ataku blasku. Jej ciało przybierało teraz krwawą barwę, chmura krwi Leto stworzyła na niej drugą skórę. Wyciągnęła dłoń w kierunku elfa. Szarpnęło nim do przodu tak mocno, że wylądował na twarzy. Poczuł, jak wyciąga całą siłę witalną. Ogarniała go senność, bladymi ustami próbował krzyknąć, by przestała, ale wydał z siebie jedynie żalospisk. Zdał sobie sprawę, że rytuał pochłonął uzdrowicielkę do reszty i przestała kontrolować swoją magię, przestała być sobą. Nadal trzymał w dłoni jadeitowy sztylet, ale po raz kolejny nie był w stanie go użyć. Meran nie potrafiła przestać, walka nie przynosiła efektów, jej usta same wymawiały formułki, a magia, jaka w niej się kotłowała, bulgotała i syczała, żyła własnym życiem. Przez zamglone oczy dostrzegała, jak Leto broni się przed jej wpływem. Jej świadomość chciała pochłonąć moc, jaką jej dawał dzięki swej krwi do ostatniej kropli, do ostatniego oddechu, jaki z siebie wyda. Głód był czymś niepojętym, czymś, czego powstrzymać się nie da.

Nora oprzytomniała. Miała wrażenie, jakby ktoś siłą wyrwał ją z dziwnego snu na jawie. Bolała ją noga i nie mogła się poruszać. Wydawało się jej, że ma ręce jak z waty, czuła się jak szmaciana lalka. Półprzymnionymi oczami omiotła pokój. Szybko zorientowała się, gdzie jest. Oślepił ją blask tarczy, było jej duszno i chciała się uwolnić. Nad jej ciałem wirowała zielonkawa mgła odbijająca się od kryształowej zasłony mocy uzdrowicielki.

Leto dostrzegł, że dziewczyna się obudziła. Poczuł lekką ulgę, magia przyniosła skutek. Meran wyciągnęła resztę trucizny z jej ciała. Rytuał zatem czas zakończyć. Nadal nie potrafił się odezwać. Gardło miał spuchnięte i suche. Zacisnął więc pięść resztką sił, by zatamować krwawienie. Maran lekko oprzytomniała, ale nie



potrafiła powstrzymać mocy, z jaką wysysała życie z na wpół już martwego towarzysza. Zamknęła oczy, skupiając się najmocniej. Jej ręce płonęły krwawym światłem, które pochłaniało moc krwi, pergamin był nią przesiąknięty. Wielkie krople posoki kapały na podłogę, rozbryzgując się u jej stóp. Elf resztką sił podpełzł do kobiety, dzierżąc w ręce jadeitowe ostrze. Nie chciał jej zrobić krzywdy, nie jej. Sił jednak miał coraz mniej. Mag w amoku wyciągnęła rękę w stronę Nory, żądza zasnęła jej świadomość kotarą ciemności. Rana na nodze otworzyła się i uniosła mgiełką nad dziewczyną, by zawirować i popłynąć w stronę uzdrowicielki. Otoczyła ją jako druga bariera. Leto nie mógł pojąć, co się dzieje. Jej uścisk nieco zelżał, ale nadal trzymała go w swych mackach, nie pozwalając na gwałtowne ruchy. Utrzymywała go też wolą w stanie pełnej świadomości, druga utworzyła się pod wpływem czarnej magii, zaczął sobie zdawać z tego sprawę, kiedy zorientował się, że przestał oddychać.

Nora jęczała, łapiąc się za rozerwaną ranę. Pośród szumu krwi, trzasków i jęków, słyszał, jak błagała go, by ją powstrzymał. Brak powietrza zrobił swoje. Najpierw zaczął tracić wzrok, potem jego głowę napełniła pustka, jakby miał uszy zanurzone pod wodą.

Postanowił zaryzykować, nie chciał zostać w tej wsi na zawsze jako potępiony. Znał stan, w jakim się zaczynał znajdować, opisywali go magowie zakazanych mocy w księgach, które czytał w starym imperium. Uniósł się na łokciach, głuchy i ślepy, i wykonał zamach sztyletem. W tym zamieszaniu jednak trafił uzdrowicielkę w tętnicę. Zawyla jak ranione zwierzę, magia ustała. Kobieta, brocząc obficie, upadła na kolana, trzymając się za ranę. W pomieszczeniu zrobiło się cicho i duszno. Nora w pozycji embrionalnej ścisnęła nogę, z której płynęła cienką stróżką krew, Leto odzyskiwał po trochu zmysły. Kiedy jego ciało wróciło do

stanu sprzed rytuału, ujrzał całą tę makabryczną scenerię. Meran leżała martwa tuż u jego stóp w brązowej plamie zakrzepłej krwi. Nora patrzyła na niego zaszklonymi oczyma, szlochała, pociągając nosem, bezradna i bezbronna jak dziecko. Elf usiadł na ziemi. Dopadł go dziwny stan ducha, nie był to ani smutek, ani też ból. To było coś na wzór rozżalenia i rwącego duszę gniewu, który jednak nie był skierowany w stronę Meran czy Nory, czuł go wyłącznie do siebie. Ocalił jedno istnienie kosztem drugiego, taka jest cena krwi. Podpełzł do łóżka dziewczyny, łapiąc ją za nadgarstek. Była ciepła, ale nie rozpalona.

Dłoń miała mokrą od łez. Przytulił policzek do jej ręki, zamykając oczy. Nora szlochała do rana, zasłaniając twarz rąbkiem poduszki. Świt zastał ich śpiących, zmęczenie położyło swe łapska na wyczerpanych ludziach. Nie wiedzieli, kiedy weszło słońce. Trup uzdrowicielki leżał na wznak z otwartymi oczyma. Były zimne i wybroczone krwią, z kącików płynęły brunatne strugi zakrzepłej posoki. Wyglądała na spokojną, jakby zapadła w otchłań, z której nie da się powrócić. Leto pogłaskał ją po twarzy. Lodowaty chłód martwego ciała zakłuł go w palce. Odsunął rękę, przyglądając się jej. Oczy mu się zaszklily. Nie mógł sobie darować, że odebrał jej życie, że była to ostateczna konieczność, której za wszelką cenę chciał uniknąć.

- Jak się czujesz? - Spojrzał na Norę, która spod poduszki zerkała na niego czerwonymi od płaczu oczyma.

- Jak mam się czuć? Byłam jedną nogą w grobie.

- Musimy stąd odejść, jak najszybciej. Atmosfera tego miejsca robi się coraz bardziej ciężka.

- Musiałeś ją zabijać? - zawyła. Znów wstrząsnął nią spazm płaczu.

- Nie miałem wyboru, inaczej zabiłaby nas oboje.

- Ale ona tego nie chciała - chlipała. - Nie wierzę, że Meran chciałaby naszej śmierci.

- Ja też, ale się stało - przytulił ją do siebie. - Musisz szybko wydobrzeć i ruszamy.

- Moje siostry... Mieszkają we wsi za kotliną.

- Napiszesz do nich ze stolicy.

- Będą się martwiły.

- Nie będą, uwierz mi. Lepiej, by wiedziały mniej lub dowiedziały się później, co się tu wydarzyło. Będą spokojniejsze. Niewiedza czasem ratuje ludziom skórę. Lasy roją się od dzikich magów, nie ryzykujemy. Idźmy na trakt.

Przytaknęła mu, mimo że nie chciała. Jej siostry nie potrafiły czytać, ona sama miała ubytki w tej sztuce.

- Nie umiem pisać - rzekła, patrząc na niego.

- Nauczysz się.

- To potrwa.

- Nauczysz się - powtórzył. Wstał z podłogi, zataczając się lekko.

- Musimy ją pochować, potem upolujemy jakieś zwierzę i wyruszamy. Na rozstajach się rozejdziemy.

Pokażę ci, w którą stronę masz iść, ja pójdę w przeciwną. Mam pewną partaninę do załatwienia w granitowym mieście. Przytaknęła. Elf pomógł jej wstać, opatrzył i obmył ranę, która już tak bardzo się nie sęczyła. Spoglądała na jego szczupłe i zgrabne palce, jak sprawnie i szybko uwijają się przy opatrywaniu. Potem pozwoliła wyprowadzić się na ganek. Słońce pieściło jej ciało, chciała się w nim zanurzyć, było kojące i ciepłe. Pożółkłe trawy szeleściły na wietrze, brunatne i czerwone liście wirowały w powietrzu, lśniąc jeszcze od porannej rosy. Nieliczne już owady bzyczały nad jej głową. Wszędzie spokój, nie było wrzasków pastuchów czy szczekania psów, tylko wiatr, owady i ptactwo

uwięzione w konarach drzew pradawnej puszczy.

Leto poszedł zapolować. Miał nadzieję, że we wnykach znajdzie jakieś zbłąkane dzikie króliki lub pardwy. Znalazł trochę dzikich jabłek i późnych ziół. Polowanie okazało się trudniejsze, niż się spodziewał. Wnyki były puste, po części zniszczone przez większe zwierzęta lub dzikich magów. Las nie był tym samym lasem, jaki poznał, pachniał inaczej i dźwięczał jakoś tak inaczej. Nie pojmował tych zmian, ale domyślał się, że to za sprawą starożytnej magii, która gnieździła się wraz z dzikimi w jego sercu. Długo się błąkał po jego obrzeżach, by w końcu dopaść stadko młodych zajęczyc, tegorocznych. Były tak ogłupiałe, że zabicie ich było fraszką. Elf zabił dwie sztuki, więcej nie potrzebował. Obładowany i głodny wrócił do chaty z uśmiechem na ustach. Nora popijała obrzydliwy wywar wzmacniający, obok mogiły Ulfrika widniał świeży kurhan.

- Jak ci się udało? - rzekł zaskoczony.

Wzruszyła ramionami, upijając kolejny łyk.

- Czuję się bardzo dobrze. Nie mogłam na nią patrzeć, taką martwą, taką milczącą - usta złożyła w podkówkę, gotowa ponownie wybuchnąć płaczem.

- No, już dobrze - pogłaskał ją po zmierzwionych włosach. - Jesteś niezwykła, wiesz?

Obdarzył ją promiennym uśmiechem, nawet jego oczy zalśniły. Podniosło ją to nieco na duchu. Wszedł do domu, by oprawić zające. Były chude i więcej na nich było skóry niż mięsa, ale i tak był to posiłek iście królewski po kilku dniach o samej wodzie. Pieczone jabłka cudownie pachniały, napełniając nozdrza słodkim aromatem. Jedli niespiesznie, delektując się każdym kęsem. Posiłek dodał im sił.

Jeszcze jedną noc spędzili w domku uzdrowicielki. Rankiem

spakowali się, przeszukawszy wpierw wszystkie tobołki poprzednich mieszkańców. Znaleźli troszkę miedziaków i potrzebnego na drogę ekwipunku. Podzielili to na pół. Skórami się otulili, resztę wrzucili w worki, które przewiesili przez grzbiety. Nora dzierżyła na plecach niezwyklej urody dwuręczny miecz, napawał ją poczuciem pewności i bezpieczeństwa. Leto policzył wszystkie sztylety, dopieścił i pochował w schowkach płaszcza. Jedyne jadeitowy wylądował w kieszeni z przodu, jakby się obawiał, że na drodze stanie mu kolejny żądny jego krwi dziki mag.

Opuszcili dom, obracając się po raz ostatni, by spojrzeć na siedlisko. Było puste, milczące, pełne miłych i tych niegodnych wspomnienia chwil. Elf po raz pierwszy, opuszczając jakieś miejsce, poczuł ukłucie żalu. Miał wrażenie, że opuszcza rodzinny dom.

Podszedł do grobów Ulfrika i Meran, kładąc na nich dłonie.

- Dziękuję - wyszeptał. - Dziękuję za nowe życie.

Wstał, wycierając ukradkiem spływającą po policzku łzę. Nora udała, że tego nie widzi, jej samej było przykro. Tu się urodziła, tu wychowała, tu były jej dobre i złe dni, tu są jej wspomnienia, nie ważne jakie by one były. Oboje wyszli przez otwartą furtkę, nie patrząc już za siebie. Chęć, by spojrzeć jeszcze raz, była nie do opisania. Żadne jednak nie odważyło się tego uczynić.

Droga była kamienista, to wspinała się w górę, to znów opadała. Pył unosił się nad nią i osiadał na odzieniu grubą warstwą, którą co rusz zwiewał wiatr. Wydawało się im, że na końcu ścieżki zamajaczyła postać, która schodziła leniwym krokiem w stronę wsi. Nie wiedzieli, czy to ułuda czy rzeczywistość. Ich umysły przepełniała już teraz owa droga i cel, jaki na jej końcu osiągną. Drzewa złociły się i szumiały, gałęzie zawodziły i skrzypiały pod

wpływem wiatru. Późnojesienne słońce, blade i znużone, świeciło nad ich głowami. Kępy starej trawy rosły poboczem, tworząc kule przypominające potargane włosy, które długo nie widziały czystej wody.

Rozstaje były stosunkowo niedaleko, a zarazem daleko od wsi. Nora nigdy nie zapuściła się w te strony, wszystko było dla niej nowe. Miała nawet wrażenie, że ptaki inaczej śpiewają i słońce wraz z powietrzem ma inny odcień. Rozglądała się cały czas, zaciekawiona i chłonna nowości. Leto nie odzywał się. Myślami był już daleko, w granitowym mieście, gdzie czekała na niego praca, miejska strawa i łaźnie, które tak lubił. Tęsknił za anonimowością wśród obcych twarzy, za pracą i dreszczem emocji, który mu towarzyszył, kiedy wykonywał kolejne zlecenie za sakwę złotych i srebrnych monet. Wiatr odgarniał mu włosy z twarzy. Były o wiele dłuższe, niż kiedy pojawił się we wsi. Nawet podpalona przez Morganę grzywka nie przeszkadzała mu. Chłonał zimne powietrze niesione wiatrem z północy. Nadciąga zima i tego roku będzie sroga.

Rozstaje okazały się małym skrzyżowaniem wąskich dróg. Zatrzymał się i ocenił sytuację, znikąd żadnych wozów czy kupców, z którymi mogłaby się zabrać Nora. Śladów też nie było, jakby długo tędy żaden wóz czy jeździec nie jechał, ale nie niepokoiło go to. Taka cisza na trakcie jest błogosławieństwem, bezpieczeństwo na tych drogach należy do rzadkości. Ufał, że dziewczyna doskonale sobie poradzi, była silna i zdecydowana, miała mocny charakter i potężny cios, którym powalała kilku mężczyzn naraz. Przez myśl mu przebiegło, że będzie za nią tęsknił, w szczególności za jej ciepłem i życzliwością oraz silną i zdecydowaną ręką.

- Dotarliśmy - przerwał ciszę, stając i spoglądając na dziewczynę.

Zatrzymała się i obróciła wokół własnej osi, lustrując miejsce bystrymi oczyma.

- To już tu - westchnęła, spoglądając na niego spod przymkniętych powiek. Rozłożyła ręce w geście dezaprobaty. - Szybko dotarliśmy, myślałam, że zajmie nam to kilka dni, a szliśmy jedynie dzień. Słońce nie zdążyło jeszcze poczerwieniec na nieboskłonie.

- Masz rację - przytaknął.

- Więc teraz musimy się rozstać, tak? Ja pójdę w jedną stronę, a ty w drugą, by nigdy więcej się nie zobaczyć - wzruszyła ramionami. - Nie wiem, czy tego chcę.

- Spotkamy się jeszcze - zaprzeczył jej słowom. - Nie lubię pożegnań - dodał, marszcząc czoło.

- Czcza gadanina, elfie - zachnęła się. - Wiem, jak będzie, nie pocieszaj mnie. Nie jestem głupia.

- Nigdy tak o tobie nie myślałem. No już, nie spierajmy się na koniec - wyciągnął ręce w jej stronę. Dziewczyna podeszła do niego i wtuliła głowę w jego pierś.

- Obiecuj mi, że się jeszcze zobaczymy.

- Obiecuję - wyrwał się z jej objęć, zakładając kaptur na głowę. - Do zobaczenia - wyszeptał i pokazał palcem, którą ścieżką ma się udać. - Tam jest stolica, pytaj podróżnych, kupców i chłopów, wskażą ci drogę. Bądź czujna.

Odwrócił się do niej plecami i odszedł, zagłębiając się w półmrok. Nora nie zdążyła powiedzieć „do widzenia” poruszyła jedynie niemo ustami, wypowiadając te słowa.

Poprawiła zmierzwione wiatrem włosy i poszła pokazaną jej przez przyjaciela ścieżką, która tak samo i ją pochłonęła półmrokiem starych drzew.